

A person wearing a bright red coat and blue jeans is walking through a snowy landscape. The person's right arm is extended forward, and their left leg is lifted as if stepping. The background is a soft, white snow with some faint footprints.

KOCHAM BOHATERÓW

„Piszę, bo życie jest zbyt krótkie,
by czytać przygnębiające powieści.”

SUSAN ELIZABETH PHILLIPS

SUSAN ELIZABETH
PHILLIPS

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

SUSAN ELIZABETH
PHILLIPS

KOCHAM
BOHATERÓW

Przekład
Ewa Spirydowicz



**Korekta
Hanna Lachowska
Magdalena Stachowicz**

**Projekt graficzny okładki
Amanda Kain**

**Zdjęcie na okładce
© Dougal Waters/Photodisc/Getty Images**

**Tytuł oryginału
Heroes Are My Weakness**

**Copyright © 2014 by Susan Elizabeth Phillips
All rights reserved**

**For the Polish edition
Copyright © 2014 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.**

ISBN 978-83-241-5362-6

Warszawa 2014. Wydanie I

**Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62**

www.wydawnictwoamber.pl

**Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl**

**Mary Stewart, Any Seton, Charlotte Brontë,
Daphne du Maurier, Victorii Holt, Phyllis Whitney.
Miłość do książek zawdzięczam waszym magicznym powieściom.
Gdyby nie wy, nie zostałabym pisarką.**

Rozdział 1

Annie zazwyczaj nie rozmawiała ze swoją walizką, ale ostatnio nie do końca była sobą. Nawet długie światła reflektorów z trudem przebijały się przez mroczny chaos wieczornej śnieżycy, a wycieraczki wiekowej kii już na starcie przegrywały walkę z burzą śnieżą, która z piekielnym impetem zaatakowała małą wyspę.

– To tylko odrobina śniegu – zapewniła wielką walizkę na fotelu pasażera. – I choć wydaje nam się, że to koniec świata, niekoniecznie musi tak być.

Wiesz przecież, że nie znoszę zimna – odparła walizka denerwująco wysokim, piskliwym głosem naburmuszonej dziewczynki, która gniewnie tupie nogą. – Dlaczego w ogóle przywiozłaś mnie w to straszne miejsce?

Bo nie miała innego wyjścia.

Podmuch lodowatego wiatru zatrzęsł samochodem, gałęzie starych świerków nad wyboistą drogą przypominały włosy czarownicy. Annie doszła do wniosku, że wszyscy, którzy sądzą, że piekło to ogień i siarka, są w błędzie. Piekło jest tutaj, na tej ponurej, wrogiej wysepce w środku zimy.

Słyszałaś kiedyś o Miami? – dopytywała się Crumpet, rozpieszczona księżniczka z walizki. – Ale nie, musiałaś nas przyciągnąć tutaj, na to pustkowie pośrodku Atlantyku. Lada chwila pojrzą nas tu białe niedźwiedzie!

Skrzynia biegów rzęziła rozpaczliwie, gdy samochodzik z trudem pokonywał wąską, oblodzoną drogę. Annie doskwierały żebra, obolałe od kaszlu, w skroniach pulsowała migrena i kręciło się jej w głowie od tak prostej czynności jak wypatrywanie w zaśnieżonej przedniej szybie kawałka czystego szkła. Została sama jak palec na świecie, miała już tylko kukielki, którym użyczała głosu brzuchomówcy, i tylko one ściągały ją na ziemię. Nawet chora, doskonale zdawała sobie sprawę z tego, jak idiotycznie to brzmi.

Skoncentrowała się na innym głosie, spokojniejszej od Crumpet, praktycznej Dilly, która podróżowała w podobnej czerwonej walizce na tylnym siedzeniu.

Wcale nie jesteśmy na środku Atlantyku – zauważyła rozważnie. – Tylko na wyspie, piętnaście kilometrów od Nowej Anglii, a z tego, co mi wiadomo, w Maine nie ma niedźwiedzi polarnych. I po trzecie, Peregrine nie jest bezludną wyspą.

Co do tego nie byłabym taka pewna. – Gdyby Crumpet była teraz na ręku Annie, zapewne dumnie zadarłaby nosek do góry. – Ludzie nawet w lecie ledwie wiążą tu koniec z końcem, a co dopiero zimą. Założę się, że z głodu zjadają zmarłych.

Samochód zachwiał się niebezpiecznie. Annie opanowała poślizg, z całej siły zaciskając dłonie w rękawiczkach na kierownicy. Ogrzewanie ledwie zipało, a mimo to czuła, że się poci.

Przestań narzekać, Crumpet. – Dilly skarciła marudną towarzyszkę. – Przecież wyspa Peregrine to ulubione miejsce wielu turystów.

W lecie! – zaznaczyła Crumpet. – A mamy pierwszy tydzień lutego, dopiero co przeprowadziłam się tu promem, na którym dopadła mnie choroba morska, a na całej wyspie zostało chyba nie więcej niż pięćdziesiąt osób! Pięćdziesiąt głupich osób!

Wiesz przecież, że Annie nie miała wyjścia i musiała tu przyjechać – tłumaczyła Dilly.

Jasne, bo taka z niej nieudacznica. – Do rozmowy włączył się nieprzyjemny męski głos.

Leo miał paskudny zwyczaj werbalizowania najskrytszych lęków Annie; było do przewidzenia, że prędzej czy później zjawi się i on. Lubiła go najmniej ze wszystkich swoich kukielek, ale żadna bajka nie obejdzie się bez czarnego charakteru.

Bardzo nieładnie, że tak mówisz, Leo, nawet jeśli to prawda – skarciła Dilly.

Kapryśna Crumpet marudziła dalej:

Oczywiście, Dilly, bo to ty jesteś główną bohaterką i tobie zawsze wszystko się udaje. Tylko tobie, nam nie. Nigdy! Jesteśmy skazani! Skazani, rozumiecie! Już na zawsze...

Atak kaszlu Annie przerwał histeryczną tyradę kukielki. Prędzej czy później jej organizm upora się z osłabieniem wywołanym zapaleniem płuc – taką przynajmniej miała nadzieję – ale co z jej duszą? Straciła wiarę w siebie, nadzieję, że nawet teraz, w wieku trzydziestu trzech lat, najlepsze ma jeszcze przed sobą. Była osłabiona fizycznie, wypalona wewnątrz i delikatnie mówiąc, przerażona – kiepski stan jak na osobę, która ma przed sobą dwa miesiące samotności na niemal bezludnej wyspie u wybrzeży Maine.

Przecież to tylko sześćdziesiąt dni – zauważyła Dilly, chcąc dodać jej otuchy. – A poza tym, Annie, nie masz dokąd iść.

No właśnie. Oto paskudna prawda. Nie miała dokąd iść. Nie miała innego wyjścia, poza szukaniem spadku, który matka może naprawdę ukryła w domku na wyspie, a może wcale nie.

Opony utkwily w śnieżnej koleinie, samochodem szarpnęło, pas bezpieczeństwa boleśnie wpił się w klatkę piersiową Annie. Ponownie zanosła się kaszlem. Rozsądniej byłoby przenocować w wiosce, ale miejscowy pensjonat zamknął podwoje już dawno, po sezonie, i otworzy się dopiero w maju. Zresztą i tak nie byłoby jej na to stać.

Samochód z trudem wspiał się na wzgórze. Lata praktyki sprawiły, że radziła

sobie za kierownicą w każdych warunkach, jeżdżąc po kraju z kukielkami, ale nawet wytrawny kierowca miał niewiele do powiedzenia na takiej drodze, zwłaszcza w jej samochodzie. Nie bez powodu mieszkańcy wyspy jeździli pikapami.

Powolutku – upomniał kolejny męski głos z walizki na tylnym siedzeniu. – Spiesz się powoli, a dotrzesz do celu. – Peter, kukielka-bohater, rycerz na białym koniu, dodawał jej otuchy i udzielał wsparcia, w przeciwieństwie do jej byłego kochanka-chłopaka, aktora, który wsparcia udzielał tylko samemu sobie.

Annie zatrzymała samochód i dopiero wtedy zaczęła powoli zjeżdżać ze wzgórza. To się stało w połowie jego wysokości.

Pojawili się nie wiadomo skąd.

Mężczyzna w czerni przeciął drogę na czarnym koniu. Zawsze miała bujną wyobraźnię – patrz wewnętrzne rozmowy z kukielkami – i w pierwszej chwili pomyślała, że sobie to wyobraziła. Ale nie, byli prawdziwi. Koń i jeździec mknący przez śnieg, mężczyzna pochylony nisko nad rozwianą grzywą. Demony, koń z sennych koszmarów i psychopata galopujący przez rozszalałą burzę.

Zniknęli równie szybko, jak się zjawili, ale odruchowo nacisnęła na hamulec i samochód wpadł w poślizg, zjechał z drogi i z przeraźliwym dźwiękiem zatrzymał się w rowie pełnym śniegu.

Jesteś całkiem do niczego – wycedził pogardliwie Leo, czarny charakter.

Poczuła pod powiekami łyzy zmęczenia. Drżały jej ręce. Czy jeździec i koń byli prawdziwi, czy to tylko wytwory jej wyobraźni? Musi się skoncentrować. Wrzuciła wsteczny bieg i usiłowała wyjechać z rowu, ale opony tylko wbiły się głębiej. Oparła się o zagłówek. Prędzej czy później ktoś ją tu znajdzie. Pytanie tylko kiedy. Na końcu tej drogi znajduje się jedynie rezydencja. I jej mały domek.

Usiłowała się skoncentrować. Miała zamiary na tylko jednego człowieka na wyspie – dozorcę, który zajmował się rezydencją i jej domkiem. Miała jego adres elektroniczny. Napisała do niego, informując, że przyjeżdża i poprosiła, żeby przygotował domek na jej przybycie – włączył ogrzewanie i wodę. Zresztą, nawet gdyby miała jego numer telefonu – Shaw, nazywał się Will Shaw – nie miałyby tu zasięgu, żeby do niego zadzwonić.

Do niczego. – Leo nigdy nie mówił normalnym głosem, zawsze cedził pogardliwie.

Annie wyjęła chusteczkę z pogniecionej paczki, jednak zamiast rozważyć swoją sytuację, dumiała o tajemniczym jeźdźcu. Co za wariat wsiada na konia w taką pogodę? Zaciśnęła powieki i starała się zapanować nad kolejną falą mdłości. Najchętniej skuliłaby się w kłębek i poszła spać. Czy to naprawdę takie straszne? Musi w końcu przyznać, że życie ją przerosło.

Weź się garść – zarządziła rozsądna Dilly.

Annie huczało w uszach. Musi namierzyć Willa Shawa, sama nie wydobędzie samochodu z zasy.

Po co ci Shaw, ja to zrobię – zaproponował Peter, jak na bohatera przystało.

Tylko że Peter – zupełnie jak jej były – był pomocny tylko teoretycznie.

Od domku dzieliły ją jeszcze mniej więcej dwa kilometry – żaden problem do przejścia dla zdrowego człowieka i przy znośnej pogodzie. Ale pogoda była koszmarna, a ona nie była zdrowa.

Poddaj się – szydził Leo. – Przecież wiesz, że tego chcesz.

Nie bądź podły, Leo. – Tym razem odezwała się Scamp, najlepsza przyjaciółka Dilly i zarazem alter ego Annie. Choć to właśnie Scamp najczęściej pakowała pozostałe kukielki w tarapaty, z których musieli je ratować Dilly i Peter, Annie uwielbiała ją za odwagę i wielkie serce.

Weź się w garść – poleciała teraz. – Wysiadaj z samochodu.

Annie najchętniej kazałaby jej iść do diabła, ale i tak nic by to nie dało. Naciągnęła kaptur na rozwiane włosy, zapięła suwak pod szyję. Przez dziurę w rękawiczce, na kciuku, poczuła lodowaty chłód klamki, ale i tak zmusiła się, by otworzyć drzwiczki.

Zimno było jak cios w policzek, zapierało dech w piersiach. Z trudem wysiadła. Jej wiekowe, podniszczone brązowe zamszowe botki, nadające się na zimę w mieście, ale nie tutaj, zapadły się w śnieg. Dżinsy nie chroniły przed wiatrem. Skulona, obeszła samochód, żeby wyjąć puchową kurtkę z bagażnika, ale okazało się, że bagażnik zablokował się w śniegu i nie ma szans go otworzyć. Właściwie nie powinno jej to dziwić. Nic nie szło po jej myśli od tak dawna, że niemal zapomniała już, co to takiego uśmiech losu.

Wróciła do samochodu. Kukielki powinny być tu bezpieczne przez noc, ale jeśli jednak coś im się stanie? Zostały jej już tylko one i jeśli je straci, równie dobrze mogłaby sama przestać istnieć.

Żaloszne – wycedził Leo.

Najchętniej rozerwałaby go na strzępy.

Dziewczyno, to ty potrzebujesz mnie, a nie ja ciebie – zauważył. – Beze mnie nie masz spektaklu.

Nie słuchała go. Dysząc ciężko, wyciągnęła walizy z samochodu, wyjęła kluczyk ze stacyjki, zgasiła reflektory i zatrzasnęła drzwiczki.

Natychmiast otoczyła ją gęsta, rozedrgana ciemność. Poczuła falę paniki.

Ja cię ocalę! – zapewnił Peter.

Annie mocniej zacisnęła dłonie na rączkach walizek. Starła się nie ulegać panice.

Nic nie widzę! – pisnęła Crumpet. – Nie znoszę ciemności!

W swoim przedpotopowym telefonie komórkowym Annie nie miała aplikacji z

latarką, miała za to... Odstawiła walizkę na ziemię i sięgnęła do kieszeni po kluczyki do samochodu i breloczek przy nich – miniaturową latareczkę. Od dawna z niej nie korzystała, nie miała pojęcia, czy jeszcze działa. Włączyła ją z duszą na ramieniu.

Na śniegu pojawił się jasnoniebieski promyk światła, tak cienki, że z łatwością mogłaby zboczyć z drogi.

Weź się w garść – poleciała Scamp.

Daj sobie spokój – wycedził Leo.

Annie zrobiła pierwszy krok w śnieg. Wiatr przenikał cienką kurtkę, szarpał za włosy, wciskał kosmyki w twarz, śnieg padał jej na szyję. Zaniósła się kaszlem, aż żebra ścisnęły się boleśnie. Walizki obijały się o łydki. Zdecydowanie za szybko musiała je odstawić, żeby dać odpocząć zmęczonym rękom.

Otuliła się ciaśniej kurtką, chcąc osłonić płuca przed lodowatym powietrzem. Chłód parzył w palce. Zaczęła iść, przywołując głosy kukiełek, żeby dotrzymywały jej towarzystwa.

Crumpet:

Uprzedzam, jeśli mnie upuścisz i zniszczysz mi błyszczącą lawendową sukienkę, spotkamy się w sądzie!

Peter:

Jestem dzielny i silny! Pomogę ci.

Leo (cedząc przez zęby):

Czy ty w ogóle potrafisz coś zrobić porządnie?

Dilly:

Nie słuchaj Leo. Idź dalej. Damy radę.

I jeszcze Scamp, jej pozał się Boże alter ego:

Przychodzi baba z walizką do lekarza...

Łzy zamarzały jej na rzęsach, ograniczając i tak kiepską widoczność. Wiatr szarpał za walizki, jakby chciał je wyrwać. Były za duże, za ciężkie, boleśnie nadwerężały ramiona. Głupio zrobiła, zabierając je ze sobą. Bardzo, bardzo głupio. Ale nie mogła przecież zostawić kukiełek.

Każdy krok dłużył się w nieskończoność; jeszcze nigdy nie było jej tak strasznie zimno. I pomyśleć, że łudziła się, że los się w końcu do niej uśmiechnął, gdy udało jej się złapać prom ze starego łądu. Kursował nieregularnie, w przeciwieństwie do przerobionego kutra rybackiego, który docierał na Peregrine raz w tygodniu. Im bardziej prom oddalał się od wybrzeża Maine, tym bardziej śnieżycy wzbierała na sile.

Poczłapała dalej, z trudem powłócząc nogami w śniegu, obolała. Miała wrażenie, że płuca jej pękną, gdy starała się zapanować nad kolejnym atakiem kaszlu. Dlaczego, ach, dlaczego nie zostawiła ciepłego puchowego płaszcza w

samochodzie, dlaczego wiozła go w bagażniku? Dlaczego popełniła w życiu tyle błędów? Dlaczego nie miała stałej pracy? Dlaczego nie obchodziła się rozsądniej z pieniędzmi? Dlaczego nie wiązała się z porządnymi facetami?

Sporo czasu minęło od jej ostatniego pobytu na wyspie. Droga kończyła się na zakręcie prowadzącym do domku i rezydencji Harpów. Ale co, jeśli to przeoczyła? Od tamtego czasu sporo mogło się zmienić.

Potknęła się, osunęła na kolana, kluczyki wyslizgnęły się z jej dłoni, zniknęły w śniegu. Kurczowo przytrzymała się walizki. Była przemarznięta do szpiku kości, cała płonęła od gorączki. Nerwowo, po omacku, szukała ich w sypkim śniegu. Jeśli do tego wszystkiego straciła jedyne źródło światła...

Mało brakowało, a nie wyczułaby ich zdrętwiałymi palcami. Kiedy w końcu poczuła w dłoni znajomy kształt, zapaliła światelko i zobaczyła szpaler drzew, który oznaczał koniec drogi. Skierowała smużkę światła w prawo, na wielki granitowy głaz, jak zawsze leżący przy zakręcie. Dźwignęła się z trudem na nogi, podniosła walizki i dalej brnęła przez zasy.

Przez chwilę odczuwała ulgę, że nie przegapiła skrętu, zaraz jednak znowu spochmurniała. Stulecia ostrych, surowych zim Nowej Anglii sprawiły, że na tym skrawku ziemi przetrwały tylko najsilniejsze, najbardziej wytrzymałe drzewa, co oznaczało, że właściwie nic nie hamowało impetu wichru znad oceanu. Podmuchy wiatru usiłowały wyrwać jej walizki z dłoni. Udało jej się odwrócić tyłem, nie upuszczając ani jednej. Szła powoli, krok za krokiem, brnęła przez wysokie zasy, ciągnąc za sobą ciężkie walizki; cały czas walczyła z ochotą, by położyć się na ziemi i niech mróz robi z nią, co tylko chce.

Pochylała się tak nisko, że mało brakowało, a poszłaby dalej. Gdyby nie walizka, którą zahaczyła o niski kamienny murek otaczający Zagrodę Żeglarzy.

Mały domek z szarej cegły był niekształtną bryłą pod śniegiem. Ani śladu odśnieżonego podjazdu i światel w oknach na powitanie. Kiedy była tu ostatnio, drzwi były czerwone jak żurawina, teraz jednak pomalowano je na chłodny chabrowy kolor. Dziwny kształt zasy przy ścianie sugerował, że znajduje się pod nią stara pułapka na homary, ukłon w stronę rodowodu domku jako siedziby rybaków. Dobrnęła przez zasy do drzwi, odstawiła walizki i zaczęła szukać kluczy, gdy przypomniała sobie, że wyspiarze rzadko kiedy zamykają drzwi na klucz.

Drzwi stanęły otworem. Wtaszczyła walizy do środka i resztkami sił zamknęła drzwi za sobą. Rzęziła głośno. Ciężko osunęła się na walizkę, oddychając tak ciężko, że raczej przypominało to szloch.

Po pewnym czasie poczuła zatechły zapach w lodowatym pomieszczeniu. Z nosem wtulonym w rękaw po omacku szukała kontaktu. I nic. Najwyraźniej dozorca albo nie dostał jej maila z prośbą o włączenie elektryczności i wody, albo

najwyczejniej w świecie ją zignorował. Jej przemarzniętym ciałem wstrząsały dreszcze. Cisnęła oblepione śniegiem rękawiczki na szmaciany chodniczek przy drzwiach. Nie zawracała sobie głowy strzepnięciem śniegu ze splecionych włosów. Dżinsy niemal przymarzały jej do nóg, ale żeby je zdjąć, musiałyby ściągnąć buty, a na to było jej na razie za zimno.

Choćby jednak czuła się najgorzej na świecie, musiała wyjąć kukielki z oblepionych śniegiem walizek. Sięgnęła po jedną z latarek, które matka zawsze trzymała przy drzwiach. Zanim szkoły i biblioteki drastycznie ograniczyły wydatki, kukielki zapewniały jej mniej lub bardziej stały dochód, w każdym razie pewniejszy niż nieudana kariera aktorska czy prace dorywcze – wyprowadzanie psów i kelnerowanie w Kawa, Kawa.

Szczękając zębami z zimna, przeklinała na czym świat stoi cholernego dozorcę, który najwyraźniej nie miał oporów przed nocnymi przejazdami konno podczas śnieżycy, ale nie chciało mu się porządnie wykonywać swoich obowiązków. O tej porze roku na tym krańcu wyspy nie mieszkał nikt poza nim. Otworzyła walizki i wyjęła pięć kukielek. Usadziła je na kanapie, nie wyciągając z ochronnej folii, i z latarką w ręku obeszła domek, stąpając po lodowatej podłodze.

Wnętrze Domku Żeglarza w najmniejszym stopniu nie przypominało tradycyjnej siedziby w Nowej Anglii, natomiast na każdym kroku widziało się ekscentryczną rękę jej matki, poczynając od upiornej patery pełnej zwierzęcych czaszek po posrebrzaną komódkę w stylu Ludwika XIV z czarnym napisem, który Mariah wykonała osobiście sprayem. Annie wolałaby bardziej przytulne wnętrze, ale w najlepszych czasach Mariah, gdy była muzą projektantów mody i całych pokoleń młodych artystów, i ten domek, i apartament na Manhattanie gościły na łamach najlepszych pism wnętrzarskich.

Te czasy minęły jednak dawno, gdy Mariah przestała być ulubienicą coraz młodszych elit artystycznych Nowego Jorku. Bogaci nowojorczyki zwracali się do innych z prośbą o pomoc w stworzeniu własnej kolekcji sztuki i Mariah była zmuszona wyprzedawać swoje skarby, by móc żyć na poziomie, do którego przywykła. Kiedy zachorowała, właściwie nic już jej nie zostało. Nic, poza czymś w tym domku, czymś, co miało stanowić tajemniczy spadek Annie.

– Jest w domku. Dzięki temu... będziesz... bogata – powiedziała kilka godzin przed śmiercią, w okresie, w którym rzadko kiedy była w pełni przytomna.

Nie ma żadnego spadku – wycedził Leo. – Twoja matka przesadzała jak zwykle.

Może gdyby Annie spędzała na wyspie więcej czasu, wiedziałyby, czy Mariah mówi prawdę, czy nie, ale nie znosiła tego skrawka łądu i nie przyjeżdżała tu od dwudziestych drugich urodzin, przed jedenastu laty.

Omiotła snopem światła sypialnię matki. Naturalnej wielkości fotografia bogato

zdobionego wezłowania włoskiego łoża pełniła rolę wezłowania za małżeńskim łożem. Przy drzwiach wisiały wieszaki, wykonane, sądząc na pierwszy rzut oka, z drewna i odrzutów ze sklepu z artykułami żelaznymi. W szafie nadal unosił się ledwie wyczuwalny, charakterystyczny zapach perfum jej matki, mało znanej japońskiej wody kolońskiej, której import kosztował majątek. Wdychając znajomy zapach, Annie żałowała, że nie czuje smutku, który powinna poczuć córka zaledwie pięć tygodni po śmierci rodzica. Ona jednak czuła jedynie pustkę.

Po chwili znalazła starą fioletową pelerynę Mariah i grube skarpety. Dopiero wtedy rozebrała się, nakryła wszystkimi kocami, które udało jej się znaleźć, wślizgnęła do lodowatego łóżka, zgasiła latarkę i zasnęła jak kamień.

Annie nie wierzyła, że jeszcze kiedykolwiek będzie jej ciepło, ale kiedy o drugiej nad ranem obudził ją atak kaszlu, ociekała potem. Żebra bolały niemiłosiernie, głowa pulsowała nieprzyjemnie, w gardle jej zaschło. Musiała iść do łazienki – a to nie lada wyczyn w domu bez bieżącej wody. Kiedy w końcu przestała kasłać, wgrzebała się spod koców. Otulona fioletową peleryną, zapaliła latarkę i przytrzymując się ściany, poczłapała do łazienki.

Trzymała latarkę skierowaną w dół, żeby nie widzieć swego odbicia w lustrze nad staroświecką umywalką. I tak wiedziała, co zobaczy: pociągłą, bladą twarz z cieniem choroby; ostro zarysowany podbródek, wielkie piwne oczy i niesforną burzę brązowych włosów, które zawsze i wszędzie żyły własnym życiem. Jej twarz przemawiała do dzieci, ale mężczyźni uważali, że jest oryginalna raczej niż uwodzicielska. Włosy i twarz odziedziczyła po nieznanym ojcu – „Był żonaty. Nie chciał mieć z tobą nic wspólnego. A teraz już nie żyje, na całe szczęście”. Figurę zawdzięczała matce – wysoka, chuda, o kościstych łokciach i kolanach, wielkich stopach i smukłych długich palcach.

– Żeby odnieść sukces jako aktorka musiałabyś być albo niewiarygodnie piękna, albo niewiarygodnie zdolna – mawiała Mariah. – Jesteś ładniutka, Antoinette, i masz talent mimiczny, ale spójrzmy prawdzie w oczy...

Matka nigdy cię specjalnie nie wspierała. – Dilly stwierdziła rzecz oczywistą.

Za to ja będę cię wspierał zawsze i wszędzie – zapewnił Peter szarmancko. – I będę cię kochał aż do śmierci.

Jego romantyczne deklaracje zazwyczaj przywoływały śmiech na jej twarzy, dzisiaj jednak pomyślała tylko o przepaści dzielącej mężczyzn, którym oddawała serce, od romantycznych bohaterów, których tak uwielbiała. I jeszcze innej przepaści – tej między życiem, jakie sobie wymarzyła, a jakie przypadło jej w udziale.

Mimo sprzeciwów Mariah, Anie skończyła studia aktorskie i przez kolejnych

dziesięć lat biegała z castingu na casting. Grywała w małych teatrzykach, w klubach studenckich, kilka razy załapała się do spektakli offowych, z dala od Broadwayu. Za mało. Zeszłego lata w końcu zmierzyła się z gorzką prawdą – Mariah miała rację. Annie była lepszą bruchomówczynią niż aktorką. Czyli nie miała absolutnie nic.

Znalazła butelkę wody imbirowej, która jakimś cudem nie zamarzła. Każdy łyk sprawiał niemiłosierny ból. Zabrała butelkę ze sobą i wróciła do saloniku.

Mariah nie była tu od lata, zanim usłyszała diagnozę – rak, ale Annie prawie nie widziała kurzu. Najwyraźniej dozorca wypełniał przynajmniej część swoich obowiązków. Szkoda, że nie wszystkie.

Jej kukielki siedziały na jaskraworóżowej kanapie w stylu wiktoriańskim. Zostały jej już tylko one i samochód.

Nie do końca – zauważyła Dilly.

No tak. Zostały jej też astronomicznie wysokie długi, których nie miała jak spłacić, długi, w które wpadła w ciągu minionych sześciu miesięcy, chcąc spełnić każde życzenie umierającej Mariah.

I w końcu zdobyć aprobatę mamusi – wycedził Leo.

Powoli wyjmowała kukielki z zabezpieczającej je folii. Miały mniej więcej siedemdziesiąt centymetrów długości, ruchome oczy i usta i odczepiane nogi. Sięgnęła po Petera. Wsunęła mu rękę pod koszulkę.

Jakaś ty piękna, moja słodka Dilly – oznajmił swoim najbardziej męskim głosem. – Istna kobieta moich marzeń.

A ty jesteś moim księciem z bajki – westchnęła Dilly. – Taki dzielny, nieustraszony...

Chyba w wyobraźni Annie – rzuciła Scamp z nietypowym dla niej jadem. – Bo w rzeczywistości jesteś do niczego, jak wszyscy jej byli.

Przecież było ich tylko dwóch, Scamp – upomniała przyjaciółkę Dilly. – I doprawdy, nie powinnaś wylewać na Petera całej swojej niechęci do mężczyzn. Domyślam się, że nie miałaś takiego zamiaru, ale to mi zaczyna wyglądać na przemoc, a wiesz, co sądzimy na ten temat.

Anie specjalizowała się w przedstawieniach z przesłaniem i często była to krytyka zbędnej przemocy, czy to fizycznej, czy słownej. Odłożyła Petera i przesunęła Leo, który szeptał w jej głowie, oczywiście cedząc przeciągle:

Nadal się mnie boisz.

Czasami wydawało się, że kukielki żyją własnym życiem.

Otuliła się szczelnie fioletową peleryną i podeszła do wykuszowego okna. Burza uspokoiła się, przez małe szybki do środka zaglądał księżyc. Omiotła wzrokiem posępny zimowy krajobraz – atramentowe cienie jodeł, ponurą pustynię wydm. A potem uniosła głowę.

Dom Harpów górował nad okolicą, stał dumnie na szczycie nagiego urwiska. Mdle światło księżycyca oświetlało jego spadziste dachy i strzelistą wieżyczkę. Dom spowijały ciemności, nie licząc pojedynczego światełka w oknie wieży. Ten widok przywodził na myśl okładki staroświeckich powieści gotyckich, które do dzisiaj czasami znajdowała w antykwariatach. Nie musiała nawet wysilać wyobraźni, by widzieć bosą bohaterkę, która w półprzezroczystej koszuli nocnej ucieka z upiornego domu, a światło w wieży miga złowrogo. Te książki były niewinne w porównaniu z dzisiejszymi nienasyconymi seksualnie wampirami, wilkołakami i zmiennokształtnymi, ale zawsze je kochała. Były pożywką dla jej fantazji.

Nad stromymi dachami domu Harpów księżyc skrył się za chmurami, kłębiącymi się niespokojnie, mknącymi jak tamten koń z jeźdźcem na grzbiecie. Annie pokryła się gęsią skórą, nie z zimna, z emocji. Odwróciła się od okna i spojrzała na Leo.

Ciężkie, opadające powieki... wąskie, złośliwie wykrzywione usta... Wypisz, wymaluj czarny charakter. Zaoszczędziłaby sobie wiele bólu, gdyby nie owijała romantyczną otoczką posępnych mężczyzn, w których się zakochiwała. W jej wyobraźni byli bohaterami bez skazy, a tymczasem jeden okazał się oszustem, a drugi cholernym egoistą. Ale Leo to co innego. Stworzyła go sama, z płótna i włóczki. Panowała nad nim.

Tak ci się tylko wydaje – wyszeptał.

Zadrzała i wróciła do sypialni, ale kiedy wślizgiwała się pod koce, cały czas miała przed oczami posępny dom na wzgórzu.

„Śniło mi się tej nocy, że znowu byłam w Manderley”.^[1]

Kiedy obudziła się następnego ranka, nie czuła głodu, ale zmusiła się do przełknięcia zwietrzałych płatków śniadaniowych. W domku było lodowato, na dworze pochmurno i najchętniej wróciłaby pod kołdrę, ale zdawała sobie sprawę, że nie przeżyje tu bez bieżącej wody i ogrzewania, a im więcej myślała o nieobecnych dozorcach, tym większy ogarniał ją gniew. Wygrzebała jedyny numer telefoniczny, jaki miała – do lokalnego połączenia ratusza, poczty i biblioteki, ale choć jej telefon był w pełni naładowany, nie miała sygnału. Osunęła się na kanapę obitą różowym pluszem i ukryła twarz w dłoniach. Będzie musiała udać się do Willa Shawa osobiście, a to oznaczało wędrowkę do domu Harpów. Do miejsca, w którym, jak przysięgała, jej noga więcej nie postanie.

Założyła na siebie tyle warstw ubrań, ile tylko zdołała, otuliła się czerwoną peleryną matki i zawiązała pod szyją wiekowy szal od Hermesa. Zebrała w sobie resztki energii i wyruszyła w drogę. Dom był równie beznadziejny jak jej przyszłość, słone powietrze lodowate, a odległość między jej małym domkiem a

domostwem na wzgórzu – pozornie nie do przejścia.

Zaniosę cię na rękach – zaoferował Peter.

Scamp pokazała mu język.

Była pora odpływu, ale oblodzone skały przy brzegu były zbyt niebezpieczne, by ryzykować spacer o tej porze roku, musiała więc iść okrężną drogą dookoła słonego rozlewiska. Jednak nie tylko odległość napawała ją lękiem.

Dilly usiłowała dodać jej otuchy.

Minęło osiemnaście lat, odkąd wtedy szłaś do domu Harpów. Duchów już dawno tam nie ma.

Annie zakryła skrajem peleryny usta i nos.

Nie obawiaj się, czuwam nad tobą – zapewnił Peter.

Peter i Dilly robili to, co do nich należało. To oni pomagali Scamp wyplątać się z tarapatów i wkraczali do akcji, gdy Leo się nad kimś znęcał. To oni wygłaszali pogadanki o tym, jak niedobre są narkotyki, że trzeba jeść warzywa, szorować zęby i nikomu nie pozwalając na zły dotyk.

Chociaż to wszystko jest takie fajne – wycedził Leo i roześmiał się złośliwie.

Czasami żałowała, że go w ogóle stworzyła, ale z drugiej strony był doskonałym czarnym charakterem. Był szkolnym łobuzem, handlarzem narkotyków, sprzedawcą śmieciowego jedzenia, nieznanym, który zaczepia dzieci na placu zabaw:

Chodźcie ze mną, maluchy, a dostaniecie tyle słodczy, ile tylko zechcecie.

Daj już spokój, Annie – mruknęła Dilly. – Przecież nikt z rodziny nie przyjeżdża tu w zimie. O tej porze roku jest tu tylko dozorca.

Leo nie dawał jej spokoju.

Mam M&M-sy, twiksy, snickersy, ptasie mleczko... i pamiętam o wszystkim, co ci nie wyszło. Jak tam kariera aktorska?

Wtuliła głowę w ramiona. Powinna zacząć medytować albo uprawiać jogę, zrobić coś, dzięki czemu nauczy się panować nad umysłem, zamiast pozwalać mu chodzić własnymi drogami i zapuszczać się, gdziekolwiek zapragnie – lub nie. No i co z tego, że z marzeń o deskach sceny nic nie wyszło. Dzieciaki uwielbiają jej pokazy kukielkowe.

Śnieg chrząścił pod jej stopami. Z zamrożonego rozlewiska sterczały suche badyle trzciny. Latem rozlewisko tętniło życiem, ale teraz było martwe, szare i puste, jak jej życie.

Po raz kolejny zatrzymała się na odpoczynek u stóp świeżo odśnieżonego podjazdu, prowadzącego aż do domu Harpów. Skoro Shaw ma pług, zdoła wyciągnąć z zasy jej samochód. Zmusiła się, by iść dalej. Zanim dopadło ją zapalenie płuc, bez trudu wbiegłaby na to wzgórze, teraz jednak dyszała ciężko i czuła, jak płonie na całym ciele. Z tej wysokości jej domek wyglądał jak

zapomniana zabawka, porzucona na pastwę morza na poszarpanej linii brzegowej. Z trudem zaczerpnęła powietrza w obolałe płuca i zmusiła się, by podnieść głowę.

Dom Harpów górował nad nią, odcinał się wyraźnie na tle ołowianego nieba. Wczepiony w granitową skałę, chłostany letnimi szkwałami i zimowymi śnieżycami, rzucał wyzwanie żywiołom. Inne domy letniskowe znajdowały się na spokojniejszej, bardziej osłoniętej wschodniej stronie wyspy, ale dom Harpów gardził tchórzostwem. Trwał dumnie na skalistym zachodnim wybrzeżu, wysoko nad morzem – potężna, brązowa forteca ze złowrogą wieżyczką w jednym skrzydle.

Wszystko w tym budynku było ostre, surowe: spadziste dachy, ocienione okna, ponure rzygacze. Kiedy przyjechała tu tamtego lata, gdy jej matka poślubiła Elliotta Harpa, zakochała się w tym gotyckim mroku. Wyobrażała sobie siebie^[2] w mysiej, szarej sukience, z wypłowiałą torbą podróżną – szlachetnie urodzona, ale bez grosza przy duszy, zmuszona przyjąć posadę guwernantki. Z dumnie uniesioną głową i wypiętą piersią stawia czoło opryskliwemu (ale zabójczo przystojnemu) panu tego domu z taką odwagą, że ten w końcu kompletnie traci dla niej głowę. Biorą ślub, a potem na nowo urządzą cały dom.

Niedługo trwało, zanim romantyczne marzenia piętnastolatki, która za dużo czytała i za mało przeżyła, boleśnie zderzyły się z rzeczywistością.

Teraz basen przywodził na myśl upiorną, pustą paszczę. Proste drewniane schodki prowadzące dawniej do wody zastąpiły kamienne stopnie, których strzegły gargulce.

Minęła stajnię i byle jak odśnieżoną ścieżką podeszła do drzwi kuchennych. Lepiej, żeby Shaw był w domu, a nie uganiał się po wyspie na jednym z wierzchowców Elliotta Harpa. Nacisnęła dzwonek, ale nie słyszała go w środku – dom był na to zbyt wielki. Odczekała chwilę, zadzwoniła ponownie – nic. Spojrzała na wycieraczkę – wyglądała, jakby ktoś z niej niedawno korzystał. Zapukała energicznie.

Drzwi uchylły się.

Było jej tak zimno, że bez chwili wahania weszła do sieni. Na wieszakach wisały różne sztuki odzieży, a także mopy i szczotki. Skręciła w stronę, o ile jej pamięć nie myliła, kuchni, i zatrzymała się w pół kroku.

Wszystko było inaczej. W kuchni nie było już orzechowych kredensów i sprzętów ze stali nierdzewnej, które pamiętała sprzed osiemnastu lat. Teraz wyglądała, jakby cofnęła się w czasie do dziewiętnastego wieku.

Zniknęła ściana, dzieląca dawniej kuchnię i pokój śniadaniowy, więc pomieszczenie było dwukrotnie większe. Wysokie, poziome okna zalewały je światłem, ale ponieważ znajdowały się na wysokości dwóch metrów, mało kto mógłby przez nie wyjrzeć. Górną część ścian pokrywała surowa zaprawa; dolną

oklejono kremowymi kafelkami, z których część popękała ze starości, na innych widziała poobijane krawędzie. Podłogę stanowił zimny kamień, kominek to przepastne palenisko, w którym bez trudu można by upiec całego dzika... albo nieszczęśnika, który miał pecha i dał się przyłapać na kłusowaniu w lesie swego pana.

Kamienne garnki i misy stały nie w kredensach, lecz na półkach z surowego drewna, wysokie szafki otaczały jedynie potężny czarny piec. W kamiennym wiejskim zlewie piętrzyły się brudne naczynia. Miedziane rondle i patelnie – nie nowe i wypolerowane, lecz poobijane i zniszczone – wisiały nad długim drewnianym blatem, stworzonym do tego, by ucinąć na nim kurze łby, tłuc baranie kotlety i szykować smakołyki dla jego lordowskiej mości.

Kuchnię najwyraźniej wyremontowano, ale ten remont cofał czas o dwieście lat. Dlaczego?

Uciekaj! – syknęła Crumpet. – Coś tu jest nie tak!

Ilekrót Crumpet wpadała w panikę, Annie czekała na głos rozsądku w postaci Dilly, ta jednak milczała. Nawet Scamp, ze swoją niewyparzoną buzią, nie wiedziała, co powiedzieć.

– Panie Shaw? – W jej głosie zabrakło typowej siły przekonywania.

Zero odpowiedzi. Weszła dalej, znacząc podłogę mokrymi śladami, ale nie miała zamiaru zdejmować butów. Jeśli będzie musiała uciekać, nie chciała robić tego w samych skarpetkach.

– Will?

Cisza.

Minęła spiżarnię, pokonała krótki ciemny korytarzyk, obeszła jadalnię i weszła do holu. Mdle światło z trudem przebijało się przez okienko nad drzwiami. Imponujące mahoniowe schody nadal prowadziły na półpiętro, ozdobione ponurym witrażem, ale teraz pokrywał je ponury brązowy chodnik, a nie kolorowy bieżnik, jak przed laty. Na meblach widniała warstwa kurzu, w kącie dostrzegła pajęczynę. Ściany pokrywała ciemna boazeria; obrazy marynistyczne ustąpiły miejsca portretom bogaczy w dziewiętnastowiecznych strojach, choć żaden z nich w niczym nie przypominał przodków Elliotta Harpa – irlandzkich chłopów. Brakowało jeszcze tylko rycerskiej zbroi i wypchanego kruka, żeby dopełnić obrazu przytłaczającego wnętrza.

Usłyszała kroki na piętrze i podeszła do schodów.

– Panie Shaw? To ja, Annie Hewitt. Drzwi były otwarte, więc pozwoliłam sobie wejść do środka. – Podniosła głowę. – Potrzebuję... – Słowa utknęły jej w gardle.

U szczytu schodów stał pan tego domu.

Rozdział 2

Schodził powoli. Wyglądał jak bohater gotyckiej powieści grozy: perłowszara kamizelka, biały żabot pod szyją, ciemne spodnie niknące w cholewkach wysokich butów do jazdy konnej. Z jego dłoni niedbale zwisał staroświecki pistolet do pojedynków.

Poczuła, jak wzdłuż jej pleców wędruje lodowaty palec strachu. Przez chwilę zastanawiała się, czy przypadkiem nie wróciła jej gorączka – albo może jej wyobraźnia wreszcie posunęła się o krok za daleko i ostatecznie straciła kontakt z rzeczywistością. Ale nie, wyobraźnia nie płatała jej figli. To on, aż za bardzo prawdziwy.

Z najwyższym trudem oderwała wzrok od pistoletu, butów i kamizelki i spojrzała na jego twarz.

W ponurym, szarym świetle jego włosy wydawały się kruczoczarne, oczy władczo niebieskie. Na twarzy o ostrych rysach nie było uśmiechu. Był uosobieniem dziewiętnastowiecznej wyniosłości. Nie wiedziała, dygnąć, uciekać czy powiedzieć, że jednak nie, nie jest zainteresowana posadą guwernantki.

Zszedł na parter i wtedy to zobaczyła. Jasną bliznę nad łukiem brwiowym. Pamiątkę po niej.

Theo Harp.

Minęło osiemnaście lat, odkąd widziała go po raz ostatni. Osiemnaście lat, podczas których usiłowała zapomnieć o tamtym koszmarnym lecie.

Uciekaj! Uciekaj co sił w nogach! – Tym razem to nie Crumpet usłyszała w głowie, lecz rozsądną, praktyczną Dilly.

I kogoś jeszcze...

– A więc to tak... w końcu się spotykamy. – W głosie Leo nie było zwykłego znużenia i złości; zastąpił je podziw.

Surowa, zimna uroda Theo Harpa pasowała doskonale do gotyckiego wnętrza. Był wysoki, szczupły i elegancko dekadentki. Biały żabot podkreśla ciemną karnację, którą odziedziczył po matce z Andaluzji; nastoletnia chudość była tylko wspomnieniem, natomiast nadal otaczała go aura bogactwa, typowa dla ludzi urodzonych w dostatku. Mierzył ją chłodnym wzrokiem.

– Czego chcesz?

Przedstawiła się, więc wiedział dokładnie, z kim ma do czynienia, ale zachowywał się tak, jakby w jego domu zjawił się nieznajomy.

– Szukam Willa Shawa – odparła, wściekła na siebie za lekkie drżenie głosu.

Jego stopy dotknęły marmurowej posadzki, inkrustowanej płytkami z czarnego onyksu w kształcie rombów.

- Shaw już tu nie pracuje.
- W takim razie kto dogląda domku?
- O to musiałabyś zapytać mojego ojca.

Jasne, jakby Annie mogła ot, tak, zadzwonić do Elliotta Harpa, który zimy spędza na południu Francji, w towarzystwie trzeciej żony, kobiety całkiem innej niż Mariah. Barwna osobowość jej matki i jej ekscentryczny, androginiczny styl – spodnie rurki, białe męskie koszule, kolorowe szale – przyciągały do niej kochanków, a także Elliotta Harpa. Ślub z Mariah był w jego wypadku buntem wieku średniego, ucieczką przed ultrakonserwatywnym stylem życia. Mariah z kolei dostała poczucie bezpieczeństwa, którego nigdy wcześniej nie zaznała. Ich związek od samego początku był skazany na porażkę.

- Annie poruszyła się niespokojnie, ale powtarzała sobie, że nie da się zastraszyć.
- Wiesz może, gdzie znajdę pana Shawa?

Jego ramiona uniosły się minimalnie, jakby był zbyt znudzony, by marnować energię na porządne wzruszenie nimi.

- Nie mam pojęcia.

Ciszę przerwał dzwonek bardzo nowoczesnego telefonu komórkowego. Nie zauważyła do tej pory, że w drugiej dłoni miał czarny smartfon, w tej bez pistoletu. Kiedy patrzył na wyświetlacz, uświadomiła sobie, że to jego widziała poprzedniej nocy na końskim grzbiecie, gdy galopował, nie przejmując się stanem biednego zwierzęcia. No tak, ale Theo Harp miał już w swoim życiu mroczne epizody, podczas których dowiódł, jak bardzo mu nie zależy na cudzym życiu, czy to ludzkim, czy zwierzęcym.

Wróciły mdłości. Wpatrywała się w pajaka przemierzającego marmurową posadzkę. Theo odrzucił połączenie. Przez otwarte drzwi za jego plecami, te do biblioteki, dostrzegła potężne biurko Elliotta Harpa. Wyglądało na nieużywane. Nie dostrzegła kubków po kawie, notesów, porozkładanych książek. Nawet jeśli Theo Harp pracował nad kolejną książką, nie robił tego tutaj.

- Słyszałem o twojej matce – odezwał się.

Nie: przykro mi z powodu twojej matki. Ale z drugiej strony wiedział, jak Mariah traktowała córkę.

– Wyprostuj się, Antoinette. Patrz rozmówcy prosto w oczy, inaczej nikt nie będzie cię szanował. – I, co gorsza: – Oddaj mi tę książkę. Nie będziesz więcej marnowała na to czasu! Masz czytać to, co ja ci daję.

A Annie nienawidziła podsuwanych przez matkę powieści. Inni być może pokochaliby Melville'a, Prousta, Joyce'a i Tolstoja, ale Annie marzyły się powieści z dzielnymi bohaterkami, stawiającymi czoło przeciwnościom losu, a nie

rzucającymi się pod pociąg.

Theo Harp musnął telefon opuszką palca, nie wypuszczając pistoletu z drugiej strony, i przyglądał się jej kreacji à la bezdomna: czerwona peleryna, stara chustka na głowie, znoszone brązowe, zamszowe buty. Znalazła się w koszmarze sennym. Pistolet? Jego dziwaczny strój? Dlaczego dom wygląda, jakby czas cofnął się o dwieście lat?

– To nie są zwykłe dziecięce żarty – tłumaczyła Elliottowi jej matka, wówczas jego żona. – Słuchaj, z twoim synem coś jest naprawdę nie tak.

W tej chwili Annie zrozumiała to, co tamtego lata nie było dla niej tak oczywiste. Theo Harp jest chory psychicznie. To psychopata. Te wszystkie kłamstwa, manipulacje, okrutne gierki... Zdarzenia, które jego ojciec zbywał jako szczeniackie psoty, wcale nimi nie były.

Jej żołądek nie chciał się uspokoić. Była na siebie wściekła, że tak bardzo się boi. Theo przełożył pistolet z lewej ręki do prawej.

– Annie, nie przychodź tu więcej.

I znowu był górą. Bardzo jej się to nie podobało.

Nie wiadomo skąd do holu dotarł upiorny jęk. Odwróciła się gwałtownie, chcąc namierzyć jego źródło.

– Co to było?

Wróciła do niego wzrokiem i zobaczyła zaskoczenie na jego twarzy. Szybko jednak wziął się w garść.

– To stary dom.

– Nie brzmiało mi to jak odgłos starego domu.

– To już nie twoja sprawa.

Miał rację. To już nie jej sprawy, ani ten dom, ani on. Zbierała się do wyjścia, ale po kilku krokach dźwięk się powtórzył; tym razem było to miękkie westchnienie, jeszcze bardziej przerażające niż poprzednio. I dobiegło z innej strony. Wróciła wzrokiem do Theo. Mars na jego czole pogłębił się. Sztywno wyprostował ramiona.

– Żona-wariatka zamknięta na poddaszu? – wykrztusiła.

– Wiatr – odparł, jakby prowokując ją, by mu zaprzeczyła.

Zacisnęła dłoń na miękkiej, wełnianej pelerynie matki.

– Na twoim miejscu nie gasiłabym świateł.

Szła przez hol z dumnie uniesioną głową; minęła krótki korytarzyk, ale gdy dotarła do kuchni, zatrzymała się i ciaśniej otuliła peleryną. Spojrzała na kosz na śmieci w rogu. Opakowanie po mrożonych gofrach, torebka po krakersach i butelka po keczupie. Theo Harp zwariował, ale nie w nieszkodliwy, przyjemny sposób, jak staruszek, który opowiada kiepskie dowcipy, tylko jak ktoś, kto trzyma w piwnicy zwłoki swoich ofiar. Kiedy tym razem wychodziła na dwór, nie

tylko zimno przyprawiło ją o dreszcz. Także rozpacz.

Wyprostowała się gwałtownie. Telefon.... W domu musi być zasięg, więc może jest i tutaj? Wyjęła swoją przedpotopową komórkę z torebki, znalazła osłonięte przed wiatrem miejsce koło pustej altany, włączyła aparat. Tak jest, miała zasięg. Drżącymi palcami wybrała numer do szumnie zwanego ratusza.

Odebrała kobieta, która przedstawiła się jako Barbara Rose.

– Will Shaw opuścił wyspę w zeszłym miesiącu, z całą rodziną – poinformowała.
– Kilka dni przed przyjazdem Theo Harpa.

Annie zrobiło się słabo.

– Wielu młodych tak dzisiaj robi – ciągnęła Barbara. – Wyjeżdżają. Od kilku lat połowy idą kiepsko.

To przynajmniej tłumaczyło, dlaczego nie odpowiedział na maila. Annie zwilżyła usta językiem.

– Chciałam w takim razie zapytać...bo mam pewien problem... – wyjaśniła krótko sprawę z samochodem i przyznała, że nie umie uruchomić generatora i pieca. – Ile by mnie to kosztowało?

– Przyślę męża, kiedy tylko wróci – odparła Barbara. – Tu, na wyspie, w ten sposób załatwiamy takie sprawy. Pomagamy sobie wzajemnie. Myślę, że będzie za jakąś godzinę.

– Naprawdę? Będę bardzo... to bardzo miłe. – Annie usłyszała ciche rżenie ze stajni. Tamtego lata, gdy tu mieszkała, budynek był szary, teraz pomalowano go na ponury brąz, tak samo jak altanę. Spojrzała na dom.

– Bardzo nam wszystkim przykro z powodu twojej matki – dodała Barbara. – Będzie nam jej tu brakowało. Sprowadzała na wyspę kulturę. I sławnych ludzi.

– Dziękuję. – W pierwszej chwili Annie myślała, że to gra świateł. Zamrugowała szybko. A jednak nie. Z okna na piętrze patrzyła na nią owalna twarz.

– Booker wyciągnie twój samochód z zasy i pokaże ci, jak uruchomić piec i generator. – Barbara umilkła na chwilę. – Widziałas już Theo Harpa?

Twarz zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Annie była zbyt daleko, by dokładnie widzieć rysy, ale na pewno nie był to Theo. Kobieta? Dziecko? Chora psychicznie żona, którą trzyma pod kluczem?

– Przez chwilę. – Annie wpatrywała się w puste okno. – Przywiózł kogoś ze sobą?

– Nie, przyjechał sam. Pewnie nie słyszałaś, że jego żona zmarła w zeszłym roku.

Czyżby? Annie oderwała wzrok od okna, zanim na dobre poniosła ją bujna wyobraźnia. Podziękowała Barbarze za pomoc i ruszyła w drogę powrotną do Domku Żeglarzy.

Mimo zimna, bólu w płucach i upiornej twarzy w oknie, jej humor poprawił się

odrobinę. Wkrótce odzyska samochód, a w domu zapanuje ciepło. I będzie miała prąd. Wtedy na dobre zabierze się za szukanie tego, co zostawiła jej Mariah. Domek jest malutki. Chyba nietrudno będzie to znaleźć.

Po raz kolejny pożałowała, że nie może po prostu sprzedać domku, ale wszystko, co łączyło się z Mariah i Elliottem Harpem, było tak bardzo skomplikowane. Zatrzymała się na chwilę odpoczynku. Dziadek Elliotta zbudował dom Harpów na początku XX wieku, a Elliott dokupił sąsiednią posiadłość, na której był Domek Żeglarzy. Nie wiadomo dlaczego Mariah zakochała się w małym domku i podczas rozvodu zażądała od Elliotta właśnie tego. Początkowo odmówił, ale zanim ostatecznie podpisali dokumenty rozwodowe, doszli do porozumienia. Mariah mogła zatrzymać domek pod warunkiem, że co roku będzie w nim mieszkała przez sześćdziesiąt dni z rzędu; w innym wypadku posiadłość wraca w posiadanie Harpów. Bez żadnych przerw i nieudanych prób; jeśli odpłynie z wyspy przed upływem sześćdziesięciu dni, nie może zacząć ponownie.

Mariah była stworzona do życia w mieście i Elliott myślał, że ją przechytrzył – przecież jeśli wyjedzie z wyspy podczas ustalonych dwóch miesięcy na choćby jedną noc, przegrała. Jednak, ku jego zdumieniu, taki układ bardzo jej odpowiadał. Nadal kochała wyspę, choć już nie Elliotta, a skoro nie mogła jeździć z wizytą do znajomych, oni przyjeżdżali do niej. Byli wśród nich znani artyści i młodzi twórcy, którym chciała pomóc w karierze. Wszyscy z radością przyjmowali propozycję pobytu w miejscu, gdzie będą mogli w spokoju tworzyć. Mariah dbała o nich o wiele bardziej niż o rodzoną córkę.

Annie ciasniej otuliła się peleryną i ruszyła w dalszą drogę. Odziedziczyła domek na tych samych warunkach co matka – sześćdziesiąt dni na miejscu, inaczej posiadłość wraca w ręce rodziny Harpów. W przeciwieństwie do matki jednak, Annie nie znosiła tej wyspy. Niestety, obecnie nie miała dokąd pójść, nie licząc pogryzionego przez mole materaca na zapleczu kafejki, w której pracowała. Choroba matki, a potem jej zapalenie płuc oznaczały, że nie mogła pracować, a nie miała ani siły, ani pieniędzy, by szukać sobie innego mieszkania.

Kiedy doszła do słonych mokradeł, teraz zamarzniętych, nogi się pod nią uginały. Poprawiała sobie humor, ćwicząc różne wersje przeraźliwych jęków. Mało brakowało, a roześmiałyby się w głos. Może aktorka z niej kiepska, ale za to brzuchołowczyni jak się patrzy.

A Theo Harp nie miał o tym zielonego pojęcia.

Drugiego ranka na wyspie Annie miała już bieżącą wodę, prąd i domek chłodny, ale nadający się do zamieszkania. Booker, gadatliwy mąż Barbary Rose, zdradził, że powrót Theo Harpa był na wyspie nie lada sensacją.

– Straszna sprawa z tą jego żoną – stwierdził po tym, jak pokazał Annie, jak nie doprowadzić do tego, żeby rury zamarzły, jak włączać generator i oszczędzać propan. – Wszystkim nam bardzo go szkoda. Dziwadło z niego, ale często przyjeżdżał tu na lato. Czytałaś jego książkę?

Nie miała ochoty się do tego przyznawać, więc tylko wzruszyła ramionami.

– Moja żona miała po niej gorsze koszmary niż po Stephenie Kingu – powiedział Booker. – Nie pojmuję, skąd on bierze te pomysły.

Sanatorium to przerażająco mroczna powieść o szpitalu dla psychicznie chorych przestępców, w którym znajdowała się sala, ekspediująca tych, którzy się w niej znaleźli, zwłaszcza wielbicieli tortur – w przeszłość. Annie bardzo się to nie podobało. Theo miał do dyspozycji fundusz powierniczy po babce, więc nie musiał pisaniem zarabiać na życie, i według Annie to tylko pogarszało fakt, że napisał coś tak ohydneho, nawet jeśli powieść okazała się bestsellerem. Podobno obecnie pracował nad drugą częścią. Cóż, tego już na pewno nie przeczyta.

Kiedy Booker wyszedł, Annie wypakowała zakupy przywiezione ze stałego lądu, sprawdziła, czy wszystkie okna są szczelnie pozamykane, zablokowała drzwi wejściowe stolikiem z kutego żelaza i przespala dwanaście godzin. Jak zwykle obudził ją atak kaszlu i zaraz zjawily się myśli o pieniądzach. Tonęła w długach i miała tego po dziurki w nosie. Leżała pod kołdrą ze wzrokiem wbitym w sufit i usiłowała znaleźć wyjście z tej sytuacji.

Po tym, jak stwierdzono chorobę Mariah, matka po raz pierwszy w życiu potrzebowała jej wsparcia, więc Annie była u jej boku; rzuciła nawet pracę, kiedy doszło do tego, że Mariah nie mogła przebywać sama.

– Jakim cudem wychowałam takie nieśmiałe dziecko? – mawiała jej matka. Ale koniec końców to Mariah dopadł strach, to ona czepiała się ręki Annie i błagała córkę, żeby nie zostawiała jej samej.

Annie poświęciła skromne oszczędności, by opłacić czynsz za ukochany apartament matki na Manhattanie, żeby Mariah nie musiała się wyprowadzać, a potem po raz pierwszy w życiu zdała się na karty kredytowe. Kupowała ziołowe leki, po których Mariah zaklinała się, że jej lepiej, książki, które zaspokajały jej potrzebę sztuki, smakołyki, dzięki którym nie chudła aż tak bardzo.

Mariah była tym wdzięczniejsza, im bardziej brakowało jej sił.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. – Te słowa były jak balsam dla duszy małej dziewczynki, która nadal mieszkała w Annie, dziewczynki, która do tej pory czekała na aprobatę z ust wiecznie krytycznej matki.

Być może Annie nie wpadłaby w finansowe tarapaty, gdyby nie postanowiła spełnić marzenia matki i zabrać ją w ostatnią, pożegnalną podróż do Londynu. Znowu sięgnęła po karty kredytowe, by przez tydzień obwozić Mariah, już na wózku inwalidzkim, po londyńskich galeriach i muzeach, które matka kochała

najbardziej na świecie. Nigdy nie zapomni chwili w galerii Tate Modern. Zatrzymały się wtedy przed wielkim szaro-czerwonym płótnem malarza Nivena Garra. Mariah przycisnęła wtedy usta do jej dłoni i wyszeptała słowa, na które Annie czekała całe życie:

– Kocham cię.

Annie z trudem zwlekła się z łóżka i przez cały ranek buszowała w pięciu pomieszczeniach składających się na domek. Były to: salonik, kuchnia, łazienka, sypialnia Mariah i atelier, służące także jako pokój gościnny. Artyści, którzy tu przyjeżdżali, żeby pracować, często zostawiali Mariah małe obrazy i rzeźby, z których najcenniejsze matka sprzedała już dawno temu. Pytanie, co zostawiła? Co ukryła?

W oczy rzucało się jednocześnie wszystko i nic. Wściekle różowa wiktoriańska sofa i futurystyczne lila krzesło, tajska bogini wyrzeźbiona w kamieniu, ptasie czaszki, wielki na całą ścianę obraz przedstawiający drzewo do góry nogami. Eklektyczną mieszaninę przedmiotów i stylów łączyło niezawodne wyczucie koloru jej matki – waniliowe ściany i obicia mebli w bladym błękitcie, zieleni i brązie. Element kontrastowy stanowił wściekły róż kanapy i paskudny gipsowy fotel w kształcie syreny, pomalowany odblaskową farbą.

Sącząc drugą filiżankę kawy, postanowiła, że musi zabrać się do sprawy bardziej systematycznie. Zaczęła od saloniku, spisując każdy przedmiot w specjalnym notesie. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby Mariah powiedziała, czego ma szukać. Albo gdyby mogła sprzedać domek.

Crumpet naburmuszyła się.

Przecież nie musiałaś zabierać matki do Londynu. Zamiast tego mogłabyś mi kupić nową suknię. I diadem.

Postąpiłaś słusznie – zapewnił Peter, jak zwykle służący wsparciem. – Mariah nie była złym człowiekiem, tylko złą matką.

Dilly mówiła spokojnie, jak zawsze, co jednak nie łagodziło bolesnego wydzwięku jej słów:

Zrobiłaś to dla niej... czy dla siebie?

Leo cedził jak zwykle:

Wszystko, żeby zdobyć miłość mamusi, co, Antoinette?

Na tym polegał problem z jej kukielkami... często mówiły prawdę, z którą sama nie chciała się zmierzyć.

Zerknęła w okno i zobaczyła, że w oddali coś się porusza. Koń z jeźdźcem na grzbiecie. Odcinali się ciemną plamą od bieli i szarości, mknęli przez zimowy krajobraz, jakby goniły ich wszystkie demony piekła.

Po kolejnym dniu kaszlu, drzemek i bezmyślnego szkicowania zabawnych dzieciaków, żeby poprawić sobie humor, nie mogła dłużej ignorować kwestii nieczynnej komórki. Opady śniegu w nocy sprawiły, że droga, i tak niebezpieczna i trudna, okazała się nieprzejezdna, a to oznaczało kolejną wspinaczkę na wzgórze w poszukiwaniu zasięgu. Teraz jednak będzie trzymała się z daleka od domu.

W puchowej kurtce była lepiej przygotowana na tę wyprawę niż poprzednio. Choć nadal było zimno, chwilami zza chmur wyglądało słońce i wtedy świeży śnieg mienił się jak posypany brokatem. Miała jednak zbyt wiele problemów na głowie, by zachwycać się widokami. Potrzebowała nie tylko zasięgu, przydałby się także dostęp do Internetu. Nie chcąc, żeby marszand ją oszukał, musiała sprawdzić, ile mniej więcej są warte przedmioty w domu, a jak to zrobić bez dostępu do sieci? W domku nie było wifi. W hotelu i pensjonatach był, owszem, ale w lecie, gdy lokale czekały na turystów. Zresztą nawet gdyby zdobyła się na wyprawę do miasteczka, nie wyobrażała sobie, jak puka do drzwi obcych ludzi i prosi, żeby pozwolili jej skorzystać z sieci.

Mimo ciepłej puchowej kurtki, czerwonej wełnianej czapki, którą naciągnęła na niesforne włosy i szalika, którym zakryła usta i nos, żeby chronić drogi oddechowe, dygotała z zimna, zanim dotarła na szczyt wzgórza. Zerknęła w stronę domu, upewniła się, że nigdzie nie widać śladów Theo, schowała się za altanką i zaczęła dzwonić – do szkoły podstawowej w New Jersey, która jeszcze jej nie zapłaciła za ostatni występ, do komisju, w którym usiłowała sprzedać ostatnie wartościowe meble z mieszkania matki. Jej własne nie nadawały się do niczego, więc po prostu wystawiła je na śmietnik. Miała już po dziurki w nosie martwienia się o pieniądze.

Ja zapłacę wszystkie rachunki – zaoferował Peter. – Uratuję cię.

Jej uwagę zwrócił jakiś dźwięk. Rozejrzała się dokoła i zobaczyła małą dziewczynkę pod gałęziami wielkiego świerka. Wyglądała na jakieś trzy, cztery latka, była więc za mała, by sama przebywać na dworze. Miała na sobie różową kurtkę i fioletowe sztruksy – ale była bez rękawiczek, ciepłych butów, bez czapki na prostych brązowych włosach.

Annie przypomniała sobie twarz w oknie. To zapewne dziecko Theo.

Przeraziła ją myśl, że Theo jest ojcem. Biedna mała. Była za lekko ubrana i chyba nikt jej nie pilnował. A zważywszy na to, co Annie wiedziała o przeszłości Theo, to tylko najmniej istotne z jego rodzicielskich grzechów.

Dziewczynka zorientowała się, że Annie ją widzi, i wbiła się głębiej w gałęzie świerka. Annie kucnęła.

– Cześć. Nie chciałam cię przestraszyć. Przyszłam tu, żeby zadzwonić.

Dziewczynka patrzyła na nią w milczeniu, ale Annie nie raz i nie dwa miała do

czynienia z nieśmiałymi maluchami.

– Jestem Annie. Właściwie mam na imię Antoinette, ale nikt tak do mnie nie mówi. A ty?

Cisza.

– Jesteś śnieżnym duszkiem? A może zajączkiem?

– Już wiem. Jesteś wiewiórką. Ale nie widzę tu orzeszków. Może jesteś taką wiewiórką, która je ciasteczka?

Zazwyczaj nawet najbardziej nieśmiałe dziecko reagowało na takie żarty, ale nie ta mała. Nie była głucha – Annie widziała, jak odwróciła głowę w kierunku, z którego dobiegał ptasi świergot – ale patrząc w jej wielkie, poważne oczy, Annie wyczuła, że coś jest nie tak.

– Livia... – Kobiety głos, stłumiony, jakby nie chciała, by ktoś w domu ją usłyszał. – Livia, gdzie jesteś? Wracaj tutaj!

Ciekawość wzięła górę. Annie wyszła z za altany.

Kobieta okazała się ładną blondynką o okrągłościach, których nie ukrywały nawet dzinsy i luźna bluzka. Niezdarnie opierała się na kulach.

– Livia!

Było w niej coś znajomego. Annie wyszła z mroku.

– Jaycie?

Kobieta zachwiała się na kulach.

– Annie?

Jaycie Mills i jej ojciec mieszkali w Domku Żeglarzy, zanim Elliott kupił posiadłość. Annie co prawda nie widziała jej od lat, ale nie zapomina się osoby, która uratowała ci życie.

Różowa błyskawica – Livia – przemknęła koło niej, biegnąc do drzwi kuchennych, migając czerwonymi bucikami oblepionymi śniegiem. Jaycie zachwiała się na kulach.

– Livio, nie pozwoliłam ci wychodzić na dwór. – Cały czas mówiła tym dziwnym ni to szeptem, ni sykiem. – Już o tym rozmawialiśmy.

Livia podniosła na nią wzrok. Cały czas milczała.

– Idź do domu i zdejmij buty.

Livia zniknęła. Jaycie spojrzała na Annie.

– Słyszałam, że wróciłaś na wyspę, ale nie spodziewałam się, że cię tutaj zobaczę.

Annie podeszła bliżej, jednak nie wyszła spomiędzy drzew.

– W domku nie mam zasięgu, a musiałam wykonać kilka telefonów.

Jako nastolatka Jaycie była blondynką, całkowitym przeciwieństwem ciemnowłosego Theo i jego siostry bliźniaczki, i to się nie zmieniło. I choć nie była już tak chuda jak przed laty, jej ładne, miękkie rysy nadal otaczała aura

delikatności, jakby patrzyło się na nią przez mgłę. Ale co ona tu właściwie robi?

Jaycie chyba czytała jej w myślach.

– Teraz ja opiekuję się domem.

Annie nie mogła sobie wyobrazić bardziej przygnębiającego zajęcia. Jaycie skinęła niezdarnie ręką w stronę drzwi kuchennych.

– Wejźmy do środka.

Annie nie mogła i miała na to doskonale wytłumaczenie.

– Jaśnie pan Theo kazał mi trzymać się z daleka. – Jego imię kłuło w usta jak zjełczały olej.

Jaycie zawsze była najspokojniejsza z nich wszystkich i nie zareagowała na złośliwość Annie. Jako córka rybaka i alkoholika, od dziecka nauczyła się odpowiedzialności i choć była z całej czwórki najmłodsza – o rok młodsza od Annie i o dwa lata od bliźniąt Harpów – już wtedy wydawała się najbardziej dojrzała.

– Theo schodzi na parter tylko w środku nocy – odparła. – Nawet się nie zorientuje, że tu jesteś.

Najwyraźniej Jaycie nie wiedziała, że zdarza mu się to nie tylko pod osłoną nocy.

– Naprawdę nie mogę.

– Proszę cię. Fajnie będzie raz na jakiś czas porozmawiać z kimś dorosłym.

W zaproszeniu wyczuwało się błagalne nuty. Annie była jej dłużniczką i choć najbardziej na świecie chciała stąd odejść, nie mogła odmówić. Wzięła się w garść i szybko pokonała otwartą przestrzeń podwórza, na wypadek, gdyby Theo akurat wyglądał przez okno. Wchodząc na kamienne stopnie strzeżone przez gargulce, powtarzała sobie, że skończyły się czasy, gdy mógł ją zastraszyć.

Jaycie stała w drzwiach. Zobaczyła, że Annie ze zdumieniem patrzy na fioletowego hipopotama sterczącego spod jej jednej pachy i różowego misia spod drugiej.

– To zabawki mojej córki.

A zatem Livia jest jej, nie Theo.

– Kule wpijają mi się w ciało – wyjaśniła Jaycie, wpuszczając Annie do sieni. – A pluszaki łagodzą dyskomfort.

– I zwracają uwagę.

Jaycie tylko skinęła głową. Jej powaga kontrastowała z bez troską pluszaków.

Mimo tego, co Jaycie dla niej zrobiła tamtego lata, nigdy się nie przyjaźniły. Podczas dwóch krótkich wizyt na wyspie po rozwodzie matki, Annie usiłowała nawiązać z nią kontakt, ale rezerwa wyczuwalna w Jaycie utrudniała bliższą znajomość.

Annie otrzepała buty na wycieraczkę przy drzwiach.

– Co sobie zrobiłaś w nogę?

– Dwa tygodnie temu poślizgnęłam się na lodzie. Nie zawracaj sobie głowy ściąganiem butów – powiedziała, widząc, że Annie pochyła się nad nimi. – Podłoga jest tak brudna, że odrobina śniegu niczego nie zmieni. – Niezdarnie szła z sieni do kuchni.

Annie i tak zdjęła buty i zaraz tego pożałowała, gdy chłód od kamiennej posadzki przenikał jej skarpetki. Zaniósła się kaszlem. Wydmuchała nos. Kuchnia była jeszcze bardziej ponura, niż zapamiętała. Nie brakowało nawet sadzy na palenisku. W zlewie było jeszcze więcej naczyni, niż przed dwoma dniami, kosz na śmieci był pełen po brzegi, podłoga aż się prosiła o pozamiatanie. Pomieszczenie budziło nieokreślony niepokój.

Livia zniknęła. Jaycie osunęła się na twarde drewniane krzesło z wysokim oparciem, stojące przy długim stole pośrodku kuchni.

– Straszny tu bałagan, wiem – mruknęła. – Ale od wypadku nie radzę sobie ze wszystkim.

Było w niej napięcie, którego Annie nie pamiętała z przeszłości, widoczne nie tylko w poobgryzanych paznokciach, ale też w szybkich, nerwowych ruchach dłoni.

– Chyba bardzo cię boli – zauważyła.

– Przede wszystkim wypadek wydarzył się w najgorszym możliwym momencie. Tyle ludzi swobodnie porusza się na kulach, ja jednak najwyraźniej do nich nie należę. – Pomagając sobie rękami, uniosła nogę i położyła na sąsiednim krześle. – Theo i tak mnie tutaj nie chciał, a teraz, kiedy wszystko zawalam... – Uniosła rękę, ale jakby zapomniała, co chciała z nimi zrobić, bezradnie upuściła je na kolana – Siadaj. Zaproponowałabym ci kawę, ale to za dużo roboty.

– Dziękuję, niczego mi nie trzeba. – Anie usiadła koło Jaycie i w tej chwili do kuchni wróciła Livia, taszcząc wielkiego, pluszowego, prążkowanego biało-różowego kota. Zdjęła kurtkę i buty. Fioletowe dżinsy miały mokre nogawki na dole. Jaycie zauważyła to, ale dała sobie spokój.

Annie uśmiechnęła się do małej.

– Ile masz lat, Livio? – zapytała.

– Cztery. – Jaycie odpowiedziała za córkę. – Livio, podłoga jest bardzo zimna. Idź po kaptcie.

Mała zniknęła bez słowa.

Annie chciała zapytać o Livię, ale uznała, że to byłoby wścibstwo, więc skoncentrowała się na kuchni.

– Co tu się stało? Tyle zmian?

– Straszne, co? Cynthia, żona Elliotta, ma bzika na punkcie wszystkiego co brytyjskie, choć pochodzi z Dakoty Północnej. Wbiła sobie do głowy, że robi z

tego domu dziewiętnastowieczną angielską rezydencję i namówiła Elliotta, żeby wydał grube pieniądze na remont, kuchni także. Tyle kasy za takie paskudztwo. A latem nawet tu nie przyjechali.

– To rzeczywiście szaleństwo. – Annie oparła stopy o krzesło, aby nie trzymać ich na zimnej kamiennej posadzce.

– Lisa, moja przyjaciółka... nie znasz jej, nie było jej na wyspie tamtego lata... jest tym zachwycona, no, ale ona nie musi tu pracować. – Jaycie spojrzała na swoje poobgryzane paznokcie. – Tak bardzo się cieszyłam, kiedy Lisa poleciała mnie Cynthii po tym, jak Will wyjechał. Zimą nie ma tu żadnej pracy. – Krzesło zaskrzypiało, gdy poruszyła się w poszukiwaniu wygodniejszej pozycji. – Ale teraz, kiedy złamałam stopę, Theo mnie wyrzuci.

Annie zacisnęła usta w wąską linię.

– Oczywiście, typowy Theo Harp, zawsze gotowy skopać leżącego.

– Teraz wydaje się inny. Zresztą, sama już nie wiem. – Jej mina przypomniiała Annie coś, o czym już prawie zapomniiała – to, jakim wzrokiem Jaycie wodziła za Theo tamtego lata, jakby był jej całym światem. – Chyba liczyłam, że będziemy się częściej widywać. Że pogadamy, czy co.

A więc Jaycie nadal coś do niego czuła. Annie pamiętała, jak jej zazdrościła blond urody, choć Theo nie zwracał na nią szczególnej uwagi. Starannie dobierała słowa, żeby jej nie urazić.

– Może to nie takie złe. Theo nie wydaje się odpowiednim kandydatem na romantycznego bohatera.

– Chyba nie. Zrobił się bardzo dziwny. Nikt tu nie przyjeżdża, Theo rzadko jeździ do miasteczka. Nocami snuje się po domu, a za dnia albo jeździ konno, albo siedzi w wieży i pisze. Właściwie cały czas tam przebywa, nie śpi tu, w głównej części domu. Może wszyscy pisarze to dziwacy, nie wiem. Czasami nie widuję go całymi dniami.

– Byłam tu przedwczoraj i od razu na niego wpadłam.

– Naprawdę? Pewnie wtedy, gdy obie z Livią byliśmy bardzo chore. W innym wypadku widziałabym cię. Przespałyśmy wtedy prawie cały dzień.

Annie przypomniiała sobie małą twarzyczkę w oknie na piętrze. Może Jaycie naprawdę spała, ale nie Livia.

– Więc Theo mieszka w wieży swojej babki?

Jaycie skinęła głową i wygodniej ułożyła nogę na krześle.

– Tak, jest tam osobna kuchnia. Przed wypadkiem dostarczałam mu tam zapasy, teraz nie jestem w stanie wejść na górę, więc korzystam z windy kelnerskiej.

Annie aż za dobrze pamiętała ten staroświecki wynalazek. Któregoś dnia Theo wepchnął ją tam i zatrzymał między piętrami. Zerknęła na stary zegar w holu.

Kiedy wreszcie będzie mogła stąd pójść?

Jaycie wyjęła komórkę z kieszeni – kolejny nowoczesny smartfon – i położyła na stole.

– Kiedy czegoś potrzebuje, przysyła mi wiadomość, ale odkąd złamałam stopę, niewiele mogę zrobić. W ogóle mnie tu nie chciał, ale Cynthia się uparła. A teraz ma pretekst, żeby się mnie pozbyć.

Annie najchętniej powiedziałby coś budującego, ale Jaycie na tyle знаła Theo, że wiedziała, iż zawsze dostaje to, czego chce.

Jaycie machinalnie skubała naklejkę z kucykiem Pony, która przywarła do stołu z surowo ciosanego drewna.

– Livia jest dla mnie wszystkim. Poza nią nie mam nikogo. – Nie użalała się nad sobą, po prostu stwierdzała fakt. – Jeśli stracę tę pracę, nie mam innych perspektyw. – Wstała niezadarnie. – Przepraszam, że cię tym wszystkim obarczam. Za dużo czasu spędzam tylko w towarzystwie czterolatki.

Czterolatki, która najwyraźniej nie mówi.

Jaycie pokuśtykała w stronę wielkiej staroświeckiej lodówki.

– Muszę zabrać się za kolację.

Annie wstała.

– Pomogę ci. – Mimo zmęczenia uznała, że poczuje się lepiej, kiedy komuś pomoże.

– Nie trzeba. – Jaycie odsunęła zasuwkę i otworzyła drzwiczki, a oczom Annie okazało się wewnątrz normalnej, nowoczesnej lodówki. Wpatrywała się w jej zawartość. – Kiedy tu dorastałam, marzyłam jedynie o tym, żeby się stąd wyrwać. A potem wyszłam za rybaka i utkwiałam tu na dobre.

– Znałam go?

– Był od nas starszy, więc pewnie nie. Ned Grayson. Najprzystojniejszy facet na wyspie. Dzięki temu na pewien czas zapomniałam, jak bardzo nienawidzę tego miejsca. – Wyjęła z lodówki miskę owiniętą folią spożywczą. – Zginął zeszłego lata.

– Bardzo mi przykro.

Jaycie roześmiała się gorzko.

– Niepotrzebnie. Jak się okazało, był bardzo wybuchowy i miał ciężką rękę, której nie wahał się używać. Zwłaszcza wobec mnie.

– Och, Jaycie... – Widząc jej delikatność, nie mogła sobie wyobrazić, by ktoś się nad nią znęcał.

Jaycie wzięła miskę pod pachę i z całej siły przycisnęła do boku.

– Co za ironia losu. Kiedy zginął, myślałam, że to już koniec z połamanymi kośćmi. – Pchnęła drzwi lodówki biodrem i w ostatniej chwili straciła równowagę. Kule upadły na podłogę, a w ślad za nimi poleciała miska. Rozprysła się na

kamiennej posadzce, zalewając całą kuchnię sosem chili.

– Niech to szlag! – Jej oczy zaszły łzami gniewu. Chili było wszędzie, na kamiennej posadzce, szafkach, jej dzinsach i butach. Cała podłogę pokrywały odłamki szkła.

Annie zerwała się z miejsca.

– Umyj się, a ja tu posprzątam.

Jaycie ciężko oparła się o lodówkę i rozejrzała dokoła.

– Nie mogę obarczać cię moimi problemami. Muszę sama sobie radzić.

– Chyba nie teraz. – Annie mówiła stanowczo, zdecydowanie. – Powiedz, gdzie znajdę wiadro i mop.

Została na resztę popołudnia. Choć była wykończona, nie mogła przecież zostawić Jaycie w takiej sytuacji. Zebrała chili z podłogi, pozmywała naczynia w zlewie, starając się jednocześnie nie kasłać za głośno, gdy Jaycie była w pobliżu. Cały czas nasłuchiwała, czy nie nadchodzi Theo Harp. Świadomość, że jest tuż obok, działała jej na nerwy, nie chciała jednak okazać tego Jaycie. Zanim wyszła, zrobiła coś, co do niedawna byłoby nie do pomyślenia. Przygotowała mu obiad.

Spojrzała na talerz pomidorowej zupy z proszku, hamburgera z poprzedniego dnia, ryż z torebki i kukurydzę z zamrażarki.

– Pewnie nie masz pod ręką trutki na szczury? – mruknęła, gdy Jaycie kuśtykała po kuchni. – Chociaż to właściwie i tak bez znaczenia; posiłek i bez tego jest paskudny.

– Theo niczego nie zauważy. Nie zwraca uwagi na to, co je.

Jasne, zwraca uwagę tylko na tych, których akurat dręczy.

Zaniosła tacę do korytarzyka na tyłach domu i wstawiła do windy kelnerskiej. Przypomniła sobie przerażenie, które czuła więziona w ciasnej przestrzeni. Otaczała ją nieprzenikniona ciemność. Zwinęła się w kłębek, kolana boleśnie wpijały się w klatkę piersiową. Za ten wybryk Theo zapłacił dwoma dniami w swoim pokoju. Tylko Annie wiedziała, że Regan, jego siostra bliźniaczka, ukradkiem dotrzymywała mu towarzystwa.

Tak jak Theo był wtedy samolubny, tak Regan była słodka i nieśmiała, a jednak byli nierozłączni, chyba że Regan akurat grała na oboju albo pisała wiersze w fioletowym zeszytce. Annie zawsze uważała, że zaprzyjaźniłyby się z Regan, gdyby tylko Theo do tego dopuścił.

Oczy Jaycie zaszły łzami, gdy Annie zaczęła się żegnać.

– Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować.

Anie starała się nie okazywać zmęczenia.

– Już mi podziękowałaś. Osiemnaście lat temu. – Zawahała się. Wiedziała, co powinna zrobić; nie miała na to ochoty, w końcu jednak dokonała jedyne go wyboru, po którym mogłaby spojrzeć rano w lustro. – Wpadnę jutro, żeby ci

trochę pomóc.

Jaycie otworzyła szeroko oczy.

– Nie musisz tego robić!

– Dobrze mi to zrobi – skłamała. – Przynajmniej nie będę ciągle rozmyślała. – Nagle nowa myśl przyszła jej do głowy. – Jest tutaj wifi? – zapytała, a kiedy Jaycie twierdząco skinęła głową, uśmiechnęła się z trudem. – Świetnie. Przyjdę z laptopem. Okazuje się, że to ty mi pomożesz. Muszę sprawdzić w sieci pewne rzeczy.

Jaycie uniosła chusteczkę do oczu.

– Dziękuję. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

Jaycie odeszła w poszukiwaniu Livii, a Annie poszła po kurtkę. Mimo zmęczenia cieszyła się, że zrobiła coś, by choć w części spłacić stary dług. Zakładała rękawiczki, gdy nagle znieruchomiała. Nie mogła przestać myśleć o starej windzie kelnerskiej.

Zrób to – podpuszczała Scamp. – Przecież wiesz, że tego chcesz.

Nie uważasz, że to bardzo dziecinne? – zauważyła Dilly.

Bardzo – przyznała Scamp.

Annie przypomniała sobie siebie sprzed lat. Tak bardzo chciała, żeby Theo ją polubił. Zakradła się do kuchni i najciszej jak umiała weszła do ciemnego korytarzyka. Wpatrywała się w drzwi kelnerskiej windy. Edgar Alan Poe ma monopol na kruka i kres, i krach, a „rózyczka” nie brzmi zbyt przerażająco. Z kolei „umrzesz za siedem dni” to zbyt szczegółowa przepowiednia. Na szczęście podczas choroby oglądała sporo filmów, wśród nich także Czas Apokalipsy...

Uchyliła drzwiczki windy, pochyliła głowę i zajęczała cicho, groźnie, przenikliwie:

– Koszmar... – Słowo wilo się miękko jak wąż. – Koszzzmarr...

Przeszył ją dreszcz.

Straszne! – stwierdziła Scamp z zadowoleniem.

Dziecinne, ale satysfakcjonujące – przyznała Dilly.

Annie wróciła tą samą drogą. Przemykając się wśród drzew, niewidoczna dla kogoś z wieży, wracała do siebie.

Dom Harpów wreszcie miał godnego siebie ducha.

Rozdział 3

Annie obudziła się w odrobinę lepszym nastroju. Sam pomysł, by powoli, stopniowo doprowadzać Theo Harpa do szaleństwa, spodobał jej się tak bardzo, że nie mogła nie poczuć się lepiej. Musiał mieć bujną wyobraźnię, żeby pisać te straszne książki, i zasłużył sobie, by ta wyobraźnia obróciła się przeciwko niemu. Zastanawiała się, co jeszcze mogłaby zrobić, i przez chwilę rozkoszowała się wizją Theo w kaftanie bezpieczeństwa, za kratami szpitala psychiatrycznego.

Wśród węży pełzających po posadzce! – podsunęła Scamp.

Tak łatwo go nie załatwisz – wycedził Leo.

Annie trafiła na kołtun we włosach i zdenerwowana cisnęła grzebień na szafkę. Założyła džinsy, koszulkę, szarą bluzkę z długim rękawem i bluzę z kapturem, która jakimś cudem uchowała się od czasu studiów. Przechodząc z sypialni do saloniku, krytycznym okiem spojrzała na to, czego udało jej się wczoraj dokonać. Zwierzęce czaszki, które Mariah eksponowała na paterze ozdobionej drutem kolczastym, teraz spoczywały na dnie worka na śmieci. Być może i jej matka, i Georgia O’Keeffe uważały, że kości są piękne, ale ona nie, i jeśli miała tu zostać przez dwa miesiące, chciała się poczuć choć odrobinę jak u siebie. Niestety domek był za mały, by mogła gdzieś upchnąć jaskrawy gipsowy fotel w kształcie syreny. Usiłowała na nim usiąść, ale biust syreny boleśnie wpijał jej się w plecy.

Dwa znalezione przedmioty budziły jej niepokój – egzemplarz gazety z Portland sprzed dokładnie tygodnia i paczka świeżo zmielonej kawy w kuchni. Ktoś tu był, i to całkiem niedawno.

Wypiła filizankę tej samej kawy i zmusiła się do zjedzenia grzanki z dżemem. Robiło jej się słabo na myśl o powrocie do domu Harpów, ale tam przynajmniej będzie miała dostęp do Internetu. Wbiła wzrok w obraz przedstawiający drzewo do góry nogami. Może zanim zapadnie wieczór, będzie wiedziała, kim jest R. Connor i czy jego/jej dzieła są cokolwiek warte.

Nie mogła już dłużej zwlekać. Spakowała do plecaka zeszyt z notatkami, laptop i inne drobiazgi, ubrała się ciepło i zaczęła mozolną wędrówkę do domu Harpów. Przecinając wschodni skraj mokradeł, zerknęła kątem oka na drewniany mostek. Otaczając go łukiem, nadkładała drogi; powinna zdobyć się na odwagę i przestać to robić. I zrobi to. Ale jeszcze nie dziś.

Annie poznała Theo i Regan Harpów dwa tygodnie po tym, jak Mariah i Elliott polecili razem na Karaiby i wrócili jako mąż i żona. Bliźnięta nadchodziły od strony plaży, pokonywały stopnie prowadzące nad wodę. Pierwsza pojawiła się

Regan, o długich, opalonych na złoto nogach i ciemnych włosach opadających na ładną buzię. A potem Annie zobaczyła Theo. Nawet jako chudy szesnastolatek, z pryszczami na czole i twarzą jakby za małą w stosunku do nosa, przyciągał uwagę swoim chłodem i dystansem. Od razu straciła dla niego głowę. On jednak patrzył na nią z wyraźnym znudzeniem.

Annie rozpaczliwie pragnęła, żeby ją polubili, ale ich pewność siebie onieśmiała ją, co z kolei sprawiało, że w ich obecności zapominała języka w gębie. O ile Regan była słodka i dobra, Theo był niegrzeczny i opryskliwy. Elliott rozpieszczał ich niemożliwie, chcąc wynagrodzić im brak matki, która odeszła, gdy mieli pięć lat, ale nalegał, żeby wszędzie zabierali ze sobą Annie. Theo niechętnie zaprosił ją na wspólny rejs żaglówką, ale kiedy przybiegła na pomost, znajdujący się między domem Harpów a Domkiem Żeglarza, Theo, Regan i Jaycie zdążyli odплыć bez niej. Następnego dnia zjawiała się godzinę wcześniej. Oni nie przyszli w ogóle.

Któregoś popołudnia Theo poradził jej, żeby poszła obejrzeć wrak starego kutra, leżący nieco dalej na plaży. Dopiero kiedy było już za późno, zorientowała się, że mewy upodobały go sobie jako idealne miejsce na swoje gniazda. Atakowały ją, bity skrzydłami i dziobami; to było jak z filmu Hitchcocka. Od tej pory podejrzliwie patrzyła na wszystkie ptaki.

Lista jego grzechów ciągnęła się w nieskończoność: martwa ryba w jej łóżku, podtapianie w basenie, to, że pewnej nocy zostawił ją samą na plaży, w całkowitej ciemności. Annie odepchnęła od siebie te wspomnienia. Na szczęście już nigdy nie będzie miała piętnastu lat.

Zaniosła się kaszlem, zatrzymała, żeby odzyskać oddech i nagle uświadomiła sobie, że to pierwszy atak kaszlu tego ranka. Może w końcu jej stan naprawdę się poprawiał. Wyobraziła sobie, jak siedzi za ciepłym biurkiem w ciepłym gabinecie, wpatrzona w monitor ciepłego komputera i spędza kolejny dzień w pracy tyleż nudnej, co stabilnej.

A co z nami? – jęknęła płaczliwie Crumpet.

Annie musi poszukać prawdziwej pracy – zauważyła rozsądna jak zawsze Dilly.
– Nie może do końca życia być brzuchomówczynią.

Scamp także miała coś do powiedzenia.

Trzeba było jednak zrobić te pornokukielki. Dostawałabyś o wiele więcej za jedno przedstawienie.

Pornokukielki przyszły jej do głowy w najgorszej gorączce.

W końcu dotarła na szczyt wzgórza. Mijając stajnię, usłyszała końskie rżenie. Cofnęła się między drzewa dokładnie w tej chwili, gdy ze środka wyszedł Theo. Annie dygotała z zimna w puchowej kurtce, a on miał na sobie tylko grafitowy sweter, dżinsy i buty z cholewami.

Zatrzymał się nagle. Była za nim, ale nagie gałęzie drzew to bardzo kiepska ochrona i modliła się, żeby się tylko nie odwrócił.

Nagły podmuch wiatru wzbił obłok sypekowego śniegu. Theo skrzyżował ręce na piersi, po chwili złapał skraj swetra i ściągnął go przez głowę. Pod spodem był nagi.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. Stał półnagi, z wiatrem w ciemnych włosach rzucał wyzwanie ostrym nowoangielskim zimom. Nie ruszał się. Przez chwilę wydawało jej się, że ogląda jedną z tych starych oper mydlanych, którym zarzucano, że ich bohaterowie pod byle pretekstem zdejmują koszule. Tylko że na dworze było lodowato, Theo Harp nie był żadnym bohaterem, a jedyne logiczne wytłumaczenie to fakt, że postradał zmysły.

Zacisnął pięści, zadarł głowę, wpatrzony w dom. Jak ktoś tak piękny może być tak okrutny? Płaszczyna jego pleców... Umieśnione barki... Sylwetka na tle nieba... To wszystko było takie dziwne. Wydawał się nie człowiekiem, ale częścią natury, istotą, której niepotrzebne ludzkie przyjemności – ciepło, jedzenie... miłość.

Zadrżała wtulona w puchową kurtkę, odprowadzając go wzrokiem, gdy zniknął w wieży ze swetrem w dłoni.

Jaycie była wyraźnie wzruszona na jej widok.

– Nie mogę uwierzyć, że naprawdę tu jesteś – powiedziała, gdy Annie odwiesiła plecak i zdjęła buty.

Annie uśmiechnęła się najszerzej jak umiała.

– Gdybym nie przyszła, ominęłaby mnie cała frajda – stwierdziła. Rozejrzała się dokoła. Kuchnia, choć ciągle ponura, wyglądała odrobinę lepiej niż wczoraj, nadal jednak czekało ją mnóstwo roboty.

Jaycie kuśtykała od pieca do stołu, nerwowo zagryzając dolną wargę.

– Theo mnie wywali, już to wiem – szepnęła. – Skoro sam całymi dniami siedzi w wieży, uważa, że w domu nikt nie jest potrzebny. Gdyby nie Cynthia... – Zacisnęła dłonie na kulach tak mocno, aż pobielaly jej kłykcie. – Dzisiaj rano widział tu Lisę McKinley. Odbiera za mnie pocztę z kutra pocztowego. Myślałam, że Theo o tym nie wie, ale byłam w błędzie. Nie znosi, kiedy ktoś się tu kręci.

W takim razie ciekawe, skąd bierze kolejne ofiary – podsunęła Scamp. – Chyba że chce teraz zamordować Jaycie...

Ja ją obronię – zadeklarował Peter. – To moje zadanie. Zawsze pomagam damom w opałach.

Jaycie poprawiła się na kulach. Różowy hipopotam poruszył głową pod jej pachą. Zmarszczyła brwi.

– On... przysłał mi wiadomość z informacją, że nie życzy sobie obecności Lisy na jego terenie. I że sam pojedzie po korespondencję do miasteczka. Tylko że Lisa też co tydzień dowoziła nam zakupy, i co ja teraz zrobię? Annie, nie mogę stracić tej pracy. Mam tylko ją.

Annie chciała za wszelką cenę dodać jej otuchy.

– Wkrótce stopa się zrośnie i będziesz mogła usiąść za kierownicą.

– To jeszcze nie wszystko. Theo nie lubi dzieci. Mówiłam, że Livia jest bardzo cichutka i zapewniłam, że nawet jej nie zauważy, ale ona ciągle wymyka się na dwór i boję się, że ją zobaczy.

Annie zakładała sportowe buty, które przyniosła ze sobą.

– Wyjaśnijmy coś sobie. Czterolatka nie może bawić się na dworze ze względu na fochy panicza Theo? Tego już za wiele.

– Cóż, właściwie może robić, co mu się żywnie podoba, w końcu to jego dom. Zresztą, póki chodzę o kulach, i tak nie mogę z nią wychodzić, a nie chcę, żeby bawiła się na dworze sama.

Annie nie podobało się, że Jaycie ciągle znajdowała usprawiedliwienie dla jego zachowania. Powinna już dawno przejrzeć na oczy i zobaczyć go takim, jaki jest naprawdę, ale najwyraźniej nawet teraz, po tylu latach, nadal się w nim durzyła.

Durzą się dzieci – szepnęła Dilly. – A Jaycie jest dorosłą kobietą. Może to coś więcej niż tylko zadurzenie.

Niedobrze – stwierdziła Scamp. – Bardzo, bardzo niedobrze.

Do kuchni weszła Livia. Miała na sobie te same sztruksowe spodnie co poprzedniego dnia. Taszczyła ze sobą przezroczyste pudełko wielkości kartonu po butach, pełne kredek, i blok rysunkowy z oślimi uszami. Annie uśmiechnęła się ciepło.

– Cześć, Livia.

Mała przechyliła głowę.

– Jest nieśmiała – wyjaśniła Jaycie.

Livia położyła kredki i blok na stole, wdrapała się na krzesło i zabrała do pracy. Jaycie tymczasem pokazała Annie, gdzie znajdują się proszki i płyny do czyszczenia, cały czas przepraszając za kłopot.

– Posłuchaj, naprawdę nie musisz tego robić. To mój problem, nie twój.

Annie przerwała jej w pół słowa.

– Posłuchaj, zajmij się posiłkiem jego lordowskiej mości. Skoro z trutką na szczury nie wyszło, może poszukasz trujących grzybów?

Jaycie uśmiechnęła się.

– Annie, on naprawdę nie jest taki zły.

Akurat.

Annie zataaszczyła do holu wiadro i mop i co chwila niespokojnie zerkała na

schody. Oby Jaycie miała rację i spotkanie z Theo przed czterema dniami naprawdę okazało się wyjątkiem, nie normą. Jeśli się dowie, że Annie wykonuje pracę Jaycie, naprawdę poszuka sobie innej gospodyni.

Większość pokoi na dole pozamykano, żeby oszczędzić na ogrzewaniu, ale hol, gabinet Elliotta i ponury salonik aż się prosiły o porządne sprzątnięcie. Mając na względzie swoje ograniczone siły, postanowiła zacząć od holu, ale kiedy uporowała się z pajęczynami i zakurzonymi szybami, rzeźbiła głośno. Wróciła do kuchni i zastała tam tylko Livię, cały czas zajęta rysowaniem.

Wcześniej sporo myślała o Livii i teraz poszła do sieni po plecak, w którym ukryła Scamp. Annie własnoręcznie szyła większość strojów swoich kukielek, w tym także bajecznie kolorowe rajstopy Scamp, krótką różową spódniczkę i jaskrawożółtą koszulkę z błyszczącą fioletową gwiazdą na piersi. Opaska z wielkim zielonym kwiatem przytrzymywała niesforne włosy z pomarańczowej włóczki. Annie założyła kukielkę na rękę, wymacała palcami dźwigienki sterującymi ustami i oczami i ze Scamp ukrytą za plecami wróciła do stołu.

Kiedy Livia z przejęciem zdierała papierek z czerwonej kredki, Annie usiadła prostopadle do niej i Scamp natychmiast wyjrzała zza stołu, patrząc ciekawie na Livię.

La... la... laaaa! – zaśpiewała, bezczelnie domagając się uwagi. – Ja, Scamp, znana także jako Genevieve Adelaide Josephine Brown, uważam, że dzisiaj jest bardzo piękny dzień!

Livia gwałtownie uniosła głowę i spojrzała na kukielkę. Scamp pochylili się, aż niesforne loki opadły jej na twarz, i usiłowała zobaczyć rysunek Livii.

Ja też uwielbiam rysować. Mogę zobaczyć?

Livia, cały czas wpatrzona w kukielkę, zasłoniła arkusz ramieniem.

Jak się domyślam, pewne rzeczy mają pozostać tajemnicą – stwierdziła Scamp. – Ja tam uważam, że talentem trzeba się chwalić. Jak ja moim śpiewem.

Livia ciekawie przechyliła główkę.

Jestem wybitną śpiewaczką – zapewniła Scamp. – Choć nie każdemu jest dane mnie usłyszeć. To jak z tobą i twoim rysowaniem. Nie musisz się z nikim dzielić swoim dziełem.

Livia natychmiast odsłoniła rysunek. Scamp ciekawie pochylili się nad kartką, natomiast Annie widziała ją jedynie kątem oka – dostrzegła człowieka obok niezdarne narysowanego domu.

Fan-tas-ti-co!- orzekła Scamp. – Ja też jestem wielką artystką. – Teraz to ona przechyliła głowę. – Chcesz, żebym zaśpiewała?

Livia skinęła głową.

Scamp dramatycznie rozpostarła ramiona i zaśpiewała komicznie operową wersję Wlazł kotek na płotek, która zawsze doprowadzała widzów w wieku

przedszkolnym do łez radości.

Livia słuchała uważnie, ale nie uśmiechnęła się nawet, gdy Scamp zaczęła komicznie przekręcać słowa.

Wlazł kocio na płocio lalala... Zjadł lody i boli go głowaaaaa...

Od śpiewania Annie chciało się kasłać. Zamaskowała to szaleńczym tańcem Scamp. Po chwili kukielka jak długa runęła na stół.

Bycie wspaniałą jest bardzo, ale to bardzo męczące.

Livia z powagą skinęła główką.

Annie już dawno przekonała się, że w kontaktach z dziećmi najlepiej przestać, gdy jest się górá. Scamp wstała i odrzuciła włosy do tyłu.

Czas na moją drzemkę. Au revoir. Dopóki się znów nie spotkamy. – Zniknęła pod stołem.

Livia natychmiast zajrzała pod stół, ciekawa, co się stało z kukielką, ale kiedy się pochyliła, Annie wstała, zdjęła Scamp z dłoni i zaniósła kukielkę do plecaka. Nie patrzyła na Livię, ale wychodząc z kuchni, czuła na sobie jej badawczy wzrok.

Później tego samego dnia, gdy Theo udał się na przejażdżkę, Annie wykorzystala jego nieobecność, żeby wynieść nagromadzone w domu śmiecie do kontenerów koło stajni. Wracając do domu, zerknęła na pusty basen. Na dnie poniewierały się różne śmieci. Nawet w środku lata wody wokół wyspy Peregrine były lodowate, więc ona i Regan pływały głównie w basenie. Theo jednak wołał ocean. Podczas przyływu wrzucał deskę na pakę furgonetki i jechał na plażę. Annie zawsze chciała, żeby zabrał ją ze sobą, ale za bardzo bała się odrzucenia, by o to poprosić.

Zza rogu stajni wyjrzał czarny kot. Przyglądał się jej żółtymi ślepiami. Annie znieruchomiała. W jej głowie rozległ się dzwonek alarmowy.

– Uciekaj stąd! – syknęła.

Kot przyglądał się jej badawczo.

Podbiegła do niego, groźnie wymachując rękami.

– No, uciekaj, i to już! I nie wracaj, jeśli ci życie miłe!

Kot zniknął.

Nie wiadomo dlaczego jej oczy zaszyły łzami. Zamrugala rzęsami, żeby nad nimi zapanować, i wróciła do domu.

Annie znowu przespalała bite dwanaście godzin, a potem przez resztę ranka spisywała wszystko, co znajdowało się w saloniku – meble, obrazy i inne przedmioty, takie jak tajaska bogini. Wczoraj była zbyt zajęta, by cokolwiek sprawdzić w Internecie, ale dzisiaj znajdzie na to czas. Mariah nigdy nie polegała

na opinii marszandów, szacując wartość posiadanych przedmiotów, zawsze najpierw sama odrabiała pracę domową, i Annie postąpi tak samo. Po południu spakowała laptop do plecaka i pomaszzerowała do domu Harpów. Nie przywykła do ćwiczeń i bolały ją mięśnie, ale za to po drodze zatrzymał ją już tylko jeden atak kaszlu.

Posprzątała w gabinecie Elliotta, nie pominęła nawet posępnej szafki na broń, i pozmywała wczorajsze naczynia, podczas gdy Jaycie martwiła się o posiłki Theo.

– Kiepska ze mnie kucharka – przyznała. – Kolejny powód, żeby mnie zwolnić.

– W tym ci nie pomogę – mruknęła Annie.

Znowu zobaczyła czarnego kota i wybiegła na dwór bez kurtki, żeby go przegonić. Potem usiadła przy stole kuchennym z laptopem na kolanach – i wtedy okazało się, że musi znać hasło. Mogła się tego spodziewać.

– Ja zawsze korzystam z telefonu, który dał mi Theo – wyznała Jaycie siadając koło niej. Obierała marchewkę. – Hasło nigdy nie było mi potrzebne.

Annie eksperymentowała z różnymi kombinacjami imion, dat urodzin, ba, nawet nazwami łodzi – na darmo. Przeciągnęła się, żeby rozluźnić napięte ramiona, wpatrzona w ekran, a potem powoli napisała Regan0630 – datę tamtego letniego dnia, gdy Regan Harp utonęła po tym, jak jej żaglówka przewróciła się podczas szkwału, niedaleko wybrzeży wyspy. Miała wtedy dwadzieścia dwa lata, dopiero co skończyła studia, ale we wspomnieniach Annie na zawsze została szesnastoletnim ciemnowłosym aniołem, który pisał wiersze i grał na oboju.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Annie odwróciła się błyskawicznie. Do kuchni wszedł Theo Harp z Livią pod pachą.

Rozdział 4

Wygłądał, jakby przywiał go tu północno-wschodni wiatr, jednak najbardziej niepokojące w tym, jak nagle się tu zjawiał, była nie jego groźna mina, tylko mała dziewczynka pod jego pachą, z buzią ciągle otwarta w niemym krzyku przerażenia.

– Livia! – Jaycie podbiegła do córeczki, straciła równowagę i niezdarnie runęła na ziemię, pociągając za sobą kule.

Anie zerwała się zza stołu i podbiegła do niego. Działała instynktownie, zbyt poruszona tym, co się działo, by czekać, aż Jaycie weźmie się w garść.

– Co ty wyprawiasz?

Jego ciemne brwi zbiegły się w wąską, gniewną linię.

– Co ja wyprawiam? To ona była w mojej stajni!

– Daj mi ją natychmiast! – Annie wyjęła mu Livię z rąk, ale miała jej bała się tak samo jak jego. Jaycie udało się usiąść. Annie posadziła jej córeczkę na kolanach i odruchowo stanęła pomiędzy nimi a Theo. – Ani kroku dalej – warknęła.

Ej, to ja jestem bohaterem! – obruszył się Peter. – Pomoc uciśnionym to moja specjalność.

– Była w mojej stajni! – powtórzył Theo.

Wypełniał sobą całą przepastną kuchnię, pochłaniał całe powietrze. Chciwie łapiąc w płuca resztki tlenu, Annie wzięła się pod boki.

– Czy mógłbyś, z łaski swojej, mówić ciszej?

Jaycie sapnęła głośno. Theo kontynuował tym samym tonem:

– Nie chodzi o to, że po prostu stała w proggu. Ona weszła do boksu. Do boksu Tancerza. To bardzo płochliwy koń. Masz pojęcie, co się mogło wydarzyć? A tobie mówiłem, żebyś tu nie przychodziła. Dlaczego tu jesteś?

Upomniała się, że nie może pozwolić, by ją zdominował, nie tym razem, ale jeśli chodzi o intensywność, nie mogłaby stawić mu czoła.

– Jakim cudem weszła do boksu?

W jego oczach coś rozbłysło.

– Skąd mam wiedzieć? Może nie był zamknięty.

– Innymi słowy, to ty zapomniałeś go zamknąć. – Nogi się pod nią ugięły. – Może do tego stopnia zaprzatnęło cię planowanie następnej przejażdżki podczas śnieżycy, co?

Udało jej się odwrócić jego uwagę od Jaycie i Livii, problem w tym, że teraz

koncentrował się tylko i wyłącznie na niej. Poruszył dłońmi, jakby szykował się do ciosu.

– Co ty tu właściwie robisz, do jasnej cholery?

Uratowały ją kukielki.

Uwaga na język – powiedziała pouczającym tonem Dilly. Na szczęście nie zapomniała przy tym poruszyć ustami.

– Dlaczego jesteś w moim domu? – Wypowiadał wyraźnie każdą sylabę, cedził słowa tak samo nieprzyjemnie jak Leo.

Nie mogła powiedzieć, że pomagała Jaycie.

– W domku nie ma wifi, więc przyszedłam tu na Internet.

– Poszukaj gdzie indziej.

Jeśli mu się nie postawisz, znowu wygra – ostrzegła Scamp.

Annie dumnie zadarła podbródek.

– Byłabym wdzięczna, gdybyś z łaski swojej podał mi hasło.

Patrzył na nią, jakby nie wierzył własnym oczom.

– Kazałem ci trzymać się ode mnie z daleka.

– Doprawdy? Nie przypominam sobie. – Musiała kłamać, żeby chronić Jaycie. – Jaycie mówiła, że nie wolno mi tu przebywać – brnęła – ale puściłam jej słowa mimo uszu. – Zależało jej, żeby rozumiał. – Już nie jestem taka miłutka jak dawniej.

Jaycie mruknęła coś niezrozumiale, zamiast siedzieć cicho jak mysz pod miotłą, i oczywiście tym samym zwróciła na siebie uwagę Theo.

– Jaycie, wiesz przecież, jak się umawialiśmy.

Jaycie przytuliła córeczkę do piersi.

– Staram się pilnować, żeby nie wchodziła ci w drogę, ale...

– Nic z tego – stwierdził cicho. – Musimy wymyślić coś innego. – Z tym niejasnym stwierdzeniem odwrócił się na pięcie, jakby wszystko zostało już powiedziane.

Niech sobie idzie – mruknęła Crumpet.

Annie jednak nie mogła do tego dopuścić. Zastawiła mu drogę.

– Skąd ty się urwałś? Popatrz tylko na nią! – Wskazała palcem Jaycie i miała nadzieję, że Theo nie zauważy drżenia jej ręki. – Naprawdę byłbyś zdolny wyrzucić na mróz wdowę bez grosza przy duszy i jej małe dziecko? Czy ty naprawdę masz serce z kamienia? Nie, nie odpowiadaj, to pytanie retoryczne.

Przyglądał jej się z irytacją człowieka, któremu spokoju nie daje namolny komar.

– Przypomnij mi, dlaczego właściwie jest to twoja sprawa?

Ona nie cierpiała konfrontacji, ale o Scamp nie można było tego powiedzieć, więc dopuściła swoje alter ego do głosu.

– Chcesz wiedzieć, która część to moja sprawa? Ta, która zachowała resztki ludzkiego człowieczeństwa. Służę wyjaśnieniem, jeśli słowo „człowieczeństwo” jest dla ciebie za trudne. – Jego władcze niebieskie oczy pociemniały. – Livia już nigdy więcej nie wejdzie do stajni, a wiesz dlaczego? Bo będziesz pamiętał, żeby starannie zamykać drzwi. A twoja gospodyni wykonuje kawał dobrej roboty, mimo złamanej stopy. Jakkolwiek by było, masz co jeść, prawda? Rozejrzyj się dokoła. Kuchnia aż łśni. – Spora przesada, szybko przeszła więc do, jak podejrzewała, jego najsłabszego punktu. – Jeśli zwolnisz Jaycie, Cynthia zatrudni kogoś innego. Pomyśl tylko. Kolejny obcy zakłóci ci święty spokój. Będzie węszył w zakamarkach domu Harpów. Będzie cię podejrzliwie obserwował, przeszkadzał w pracy, ba, może nawet będzie usiłował z tobą rozmawiać! Naprawdę tego chcesz?

Nabierając głośno tchu w umęczone płuca, wiedziała już, że wygrała; dostrzegła to po tym, jak ledwie zauważalnie zmrużył powieki i leciutko wykrzywił te zdecydowanie zbyt piękne usta.

Spojrzał na Jaycie, cały czas siedzącą na podłodze z Livią w ramionach.

– Wychodzę na kilka godzin – rzucił szorstko. – W tym czasie posprzątaj w wieży. Nie wchodź do pokoi na trzecim piętrze.

Wyszedł równie energicznie, jak się zjawiał.

Livia wsunęła kciuk do ust. Jaycie pocałowała ją w oba policzki, zanim z trudem dźwignęła się z podłogi.

– Nie mieści mi się w głowie, że tak na niego nakrzyczałaś.

Samej Annie też się nie mieściło.

Do wieży prowadziły dwa wejścia – jedno z zewnątrz i drugie, z piętra domu. Ponieważ Jaycie nie najlepiej radziła sobie na schodach, sprzątanie u Theo przypadło w udziale Annie.

Wieżyczkę wybudowano na wzniesieniu, znajdowała się więc jeszcze wyżej niż dom i jej parter był na wysokości pierwszego piętra domu Harpów. Drzwi na końcu korytarza prowadziły wprost do saloniku w wieży. Wyglądało na to, że nic się nie zmieniło do czasów, gdy rezydowała tu babka bliźniąt. Ostre, kanciaste beżowe ściany kontrastowały z miękkimi, wyściełanymi meblami z lat osiemdziesiątych, miejscami wytartymi i spłowiałymi od słońca, wpadającego przez okna wychodzące na morze.

Wiekowy perski dywan zakrywał niemal cały parkiet, beżowa kanapa o fikuśnie wywiniętych podłokietnikach, zarzucona miękkimi poduchami, stała pod dwoma kiepskimi pejzażami marynistycznymi. Pod zegarem, którego wskazówki zatrzymały się na godzinie 11.04, stały dwa wielkie drewniane świeczniki z białymi świecami o dziewiczych knotach, z warstwą kurzu u nasady. Była to jedyna część

domu Harpów, która nie przeniosła się w przeszłość, ale i tak panował tu ponury nastrój.

Weszła do małej, wąskiej kuchni. Winda kelnerska zajmowała cały jeden kraniec. Spodziewała się sterty brudnych naczyń, jednak talerze, które przysyłano z dołu, suszyły się, starannie umyte, na niebieskiej plastikowej suszarce do naczyń. Wyjęła butelkę środka czyszczącego z szafki pod zlewem, jednak nie od razu zabrała się do pracy. Jaycie szykowała mu jedynie kolację. A co niby Pan Piekieł jada o innych porach? Odstawiła butelkę i otworzyła pierwszą z brzegu szafkę.

Nie było w niej oczu żaby ani łap ropuchy. Nie znalazła smażonych gałek ocznych ani paluszków na chrupko. Zobaczyła za to kilka pudełek płatków kukurydzianych, otrębów i musli. Nic specjalnie słodkiego, nic smakowitego. Ale też żadnych słoików z częściami ludzkich ciał.

Niewykluczone, że to jej jedyna szansa, by się tu rozejrzeć, więc myszkowała dalej. Nudne puszki z przetworami. Sześciopak drogiej wody gazowanej, spora paczka dobrej kawy w ziarnach, butelka wiekowej szkockiej. Na blacie leżały też owoce i w jej głowie rozbrzmiał głos Złej Królowej:

Proszę bardzo, złociutka, zjedz jabłuszko...

Odwróciła się, podeszła do lodówki, w której znalazła krwistoczerwony sok pomidorowy, kawałek twardego sera, czarne oliwki w zalewie i nieotwartą puszkę jakiegoś paskudnego pasztetu. Wzdrygnęła się. Nic dziwnego, że lubi podroby.

Zamrażalnik był właściwie pusty, w dolnej szufladzie były tylko marchewki i rzodkiewki. Rozejrzała się dokoła. A gdzie śmieciowe jedzenie? Gdzie paczki chipsów i opakowania smakowitych lodów Ben&Jerry's? Gdzie sterty nachosów i litry masła orzechowego? Nic słonego, nic chrupiącego, nic słodkiego. W pewnym sensie ta kuchnia była równie niesamowita jak ta na parterze.

Sięgnęła po środek do czyszczenia, ale zawahała się. Czyż nie czytała kiedyś, że najrozsądniej jest sprzątać od góry i schodzić coraz niżej?

Nikt nie lubi wścibskich ludzi – orzekła Crumpet niezwykle wyniosłe.

– Jasne, bo ty akurat jesteś bez skazy – zachnęła się Annie.

Próżność to nie wada, tylko powołanie – odcięła się Crumpet.

O tak, Annie miała ochotę pomyszkować i musiała zrobić to teraz. Kiedy Theo był z dala od domu, mogła na własne oczy przekonać się, co takiego skrywa w swojej jaskini.

Obolałe mięśnie łydek protestowały, gdy szła na drugie piętro. Wyciągając szyję, widziała zamknięte drzwi na poddasze na trzeciej kondygnacji, tam, gdzie jakoby pisał swoją kolejną upiorną książkę. Albo rąbał zwłoki na kawałki.

Drzwi do sypialni stały otworem. Zajrzała do środka. Z wyjątkiem dzinsów i bluzy ciśniętych na niedbale posłane łóżko, wszystko wyglądało tak, jakby nadal mieszkała tu starsza pani. Kremowe ściany, zasłony w wielkie róże, mahoniowy

fotelik z wyściełanym podnóżkiem, małżeńskie łoże nakryte beżową narzutą. Nie zrobił nic, by poczuć się tu bardziej u siebie.

Wyszła do wąskiego holu i po naprawdę króciutkiej chwili wahania pokonała sześć stopni dzielących ją od zakazanego piętra. Otworzyła drzwi.

Nad pięciokątnym pokojem wisiał drewniany sufit; w ścianach widniało pięć wysokich okien zwieńczonych łukami. Dopiero tutaj widziało się ślad ludzkiej obecności, nieobecny w pozostałych pomieszczeniach. Pod ścianą stało wielkie biurko w kształcie litery L, na którym poniewierały się sterty papierów, puste opakowania po płytach CD, notesy, komputer stacjonarny i słuchawki. Po przeciwnej stronie pokoju na czarnym metalowym regale stały rozmaite sprzęty elektroniczne, w tym wieża stereo i telewizor z płaskim ekranem. Pod oknami piętrzyły się sterty książek. Koło wygodnego fotela dostrzegła laptop.

Drzwi uchylły się.

Drgnęła przerażona i odwróciła się gwałtownie.

Do pokoju wszedł Theo z czarnym krawatem w dłoniach.

Już kiedyś chciał cię zabić – wycedził Leo. – Może znowu spróbować.

Z trudem przełknęła ślinę. Oderwała wzrok od małej blizny nad jego brwią, blizny, którą to ona tam zostawiła.

Zbliżał się do niej, czarny materiał ożył w jego dłoniach, przesuwając go, jak garotę... knebel... być może nasączony chloroformem. Jak długo będzie go trzymał przy jej ustach, zanim straci przytomność?

– To piętro jest zakazane – stwierdził. – I dobrze o tym wiedziałaś. A jednak tu jesteś.

Zarzucił sobie krawat na szyję, zacisnął dłonie na jego końcach. Zamuroowało ją i po raz kolejny poszukała wsparcia u pyskatej Scamp.

– To ciebie miało tu nie być. – Miała nadzieję, że nie słyszał drżenia w jej zazwyczaj spokojnym głosie. – Niby jak mam myszkować, skoro jesteś, choć miało cię nie być?

– To żart, prawda? – Pociągnął za końce krawata.

– To... To naprawdę twoja wina. – Musiała coś wymyślić, i to szybko. – Nie weszłabym tutaj, gdybyś podał mi hasło, gdy o to prosiłam.

– Na moje szczęście nie całkiem nadążam za twoim tokiem myślenia.

– Wiele osób zapisuje je nad komputerem.

– Ja nie.

Nie ustępuj – radziła Scamp. – Udowodnij mu, że teraz ma do czynienia z kobietą, a nie z zahukaną piętnastolatką.

Zawsze była dobra z improwizacji aktorskiej i teraz przeszła samą siebie.

– Ale... powiedzmy, że zapomniałeś hasła. Naprawdę chce ci się dzwonić do dostawcy Internetu? – Zaniosła się kaszlem, głośno zaczerpnęła tchu. – Wiesz, jak

to jest. Godzinami wiesz na telefonie i wysłuchujesz nagrania, które zapewnia cię, że jesteś dla nich najważniejszy. Albo że zmieniło się menu i musisz słuchać uważnie. A przecież zmiana menu to ich problem, nie twój. Ja po kilku minutach już mam ochotę się zabić. Naprawdę chcesz przez to wszystko przechodzić, choć zwykła karteczka z hasłem załatwi sprawę?

– Albo zwykły mail – dodał złośliwie, na co sobie w pełni zasłużyła. – Dirigo.

– Słucham?

Puścił krawat i podszedł do okna, przy którym stał teleskop, wycelowany w morze.

– Przekonałaś mnie. Hasło brzmi: dirigo.

– A co to niby za hasło?

– Motto stanu Maine. Oznacza: kieruję. Oznacza także, że nie masz już pretekstu, by dalej węszyć.

Nie miała na to gotowej riposty. Powoli wycofywała się do drzwi.

Podniósł teleskop ze stojaka i ustawił przy drugim oknie.

– Naprawdę myślałaś, że nie wiem, że wykonujesz za Jaycie jej pracę?

Mogła się domyślić, że się zorientował.

– A co cię to obchodzi? Najważniejsze, że wszystko jest zrobione.

– Nie chcę cię tutaj.

– Rozumiem. Wolisz zwolnić Jaycie.

– Nie chcę tu nikogo.

– Jak to nie? A kto otworzy drzwi, gdy w najlepsze chrapiesz w trumnie?

Nie zwracał na nią uwagi, koncentrował się na teleskopie, ustawiał coś i poprawiał. Poczwała mrowienie na plecach. Okno, przy którym go ustawił, wychodziło na jej domek.

Tak się kończy prowokowanie drania – wycedził Leo.

– Mam nowy teleskop – oznajmił Theo. – Nie do wiary, ile człowiek może zobaczyć przy odpowiednim świetle. – Minimalnie przesunął obiektyw. – Mam nadzieję, że nie bardzo się zmęczyłaś, przesuając meble?

Lodowaty dreszcz dotarł do palców u stóp.

– Pamiętaj, żeby zmienić mi pościel – rzucił, nie odwracając się. – Nie ma to jak czysta pościel na nagiej skórze.

Nie chciała, żeby widział, jak bardzo nadal ją przerażał. Zmusiła się, by odwrócić się powoli i ruszyć w stronę schodów. Miała dość powodów, by oznajmić Jaycie, że nie może jej dłużej pomagać. Naprawdę wiele, poza jednym; wiedziała, że nie mogłaby spojrzeć sobie w twarz, gdyby pozwoliła, by strach przed Theo Harpem kazał jej zostawić w potrzebie tę, która kiedyś uratowała jej życie.

Uwijala się najszybciej, jak umiała. Odkurzyła meble w saloniku, wytrzepała dywanik, zmyła podłogę w kuchni, a potem, z duszą na ramieniu, weszła do

sypialni. Znalazła czystą pościel, ale zmienianie pościeli na jego łóżku wydało się zbyt osobiste, zbyt intymne. Zacisnęła zęby i zrobiła to mimo wszystko.

Kiedy sięgała po ścierkę do kurzu, usłyszała na górze trzask zamykanych drzwi i szcęk klucza przekręcanego w zamku, a potem odgłos kroków na schodach. Powtarzała sobie, że się nie odwróci, a jednak to zrobiła.

Stał w progu, nonszalancko oparty o framugę. Błądził wzrokiem od jej rozwianych włosów, przez piersi, ledwie widoczne pod grubym swetrem, potem biodra, na których zatrzymał się na dłużej, zanim powędrował dalej. W jego wzroku było coś szacującego, wyrachowanego, coś agresywnego, niepokojącego. W końcu odwrócił się.

I wtedy to się stało.

Ciszę przeciął niesamowity odgłos, ni to jęk, ni krzyk, dziwny i przerażający.

Theo zatrzymał się w pół kroku. Annie odwróciła głowę i spojrzała w górę.

– Co to było?

Ściągnął brwi już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale nie padło z nich żadne słowo. Po chwili już go nie było.

Na dole trzasnęły drzwi. Zacisnęła wargi.

– Drań jeden. Dobrze mu tak.

Oddech Theo unosił się w powietrzu mlecznym obłoczkiem, gdy odsuwał skobel w drzwiach do stajni, miejsca, do którego uciekał, ilekroć chciał pomyśleć. Wydawało mu się, że przewidział wszystko, ale nie wziął pod uwagę jej powrotu, a tego nie mógł znieść.

Wnętrze wypełniał zapach siana, gnoju, kurzu i zimna. W przeszłości ojciec trzymał tu nawet i cztery konie, które jednak spędzały zimę w stajni w miasteczku, gdy na Peregrine nie było nikogo z rodziny. Teraz mieszkał tu jedynie czarny wałach Theo.

Tancerz zarżał cicho i wyjrzał ze swego boksu. Theo nie sądził, że jeszcze kiedykolwiek ją zobaczy, a jednak tu była. W jego domu, w jego życiu, a wraz z nią wracała przeszłość. Poklepał konia po pysku.

– Tylko ty i ja, bracie – powiedział. – Ty i ja... I demony, które nie dają nam spokoju.

Koń odrzucił łeb do tyłu. Theo otworzył drzwi do stajni. Nie może dopuścić, by to się ciągnęło. Musi się jej pozbyć.

Rozdział 5

Samotne noce w domku przerażały Annie od samego początku, ale tej nocy było jeszcze gorzej. W oknach nie było zasłonek, a niewykluczone przecież, że Theo podgląda ją przez teleskop. Zgasiła światło i poruszała się po ciemku, a w łóżku nakryła się kołdrą z głową. Ale w ciemności wspomnienia tego, jak wszystko się zmieniło, powracały jeszcze bardziej natarczywie.

To się wydarzyło niedługo po incydencie z windą kuchenną. Regan albo miała akurat lekcję jazdy konnej, albo siedziała w swoim pokoju i pisała wiersze. Annie przycupnęła na głazach na plaży i wyobrażała sobie właśnie, że jest piękną, zdolną aktorką, grającą główną rolę w bardzo dobrym filmie, gdy nie wiadomo skąd zjawił się Theo. Usiadł koło niej, wyprostował długie nogi wystające z odrobinę za luźnych szortów khaki. Samotny krab maszerował przez plażę między nimi. Theo patrzył w dal, w miejsce, na którym załamywały się fale.

– Annie, przepraszam za to, co się tu działo. Ostatnio jest trochę dziwnie.

A ona, idiotka o miękkim sercu, natychmiast mu wybaczyła.

Od tej pory, ilekroć Regan była zajęta, Theo i Annie spędzali czas razem. Pokazywał jej swoje ulubione zakątki wyspy. Zaczął się jej zwierzać, początkowo z oporami, z czasem – coraz chętniej. Opowiadał, jak bardzo nienawidzi szkoły z internatem, o tym, że pisze do szuflady opowiadania, których nigdy nikomu nie pokaże. Rozmawiali o książkach. Annie wmawiała sobie, że była pierwszą dziewczyną, z którą się zaprzyjaźnił. Pokazała mu swoje rysunki, szkicowane w tajemnicy, żeby Mariah ich nie skrytykowała. I w końcu ją pocałował. Ją. Annie Hewitt, chudą, długą piętnastoletnią brzydulę z wąską twarzą, za dużymi oczami i bardzo kręconymi włosami.

Od tamtej pory spędzali razem każdą chwilę, gdy nie było z nimi Regan. Zazwyczaj zaszywali się w jaskini nad wodą i podczas odpływu pieścili na mokrym piasku. Kiedy dotknął jej piersi przez mokry kostium, myślała, że umrze ze szczęścia. Kiedy zdjął jej staniczek, umierała ze wstydu, bo miała małe piersi i usiłowała zakryć je dłońmi. Odsunął je i głaskał sutki palcami.

Była w niebie.

Wkrótce dotykali się wszędzie. Zsunął jej szorty i wsunął rękę w majteczki. Jeszcze żaden chłopiec jej tam nie dotykał. Wsunął w nią palec, a ona, nabuzowana hormonami, skończyła od razu.

Ona także go dotykała i kiedy po raz pierwszy poczuła wilgoć na dłoni, przestraszyła się, że zrobiła mu krzywdę.

Była zakochana.

A potem wszystko się zmieniło. Nie wiadomo dlaczego, bez powodu, nagle zaczął jej unikać. I upokarzać wobec Regan i Jaycie.

– Annie, nie zachowuj się jak dziecko. Bądź poważna.

Usiłowała porozmawiać z nim w cztery oczy, dowiedzieć się, dlaczego tak postępuje, ale unikał jej. Pewnego dnia znalazła na dnie basenu sześć ukochanych powieści gotyckich.

W słoneczne lipcowe popołudnie, gdy przechodzili przez mostek nad słonym rozlewiskiem, Annie lekko wyprzedzała bliźnięta, Jaycie szła za nimi. Annie usiłowała zaimponować Theo, opowiadając o codziennym życiu na Manhattanie.

– Odkąd skończyłam dziesięć lat, sama jeżdżę metrem i...

– Nie przechwalaj się – burknął Theo. A potem popchnął ją w plecy.

Spadła z mostka, runęła twarzą w zastalą, mętną wodę, szlam wciągał ją coraz głębiej, usiłowała się wydostać, oblepiona kawałkami wodorostów i liści, które czepiały się jej włosów i skóry jak węgorze. Wypluła wodę z ust, usiłowała wytrzeć oczy, ale nic to nie dało. Wtedy zaczęła płakać.

Regan i Jaycie były równie przerażone jak ona. Koniec końców we dwie wyciągnęły ją z rozlewiska. Annie zdarła sobie skórę na kolanie i zgubiła w szlamie skórzane sandały, które kupiła za własne pieniądze. Stała na mostku oblepiona błotem, jak stwór ze starego horroru, z jasnymi smugami łez na twarzy.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Theo przyglądał się jej z kamienną miną.

– Nie lubię, gdy ktoś się przechwala.

Oczy Regan wypełniły się łzami.

– Annie, proszę, nikomu o tym nie mów! Błagam cię. Theo będzie miał kłopoty. Już nigdy więcej tego nie zrobi. Obiecuj jej, Theo.

Theo odszedł, niczego nie obiecując.

A Annie nic nie powiedziała. Nie wtedy. Dopiero dużo, dużo później.

Następnego ranka krążyła po domku, usiłując otrząsnąć się z resztek snu, zanim wyruszy w męczącą drogę do domu Harpów. Zatrzymała się w atelier, z daleka od teleskopu Theo. Mariah rozbudowała domek, żeby pomieścić to przestronne, dobrze oświetlone pomieszczenie. Plamy z farby na podłodze przypominały o niezliczonych malarzach, którzy pracowali tu w minionych latach. Spod sterty pudeł na łóżku w kącie wyglądała czerwona kapa. Koło posłania stały dwa krzesła pomalowane żółtą farbą.

Błękitne ściany, czerwona kapa i żółte krzesła miały przywodzić na myśl Pokój w Arles van Gogha. Na najdłuższej ścianie widniał fresk – iluzjonistyczna wizja

taksówki wbijającej się w okno wystawowe. Annie miała szczerą nadzieję, że akurat ten fresk okaże się niewiele wart, bo nie bardzo sobie wyobrażała, jak wytłumaczyłaby sprzedaż całej ściany.

Pomyślała o matce, tu, w tym pokoju, dopieszczającej artystyczne ego tak, jak nigdy nie dopieszczała ego córki. Mariah uważała, że artystom trzeba schlebiać, ale nie namawiała córki ani do rysowania, ani do aktorstwa, choć Annie uwielbiała i jedno, i drugie.

„Świat to jedno wielkie kłębowisko żmij. Nawet gdybyś miała ogromny talent – a go nie masz – sztuka pożarłaby cię żywcem. Nie chcę tego dla ciebie”.

Dlaczego córką Mariah nie była jedna z tych od urodzenia pyskatek, zadziornych dziewczyn, które mają w nosie, co inni sobie o ich pomyślą? Ona tymczasem urodziła nieśmiałą istotkę z głową w chmurach. A jednak, koniec końców, Annie okazała się silniejsza; to ona wspierała matkę, gdy ta już nie dawała sobie rady sama.

Odstawiła kubek, słysząc dźwięk, do którego nie przywykła – zbliżający się warkot silnika. Przeszła do saloniku i wyjrzała przez okno w idealnym momencie, by zobaczyć, jak na końcu podjazdu zatrzymuje się sfatygowany biały pikap. Drzwiczki otworzyły się i z szoferki wysiadła kobieta, na oko po sześćdziesiątce. Szara puchowa kurka dodawała objętości jej i tak pełnej figurze. Masywne czarne buty zapadały się w śnieg. Na starannie ufryzowanych blond włosach nie miała czapki, natomiast szyję owinęła długim czarno-zielonym szalem. Ponownie zajrzała do szoferki i wyjęła różową torebkę na prezent, z której wysypywała się różowa bibułka.

Annie tak bardzo ucieszył widok kogoś niezwiązanego z domem Harpów, że mało brakowało, a potknęłaby się o malowany chodniczek, biegnąc do drzwi. Otworzyła je tak energicznie, że z dachu zsunął się płat śniegu.

– Barbara Rose – przedstawiła się kobieta z przyjaznym uśmiechem. – Jesteś tu już od prawie tygodnia i pomyślałam sobie, że najwyższy czas sprawdzić, jak dajesz sobie radę. – Ognście czerwona szminka kontrastowała z zimową bledością cery. Kiedy pokonywała kilka stopni na ganek, Annie dostrzegła okruszki tuszu do rzęs pod leciutko podpuchniętymi oczami.

Annie zaprosiła ją do środka, wzięła od niej kurtkę.

– Dziękuję, że wtedy, pierwszego dnia, przysłałaś do mnie męża. Napijesz się kawy?

– Bardzo chętnie. – Pod kurtką miała na sobie obcisłe czarne spodnie i błękitny sweterek. Ściągnęła buty i w ślad za Annie poszła do kuchni, roztaczając wokół zapach kwiatowych perfum. Nie zapomniała o torebce z prezentem. – Każda kobieta na tej wyspie czuje się samotna, ale ty, tutaj, na końcu świata... – Wzruszenie ramion przeszło we wzdrygnięcie. – W takim miejscu aż za wiele

może się wydarzyć.

Nie do końca to, co Annie chciała usłyszeć od rodowitej mieszkanki Peregrine.

Zajęła się parzeniem kawy, Barbara tymczasem rozglądała się po kuchni, podziwiając kolekcję kiczowatych solniczek i pieprzniczek na parapecie, serię czarno-białych litografii na ścianie. Ogarnęła ją nostalgia.

– Co roku w lecie zjawiali się tu różni sławni ludzie, ale ciebie sobie nie przypominam.

Annie włączyła ekspres do kawy.

– Jestem raczej mieszczuchem.

– Peregrine to nieodpowiednie miejsce dla mieszczucha, zwłaszcza w środku zimy. – Barbara lubiła gadać i gdy czekały, aż zaparzy się kawa, paplała o fali mrozów, o tym, jak ciężko jest tutejszym kobietom, zwłaszcza w zimie, gdy mężowie wypływają na połów. Annie zapomniała już, jak skomplikowane są regulacje prawne dotyczące połowu homarów i Barbara tłumaczyła jej wszystko z wyraźną przyjemnością.

– Na Peregrine możemy łowić od początku października do pierwszego czerwca, później mamy turystów. Inne wyspy łowią od maja do grudnia.

– Nie łatwiej łowić w lecie?

– Jasne, choć jeśli chodzi o wyjmowanie pułapek, wiele rzeczy może się zdarzyć, nawet w najlepszą pogodę. A w zimie homary są droższe, więc zimowe łowy też mają swoje zalety.

Annie zaparzyła kawę, nalała jej do kubków i postawiła je na stoliku przy oknie wychodzącym na zatokę. Barbara wręczyła jej różową torebkę i usiadła naprzeciwko niej. Annie wyjęła z paczuszki czarno-biały szal, w taki sam wzór, jak ten na szyi Barbary.

Barbara zgarnęła dłonią okruszki, które zostały na stole po śniadaniu Annie.

– W zimie wiele z nas zabija czas, robiąc na drutach. Kiedy nie jestem zajęta, zaczynam za dużo myśleć. Mój syn mieszka teraz w Bangor. Dawniej widziałam wnuka codziennie, teraz mówię o szczęściu, jeśli uda mi się to raz na kilka miesięcy. – Jej oczy zaszyły mgłą, jakby zbierało jej się na płacz. Wstała gwałtownie, zaniósła okruszki do kuchni. Kiedy wróciła, nadal nie do końca odzyskała panowanie nad sobą. – Moja córka Lisa też przebąkuje coś o wyjeździe. Jeśli do tego dojdzie, stracę dwie wnuczki.

– Przyjaciółka Jaycie?

Barbara skinęła głową.

– Wygląda na to, że pożar w szkole przelał czarę goryczy.

Annie jak przez mgłę przypominała sobie malutki budynek, który pełnił na wyspie rolę szkoły. Stał na wzgórzu nad portem.

– Nie wiedziałam, że był jakiś pożar.

– Tak, na początku grudnia, zaraz po tym, jak przyjechał Theo Harp. Spięcie elektryczne. Szkoła spłonęła na amen. – Nerwowo bębniła w stół czerwonymi paznokciami. – W tej szkole miejscowe dzieciaki uczyły się od pięćdziesięciu lat, póki nie były dość duże, by iść do liceum na stałym łądzie. Na razie, miasto użyczyło szkole starej przyczepy – na nic więcej nie ma funduszy – ale Lisa zarzeka się, że jej córeczki nie będą chodziły do takiej prowizorycznej szkoły.

Annie wcale nie dziwiła się tym, które chciały wyjechać. Życie na takiej małej wysepce jest o wiele bardziej romantyczne w marzeniach niż w rzeczywistości.

Barbara odruchowo bawiła się wąską obrączką z malutkim brylancikiem.

– Nie ja jedna jestem w takiej sytuacji. Synowa Judy Kester wierci mężowi dziurę w brzuchu, żeby przenieśli się do jej rodziców, gdzieś w Vermont, a Tildy...

– Machnęła ręką, jakby nie chciała więcej o tym myśleć. – Jak długo chcesz tu zostać?

– Do końca marca.

– W zimie to kawał czasu.

Annie wzruszyła ramionami. Najwyraźniej mało kto wiedział, jakie warunki musi spełnić, by domek został w jej posiadaniu, i nie widziała powodu, by kogokolwiek o tym informować. Poczuliaby się wtedy, jakby ktoś inny kontrolował jej los, tak jak ona kontrolowała życie swoich kukielek.

– Mój mąż w kółko powtarza, że bym nie wtrącała nosa w nie swoje sprawy – ciągnęła Barbara. – Ale nie miałabym spokoju, gdybym cię nie uprzedziła, że nie będzie tu łatwo samej.

– Dam sobie radę. – Annie powiedziała to takim tonem, jakby naprawdę w to wierzyła.

Zatroskana mina Barbary bynajmniej nie dodawała otuchy.

– Jesteś daleko od miasteczka. Widziałam twój samochód... na naszych drogach jest w zimie do niczego.

Annie zdążyła już dojść do tego wniosku.

Zanim wyszła, Barbara zaprosiła ją na partyjkę bunco.

– Zazwyczaj spotykają się same babcie, ale namówię Lisę. Jest mniej więcej w twoim wieku.

Annie przyjęła zaproszenie. Co prawda nie miała ochoty na grę w bunco, ale chciała pogadać z kimś innym niż jej kukielki, a Jaycie, choć kochana, nie stanowiła jednak fascynującej partnerki w konwersacji.

Theo obudził jakiś dźwięk. Nie senny koszmar, tylko dźwięk, którego nie powinien słyszeć. Otworzył oczy i nasłuchiwał.

Nawet mimo oparów snu szybko zorientował się, co słyszy. Bił zegar w saloniku

na dole.

Trzy... cztery... pięć...

Usiadł gwałtownie. Ten zegar milczał, odkąd jego babka Hildy zmarła ponad sześć lat temu.

Odrzucił koldrę i nasłuchiwał. Bicie zegara, choć stłumione, było dobrze słyszalne. Liczył. Siedem... osiem... I dalej. Dziewięć... dziesięć... W końcu cisza, po dwunastym uderzeniu.

Spojrzał na zegarek przy łóżku. Była trzecia nad ranem. Co, do cholery?

Wstał, zszedł piętro niżej. Choć był nagi, chłód mu nie przeszkadzał. Odpowiadał mu. Wtedy czuł, że żyje.

Rąbek księżycy zaglądał w okno, rzucał na dywan cień więziennych krat. Salonik wypełniał zapach pustki i samotności, ale wahadło w zegarze Hildy poruszało się rytmicznie, tik, tak. Wskazówki pokazywały północ. Na zegarze, który nie chodził od lat.

Co prawda zawodowo miał do czynienia z przestępcami podróżującymi w czasie, ale nie wierzył w moce nadprzyrodzone. Z drugiej strony, przechodził przez ten pokój, zanim poszedł spać, i chyba usłyszałby, że zegar zaczął chodzić. I jeszcze te odgłosy....

To wszystko na pewno ma jakieś logiczne wytłumaczenie, problem w tym, że nie wiedział jakie. Ale będzie miał mnóstwo czasu, by się nad tym zastanowić, bo dzisiaj i tak już nie zaśnie. No trudno. Sen był ostatnio jego wrogiem; okazał się ponurą krainą zamieszkaną przez duchy przeszłości, duchy, które coraz śmielej szczyrzyły kły, odkąd na wyspie zjawiała się Annie.

Droga nie była tak śliska jak osiem dni wcześniej, gdy przyjechała, ale wyboje były tym wyraźniejsze i droga do miasteczka, która zazwyczaj zajmowała kwadrans, pochłonęła jej czterdzieści minut. Wybrała się na kobiecy wieczór i grę w bunco. Jadąc, usiłowała nie myśleć o Theo, ale zawsze czał się na skraju jej świadomości. Od konfrontacji w wieży minęły trzy dni i przez ten czas widziała go jedynie z daleka. Wolałaby, żeby tak zostało, jednak wewnętrzny głos podpowiadał, że nie ma tak łatwo.

Dziękowała losowi za okazję, żeby wyrwać się z domku. Mimo wyczerpujących wędrówek do domu Harpów czuła się już coraz lepiej – w każdym razie fizycznie, choć może jeszcze nie psychicznie. Założyła najlepsze dżinsy i jedną z białych męskich koszul matki. Upięła niesforne włosy w luźny kok, musnęła usta czekoladową szminką, umalowała rzęsy tuszem. Na nic więcej nie było jej stać. Czasami wydawało jej się, że może nie powinna malować rzęs, żeby nie zwracać uwagi na oczy, ale przyjaciółki twierdziły, że jest wobec siebie zbyt krytyczna i że

piwne oczy są jej największym atutem.

Po prawej stronie drogi kamienne nabrzeże wbijało się głęboko w port pełen łodzi do połowu homarów. Miejsce dawnych otwartych wiat, które zapamiętała, zajęły nowe, zamykane hangary. Jeśli choć część rzeczy została po starym, letnicy trzymają w nich pewnie swoje zabawki, leżące pospołu z pułapkami i bojami rybaków.

Po drugiej stronie przycupnęło kilka knajpek i sklep z upominkami, ale wszystko zamknięto na zimę, podobnie jak nieliczne galerie. Przez cały rok otwarty był jedynie ratusz – niewielki budynek z szarej cegły, który służył zarazem jako poczta i biblioteka. Na wzgórzu, za miasteczkiem, wydawało jej się, że widzi nagrobki cmentarza, przytłoczone czapami śniegu. Jeszcze dalej i wyżej, na pagórku z widokiem na morze, pusty, ponury Zajazd Peregrine czekał na maj, który ponownie tchnie w niego życie.

Domki mieszkańców budowano bliżej drogi. W ich ogródkach widziała sterty pułapek na homary, zwoje kabli i stare samochody, które z niewiadomych przyczyn jeszcze nie trafiły na złomowisko na stałym lądzie. Dom państwa Rose wyglądał jak pozostałe – kwadratowy, pokryty dachówką, funkcjonalny. Barbara wpuściła ją do środka, wzięła od niej kurtkę i wprowadziła przez salonik do kuchni, pachnącej dymem drzewnym i kwiatowymi perfumami pani domu.

W oknie nad zlewem widniały miętowozielone zasłonki, przewiązane wstążkami. Nad szafkami z ciemnego drewna wisiały ozdobne talerze. Fotografie przymocowane magnesami do lodówki zdradzały, jak bardzo Barbara jest dumna z wnuków.

Przy kuchennym stole siedziała osiemdziesięciolatka ze śladami dawnej urody i najwyraźniej domieszką indiańskiej i afrykańskiej krwi w żyłach. Towarzyszyła jej jedyna, poza Annie, młoda kobieta w tym gronie – drobniutka brunetka o zadartym nosie, w okularach w czarnych, kwadratowych oprawkach, z włosami obciętymi na pazia. Barbara przedstawiła ją jako swoją córkę, Lisę McKinley. A zatem to jest przyjaciółka Jaycie, która zarazem poleciła ją Cynthii Harp jako gosposię dla Theo.

Annie wkrótce dowiedziała się, że Lisa jest zarazem wolontariuszką prowadzącą lokalną bibliotekę, jak i właścicielką jedynej na wyspie piekarni i kawiarni.

– Piekarnię otwieram dopiero pierwszego maja – zaznaczyła. – A tej gry, bunco, szczerze nie znoszę, ale chciałam cię poznać.

Barbara wskazała wystawę fotografii na lodówce.

– Lisa ma dwie śliczne córeczki. Moje wnuczki. Przyszły na świat tu, na wyspie.

– Sama jestem sobie winna, bo wyszłam za rybaka, zamiast dać nogę z Jimmym Timkinsem, kiedy miałam ku temu okazję – mruknęła Lisa.

– Nie zwracaj na nią uwagi, bardzo kocha męża – zapewniła Barbara i przedstawiła Annie pozostałe kobiety.

– Nie boisz się mieszkać tam tak całkiem sama? – zagadnęła Marie, kobieta o twarzy poranej głębokim bruzdami, które sprawiały, że wydawała się bardzo zgorzkniała. – Zwłaszcza że twoim jedynym sąsiadem jest Theo Harp.

– Ja tam niczego się nie boję – odparła Annie.

Kukielki w jej głowie skręcały się ze śmiechu.

– Napijmy się – zaproponowała Barbara.

– Nie zamieszkałabym tam za żadne pieniądze – orzekła Marie. – W każdym razie póki Theo Harp jest w pobliżu. Regan Harp była taka urocza.

Barbara majstrowała przy kurku w kartonie z winem.

– Marie jest z natury bardzo podejrzliwa. Nie zwracaj na nią uwagi.

Marie nie dawała za wygraną.

– Twierdzę tylko, że Regan Harp była równie dobrą żeglarką jak jej brat. I nie ja jedna uważam, że to dziwne, że wypłynęła w morze, wiedząc, że nadciąga szkwał.

Annie usiłowała to wszystko jakoś sobie poukładać, Barbara tymczasem wskazała jej miejsce przy jednym z dwóch stolików.

– Nie obawiaj się, jeśli nigdy w to nie grałaś. Zasady są dziecinnie proste.

– Bunco to dla nas pretekst, żeby napić się wina i uciec z domu. – Te słowa Judy Kester nie zasługiwały na tak głośny śmiech, ale Judy śmiała się chyba ze wszystkiego. Nie sposób było jej nie lubić, zwłaszcza widząc jej ufarbowaną na rudo czuprynę, która do złudzenia przypominała perukę klauna.

– Na Peregrine nie ma co liczyć na stymulację intelektualną z prawdziwego zdarzenia – rzuciła sucho Lisa. – W każdym razie nie w zimie.

– Nadal jesteś wściekła, że Cynthia Harp nie przyjechała tu zeszłego lata. – Barbara rzuciła kostką.

– Cynthia to moja przyjaciółka – burknęła Lisa. – Nie chcę słyszeć o niej ani jednego złego słowa.

– Na przykład tego, że jest snobką? – Barbara znowu sięgnęła po kostkę.

– Wcale nie jest – odcięła się Lisa. – To, że jest osobą kulturalną, wcale nie znaczy, że jest snobką.

– Mariah Hewitt o wiele lepiej знаła się na kulturze niż Cynthia Harp – zauważyła Marie z kwaśną miną – ale nie patrzyła z góry na wszystkich dokoła.

Mimo żalu, który nadal czuła do matki, Annie zrobiło się ciepło na sercu, gdy usłyszała miłe słowa pod jej adresem.

Nadeszła kolej Lisy. Spojrzała na Annie.

– Zaprzyjaźniłam się z Cynthią, bo mamy podobne zainteresowania.

Annie zaintrygowało, czy dotyczy to także projektowania wnętrz.

– Mini bunco – powiedział ktoś przy sąsiednim stoliku.

Gra okazała się tak prosta, jak to obiecywała Barbara, i Annie z czasem bardziej niż na rozgrywce skupiała się na imionach i charakterach kobiet siedzących przy dwóch stolikach. Lisa uważała się za intelektualistkę. Osiemdziesięcioletnia Louise przyjechała na Peregrine jako panna młoda. Marie była w duszy równie skwaszona jak na twarzy, a Judy Kester była z natury dowcipna i zabawna.

Lisa, miejscowa bibliotekarka z wyboru, szybko skierowała rozmowę na Theo Harpa.

– Ma prawdziwy talent. Niepotrzebnie go marnuje, pisząc takie bzdury jak Sanatorium.

– A mnie się ta książka bardzo podobała – zaprotestowała Judy, której promienne usposobienie odzwierciedlała fioletowa bluzka z napisem: „Najlepsza babcia na świecie”. – Tak bardzo się bałam, że przez tydzień spałam przy zapalonym świetle.

– Co za pisarz pisze tyle o torturach? – Marie wydeła usta. – W życiu nie czytałam czegoś równie obrzydliwego.

– Ta książka sprzedawała się jak świeże bułeczki przede wszystkim przez seks – zauważyła Naomi o ogorzalej twarzy. Zwracała uwagę imponującym wzrostem, czarnymi włosami obciętymi pod garnek i tubalnym głosem. Annie nie zdziwiła się, gdy usłyszała, że ma własny kuter rybacki.

Najmodniej ubrana była właścicielka sklepiku z upominkami i partnerka Naomi w rozgrywce bunco – sześćdziesięcioletnia Tildy z krótkimi jasnymi włosami, w wiśniowym pulowerku z dekoltem w serek i srebrnymi łańcuszkami na szyi.

– Seks rzeczywiście był w tej książce najlepszy – przyznała. – Facet na wyobraźnię, trzeba mu to przyznać.

Choć Lisa była mniej więcej w wieku Annie, okazała się równie purytańska jak Marie.

– Przyniósł wstyd rodzinie. Nie mam nic przeciwko dobrze napisanej scenie erotycznej, ale...

– Ale... – Tildy wpadła jej w słowo – nie lubisz scen, które potrafią rozpalić czytelnika.

Lisa miała dość dystansu do siebie, by się roześmiać.

Barbara rzuciła kostką.

– Nie podobała ci się tylko dlatego, że nie podobała się Cindy.

– Cynthii – poprawiła Lisa. – Nikt nie mówi do niej: Cindy.

– Bunco! – Srebrne kolczyki w uszach Judy podskoczyły energicznie, gdy nacisnęła dzwoneczek na swoim stoliku. Pozostałe jęknęły głośno.

Zmieniły partnerki. Rozmowa zeszała na ceny propanu i coraz częstsze przerwy

w dostawie elektryczności, a potem na połowy. Annie dowiedziała się nie tylko tego, że Naomi ma własny kuter, ale także, że pozostałe kobiety nieraz wypływały w morze u boku mężów. Była to ciężka, niebezpieczna praca – pomagały opróżniać ciężkie pułapki na homary, sortowały połów, zakładały przynętę w pustych klatkach. Gdyby Annie już dawno nie pozbyła się romantycznych złudzeń co do życia na wyspie, teraz straciłaby je i boleśnie wróciła na ziemię.

Głównym tematem była jednak prognoza pogody dla wybrzeża i to, jaki ma wpływ na dostawę żywności. Wielki prom, którym przyплыnęła Annie, zimą kursował tylko raz na sześć tygodni, ale inny, mniejszy statek teoretycznie raz na tydzień zawijał do portu z transportem żywności, pocztą i innymi artykułami pierwszej potrzeby. Niestety, kilkumetrowe fale w zeszłym tygodniu zatrzymały go na stałym lądzie, więc wyspiarze musieli czekać kolejny tydzień na nową dostawę.

– Jeśli któraś ma za dużo masła, chętnie odkupię – zaoferowała Tildy, bawiąc się srebrnym naszyjnikiem.

– Mam masło, ale potrzebne mi jajka.

– Nie mam jajek, mam za to zamrożony chleb cukiniowy.

Tildy przewróciła oczami.

– Wszystkie mamy chleb cukiniowy.

Roześmiały się.

Annie pomyślała o tym, jak mało zostało jej jedzenia, i że musi jakoś lepiej rozplanować zapasy i zamówienia. Właściwie powinna złożyć zamówienie już jutro, chyba że chce do końca pobytu jeść wszystko z puszek. I płacić za to rosnącym długiem na karcie kredytowej...

Judy rzuciła kostką.

– Jeśli w przyszłym tygodniu nie będzie statku, przysięgam, że upiekę świnki morskie moich wnucząt.

– Szcześciara z ciebie, że masz je wszystkie przy sobie – zauważyła Marie.

Nawet pogodna Judy spochmurniała.

– Nie wiem, co zrobię, kiedy wyjadą.

Osiemdziesięcioletnia Louise nie skomentowała tego, natomiast Tildy pochyliła się i poklepała ją po chudym ramieniu.

– Johnny nie wyjedzie, przekonasz się. Prędzej rozwiedzie się z Galeann, zanim jej ulegnie i przeniesie się na stały ląd.

– Mam nadzieję, że masz rację – westchnęła starsza pani. – Boże, naprawdę mam nadzieję, że masz rację.

Wieczór dobiegał końca. Kobiety zakładały kurtki i wtedy Barbara odwołała Annie na bok.

– Posłuchaj, ostatnio dużo o tobie myślałam i uznałam, że muszę cię ostrzec...

Niektórym wydaje się, że tu na wyspie jesteśmy jedną wielką rodziną, ale Peregrine ma swoje ciemne strony.

Jakbym o tym nie wiedziała, pomyślała Annie.

– Nie chodzi mi o Marie i jej obsesję na temat śmierci Regan Harp. Nikt nie podejrzewa, że Theo miał z tym cokolwiek wspólnego. Ale Peregrine to idealne miejsce dla tych, którzy chcą na jakiś czas zniknąć. Rybacy zatrudniają na stałym ładzie pomocników, nie zadając zbyt wielu pytań. Twoja mama kilka razy skarżyła się na włamania. Widziałam tu walki i kłótnie. Ktoś komuś przeciął opony. Zresztą, także wśród stałych mieszkańców nie wszyscy są idealni. Jeśli o jeden raz za dużo nastawisz swoje pułapki na cudzym terenie łowieckim, może się okazać, że cały twój sprzęt wyląduje na morskim dnie.

Annie już miała na końcu języka uwagę, że nie zamierza nastawiać żadnych pułapek, ale Barbara jeszcze nie skończyła.

– Na morzu się nie kończy. Kocham tu prawie wszystkich, ale i my mamy naszych pijaków i nieudaczników. Weźmy męża Jaycie, Neda Graysona. Uważał, że tylko dlatego, że sam jest przystojny, a jego rodzina mieszka na wyspie od pokoleń, wszystko mu wolno.

Zupełnie jak Theo, przemknęło Annie przez głowę.

Barbara poklepała ją po ramieniu.

– Chciałam tylko powiedzieć, że jesteś tu zupełnie sama, odcięta od świata. Nie masz telefonu, pomoc z miasteczka nie dotrze od razu. Miej oczy i uszy szeroko otwarte i bądź czujna.

Co do tego nie muszą się o nią martwić.

Annie wyszła ze spotkania przerażona nie na żarty. Zanim wsiadła do samochodu, dwukrotnie sprawdziła, czy na tylnym siedzeniu nie czai się morderca i cały czas czujnie zerknęła w lusterko. Dotarła jednak cała i zdrowa, nie licząc kilku mniejszych poślizgów i niebezpiecznej chwili, gdy mało brakowało, a straciłaby cały przód na wyboistej drodze. A jednak dała radę i to dodało jej pewności siebie na tyle, by trzy dni później wrócić do miasteczka po książki z biblioteki.

Kiedy weszła do małego pomieszczenia, zobaczyła Lisę McKinley za biurkiem, a jej dwie rudowłose córki biegały po całej sali. Lisa przywitała się z nią i wskazała listę wywieszoną w przeszklonej gablocie:

– To moje sugestie na luty.

Annie przebiegła tytuły wzrokiem. Przywodziły na myśl opasłe, przygnębiające tomiszczą, które kazała jej czytać Mariah.

– Wolę nieco lżejsze lektury – stwierdziła.

Lisa smętnie zwiesiła ramiona.

– Zupełnie jak Jaycie. Kiedy Cynthia tu przyjeżdża, co miesiąc wywieszamy

listę sugerowanych lektur, ale mało kto zwraca na to uwagę.

– Ludzie mają różne gusta.

W tej chwili jedna z córeczek Lisy przewróciła stertę książek i Lisa pobiegła w tamtą stronę.

Annie wyjeżdżała z miasteczka z naręczem powieści i wspomnieniem rozczarowania na twarzy Lisy. W połowie drogi do domu nagle zobaczyła przed sobą głęboką dziurę w nawierzchni.

– Cholera. – W ostatniej chwili nacisnęła hamulec, ale samochód już wpadł w poślizg i znowu wylądowała na poboczu.

Usiłowała sama wydostać się z rowu, ale okazało się to równie mało skuteczne jak wtedy, za pierwszym razem. Wysiadła, żeby się rozejrzeć. Tym razem nie utkwiała tak głęboko, jak poprzednio, ale i tak bez pomocy się nie obejdzie. Tylko skąd ją wziąć? Czy miała w bagażniku zestaw na czarną godzinę albo kilka worków z piaskiem, jak każdy szanujący się wyspiarz? A skąd. Absolutnie nie nadawała się do mieszkania w miejscu, które wymagało samodzielności i niezależności.

Jesteś do niczego – szepnął Leo.

Peter, jej obrońca, tym razem milczał.

Spojrzała na drogę. Wicher, który chyba nigdy nie ustawał, wiał jej w twarz.

– Nienawidzę tej wyspy! – krzyknęła i zaniósła się kaszlem.

Zacząła iść. Było pochmurno, jak zawsze. Czy na tej przeklętej wyspie kiedykolwiek świeci słońce? Wbiła dłonie w rękawiczkach w kieszenie i skuliła ramiona. Woląла nie myśleć o cudownie ciepłej czerwonej czapce, leżącej na podłodze w domku. Zapewne w tej chwili Theo przygląda się jej przez teleskop.

Podniosła gwałtownie głowę, słysząc, jak gałązki pękają pod, jak się domyśliła, kopytami potężnego konia. Ten dźwięk nie pasował do wyspy, zamieszkannej właściwie tylko przez psy i koty. I konia, czarnego jak noc.

Rozdział 6

Koń z jeźdźcem na grzbiecie wyłonił się spomiędzy kępy starych świerków. Na jej widok Theo ściągnął lejce. Poczowała w ustach metaliczny posmak. Była sama, na odludziu, na pustej drodze, oko w oko z mężczyzną, który już kiedyś próbował ją zabić.

I niewykluczone, że nadal chodzi mu to po głowie.

Oj! Oj! – Niemy wrzask Crumpet zlewał się z panicznym biciem serca Annie.

Nie waż się stchórzyć – syknęła Scamp, gdy Theo szedł w jej stronę.

Annie właściwie nie bała koni, ale ten był ogromny i wydawało jej się, że dostrzegła błysk szaleństwa w jego ślepiach. Miała wrażenie, że powraca stary koszmar i mimo słów Scamp cofnęła się o kilka kroków.

Tchórz – szepnęła kukielka w jej głowie.

– Wybierasz się dokądś? – Był ubrany nieodpowiednio na taką pogodę, miał na sobie tylko czarną zamszową kurtkę i rękawiczki. Żadnej czapki i ciepłego szalika na szyi. No, ale przynajmniej wszystko, co miał na sobie, pochodziło z tego stulecia. Nadal nie pojmowała, co właściwie widziała tamtego pierwszego wieczora.

Nie wiadomo dlaczego przypomniały jej się słowa Marie z gry w bunco: „Regan Harp była równie dobrą żeglarką jak jej brat. I nie ja jedna uważam, że to dziwne, że wypłynęła w morze wiedząc, że nadciąga szkwał”.

Zagłuszała niepokój, dopuszczając do głosu ulubioną kukielkę:

– Wybieram się na spotkanie z moimi nowymi przyjaciółkami. Jeśli się nie zjawię, zaczną mnie szukać.

Lekko przechylił głowę.

– Niestety mój samochód wylądował w rowie i chętnie skorzystałabym z pomocy. – Fakt, że była zmuszona prosić go o pomoc, był gorszy niż najstraszniejszy atak kaszlu. Nie mogła tego tak zostawić. – Choć może powinnam poszukać kogoś silniejszego.

Był aż za silny i głupio robiła, drażniąc go.

Przesunął wzrok na jej samochód i wrócił spojrzeniem do niej.

– Nie podoba mi się twój ton.

– Nie tobie pierwszemu.

Jego powieki zatrzepotały, jakby w tiku nerwowym, które, jak sobie wyobrażała, mają wszyscy psychopaci.

– W dziwny sposób prosisz o pomoc.

– Wszyscy mamy swoje dziwactwa. To jak, popchniesz? – Myśl, że odwróci się do niego plecami, przyprawiała ją o dreszcze, a jednak to zrobiła.

Kopyta Tancerza zadudniły na żwirze, gdy Theo podjechał do samochodu. Ciekawe, czy uwierzył już, że dom Harpów jest nawiedzony. Miała nadzieję ze tak. Tik-tak, tik-tak, tik-tak...

– Ujmijmy to tak – odezwał się. – Ja pomogę tobie, a ty mnie.

– Z największą chęcią, ale nie lubię cię zwłok. Tyle kości, rozumiesz. – Cholera! Takie są skutki zadawania się tylko i wyłącznie z kukielkami. Ich osobowości wysuwają się na pierwszy plan.

Nasze osobowości to część ciebie – zauważyła Dilly.

Theo udawał zaskoczenie.

– O co ci chodzi?

Wycofała się.

– Jaką pomoc masz na myśli? – Poza psychiatryczną, ma się rozumieć?

– Chcę wynająć od ciebie domek.

Zatrzymała się w pół kroku. Sama nie wiedziała, czego się spodziewała, ale nie tego.

– A gdzie ja mam się zatrzymać?

– Wracaj do Nowego Jorku. Nie pasujesz tutaj. Wynagrodzę ci to.

Naprawdę myślał, że jest taka głupia? Wbiła ręce w kieszenie kurtki.

– Naprawdę masz mnie za idiotkę?

– Nigdy tak nie uważałem.

Przyspieszyła kroku, ale nadal zachowywała bezpieczną odległość.

– Niby dlaczego miałabym się stąd ruszyć przed upływem sześćdziesięciu dni?

Spojrzał na nią, początkowo ze zdziwieniem, jakby nie wiedział, o czym mówi, a potem niespokojnie, jakby nagle sobie przypomniał.

– Och. Zapomniałem o tym.

– Jasne. – Zatrzymała się. – Dlaczego chcesz wynająć domek? W domu Harpów masz aż nadto pomieszczeń.

Cedził słowa zupełnie jak Leo.

– Żeby uciec od tego wszystkiego.

Sprałbym go dla ciebie na kwaśne jabłko – zaoferował Peter niepewnie. – Tylko że jest strasznie wielki.

Theo zmierzył wzrokiem jej samochód, zsiadł z konia, przywiązał Tancerza do drzewa po drugiej stronie drogi.

– Taki samochód jest tutaj do niczego. Powinnaś zdawać sobie z tego sprawę.

– Ależ oczywiście, zaraz sobie kupię nowy.

Spojrzał na nią przeciągle, otworzył drzwiczki, wsiadł do środka.

– Popchnij.

– Ja?

– Przecież to twój samochód.

Dupek. Nie miała na coś takiego dość siły, o czym wiedział doskonale, ale i tak kazał jej pchać i co chwila wykrzykiwał polecenia. Dopiero kiedy zaniósła się kaszlem, ustąpił jej miejsca za kierownicą, sam pchnął i kia wyrwała się z zasy przy pierwszej próbie.

Annie była cała upaprana i spocona, a on nawet nie ubrudził sobie rąk. Z drugiej strony, nie zaciągnął jej też między drzewa i nie poderżnął jej gardła, nie miała więc powodów do narzekania.

Nadal myślała o swoim spotkaniu z Theo, gdy następnego dnia powiesiła kurtkę i plecak przy drzwiach kuchennych domu Harpów i zmieniła buty na adidasy. To, że nie usiłował zrobić jej krzywdy w sensie fizycznym, wcale nie oznaczało, że nie spróbuje tego w przyszłości. Z tego, co wiedziała, nie zaatakował jej tylko dlatego, że nie chciał, by policja zakłóciła mu spokój, pytając o kobiece zwłoki wyrzucone na brzeg.

Zupełnie jak Regan... odepchnęła tę myśl od siebie. Regan była jedyną osobą, na której mu kiedykolwiek zależało.

Skręciła za róg, do kuchni, i zobaczyła Jaycie, siedząca nieruchomo przy stole. Jak zawsze miała na sobie džinsy i bluzę – Annie nigdy nie widziała jej w innym stroju – choć te ciuchy nigdy jej specjalnie nie pasowały. Jacie powinna nosić zwiewne letnie sukienki i w wielkich okularach słonecznych prowadzić czerwony kabriolet gdzieś w Alabamie.

Annie postawiła laptop na stole kuchennym. Jaycie stwierdziła smutno, nie patrząc na nią:

– To już koniec.

Oparła łokcie na stole, palcami masowała skronie.

– Dzisiaj rano przysłał mi esemesa, po powrocie z przejażdżki. Powiedział, że wybiera się do miasta, a gdy wróci, musimy porozmawiać, bo chyba czas na nowy układ.

Annie stłumiła odruch, by wygłosić długą przemowę.

– To niekoniecznie oznacza, że chce cię zwolnić. – Ależ owszem, właśnie tak.

Jaycie w końcu spojrzała na nią zza długich jasnych włosów opadających jej na policzki.

– Przecież i tak obie wiemy, że to zrobi. Na kilka dni mogę zatrzymać się u Lisy, ale potem? Moja mała... – skrzywiła się boleśnie. – Livia i tak już tyle przeszła.

– Porozmawiam z nim. – Było to co prawda ostatnie, na co miała ochotę, ale nie

przychodził jej do głowy inny sposób, by choć trochę pocieszyć Jaycie. – Nadal jest w miasteczku?

Jaycie skinęła głową.

– Zawiózł odpady do odzysku, bo ja nie mogłam tego zrobić. Właściwie wcale mu się nie dziwię, że chce się mnie pozbyć. Nie mogę robić tego, do czego mnie zatrudniono.

Annie owszem, dziwiła mu się, i nie podobał jej się miękki smutek w oczach Jaycie. Czyżby nadal pociągali ją okrutni mężczyźni?

Jaycie wstała, sięgnęła po kule.

– Zajrzę do Livii.

Annie miała ochotę sprawić mu ból. I to teraz, gdy go nie ma w domu. Zmusić go do powrotu na stały ląd. Wyjęła butelkę z lodówki i poszła na górę. Weszła do wieży przez drzwiczki na piętrze, zajrzała do łazienki. Obok kabiny prysznicowej wisiał wilgotny ręcznik.

Umywalka wyglądała, jakby ktoś wytarł ją starannie po porannym goleniu. Odwróciła butelkę ketchupu, którą przyniosła ze sobą, i wycisnęła kilka kropli na dłoń. Nie za dużo, tylko troszeczkę. Rozstawiła palce i musnęła nimi lewy dolny róg lustra, zostawiając ledwie widoczną czerwoną smugę. Nic, co specjalnie rzucałoby się w oczy, tylko coś, co może, ale nie musi przypominać krwawy odcisk. Tak delikatny, że Theo będzie się zastanawiał, czy po prostu rano go nie zauważył, a jeśli nie, to co właściwie się tu wydarzyło, że na lustrze widnieje krwawy ślad.

Oczywiście wolałaby wbić mu nóż w poduszkę, ale gdyby posunęła się za daleko, przestałby podejrzewać duchy, a zaczął szukać prawdziwego sprawcy – czyli jej. Chciała, żeby zaczął powątpiewać w swoją poczytalność, a nie wszczynął dochodzenie. Liczyła, że zasiała pierwsze ziarna, uruchamiając stary zegar jego babki.

Wróciła wtedy do domu Harpów w środku nocy, choć bardzo się bała tej wyprawy. Jednak było warto. Poprzedniego dnia upewniła się, czy drzwi prowadzące do wieży nie skrzypią. Nie skrzypiały i nikt nie miał pojęcia, że tam jest, gdy wchodziła do środka tuż przed drugą nad ranem. Bez trudu wślizgnęła się do saloniku, podczas gdy Theo spał na piętrze. Odsunęła zegar na tyle, by zwinnie wsunąć nową baterię w miejsce starej, którą uprzednio wyjęła. A potem nastawiła go tak, żeby wybił północ, ale dopiero wtedy, gdy sama zdąży już wrócić do domku. Genialnie proste.

Ale to wspomnienie nie poprawiło jej humoru. Po tym wszystkim, co zrobił, jej wygłupy to tylko szczeniackie kawały. Musi podnieść stawkę, nie wiedziała tylko, jak się do tego zabrać, nie ujawniając się.

Usłyszała coś za sobą. Odwróciła się gwałtownie, wstrzymując oddech.

Znowu ten czarny kot.

– O Boże... – Osunęła się na kolana. Kot przyglądał się jej złotymi ślepiami. – Jakim cudem się tu dostałeś? Zwabił cię? Musisz się trzymać od niego z daleka. Nie przychodź tutaj.

Kot odwrócił łebek i wbiegł do sypialni Theo. Ruszyła za nim, ale schował się pod łóżkiem. Położyła się na brzuchu i usiłowała przekonać go, żeby wyszedł.

– Chodź do mnie, kotku. Kici, kici.

Kot ani drgnął.

– Karmi cię? – domyśliła się. – Nie jedz niczego, co od niego dostaniesz. Nie masz pojęcia, czym faszeruje twój whiskey.

Kot cały czas ignorował jej wysiłki. Czowała, jak narasta w niej frustracja.

– Głupi kot! Przecież ja tylko chcę ci pomóc!

Kot wbił pazury w dywan, przeciągnął się i ziewnął jej w twarz.

Wyciągnęła rękę. I wtedy kot uniósł głowę i nagle ruszył w jej stronę. Wstrzymała oddech. Kot podszedł do jej ręki, obwąchał i zaczął oblizywać jej palce.

Kot, który uwielbia ketchup.

Póki miała ketchup na palcach, kot pozwolił wziąć się na ręce i znieść na dół, do głównej części domu. Jaycie nadal bawiła się z Livią, więc nikt nie widział, jak Annie z najwyższym trudem upchnęła rozjuszzonego zwierzaka do kosza piknikowego, który znalazła w spiżarni. Kot wył jak syrena policyjna przez całą drogę do domku.

Kiedy dotarli na miejsce, jej nerwy były w strzępach, a ramiona pokrywały krwawe pręgi.

– Uwierz mi, mnie też się to nie podoba. – Uniosła wieko koszyka. Kot wyskoczył, wygiął grzbiet i syknął gniewnie.

Nalała wody do miseczki. Sterta gazet przy drzwiach musiała mu wystarczyć za kuwetę. Dzisiaj nakarmi go ostatnią puszką tuńczyka, którą sama miała zjeść na kolację.

Chciało jej się spać, ale jak idiotka obiecała Jaycie, że porozmawia z Theo. Wracając na wzgórze, opatulona szalem, zastanawiała się, ile jeszcze czasu musi to robić, zanim spłaci dług wobec Jaycie.

Wolne żarty. Przecież dopiero co zaczęła.

Najpierw poczuła dym, dopiero po chwili zobaczyła słup unoszący się z garażu, za którym stały beczki ze śmieciami. Jaycie nie dałaby rady pokonać oblodzonej ścieżki, a zatem to Theo wrócił z miasteczka i zaspakajał swoją chorą fascynację ogniem.

Tamtego lata zawsze miał zapas drewna powyżej linii przyptywu, żeby w dowolnej chwili mogli rozpalić ognisko.

– Patrząc w płomienie, widzisz przyszłość – mawiał. Ale któregoś dnia Annie widziała go samego na plaży, jak wrzucał coś do ognia. Zdawało jej się, że to kawałek drewna, dopiero kiedy dostrzegła plamę fioletu, zorientowała się, że był to ukochany zeszyt Regan, w którym pisała swoje wiersze.

Tamtej nocy słyszała, jak klócili się w pokoju Theo.

– Zrobiłeś to! – krzyczała Regan. – Wiem doskonale, że to zrobiłeś! Dlaczego jesteś taki okrutny?

Odpowiedzi Theo nie słyszała – zagłuszyła ją klótnia Elliotta i Mariah u stóp schodów.

Kilka tygodni później zniknął ukochany obój Regan. Po jakimś czasie jeden z gości wypatrzył jego zwęglone resztki w kontenerze ze śmieciami. Czy naprawdę tak trudno sobie wyobrazić, że w jakiś sposób przyczynił się do śmierci Regan?

Annie najchętniej cofnęłaby obietnicę, że z nim porozmawia, jednak dzielnie skręciła za róg. Jego kurtka leżała na zwalonym pniu, miał na sobie tylko dzinsy i szarą bluzę z długim rękawem. Podchodząc bliżej, uświadomiła sobie, że konfrontacja teraz, gdy dopiero co przyszła z domku, jest jej na rękę. Theo nie wiedział, że jest tu już po raz drugi, a więc nie będzie mógł podejrzewać jej o krwawy odcisk na lustrze. Jaycie nie dałaby sobie rady na schodach, Livia była za niska. A zatem zostawał tylko wrogo nastawiony gość z zaświatów.

Nad beczką wybuchła kaskada iskier. Theo, widziany z tej perspektywy, zza ognistej kurtyny, czarnowłosa, o ostrych, regularnych rysach i mroku w niebieskich oczach – wyglądał jak diabelski pomocnik w zimowej scenerii.

Zacisnęła dłonie w kieszeni kurtki i weszła w krąg światła.

– Jaycie mówi, że ją zwolnisz.

– Tak? – Podniósł kawałek kości z kurczaka.

– W zeszłym tygodniu powiedziałam ci, że będę jej pomagać, i robię to. W domu jest czysto, masz co jeść.

– O ile to, czym mnie karmicie, można w ogóle nazwać jedzeniem. – Cisnął kości do ognia. – Świat to nieprzyjazne miejsce dla osoby o tak miękkim sercu jak ty.

– Lepsze miękkie niż żadne. Nawet gdybyś wypłacił jej sowitą odprawę, na ile jej to wystarczy? Przecież to nie tak, że może przebierać w posiadach. A znacie się od lat.

– Dzisiaj rano musiałem sam zawieźć odpady do miasta. – Podniósł garść skórek od pomarańczy.

– Ja mogłam to zrobić.

– Jasne. – Cisnął skórki do ognia. – Wszyscy wiemy, jak ci się udała wczorajsza wyprawa.

– Wypadek przy pracy. – Powiedziała to z kamienną twarzą, śmiertelnie

poważnym głosem.

Przyglądał się jej; widział zapewne czerwone policzki i niesforne włosy wysypujące się spod czerwonej wełnianej czapki. Nie podobało jej się to, jak na nią patrzył. Nie groźnie, raczej tak, jakby naprawdę ją widział. Całą ją. Jej rany i blizny, czułe punkty, i nawet... usiłowała odepchnąć od siebie tę myśl... nawet najbardziej skrywane tajemnice.

Zamiast gniewu i obrzydzenia, które powinna poczuć pod jego spojrzeniem, zapragnęła nagle usiąść razem z nim na zwałonym pniu i wszystko mu opowiedzieć, jak wtedy, gdy miała piętnaście lat. Dokładnie tak samo zwabił ją za pierwszym razem. Nienawiść wezbrała gorzką falą.

– Dlaczego spaliłeś zeszyt z wierszami Regan?

Płomienie strzeliły wysoko.

– Nie pamiętam.

– Zawsze stała w twojej obronie. Choćbyś zrobił najgorszą rzecz, zawsze cię broniła.

– Bliźnięta są dziwne. – Niemal wycedził te słowa i tak bardzo przypominał jej Leo, że się wzdrygnęła. – Wiesz co? – dodał. – Może coś wymyślimy.

Wyrachowanie w jego oczach sugerowało, że planuje kolejną pułapkę.

– Nie ma mowy.

Wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy. – Cisnął do ognia worek śmieci. – Idę porozmawiać z Jaycie.

Pułapka zatrasnęła się.

– Wcale się nie zmieniłeś! Czego chcesz?

Skierował na nią swoje diabelskie spojrzenie.

– Chcę korzystać z domku.

– Nie wyjadę z wyspy – zastrzegła. Polanę wypełnił ostry zapach palonego plastiku.

– Nie ma sprawy. Jest mi potrzebny za dnia. – Rozgrzane powietrze między nimi zniekształcało mu rysy. – W ciągu dnia możesz przebywać w domu Harpów. Masz tam wifi, możesz robić, co chcesz. Wieczorem zamieniamy się miejscami.

Nastawił pułapkę i klamka zapadła. Czy on w ogóle kiedykolwiek sugerował, że zwolni Jaycie, czy był to wniosek, do którego same pochopnie doszły? Rozważając ewentualność, że zaplanował to wszystko tylko po to, żeby zmusić ją, by postąpiła, jak chciał, dostrzegła coś jeszcze.

– To ty przebywałeś w domku, zanim przyjechałam. To była twoja kawa. I gazeta.

Cisnął do beczki ostatni worek ze śmieciami.

– I co z tego? Twoja matka nigdy nie miała nic przeciwko.

– Mojej matki już nie ma – ucięła. Przypomniała sobie datę na znalezionej

gazecie – kilka dni przed jej przyjazdem. – Wiedziałaś, kiedy przyjeżdżam. Jak wszyscy na wyspie. Ale kiedy dotarłam na miejsce, wszystko było wyłączone, i prąd, i woda. Celowo.

– Nie chciałem, żebyś została.

Nie okazał nawet cienia skruchy, ale też nie miał co liczyć na odznakę za szczerłość.

– Co takiego jest w tym domku?

Sięgnął po kurtkę leżącą na pniu.

– Nie jest domem Harpów.

– Ale skoro tak bardzo nie znosisz tego miejsca, co tu robisz?

– Mógłbym zadać ci to samo pytanie.

– Ja nie mam wyboru. – Naciągnęła czapkę na uszy. – Czego o tobie nie można powiedzieć.

– Nie? – Założył kaptur i ruszył w stronę domu.

– Zgadza się pod jednym warunkiem – zawołała za nim, choć i tak wiedziała, że nie ma żadnej karty przetargowej. – Kiedy tylko zechcę, mogę korzystać z range rovera.

Nie zwolnił kroku.

– Kluczyki wiszą przy tylnych drzwiach.

Przypomniała sobie bieliznę porozrzucaną po całej sypialni i książkę z pornograficzną fotografią artystyczną na środku kanapy. I do tego jeszcze ten kot.

– Dobrze, ale dopiero od jutra. Rano przyniosę ci klucze.

– Nie ma potrzeby, mam swoje. – Po kilku krokach zniknął za rogiem stajni.

Annie uległa szantażowi, ale też coś na tym ugrała. Nie dość, że miała do dyspozycji porządny samochód, nie musiała się też obawiać, że wpadnie na Theo w ciągu dnia. Ciekawe, czy już wypatrzył krwawy odcisk na lustrze. Szkoda, że nie mogła słyszeć jego krzyków.

Może dzisiaj wydrapie na drzwiach do wieży ślady pazurów. Ciekawe, jak sobie to wytłumaczy.

Weszła do środka i zastała Jaycie przy stole, sortującą czyste pranie. Livia układała puzzle na podłodze. Po raz pierwszy zainteresowała się Annie, która uśmiechnęła się i w myślach upomniała, że jeszcze tego samego dnia musi przyprowadzić Scamp.

Podeszła do stołu, żeby pomóc przy sortowaniu.

– Rozmawiałam z Theo. Nie musisz się martwić.

Oczy Jaycie rozbłysły.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Annie z namysłem składała ręcznik kąpielowy. – I od tej pory to ja będę załatwiała sprawy w miasteczku, więc mów, co trzeba zrobić.

– Powinam bardziej w niego wierzyć – dodała Jaycie niemal bez tchu. – Jest dla mnie taki dobry.

Annie ugryzła się w język. Z całej siły.

Przez dłuższy czas pracowały w milczeniu. Annie zajęła się pościelą i ręcznikami, żeby nie dotykać jego rzeczy. Jaycie nie spieszyła się, składając jego bokserki. Gładziła palcami miękki materiał.

– Pewnie były bardzo drogie.

– Zadziwiające, że tak delikatny materiał zdoła wytrzymać napór tylu spragnionych kobiecych dłoni. – Że już nie wspomni o innej części ciała...

Jaycie potraktowała jej słowa poważnie.

– Nie sądzę, żeby było wiele tych dłoni. Jego żona zmarła rok temu, a w pobliżu jesteście tylko ty, ja i Livia.

Annie spojrzała na małą. Ze zmarszczonym czołem, w wielkim skupieniu, Livia układała puzzle na podłodze. Rozwijala się jak normalna czterolatka, Annie słyszała też, jak nuci sobie pod nosem, więc struny głosowe miała w porządku. Dlaczego więc nie mówi? To nieśmiałość czy coś więcej? Nieważne; fakt, że nie mówiła, sprawiał, że była bardziej niż inne dzieci narażona na ciosy.

Livia ułożyła całe puzzle i wyszła z kuchni. Annie uznała, że spędza z nimi za dużo czasu, żeby nie znać prawdy o małej.

– Widziałam, jak Livia pisała cyferki. Jest bystra.

– Niektóre jeszcze pisze odwrotnie – mruknęła Jaycie, ale widać było, że jest dumna z córeczki.

Annie nie przychodziło do głowy nic innego, niż nazwać sprawę po imieniu.

– Nigdy nie słyszałam, żeby mówiła. Może rozmawia z tobą, kiedy mnie tu nie ma.

Jaycie zacisnęła usta.

– Ja też późno zaczęłam mówić.

Zdecydowanie w jej głosie sugerowało, że nie życzy sobie dalszej rozmowy na ten temat, ale Annie nie poddawała się tak łatwo.

– Posłuchaj, nie chcę się wtrącać, ale uważam, że powinnam wiedzieć więcej.

– Nic jej nie będzie. – Jaycie dźwignęła się z trudem. – Jak myślisz, zrobić Theo krokiety na kolację?

Annie wolała nie myśleć, co Theo powie na jej krokiety.

– Jasne. – Zebrała się w sobie, żeby poruszyć inny, jeszcze bardziej drażliwy temat. – Jaycie, moim zdaniem powinnaś zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby Theo nigdy więcej nie znalazł się w pobliżu Livii.

- Wiem, był wściekły z powodu stajni.
- Nie chodzi tylko o stajnię. On jest... nieprzewidywalny.
- Jak to?

Nie mogła otwarcie zarzucić mu, że chce coś zrobić Livii, zwłaszcza że nie wiedziała, czy to prawda, nie mogła też jednak zignorować tej możliwości.

– On... nie umie obchodzić się z dziećmi. A dom Harpów to nie jest najbezpieczniejsze miejsce dla czterolatki.

– Annie, nie jesteś stąd, więc nie wiesz, jak wygląda nasze życie. – W głosie Jaycie pojawiła się ledwie wyczuwalna nuta wyższości. – Nasze dzieciaki nie są rozpieszczane. Kiedy miałam osiem lat, taszczyłam ciężkie pułapki na homary. Nie ma tu chyba dzieciaka, który w wieku dziesięciu lat nie umiałby jeździć samochodem. Tu jest inaczej niż na stałym lądzie. Dzieciaki z Peregrine uczą się niezależności. I dlatego tak bardzo cierpię, nie wypuszczając jej na dwór.

Annie nie sądziła, by te wszystkie niezależne dzieciaki z Peregrine były niemowami. Ale z drugiej strony nie wiedziała też, czy Livia nie rozmawia z matką podczas jej nieobecności i może niepotrzebnie zawraca sobie tym wszystkim głowę. Theo wydał się naprawdę przejęty myślą, że Livii może się coś stać w stajni.

Segregowała ściereczki.

- Theo chciałby w ciągu dnia korzystać z domku.
- Tak, póki nie przyjechałaś, sporo tam pracował.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś?
- Myślałam, że wiesz.

Już miała powiedzieć, że przecież Theo ma gabinet na wieży, ale przypomniała sobie, że Jaycie nie wie, że tam była. Był jeden sposób, by pogodzić się z myślą, że dla niego pracuje – powtarzać sobie, że wcale tak nie jest, że tak naprawdę splaca dług wdzięczności wobec Jaycie.

Kiedy w końcu uporała się z bielizną i wszystko czekało w koszyku, aż zabierze go na górę podczas nieobecności Theo, zaniósła laptop do pomieszczenia, które dawniej było uroczym pokojem słonecznym, a teraz, wyłożone grubym bordowym dywanem, z ciemną boazerią na ścianach, przypominało gabinet Draculi. Dobrze chociaż, że z okna rozciągał się widok na ocean, nie jak z gabinetu Elliotta. Usiadła w głębokim skórzanym fotelu, stojącym naprzeciwko drzwi na werandę, za którą rozciągał się ocean, dzisiaj ołowianoszary, zwieńczony białymi grzywami fal.

Otworzyła katalog, w którym inwentaryzowała zawartość domku i zabrała się do pracy. Miała nadzieję, że tym razem pójdzie lepiej i nie utkwi w martwym punkcie. Udało jej się namierzyć większość artystów, których dzieła znajdowały się w domku. Autor fresku na ścianie atelier wykładał na uniwersytecie. Nigdy nie

wyrobił sobie nazwiska jako twórca, więc przynajmniej nie będzie musiała zawracać sobie głowy sprzedażą ściany. Czarno-białe litografie wiszące w kuchni były warte kilkaset dolarów. R. Connor, autor drzewa do góry nogami, sprzedawał swoje dzieła na targach za niewygórowane kwoty, a zważywszy na prowizję marszanda, zarobił tyle co nic.

Wpisała w wyszukiwarce nazwisko Theo. Już nieraz to robiła, teraz jednak dodała jeszcze jedno słowo: żona.

Znalazła tylko jedno wyraźne zdjęcie, zrobione półtora roku wcześniej, na gali dobroczynnej na rzecz orkiestry filadelfijskiej. Theo wygląda, jakby urodził się we fraku, jego żona – podpis głosił, że nazywała się Kenley Adler Harp – pasowała do niego idealnie: patrycjuszowska piękność o delikatnych rysach i długich ciemnych włosach. Było w niej coś znajomego, ale Annie nie potrafiła określić, co dokładnie.

Jeszcze trochę szperania i trafiła na jej nekrolog. Zmarła rok temu, w lutym, tak jak mówiła Jaycie. Była o trzy lata starsza od Theo. Miała licencjat z Bryn Mawr i MBA z Dartmouth, a więc nie tylko piękna, ale i mądra. Pracowała w finansach. Zostawiła męża, matkę i kilka ciotek. Niezbyt liczna rodzina. W nekrologu nie podano przyczyny śmierci.

Dlaczego wydawała się znajoma? Ciemne włosy, regularne rysy... I nagle zrozumiała. Tak mogłaby wyglądać Regan Harp, gdyby dożyła tego wieku.

Stukanie kul wyrwało ją z posepnej zadumy. W progu stanęła Jaycie.

– Nie ma Livii. Znowu się wymknęła.

Annie odłożyła laptop.

– Pójdę po nią.

Jaycie oparła się o framugę.

– Nie wymykalaby się, gdybym choć raz na jakiś czas mogła z nią wyjść. Zdaję sobie sprawę, że nie powinnam ciągle trzymać jej w domu. Boże, jestem okropną matką.

– Jesteś cudowną matką, zresztą świeże powietrze dobrze mi robi.

Świeże powietrze było ostatnią rzeczą, na którą Annie miała ochotę. Miała dosyć wiatru smagającego ją po twarzy, dosyć napięcia w mięśniach obolałych od ratowania kotów i wspinania się do domu Harpów dwukrotnie w ciągu jednego dnia. Ale przynajmniej czuła, że wracają jej siły.

Uśmiechnęła się do Jaycie z otuchą i poszła do kuchni, żeby się ubrać. Przez chwilę patrzyła na swój plecak i zdecydowała, że czas wypuścić z niego Scamp.

Livia tkwiła pod gałęziami ulubionego drzewa. Śnieg przy pniu stopniał. Mała siedziała po turecku na ziemi i bawiła się szyszkami, ruszając nimi jak lalkami.

Annie wsunęła Scamp na rękę, ułożyła różową spódniczkę tak, że opadała miękkimi falami. Livia udawała, że nie widzi, jak do niej podchodzi. Annie

przysiadła na kamiennym progu koło drzewa, oparła łokieć na kolanie i oddała głos Scamp:

Pst! Pst!

P to spółgłoska, której brzechomówcy amatorzy z zasady unikają, podobnie jak głosek m, b, f, q, v, w – wszystkich, których wymówienie wymaga ruchu warg. Jednak Annie miała za sobą lata praktyki i nawet dorośli nie orientowali się, że zamiast p posługuje się zmiękczoną wersją t.

Livia podniosła główkę. Wbiła wzrok w kukielkę.

Jak ci się podoba mój strój? – Scamp podskakiwała radośnie, eksponując kolorowe rajstopy i bluzkę z gwiazdą na piersi. Ruch to kolejna sztuczka, by odwrócić uwagę widowni od problematycznych dźwięków. Na przykład takich, jak n zamiast m.

Scamp odrzuciła włóczkowe włosy.

Szkoda, że nie założyłam dzinsów w panterkę, Spódniczka mi przeszkadza, kiedy chcę fiknąć salto albo poskakać na jednej nodze. Ty oczywiście nie masz o tym pojęcia, bo jesteś za mała, żeby tak skakać.

Livia pokręciła głową.

– Nie jesteś?

Energiczny ruch głową. Livia wygramoliła się spod gałęzi, ugięła jedną nogę i zaczęła niezdarnie skakać na drugiej.

Fantastico! – Scamp klasnęła w szmaciane rączki. – A umiesz dotknąć swoich palców u nóg?

Livia kucnęła i dotknęła paluszków, aż jej ciemne włosy musnęły śnieg.

I tak przez dłuższy czas Scamp urządziła małej prawdziwą gimnastykę. W końcu, gdy Livia kilkakrotnie obiegała świerk, a Scamp cały czas poganiała, by biegła szybciej, lalka stwierdziła:

Jesteś bardzo wysportowana jak na kogoś, kto ma dopiero trzy lata.

Livia zatrzymała się w pół kroku. Łypnęła groźnie na Scamp i z ponurą miną uniosła cztery paluszki.

Och, przepraszam – sapnęła Scamp. – Myślałam, że jesteś młodsza, bo nie umiesz mówić.

Annie odetchnęła z ulgą, widząc, że Livia jest nie tyle zawstydzona, co urażona. Scamp przechyliła głowę, aż pomarańczowy lok opadł jej na oko.

Pewnie trudno jest nic nie mówić. Ja gadam ciągle. Gadu, gadu, gadu, gadu. Uważam, że jestem fascynująca. Chyba się ze mną zgodzisz, co?

Livia skinęła główką.

Scamp spojrzała w niebo, jakby się nad czymś zastanawiała.

Czy wiesz, co to jest... supersekret?

Livia pokręciła przecząco głową, wpatrzona w Scamp, jakby Annie w ogóle tu

nie było.

Uwielbiam supersekrety – wyznała lalka. – Jeśli powiem: super sekret, mogę wyznać ci wszystko, a ty nie możesz się na mnie gniewać. Czasami bawię się w to z Annie i mówię ci, powiedziała mi takie rzeczy... na przykład kiedyś to ona złamała moją ukochaną fioletową kredkę. – Scamp odrzuciła głowę do tyłu, otworzyła szeroko usta i krzyknęła: – Supersekret!

Livia szeroko otworzyła oczy z wrażenia.

Ja pierwsza! – zastrzegła Scamp. – I pamiętaj, nie możesz się na mnie pogniewać, kiedy ci powiem. Ja też się na ciebie nie pogniewam, dobra? – Scamp schyliła głowę i wyznała cicho: – Mój supersekret jest taki... Początkowo cię nie lubiłam, bo masz takie ładne brązowe włosy, a ja tylko pomarańczowe. Zazdrościłam ci. – Spojrzała w górę. – Jesteś zła?

Livia pokręciła głową.

To dobrze. – Czas przekonać się, czy Livia zaakceptuje więź między lalką a brzuchomówcą. Annie udała, że mówi coś Scamp na ucho.

Scamp spojrzała na nią.

Naprawdę musimy, Annie?

Annie odezwała się po raz pierwszy.

– Naprawdę musimy.

Scamp z westchnieniem spojrzała na Livię.

Annie mówi, że musimy wracać do domu.

Livia podniosła szyszki i wstała.

Annie zawahała się, a potem Scamp pochyliła się do małej i dodała scenicznym szeptem:

Annie mówi też, że gdybyś była sama i zobaczyła Theo, masz biegiem wracać do mamy, bo on nie ma pojęcia o dzieciach.

Livia biegła do domu i Annie nie wiedziała, co o tym myśleć.

Ściemniło się, gdy Annie wyszła z domu Harpów, ale tym razem nie wędrowała do siebie, uzbrojona jedynie w latarkę i bujną wyobraźnię. Nie, tym razem zdjęła z haczyka kluczyki do range rovera Theo i pojechała samochodem.

Przy domku nie było garażu, tylko miejsce parkingowe z boku. Zostawiła tam samochód, weszła tylnymi drzwiami, zapaliła światło.

Ktoś zdemolował jej kuchnię.

Rozdział 7

Annie ogarnęła wzrokiem pobojuwisko. Powyciągane szuflady, których zawartość – sztucce, ścierki, puszki i pudełka – poniewierały się na podłodze. Upuściła plecak. Całą podłogę pokrywała zawartość przewróconego kosza na śmieci – serwetki, plastikowe opakowania i paczka makaronu. Kiczowate pieprzniczki i solniczki Mariah nadal stały na parapecie, ale durszlaki, miski i książki kucharskie poniewierały się pośród rozsypanego ryżu.

Wróciła wzrokiem do ciemnego saloniku i poczuła mrowienie na karku. A co, jeśli ktoś nadal tu jest? Wyszła tymi samymi drzwiami, którymi weszła, uciekła do samochodu i zatrasnęła za sobą drzwiczki.

Wnętrze wypełniał jej głośny oddech. Nie miała jak zadzwonić pod 112. Nie miała pomocnych sąsiadów, do których mogła uciec. Co robić? Jechać do miasteczka po pomoc? I kto niby jej pomoże na tej zapomnianej wysepce bez prawa i bez policji? W razie poważnego przestępstwa zjawiali się policjanci ze stałego lądu.

Bez policji, bez straży obywatelskiej... choć mapy twierdziły co innego, Annie najwyraźniej zostawiła stan Maine za sobą, a zamieszkała w stanie anarchii.

Miała jeszcze jedną możliwość – mogła wrócić do domu Harpów. Było to jednak ostatnie miejsce, w którym szukałaby pomocy. I pomyśleć, że wydawała się sobie taka delikatna z nocnymi pojękiwaniami i psikusami jak z horroru. Ale najwyraźniej nie. To sprawka Theo. Jego zemsta.

Żałowała, że nie ma broni, jak inni mieszkańcy Peregrine. Nawet gdyby przez przypadek miałyby się sama postrzelić, chciałyby poczuć pewność, jakiej dodawała jej broń.

Obejrzała sobie dokładnie wnętrze jego samochodu. Drogi sprzęt grający, GPS, ładowarka do telefonu, w schowku – dokumenty samochodu i instrukcja obsługi. Przy siedzeniu pasażera znalazła skrobaczkę do szyb, na tylnym – składaną parasolkę. To wszystko do niczego.

Nie mogła tu przecież siedzieć bez końca.

Ja tam mogę – zauważyła Crumpet. – Ja tam mogę siedzieć tu tak długo, póki ktoś mnie nie uratuje.

Ale to się nie stanie. Annie otworzyła bagażnik i wysiadła ostrożnie. Rozejrzała się, czy nikt jej nie śledzi i podkraśla się do bagażnika. Znalazła w nim małą saperkę z krótką rączką. Taką, jaką wozili ze sobą wszyscy wyspiarze, na wypadek, gdyby ich samochód utknął w śniegu albo błocie.

Albo gdyby musieli zakopać zwłoki – podsunęła Crumpet.

Co z kotem? Nadal jest w środku? A może Annie ocaliła go przed wymyślanym niebezpieczeństwem i skazała na prawdziwą śmierć?

Porwała saperkę, wyjęła latarkę z kieszeni i ruszyła w stronę domu.

Strasznie tam ciemno – zauważył Peter. – Ja chyba wrócę do samochodu.

Wczoraj śnieg najpierw nieco stopniał, potem znowu zamarzał, więc nie miała na co liczyć, jeśli chodzi o ślady, bo na twardej powierzchni niczego nie byłoby widać, nawet gdyby było dość jasno, by coś dostrzec. Podeszła do drzwi wejściowych. Oczywiście Theo nie siedzi tu pewnie w nieskończoność, czekając na nią po swoim psikusie, ale pewności nie ma, prawda? Ominęła staroświeckie pułapki na homary przy drzwiach wejściowych i podkrađła się do okna saloniku. Powoli uniosła głowę i zajrzała do środka.

Choć było ciemno, widziała dość, by zorientować się, że wandal nie oszczędził i tego pomieszczenia. Bury fotel, który wyglądał, jakby pochodził z samolotu, leżał na boku, kanapa stała krzywo, poduszki poniewierały się po całym pokoju, wielki obraz przedstawiający drzewo przekrzywił się na ścianie.

Jej oddech kładł się mlecznym obłoczkiem na szybie. Uniosła latarkę, poświeciła dalej, w głąb pokoju. Z półek pozrzucono książki, komoda w stylu Ludwika XVI ziała powyciąganymi szufladami. Po kocie, czy to żywym, czy martwym, nie było śladu.

Skulona w pól, obeszła domek dokoła. Z tyłu było jeszcze ciemniej, jeszcze bardziej samotnie. Powoli unosiła głowę, aż zobaczyła salonik, ale było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. A co, jeśli Theo czai się po drugiej stronie okna?

Zebrała się na odwagę, uniosła latarkę, zaświeciła do środka. Wszystko było tak, jak przed jej wyjściem – widziała tylko osobiście wykonany bałagan.

– Co ty wyprawiasz, do jasnej cholery?

Wrzasnęła, upuściła szpadel i odwróciła się gwałtownie.

Theo stał w ciemności, niecałe dziesięć metrów od niej.

Zaczęła biec; chciała zawrócić tą samą drogą, którą tu przysła. Dokoła domu, do samochodu. Biegła przerażona. Poślizgnęła się, upuściła latarkę, upadła, zerwała się na równe nogi, biegła dalej.

Wejdz do środka. Zamknij drzwi na klucz. Uciekaj, póki możesz. Jeśli będzie trzeba, pędz do utraty tchu. Wyprzedz go.

Z rozszalałym sercem minęła domek, zmieniła kierunek, spojrzała w górę...

Opierał się drzwiczki range rovera od strony pasażera, z rękami skrzyżowanymi na piersi, rozluźniony na tyle, na ile to w ogóle możliwe.

Zatrzymała się gwałtownie. Miał na sobie czarną zamszową kurtkę i dżinsy, żadnych rękawiczek czy czapki.

– Dziwne – stwierdził spokojnie. Wyraźnie widziała jego twarz w smudze

światła z kuchni. – Nie przypominam sobie, żebyś dawniej była tak postrzelona.

– Ja? To ty jesteś psychopatą! – Wcale nie chciała wykrzyknąć mu tego w twarz, w ogóle nie chciała o tym mówić. Jej słowa zawisły w powietrzu między nimi.

On jednak nie rzucił się na nią, tylko stwierdził spokojnie:

– Zdajesz sobie sprawę, że to się musi skończyć, prawda?

Najlepszym sposobem, żeby to skończyć, byłoby zabicie jej. Oddychała ciężko.

– Masz rację, oczywiście. – Cofała się, powoli, ostrożnie.

– Rozumiem. – Opuścił ręce. – I przyznaję, jako szesnastolatek byłem potworem. Doskonale to pamiętam. Ale kilka lat terapii działało cuda.

Terapia nie pomoże na patologię. Lekko skinęła głową.

– Dobrze. Bardzo się cieszę. – Kolejny dyskretny krok w tył.

– To wszystko działo się dawno temu. Ośmieszasz się.

Rozgniewało ją to.

– Idź sobie! Już dość narobiłeś!

Odsunął się od samochodu.

– Nie zrobiłem nic a nic, rozumiesz? I to ty powinnaś stąd odejść.

– Byłam w środku, rozumiem, co chcesz mi powiedzieć. – Zniżyła głos. Starła się panować nad sobą. – Powiedz mi tylko jedno. Czy... czy zrobiłeś coś kotu?

Theo lekko przechylił głowę.

– Śmierć Mariah zapewne była dla ciebie wielkim ciosem. Może powinnaś z kimś porozmawiać.

Czy on naprawdę sugerował, że z nich dwojga to ona miała coś nie tak z głową? Musiała go ułagodzić.

– I porozmawiam, na pewno. Więc możesz już jechać do domu. Weź samochód.

– Pozwalasz mi wziąć mój samochód? Ten, który pożyczyłaś bez pozwolenia?

Sam powiedział, że może z niego korzystać, gdy tylko będzie jej potrzebny, ale w tej chwili wołała mu tego nie przypominać.

– Więcej tego nie zrobię. Słuchaj, jest już późno, pewnie masz jeszcze dużo pracy. Zobaczymy się rano. – O nie, nie po czymś takim. Będzie musiała wymyślić coś innego, żeby odwdzińczyć się Jaycie, bo za żadne skarby świata tam nie pójdzie.

– Pójdę pod warunkiem, że mi powiesz, dlaczego skradałaś się do domu.

– Nie... nie skradałam się, po prostu chciałam trochę poćwiczyć.

– Bzdura. – Podszedł do drzwi, otworzył je i wszedł do środka.

Rzuciła się do samochodu, ale był od niej szybszy. Wybiegł z domku.

– Co tam się stało, do cholery?

Był tak przekonujący, że gdyby nie znała go tak dobrze,abrałyby się, że to nie jego sprawa.

– Wszystko w porządku – powiedziała cicho. – Nikomu nie powiem.

Wskazał palcem domek.

– Myślisz, że to ja?

– Nie, skądże.

– Owszem, myślisz, że to naprawdę ja. – Początkowa irytacja przerodziła się w autentyczną złość. – Nie masz pojęcia, jak mnie kusi, żeby teraz odwrócić się na pięcie i zostawić cię samą z tym wszystkim.

– Proszę... proszę bardzo.

– Nie kuś. – Wystarczyły dwa kroki, by znalazł się przy niej. Drgnęła, czując, jak jego palce zaciskają się na jej nadgarstku. Opierała się, gdy ciągnął ją do drzwi.

– Uspokój się – syknął. – Bębenki mi popękają. Że już nie wspomnę, jak traumatycznie działasz na populację mew.

To, że wydawał się wkurzony, a nie niebezpieczny, dziwnie na nią podziało. Nie bała się już, za to zrobiło jej się głupio. Poczula się jak jedna z tych głupiutkich bohaterek starych filmów, które John Wayne i Gary Cooper ratowali z opresji. Nie spodobało jej się to i gdy weszli do środka, przestała się opierać.

Puścił jej rękę, ale cały czas ją obserwował. Miał poważną minę.

– Kto to zrobił?

Powiedziała sobie, że na pewno ją wkręca, choć czuła, że to nie tak. Nie miała jednak nic innego do powiedzenia.

– Myślałam, że ty.

– Ja? – Wydawał się autentycznie zaskoczony. – Owszem, jesteś cholernie denerwująca i oddałbym wiele, żeby się ciebie stąd pozbyć, ale niby dlaczego miałbym demolować miejsce, w którym lubię pracować?

Usłyszała miauknięcie. Do kuchni zajrzał kot.

Przynajmniej jedna zagadka się wyjaśniła.

Theo przez długą chwilę wpatrywał się w kota. I w nią. A kiedy znowu się odezwał, mówił przesadnie łagodnym tonem, jakim ludzie zwracają się do chorych umysłowo dzieci:

– Co ty wyprawiasz z moim kotem?

Zdradziecki zwierz czule ocierał mu się o nogi.

– On... przyszedł tu za mną.

– Akurat. – Wziął kota na ręce i podrapał za uszami. – Cześć, Hannibal. Co ta wariatka ci zrobiła, co?

Hannibal?

Kot wtulił łebek w pierś Theo i zamknął oczy. Theo przeszedł do saloniku, cały czas z kotem na rękach. Annie poszła za nim. Już całkiem nie wiedziała, co myśleć. Theo zapalił światło.

– Coś zginęło?

– Ja... nie wiem. Komórkę i laptop miałam ze sobą, ale... – Kukielki! Scamp była w plecaku, ale co z resztą?

Minęła go i biegiem wpadła do atelier. Poniżej okna widniała niska półka na przybory malarskie. W zeszłym tygodniu sprzątnęła z niej wszystko i usadziła kukielki. Wyglądały tak samo, jak przed jej wyjściem, i siedziały w tej samej kolejności – Dilly i Leo na krańcach, w środku Crumpet i Peter.

Theo zajrzał do atelier.

– Ciekawi przyjaciele.

Chciała ich dotknąć, pogadać z nimi, ale nie przy nim. Theo przeszedł do sypialni. Była tuż za im.

Sterta ubrań czekała, aż skończy pakować rzeczy Mariah i pokój stanie się w końcu bardziej jej niż matki. Na krześle między oknami wisiały stanik i piżama. Zazwyczaj rano ściełiła łóżko, jednak akurat tego dnia tego nie zrobiła; w nogach posłania leżał też ręcznik kąpielowy. A najgorsze, że na środku podłogi pyszniły się wczorajsze pomarańczowe majteczki.

Theo rozglądał się ciekawie.

– Tutaj to dopiero narobili bałaganu.

Czy on naprawdę żartuje?

Kot zasnął w jego ramionach. Theo głaskał go machinalnie, jego długie palce nikły w czarnym futerku. Wrócił do saloniku, zajrzał do kuchni. Annie dyskretnie kopnęła album z pornografią artystyczną pod kanapę i poszła za nim.

– Zauważyłaś coś dziwnego? – zapytał.

– Tak! Ktoś mi zdemolował dom!

– Nie to mam na myśli! Rozejrzyj się. Widzisz coś dziwnego?

– Życie przed oczami?

– Daruj już sobie.

– Nic na to nie poradzę, zawsze żartuję, ilekroć jestem przerażona.

Usiłowała dostrzec to, co chciał jej pokazać, ale była za bardzo przerażona. Czy Theo naprawdę jest niewinny, czy tylko dobrze gra? Nie przychodził jej do głowy nikt inny, kto mógłby to zrobić. Barbara ostrzegała ją przed obcymi na wyspie, ale przecież ktoś taki musiałby coś ukraść! Choć w domku niewiele było wartościowych rzeczy.

Chyba że tajemniczy spadek po Mariah.

Na samą myśl, że ktoś poza nią może o tym wiedzieć, zatrzymała się w pół kroku. Rozejrzała się po kuchni. Najgorszy był przewrócony kosz na śmieci i rozsypany ryż i makaron. Ale chyba niczego nie zniszczono.

– Chyba mogło być gorzej – mruknęła.

– No właśnie. Niczego nie stłuczono, na pierwszy rzut oka wydaje ci się, że nic

nie zginęło. To jest działanie wyrachowane. Czy ktoś na wyspie ma do ciebie jakiś żal?

Przyglądała mu się znacząco. Zrozumiał dopiero po dłuższej chwili.

– Na mnie nie patrz – mruknął. – To ty masz do mnie żal, nie odwrotnie.

– I nie bez powodu!

– Przecież nie twierdę, że nie masz racji. Byłem okropny jako nastolatek. Chciałem tylko powiedzieć, że teraz nie mam motywu.

– Ależ oczywiście, że masz. I to nie jeden. Chcesz odzyskać domek. Wraz ze mną powróciły przykre wspomnienia. Jesteś... – Ugryzła się w język, zanim powiedziała za dużo.

Theo czytał jej w myślach.

– Nie, nie jestem psychopatą.

– Wcale nie powiedziałam, że jesteś. – Ale pomyślała, a jakże.

– Annie, byłem wtedy jeszcze dzieckiem i tamtego lata przechodziłem ciężki okres.

– Tak? – Chciała powiedzieć o wiele więcej, ale uznała, że to nieodpowiednia chwila.

– Może chwilowo skreślimy mnie z listy podejrzanych. – Pojedynawczo uniósł rękę, budząc przy tym kota. – Potraktujmy to jako ćwiczenie umysłowe. Jak skończymy, wrócę na pierwsze miejsce.

Naśmiewał się z niej. Powinno ją to rozjuszyć, a w dziwny sposób dodawało otuchy.

– Nie ma innych podejrzanych – odparła. Poza tym, kto wiedział, że w domku teoretycznie znajduje się coś wartościowego. Czy już to znalazł? Przejrzała wszystko w regale, ale nie zdążyła jeszcze zinwentaryzować tego, co było w pudłach w atelier i w szafach. I czy teraz się dowie?

– Wszłaś na odcisk komuś z wyspy? – I znowu ręka w górze. – Poza mną, ma się rozumieć.

Przecząco pokręciła głową.

– Ale słyszałam, że kręcą się tu włóczędzy.

Postawił kota na ziemi.

– Nie podoba mi się to. Musisz zgłosić włamanie policji na lądzie.

– O ile pamiętam, nie fatygują się tu z powodu byle drobiazgu.

– Fakt. – Rozpiął kurtkę. – Posprzątajmy.

– Poradzę sobie – zapewniła pospiesznie. – Idź już.

Spojrzał na nią z politowaniem.

– Słuchaj, gdybym chciał cię zgwałcić albo zabić, już bym to zrobił.

– Tak się cieszę, że tego nie zrobiłeś.

Mruknął coś pod nosem i wyszedł z saloniku.

Zdejmując kurtkę, myślała o tych wszystkich doradcach i guru, i poradnikach psychologicznych, które radzą zdać się na instynkt. Ale czasami instynkt się myli. Na przykład teraz. Bo przeczucie podpowiadało jej, że jest bezpieczna.

Kiedy tego wieczora Annie kładła się spać, znowu zaczęła kasłać, co jeszcze bardziej utrudniało zaśnięcie, ale jak niby miała się odprężyć, wiedząc, że na różowej kanapie leży Theo Harp? Nie chciał wracać do siebie, nawet gdy stanowczo kazała mu wyjść. A najgorsze, że jakaś jej część chciała, żeby został. Tak samo było wtedy, gdy miała piętnaście lat. Zachowywał się tak przyjaźnie, zdobył jej zaufanie, a potem okazał się potworem.

Miała za sobą ciężki dzień i gdy w końcu zasnęła, spała jak kamień. Szare światło poranka przenikało pod powieki. Leżała pogrążona w błogim półśnie, rozkoszując się jedną z tych chwil, gdy człowiek wie, że jest za wcześnie, by wstawać i można bezkarnie wylegiwać się w łóżku. Przeciągnęła się i podkuiliła kolana. I dotknęła czegoś.

Gwałtownie otworzyła oczy.

Theo leżał koło niej. Tuż obok. Na plecach. Zaledwie kilka centymetrów do niej. W pierwszej chwili zaparło jej dech w piersiach, zaraz jednak sapnęła głośno.

Nie unosząc powiek, mruknął:

- Uprzedź, jeśli masz zamiar wrzeszczeć, żebym zdążył palnąć sobie w łeb.
- Co ty tu robisz? – wysyczała, nie wykrzyczała.
- Na kanapie strasznie bolały mnie plecy. Za krótka.
- Miałeś spać w atelier!
- Za dużo pudeł na łóżku, zero pościeli... nie chciało mi się.

Leżał na jej kołdrze w dzinsach i swetrze, otulony kocem, który mu dała wczoraj wieczorem. W przeciwieństwie do ptasiego gniazda, które co rano miała na głowie, jego włosy były cudownie zmierzwione, policzki pokrywał seksowny zarost, śniada cera po matce pięknie kontrastowała z bielą poduszki. Pewnie nawet nie śmierdziało mu z ust. Nie miał chyba najmniejszego zamiaru się poruszyć.

Ochota, by ponownie zapaść w sen, przeszła nie wiadomo kiedy. Och, chciała mu powiedzieć tyle rzeczy: Jak śmiesz! Jak możesz! Niech cię szlag! Ale to wszystko brzmiało jak kiepskie kawałki z jej ukochanych gotyckich powieści. Zacisnęła zęby.

- Bardzo cię proszę, wynieś się z mojego łóżka.
- Masz coś na sobie pod tą kołdrą? – zapytał, cały czas z zamkniętymi oczami.
- Oczywiście, że tak! – Udało jej się idealnie trafić w nutę świętego oburzenia.
- Dobrze, więc nie ma problemu.

– Nie byłoby i tak, nawet gdybym była naga!

– Jesteś pewna?

Podrywał ją czy co? Gdyby jeszcze drzemała, w tej chwili oprzytomniałaby zupełnie.

Zerwała się z łóżka, boleśnie świadoma, że ma na sobie piżamę w Mikołaje, żartobliwy prezent od przyjaciółki. Złapała szlafrok Mariah i wczorajsze skarpetki i wyszła.

Kroki Annie ucichły. Theo uśmiechnął się. Od niepamiętnych czasów przespał całą noc. Był niemal wypoczęty. Już sam fakt, że leżąc obok, irytował Annie, był...

Szukał odpowiedniego słowa i w końcu je znalazł. Brzmiało tak obco, że chwilę trwało, zanim zdecydował się go użyć.

Irytowanie Annie było zabawne.

Bała się go śmiertelnie – wiadomo dlaczego – a mimo to nie wycofała się. Nawet wtedy, jako zahukana, niepewna siebie nastolatka, miała w sobie więcej odwagi, niż zdawała sobie sprawę, zwłaszcza biorąc pod uwagę ciągłą krytykę, której nie szczędziła jej matka. Miała też kręgosłup moralny i zawsze wiedziała, co jest dobre, a co złe. W świecie Antoinette Hewitt nie było miejsca na szarości, wszystko było czarno-białe. Być może właśnie to tak go w niej pociągało, gdy byli młodszy.

Nie mógł pozwolić, by tu została, a jednak stawało się jasne, że Annie nigdzie się nie wybiera, przynajmniej przez jakiś czas. Cholerny warunek w ugodzie rozwodowej. Zależało mu na tym, by móc korzystać z domku w każdej chwili, a ona go tego pozbawiła. Ale chodziło o coś więcej niż o domek. Chodziło o nią, o Annie, o jej komiczną wręcz naiwność, o jej związki z przeszłością, o której chciał zapomnieć. O Annie, która wiedziała za dużo.

Był wściekły, kiedy spotkał ją na drodze, z samochodem w rowie. To dlatego kazał jej pchać samochód, choć przecież wiedział, że jest na to za słaba. I kiedy siedział za kierownicą, zmuszając ją do coraz większego wysiłku, poczuł coś dziwnego. Jakby stawał się kimś innym, zwykłym facetem, który czasami lubi się podrażnić z innymi ludźmi.

Złudzenie. Nie jest normalny i nigdy nie był. A jednak dzisiaj prawie tak się poczuł.

Zastał ją przy zlewie w kuchni. Wczoraj wieczorem sprzątnęli najgorszy bałagan. Teraz Annie myła sztucce zebrane z podłogi. Stała do niego tyłem, jej

niesforne włosy rozsypały się w bezładzie na ramionach. Zawsze pociągały go kobiety o klasycznej urodzie, a Annie do nich nie należała. Drażniło go pobudzenie, które odczuwał. Z drugiej strony, od dawna nie uprawiał seksu i to zapewne odruchowa reakcja.

Pamiętał ją jak piętnastolatkę – zabawną, niezdarną i tak w niego zapatrzoną, że nawet nie czuł, iż musi jej zaimponować. Tamte seksualne doświadczenia teraz tylko bawiły, ale zachowywał się wtedy jak normalny nastolatek, nabuzowany hormonami. Być może to jedyne, co było w nim normalne.

Spod zwykłego granatowego szlafroka do pół łydki wystawały spodnie od piżamy – żółte, w Mikołaje pakujące się do komina.

– Fajna piżama.

– Możesz już iść – odparła.

– Masz też taką w zajączki wielkanocne?

Odwróciła się z ręką na biodrze.

– No dobra, przyłapałeś mnie. Lubię seksowną bieliznę.

Roześmiał się, cicho i jakby z trudem, ale roześmiał. W Annie Hewitt nie było mroku. Wielkooka, piegowata, z niesfornymi włosami, przywodziła na myśl elfa. Ale nie wątłą istotkę, ślaniającą się od kwiatka do kwiatka, tylko elfa, który ma pełne ręce roboty. Elfa, który prędzej potknie się o śpiącego świerszcza, niż sypnie czarodziejskim proszkiem. Poczuł, jak się rozluźnia, na razie tylko odrobinę.

Taksowała go wzrokiem. Przywykł do kobiecych spojrzeń, choć zazwyczaj nie towarzyszyła im taka groźna mina. Owszem, spał w ubraniu i nie miał jak się ogolić, ale chyba nie wygląda aż tak źle? Zmarszczyła brwi.

– Może chociaż z ust ci śmierdzi?

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi.

– Skorzystałem z twojej pasty, więc mam nadzieję, że nie. Mogę wiedzieć, dlaczego pytasz?

– Spisuję sobie co bardziej obrzydliwe rzeczy o tobie.

– Ponieważ „psychopata” jest na zaszczytnym pierwszym miejscu, nie musisz chyba już wiele dodawać. – Powiedział to lekko, żartobliwie, ale oboje wiedzieli, że to prawda.

Sięgnęła po miotłę i zaczęła zmiatać ziarnka ryżu, które im umknęły.

– Zdziwiający, że wczoraj zjawiliś się w idealnym momencie.

– Przyszedłem po samochód. Mój samochód. Przypominasz sobie? Ten, który ukradłaś. – Co prawda powiedział jej, że może z niego korzystać, gdy tylko zechce, ale co z tego?

Była dość bystra, by wiedzieć, gdy znajduje się na przegranej pozycji, i nie połknęła przynęty.

– Bardzo szybko się tu dostałeś.

– Szedłem plażą.

Odstawiła miotłę do kąta.

– Szkoda, że akurat wczoraj nie ślęczałeś przy tym swoim szpiegowskim teleskopie. Może dzięki temu wiedziałbyś, kto to był.

– Na przyszłość bardziej się postaram.

Schyliła się po kawałek makaronu, który potoczył się pod kuchenkę.

– Dlaczego pierwszego dnia wyglądałeś jak Beau Brummell?

Chwilę trwało, zanim skojarzył, o co jej chodzi.

– Praca. Chciałem wiedzieć, jakie to uczucie, poruszać się w tych ciuchach. – A potem, ponieważ czasami bywał naprawdę wredny: – Lubię możliwie najbardziej utożsamiać się z moimi bohaterami. Zwłaszcza tymi pokręconymi.

Miała tak przerażoną minę, że mało brakowało, a przeprosiłby. Ale za co? Spojrzał na szafki kuchenne.

– Jestem głodny. Gdzie masz płatki śniadaniowe?

Odstawiła miotłę do szafki.

– Nie mam, skończyły się.

– Jajka?

– Nie.

– Chleb?

– Nie.

– Jakież resztki?

– Niestety.

– Ale moja kawa jeszcze jest?

– Resztki i nie dam ci ani odrobiny.

Metodycznie zaglądał do szafek w poszukiwaniu kawy.

– Najwyraźniej jeszcze nie nauczyłaś się robić zakupów po naszymu.

– Zostaw moje rzeczy w spokoju.

Znalazł resztkę kawy na lodówce. Rzuciła się w tamtą stronę, ale uniósł paczuszkę wysoko ad głowę.

– Bądź grzeczna.

Grzeczna. Beznadziejne słowo. Właściwie nigdy go nie używał. Nie miało ciężaru, wagi. Nie trzeba być odważnym, żeby być grzecznym. Bycie grzecznym nie wymaga ofiar ani siły charakteru. Gdyby wystarczyło, żeby był grzeczny...

Opuścił rękę i wolną dłonią rozwiązał pasek jej szlafroka. Poły rozchyliły się. Przycisnął dłoń do jej skóry, widocznej w rozchyleniu flanelowej góry od pizamy. Annie szeroko otworzyła oczy.

– Chrzanić kawę – mruknął. – Zdejmij to, żebym się przekonał, czy to, co masz pod spodem, choć trochę urosło.

Nie jest grzeczny. Ani odrobinę.

Zamiast jednak wymierzyć mu policzek, na który niewątpliwie zasłużył, przyglądała mu się z nieukrywanym obrzydzeniem.

– Jesteś chory. – Odeszła z marsem na czole.

I tu się nie mylisz, pomyślał. I nie radzę o tym zapominać.

Rozdział 8

Annie stała przy oknie w kuchni i patrzyła, jak kot ochoczo wskakuje do samochodu Theo i obaj odjeżdżają. Nie, Hannibal, nie odwracaj się, pomyślała.

W tym, jak Theo rozsunał poły jej szlafroka, nie było nic zmysłowego. Drań zawsze zachowuje się jak drań i Theo robił to, co miał we krwi. Ale kiedy odwracała się od okna, przypomniała sobie wyrachowanie, które w tamtej chwili widziała w jego oczach. Jakby celowo chciał ją sprowokować. Nie udało się. Owszem, był przebiegły, ale czy także niebezpieczny? Instykt podpowiadał, że nie, ale umysł wysyłał sygnały świetlne tak oczywiste, że zatrzymałyby nawet pociąg towarowy.

Poszła do sypialni. Dzisiaj był pierwszy dzień, w którym, jak to określił, podnajmował od niej domek, i musiała się stąd wynieść, zanim Theo wróci. Założyła to, co zazwyczaj nosiła na wyspie – dżinsy, wełniane skarpety, bluzę z długim rękawem i ciepły sweter. Tęskniła za zwiewnymi materiałami i kolorowymi wzorami na letnich sukienkach. Brakowało jej spódnic na halkach, rodem z lat pięćdziesiątych, i obcisłych bluzek z tego samego okresu. Na ukochanej sukience pyszniły się dojrzałe czereśnie, na innej – roztańczone kieliszki martini. W przeciwieństwie do Mariah, Annie uwielbiała kolorowe ciuchy, zabawne zdobienia i wykończenia, ale nie można się było tego domyślić, patrząc na jej dżinsy i bure swetry.

Wróciła do saloniku, wyjrzała przez okno – samochodu Theo nigdzie nie było widać. Ubrała się szybko, złapała notes, w którym przeprowadzała inwentaryzację, i powędrowała od pokoju do pokoju, sprawdzając, czy czegoś nie brakuje. Chciała to zrobić już poprzedniego wieczora, ale wołała, żeby Theo nie wiedział o spadku ani jej podejrzeniach, że włamanie się z nim wiąże.

Rzeczy z jej listy były na miejscu, ale niewykluczone przecież, że to, czego szukała, kryje się w kącie szafy czy szuflady, których jeszcze dokładnie nie przejrzała. A jeśli włamywacz znalazł to, co jej umknęło?

Theo ją martwił. Zapinając kurtkę, zmusiła się, by zmierzyć się po raz kolejny z inną możliwością – że włamanie nie miało nic wspólnego ze spadkiem po Mariah, za to bardzo wiele z tym, że Theo chce się na niej zemścić za to, że go straszyla. Myślała, że numer z zegarem uszedł jej płazem, ale może jednak nie. Może przejrział ją na wylot i teraz się mścił. Czego słuchać, przecucia czy rozumu?

Rozumu, zdecydowanie. Wierzyć Theo Harpowi to tak jak wierzyć jadowitemu wężowi, gdy zaklina się, że cię nie ukąsi.

Obeszła domek dookoła. Theo zrobił to samo, zanim odjechał. Rzekomo szukał śladów... a może w rzeczywistości chciał zatrzeć te, które niechcący zostawił? Powiedział, że na ubitym, zmarzniętym śniegu niczego nie widać. Nie uwierzyła mu do końca, ale gdy pokonała tę samą trasę, musiała przyznać, że rzeczywiście niczego nie dostrzegła. Spojrzała na ocean. Był odpływ. Jeśli Theo dotarł tu brzegiem morza wczoraj wieczorem, ona da radę za dnia.

Mokre, ostre skały strzegły wybrzeża od strony domku. Lodowaty wiatr od oceanu pachniał solą i wodorostami. Gdy było cieplej, można było podejść do samego brzegu, teraz jednak trzymała się na bezpieczną odległość. Patrzyła uważnie, gdzie stawia stopy na wąskiej ścieżce, latem piaszczystej, teraz śliskiej od ubitego, zmarzniętego śniegu.

Ścieżka nie była tak wyraźna jak dawniej. Obeszła głązy, na których dawniej lubiła czytać. Godzinami bujała w obłokach, pogrążona w marzeniach o bohaterze powieści, którą akurat pochłaniała. Bohaterki tych książek miały do dyspozycji tylko odwagę i siłę charakteru, gdy stawiały czoło posępnym mężczyznom o wybuchowych temperamentach, błękitnej krwi w żyłach i orlich nosach. W czym w niemalym stopniu przypominali Theo Harpa. Choć nosa akurat nie miał orlego. Pamiętała, jak sprawdziła, co właściwie znaczy to romantyczne określenie i jak bardzo rozczarowało ją to, co przeczytała.

Dwie mewy przecięły wietrzne niebo. Zatrzymała się na chwilę, by podziwiać posępne piękno oceanu, który wściekle walił o brzeg, i by popatrzeć na ciemne fale zwieńczone szarymi bałwanami. Od tak dawna mieszkała w mieście, że całkiem już zapomniała, jakie to uczucie być samą na całym wielkim świecie. W lecie było to przyjemne, w zimie budziło niepokój.

Ruszyła dalej. Zmarznięty śnieg trzeszczał jej pod nogami. W końcu doszła do plaży koło domu Harpów. Nie była tu od tamtego dnia, gdy omal nie zginęła.

Wspomnienia, przed którymi tak bardzo się broniła, wróciły z pełną siłą.

Na kilka tygodni przed końcem lata trafiły z Regan na miot szczeniactków. Annie, nadal załamana dziwnym zachowaniem Theo, który nagle odsunął się od niej bez słowa wyjaśnienia, trzymała się od niego z daleka. Tamtego ranka pływał na desce, a ona, Regan i Jaycie siedziały w stajni z maluchami. Suczka, która kręciła się w pobliżu, urodziła je poprzedniej nocy.

Maluchy miały zaledwie kilka godzin. Spały smacznie, ciągle ślepe, białe-czarne, z różowymi brzuskami, oddychając głęboko. Ich matka, krótkowłosa przedstawicielka tyłu ras, że nie sposób było choćby w przybliżeniu określić jej przynależność, zjawiała się w okolicy na początku wakacji. Początkowo Theo twierdził, że należy do niego, ale stracił zainteresowanie, gdy suczka skaleczyła się w łapę.

Dziewczynki siedziały po turecku na sianie, rozmawiając cicho i oglądając

szczeniacki.

- Ten jest najładniejszy – orzekła Jaycie.
- Szkoda, że nie możemy ich ze sobą zabrać.

Z czasem Regan ucichła. Kiedy Annie zapytała, czy wszystko w porządku, Regan zaczęła nerwowo nawijać na palec ciemny, lśniący kosmyk. Rysowała coś żdźbłem siana na zakurzonej podłodze.

- Nie mówmy o nich Theo.

Annie nie miała zamiaru o niczym mu wspominać, ale zaintrygowało ją, co Regan miała na myśli.

- Dlaczego?

Regan założyła kosmyk za ucho.

- Czasami on...

Jaycie dokończyła za nią:

- To chłopak. Chłopcy nie są tak wrażliwi jak dziewczyny.

Annie przypomniał się obój Regan, fioletowy pamiętnik pełen jej wierszy... Przypomniała sobie siebie, uwięzioną w windzie kuchennej, atakowaną przez mewy, zepchniętą z mostku. Regan zerwała się na równe nogi, jakby chciała zmienić temat.

- Chodźcie już.

Wyszły ze stajni, ale kiedy wróciły tam później, po południu z Regan, zastały tam Theo.

Annie trzymała się z tyłu, gdy Regan podeszła do brata. Kuczał i głaskał małe, ruchliwe ciało. Regan przysiadła obok niego.

– Uroczę, prawda? – Ubrała to stwierdzenie w pytanie, jakby chciała, by potwierdził jej słowa.

– To kundle – odparł. – Nic nadzwyczajnego. Nie lubię psów. – Wstał i wyszedł ze stajni, nie zaszczycając Annie nawet jednym spojrzeniem.

Następnego dnia Annie znowu zastała go w stajni. Padało, powietrze już przesycił zapach jesieni. Regan pakowała ostatnie drobiazgi przed jutrzejszym wyjazdem. Theo trzymał w dłoni jedno ze szceniąt. Annie przypomniały się słowa Regan. Podbiegła do niego.

- Odlóż go!

Nie protestował, bez słowa ułożył malucha przy matce. Kiedy na nią spojrzał, zniknął gdzieś nadęty grymas i w jej romantycznych oczach nie był już naburmuszony, tylko tragiczny, jak jej bohaterowie. Zapomniała o wszystkich okrucieństwach z jego strony; widziała w nim kolejnego niezrozumianego bohatera, szlachetnego, skrytego, nękanego demonami przeszłości i ukrywanymi namiętnościami.

- Co się stało? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Koniec wakacji. Szkoda, że leje w ostatni dzień.

Annie to nie przeszkadzało, miała doskonałą wymówkę, by zwinąć się w kłębek i czytać. I chciała stąd wyjechać. Miała za sobą bardzo trudny okres.

Wszyscy troje mieli wrócić do dawnych szkół – Theo i Regan do ekskluzywnych szkół z internatem w Connecticut, a Annie do miejskiego liceum LaGuardia, szkoły, w której dzieje się akcja musicalu Fame.

Wbił pięści w kieszenie szortów.

– Między moim tatą a twoją mamą nie jest chyba najlepiej.

Ona też słyszała ich kłótnie. Oryginalność, która początkowo przyciągała Elliotta do Mariah, zaczęła go irytować. Annie słyszała też, jak matka zarzucała Elliottowi, że jest sztywniakiem – co było prawdą, ale przecież pragnęła właśnie stabilizacji, którą oferował, nawet bardziej niż pieniędzy. A teraz Mariah coraz częściej przebąkiwała, że po powrocie do miasta zamieszkają z Annie w swoim starym mieszkaniu. Na krótko, tylko po to, żeby wszystko spakować, zapewniała, ale Annie jej nie wierzyła.

Deszcz monotonnie stukał o szyby. Theo kreślił coś czubkiem buta na ziemi.

– Ja... przepraszam, że tak dziwnie się potoczyło między nami.

Nic się nie potoczyło. To on się zmienił. Ale Annie nigdy nie dążyła do konfrontacji i mruknęła tylko:

– W porządku.

– Ja... lubię z tobą rozmawiać.

Ona z nim też, a jeszcze bardziej lubiła sesje pieszczot na plaży.

– Ja też.

Nie wiadomo, jak to się stało, ale koniec końców siedzieli na drewnianej ławce, oparci plecami o ścianę, i rozmawiali o szkole, o rodzicach, o lekturach na przyszły rok. Było zupełnie jak dawniej i mogłaby tak siedzieć z nim godzinami, ale wtedy zjawily się Jaycie i Regan. Theo zerwał się z ławki, splunął na siano i spojrzał na drzwi.

– Chodźmy do miasta – zaproponował. – Mam ochotę na smażone małże.

Nie zaproponował Annie, by pojechała z nimi.

Poczuła się okropnie i była na siebie wściekła, że znowu z nim rozmawiała. Ale tego wieczora, gdy skończyła się pakować, zobaczyła liścik pod drzwiami:

Jest odpływ. Spotkajmy się w jaskini. Proszę.

T.

Wyjęła z walizki czyste szorty i koszulkę, poprawiła włosy, musnęła usta błyszczkiem i wymknęła się z domu.

Theo nie było na plaży, ale wcale nie spodziewała się go tam zobaczyć. Spotykali się zawsze nieco dalej, nad płytkim zagłębieniem, które przyplływ wypełniał wodą.

Nie miał racji co do przyplwy. Przybierał na sile. Ale przecież już dawniej byli w tym czasie w jaskini i wiedziała, że nic im tam nie grozi, nie zostaną odcięci. Co prawda w głębi jaskini woda była głębsza, ale spokojnie zdołają wypłynąć.

Czuła, jak przemakają jej tenisówki i zimna woda chlapie na gołe nogi, gdy wdrapywała się na kamienie blokujące dostęp do środka. W jaskini zapaliła małą różową latareczkę, którą zabrała ze sobą.

– Theo? – Jej głos niósł się echem w skalnej grocie.

Cisza.

Fala zalała jej nogi. Zawiedziona, już miała zawrócić, gdy coś usłyszała. Nie jego głos, tylko rozpaczliwy pisk szceniąt.

W pierwszej chwili pomyślała, że Theo przyniósł je tutaj, żeby mogła się z nimi pobawić.

– Theo? – zawołała ponownie. Znowu nie odpowiedział. Weszła dalej, szukała go mdłym snopem światła z małej latarki.

Piaszczysty skrawek, na którym zazwyczaj się całowali, znikł pod wodą, fale obmywały skalny próg znajdujący się nieco wyżej. Na tej skalnej półce stał karton, z którego dobiegały rozpaczliwe piski.

– Theo! – Ogarniało ją złe przeczucie, coraz silniejsze, gdy nie odpowiadał. Brnęła coraz dalej, w głąb jaskini, aż woda sięgała jej do pasa.

Skalna półka znajdowała się tuż nad jej głową. Kartonowe pudło zaczynało już przemiękać od wilgoci. Gdyby usiłowała ściągnąć je z półki, dno nie wytrzyma i wszystkie szczeniaki wpadną dowody. Ale przecież nie mogła ich tu zostawić, bo wkrótce poziom wody podniesie się i fale zmyją cały karton.

Theo, coś ty zrobił?

Nie mogła o tym myśleć, nie przy akompaniamencie rozpaczliwego pisku szceniąt. Po omacku wędrowała wzdłuż ściany jaskini, aż namacała stopą wnękę, w którą mogła wsunąć czubek adidasa. Podciągnęła się i poświeciła latarką do pudełka. Była w nim cała szóstka szceniąt. Wierciły się i piszczały rozpaczliwie. Leżały na brązowej ścierce, która już zdążyła nasiąknąć wodą. Położyła latarkę na półce skalnej, złapała dwa maluchy i usiłowała przytulić je do piersi, żeby bezpiecznie zejść. Ich ostre pazurki przecięły jej koszulkę. Puściła je. Oba wylądowały z powrotem w pudełku.

Będzie musiała wynosić je pojedynczo. Porwała największego I zeszła z progu, krzywiąc się, gdy wbił jej pazurki w ramię. Tak łatwo wypłynąć z jaskini, a tak trudno iść przez spienioną wodę ze szczeniakiem na ręku.

Uparcie brnęła w stronę jaśniejszej plamy, stanowiącej wejście do jaskini.

Woda stawiała opór, szczeniak panikował, boleśnie wbijał pazurki w jej ciało.

– Uspokój się, proszę. Błagam cię, mały...

Kiedy dotarła do wyjścia, z ran płynęła krew, a w jaskini nadal była piątka szczeniąt. Zanim jednak po nie wróci, musiała znaleźć bezpieczne miejsce dla tego, którego już wyniosła. Podbiegła do ogniska.

W kamiennym kręgu był popiół sprzed tygodnia, ale było też sucho, a kamienie nie pozwolą malcowi wydostać się na wolność. Ułożyła go pośrodku, pobiegła do jaskini i weszła do środka. Nigdy nie była tam na tyle długo, by wiedzieć, jak wysoko sięga przyływ, ale wiedziała, że poziom wody cały czas się podnosi. Zaczęła płynąć. Choć było lato, woda była lodowato zimna. Po omacku znalazła skalną półkę. Rozdygotana sięgnęła do pudełka po drugiego szczeniaka i skrzywiła się boleśnie, gdy poczuła na skórze nowe bolesne pazurki.

Udało jej się bezpiecznie donieść go do paleniska, ale poziom wody podnosił się stale i z trudem wróciła do jaskini po trzeciego pieska. Latarka, którą zostawiła na skalnej półce, dawała coraz mniej światła, ale nawet w jej mdłym blasku widziała, że kartonowe pudło rozpadnie się lada chwila. Nie zdąży uratować wszystkich. A przecież musi.

Wyjęła trzeciego malca z pudełka, zeszła z półki. Porwała ją fala, psiak szarpał się w panice i puściła go. Zniknął pod wodą.

Z jękiem zanurzyła ręce w lodowatej wodzie i szukała go po omacku. Poczowała coś i tryumfalnie uniosła rękę.

Prąd chwycił ją za nogi, gdy brnęła z wysiłkiem w stronę wyjścia. Nie mogła oddychać. Szczeniak przestał się szarpać. Nie wiedziała, czy w ogóle żyje, póki nie zobaczyła w palenisku, jak porusza się niemrawo.

Jeszcze trzy. Musi tylko chwilkę odpocząć. Ale jeśli to zrobi, szczeniaki utoną.

Prąd, zamiast słabnąć, przybierał na sile, poziom wody podnosił się. Nie wiadomo kiedy zgubiła jeden but, sama zrzuciła drugi. Każdy oddech przychodził z trudem. Zanim dotarła do pudełka, dwukrotnie wpadła do wody, a za drugim razem tak bardzo się opila, że cały czas nie mogła odzyskać tchu.

Zanim sięgnęła po czwartego malucha, fala zbiła ją z nóg. Odzyskała równowagę, wpięła się na półkę, dysząc ciężko. Po omacku złapała kolejnego malca. Ból w podrapanych rękach i wycieńczonych płucach przeszywał ją na wskroś. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa, mięśnie były jak z ołowiu. Fala znowu zbiła ją z nóg, ale jakimś cudem udało jej się nie upaść. Usiłowała wypluć wodę z płuc. Ręce i nogi płonęły żywym ogniem. Nie wiedząc jak, dotarła do kamiennego kręgu.

Jeszcze dwa...

Gdyby myślała logicznie, dałaby sobie spokój, ale ona działała instynktownie. Całe jej życie sprowadzało się do tej chwili, jej celem było ocalić szczeniaki.

Upadła, wracając do jaskini, boleśnie rozcięła sobie łydkę. Z trudem weszła do środka. Lodowata fala pchnęła ją na skały. Usiłowała płynąć.

Latarka na półce ledwie się żarzyła. Mokry karton chwiał się niebezpiecznie. Podrapała sobie kolano, podciągając się wyżej.

Dwa szczeniaki. Nie da rady zrobić tego jeszcze dwukrotnie. Musi wynieść oba za jednym razem. Usiłowała wziąć dwa jednocześnie, ale ręce odmawiały jej posłuszeństwa. Znowu się poślizgnęła, znowu wpadła do wody. Sapiąc głośno, wypłynęła na powierzchnię. Brakowało jej tchu, traciła orientację. Z trudem złapała się skalnej półki i sięgnęła do pudła.

Jeden. Przeżyje tylko jeden.

Jej palce zacisnęły się na mokrej sierści. Z jękiem wyjęła szczeniaka i chciała popłynąć w stronę wylotu jaskini, gdy poczuła, że nie rusza się z miejsca. Usiłowała stanąć, ale prąd był zbyt silny. I wtedy, w mdłym świetle docierającym do wnętrza groty, zobaczyła gigantyczną falę zmierzającą w jej kierunku, coraz większą i potężniejszą. Wbiła się do środka, porwała ją, rzuciła o ścianę, bawiła się nią jak lalką, miotała na wszystkie strony i Annie czuła, że zaraz utonie.

Ktoś ją chwycił. Wrzasnęła przerażona. Czyjeś silne, uparte ręce. Ciągnęły, aż poczuła powietrze na twarzy.

Theo.

Ale to nie był Theo, tylko Jaycie.

– Nie opieraj się! – krzyknęła.

Zalała je kolejna fala. Jaycie nie puszczała, ciągnęła Annie i szczeniaka pod prąd, z jaskini.

Na skałach Annie leżała bez sił, ale Jaycie odwróciła się na pięcie i wróciła do jaskini. Wkrótce wróciła, tuląc do siebie mokrego, przerażonego szczeniaczka.

Annie jak przez mgłę widziała krew płynącą z rany na jej łydce i na ramionach, barwiącą jej koszulkę na czerwono. Słyszała piski szceniąt z kamiennego kręgu, ale nawet to jej nie cieszyło.

Jaycie siedziała obok, ciągle trzymając szczeniaka, którego wyciągnęła z jaskini. Do Annie powoli docierało, że Jaycie uratowała jej życie, i z trudem wykrztusiła, szcękając zębami:

– Dziękuję.

Jaycie wzruszyła ramionami.

– Powinnaś chyba podziękować mojemu ojcu za to, że się upił i musiałam wyjść.

– Annie! Annie, jesteś tam?

Choć było bardzo ciemno, Annie bez trudu rozpoznała głos Regan.

– Tak – odkrzyknęła Jaycie, bo Annie nie miała siły.

Regan zbiegła po kamiennych schodkach i kucnęła przy Annie.

– Dobrze się czujesz? Błagam, nie mów tacie, dobrze?

Annie ogarnął gniew. Wstała z trudem, Regan tymczasem wzięła jednego szczeniaczka na ręce, wtuliła w niego policzek i zaczęła płakać.

– Nie możesz nikomu o tym powiedzieć, Annie.

Annie poczuła, jak eksplodują w niej wszystkie emocje, które starała się stłumić. Zostawiła szczeniaki, Jaycie i Regan, i niezdarnie wspięła się na górę, na kamienne stopnie. Nogi się pod nią uginały, dygotała z zimna, kurczowo trzymała się linowej poręczy, żeby nie upaść.

Dokoła pustego basenu nadal paliły się światła. Ból i gniew dodały jej sił. Biegiem pokonała trawnik, wpadła do domu, pobiegła na górę, wsłuchana w echo swoich kroków.

Pokój Theo mieścił się na końcu korytarza, koło pokoju jego siostry. Gwałtownie otworzyła drzwi. Leżał z książką na łóżku. Widząc ją, mokrą, zakrwawioną, zerwał się na równe nogi.

W jego pokoju zawsze poniewierał się sprzęt jeździecki. Nie robiła tego celowo; nie była sobą, gdy sięgała po szpicrutę; już po chwili miała ją w dłoni i szła w jego stronę. Stał nieruchomo, zupełnie jakby wiedział, co się zaraz wydarzy. Podniosła rękę, zamachnęła się z całej siły. Szpicruta trafiła go w twarz, przecięła skórę nad łukiem brwiowym.

– Annie! – Matka, zwabiona hałasem, wpadła do pokoju. tuż za nią biegł Elliott, jak zwykle nieskazitelnym w swojej firmowej, wykrochmalonej niebieskiej koszuli. Mariah miała na sobie czarna tunikę i wielkie srebrne kolczyki w uszach. Sapnęła głośno, widząc krew na twarzy Theo i oplakany wygląd Annie. – Mój Boże...

– To potwór! – krzyknęła Annie.

– Annie, histeryzujesz – stwierdził Elliott i podszedł do syna.

– Mało brakowało, a te pieski zginęłyby przez ciebie! – krzyczała. – I co, żałujesz, że tak się nie stało? Że żyją? – Zapłakana, zamachnęła się ponownie, ale Elliott wyrwał jej szpicrutę z ręki.

– Przestań!

– Annie, co się stało? – Matka patrzyła na nią jak na kogoś obcego.

Annie powiedziała wszystko. Theo stał nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w podłogę, z krwią płynącą z rany na czole, a ona opowiadała – o liściku, o szczeniakach. O tym, jak ją zamknął w windzie kuchennej, o mewach na wraku, o tym, jak zepchnął ją z mostku. Słowa płynęły nieprzerwanym strumieniem.

– Annie, dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? – Mariah wyprowadziła córkę z pokoju. Elliott zajął się raną na czole syna.

Okazało się, że rany i Annie, i Theo powinno się zszyć, jednak na wyspie nie było lekarza i musiały im wystarczyć bandaże. Dzięki temu obojgu zostały bliźny – jemu mała, intrygująca, jej większa, która jednak z czasem wyblakła, czego nie można powiedzieć o wspomnieniach.

O wiele później, gdy szczeniaczki spały smacznie, bezpieczne w stajni u boku mamy, Annie leżała nieruchomo, wsłuchana w głosy dobiegające z sypialni Mariah i Elliotta. Rozmawiali cicho, zakradła się więc pod drzwi, żeby lepiej słyszeć.

– Elliott, musisz spojrzeć prawdzie w oczy – mówiła jej matka. – Twój syn ma poważny problem. Normalny dzieciak nie robi takich rzeczy.

– Potrzebuje silnej ręki i tyle – odparł Elliott. – Znajdę mu szkołę wojskową. Koniec tego rozpieszczania.

Jej matka nie ustąpiła.

– Szkoła wojskowa tu nie wystarczy, jemu jest potrzebny psychiatra!

– Nie przesadzaj. Zawsze przesadzasz. Nie znoszę tego.

Kłótnia przybierała na sile. Annie zasnęła, zmęczona płaczem.

Theo spoglądał w dół ze swojej wieży. Annie stała na plaży. Wiatr bawił się kosmykami wymykającymi się spod czerwonej czapeczki. Patrzyła na jaskinię. Kilka lat temu głązy zasypały wejście, ale doskonale pamiętał, gdzie to było. Machinalnie dotknął białej blizny nad łukiem brwiowym.

Przysięgał wtedy ojcu, że nie miał złych zamiarów, zaniósł tam szczeniaki, bo chciał się nimi pobawić razem z Annie, ale wciągnął go program telewizyjny i na śmierć o nich zapomniał.

Szkoła wojskowa, do której go wysłano, stawiała sobie za zadanie reformowanie chłopców, którzy zblądzili. Jego koledzy radzili sobie z dyscypliną i surowością, dręcząc się wzajemnie. Theo, z natury samotnik i mól książkowy, a do tego nowy, stanowił idealny cel. Musiał walczyć. Często wygrywał, ale nie zawsze. I tak było mu to obojętne. Ale nie Regan, która ogłosiła strajk głodowy.

Dawniej chodzili do zaprzyjaźnionych szkół. Regan chciała go odzyskać. Początkowo Elliott ignorował jej strajk głodowy, kiedy jednak dyrekcja szkoły zagroziła, że odeśle ją do domu z anoreksją, ustąpił i Theo wrócił do dawnej szkoły.

Odwrócił się od okna, spakował laptop i żółte notesy, które zabierał ze sobą do domku. Nigdy nie lubił pisać w gabinecie. Na Manhattanie pisał w bibliotece albo nad kawą w ulubionej kawiarni. Jeśli Kenley była w pracy, przenosił się do kuchni albo na fotel w salonie. Kenley nigdy tego nie rozumiała.

„Wiesz, Theo byłbyś o wiele bardziej wydajny, gdybyś pisał w jednym miejscu”.

Ironia losu, że te słowa padły z ust kobiety, która w przeciągu jednego dnia potrafiła wznieść się na wyżyny euforii i runąć w otchłań depresji.

Nie, nie pozwoli, by Kenley go dzisiaj nękała, nie po tym, jak po raz pierwszy od przyjazdu na Peregrine przespał całą noc. Musiał ratować swoją reputację, więc dzisiaj będzie pisał.

Nikt nie przypuszczał, że Sanatorium okaże się bestsellerem, choć na jego ojcu nie zrobiło to specjalnego wrażenia.

– Niełatwo mi tłumaczyć przyjaciółom, skąd u mojego syna taka mroczna wyobraźnia. Gdyby nie kaprys babki, pracowałbyś w firmie, gdzie twoje miejsce.

Kaprys babki, jak to określał Elliott, oznaczał jej decyzję, by Theo wszystko po niej odziedziczył, co zdaniem ojca pozbawiało go motywacji, by zabrać się do porządnej pracy. Czyli zatrudnić się w Harp Industries.

Założona przez dziadka Elliotta fabryczka guzików produkowała dzisiaj tytanowe nity i śruby z supernowoczesnych stopów, których używano w helikopterach najnowszej generacji i w samolotach bezzałogowych. Tylko że Theo nie chciał produkować nitów i śrub. Chciał pisać książki, w których granica między dobrem i złem jest boleśnie wyraźna. W których istnieje przynajmniej cień nadziei, że porządek pokona chaos i obłąd. I dlatego napisał Sanatorium, mroczną powieść o posępnym szpitalu psychiatrycznym dla szalonych przestępców, w którym jeden pokój przenosi mieszkańców w przeszłość. Spotkało to także doktora Quentina Pierce'a, szczególnie sadystycznego mordercę.

Obecnie pracował nad drugą częścią. Ponieważ miał już zarys historii i pomysł, by wysłać Pierce'a do XIX-wiecznego Londynu, powinno iść łatwiej, ale nie szło i sam nie wiedział dlaczego. Wiedział natomiast, że jeżeli gdzieś mógł odzyskać wewnętrzną siłę, to w domku, więc cieszył się, że udało mu się zmusić Annie do ugody.

Coś otarło mu się o nogi. Opuścił głowę i zobaczył, że Hannibal przyniósł mu prezent – mysie zwłoki. Skrzywił się.

– Stary, wiem, że to dowód miłości, ale mógłbyś sobie darować.

Hannibal zamruczał i potarł pyszczkiem o jego nogę.

– Nowy dzień i nowe zwłoki – mruknął Theo. Czas zabrać się do pracy.

Rozdział 9

Range rover Theo czekał na nią przed domem Harpów. Właściwie powinna rozkoszować się przejażdżką, jadąc tym wozem, a nie swoją kią, do miasteczka po cotygodniową dostawę żywności, ale do tej pory nie otrząsnęła się z szoku, jakim była pobudka z Theo u boku. Zaparkowała przy nabrzeżu i humor nieco jej się poprawił na myśl o prawdziwej sałatce, którą zje dzisiaj na kolację.

Na nabrzeżu czekało sporo osób, głównie kobiet. Zadziwiająco wysoki odsetek starszych ludzi potwierdzał to, co mówiła Barbara – młodzi wyjeżdżają. W lecie wyspa jest cudowna, ale kto chciałby tu mieszkać przez okrągły rok? Chociaż akurat dzisiaj bezchmurne niebo i słońce odbijające się w wodzie uwodziły specyficznym pięknem.

Dostrzegła Barbarę i pomachała do niej. Lisa, otulona w, jak Annie się domyślała, kurtkę męża, rozmawiała z Judy Kester, której wściekle rude włosy zwracały uwagę równie skutecznie jak jej głośny śmiech. Widząc kobiety, które poznała podczas gry w bunco, Annie zatęskniła za swoimi przyjaciółmi.

Marie Cameron podeszła do niej z taką miną, jakby przed chwilą połknęła cytrynę.

– I jak sobie radzisz sama? – zapytała, jakby Annie była w ostatnim stadium śmiertelnej choroby.

– Dobrze, wszystko w porządku. – Annie nie zamierzała nikomu opowiadać o wczorajszym włamaniu.

Marie pochyliła się konfidencjonalnie. Pachniała goździkami i naftaliną.

– Uważaj na Theo. Już ja wiem, co mówię. Każdy, kto miał odrobinę oleju w głowie, wiedział, że nadciąga szkwał. Regan nie wypłynęłaby w taką pogodę, w każdym razie nie z własnej woli.

Na szczęście akurat w tej chwili do nabrzeża przybił dawny kuter rybacki, obecnie służący za statek dostawczy, i Annie nie musiała odpowiadać. Na pokładzie stały skrzynki pełne paczek z zakupami, zwoje kabli, stosy dachówek, dostrzegła nawet nowiutką białą muszlę klozetową. Mieszkańcy wyspy spontanicznie ustawili się w szeregu i podawali sobie paczki z rąk do rąk, a potem, w drugą stronę, ładowali na pokład pocztę, paczki i puste skrzynki po poprzednich dostawach.

Kiedy było już po wszystkim, rozeszli się po parkingu. Do każdej skrzynki doczepiono białą karteczkę z nazwiskiem odbiorcy, wypisanym czarnym markerem. Annie bez problemu znalazła trzy dla DOMU HARPÓW. Były tak

pełne, że z trudem doniosła je do samochodu.

– Każdy dzień, gdy statek dociera do portu, jest dobry! – zawołała Barbara ze swego pikapa.

– Pierwsze, co zjem, to jabłko – rozmarzyła się Annie, wstawiając ostatnią skrzynkę do range rovera.

Wróciła po swoje skromne zamówienie. Przeglądała napisy na czekających skrzynkach, ale nie widziała swojego nazwiska. Sprawdziła raz jeszcze. NORTON... CARMINE... GIBSON... ALVAREZ... Nigdzie nie widziała: HEWITT. Ani: DOMEK ŻEGLARZA.

Gdy przeglądała skrzynki po raz trzeci, poczuła za sobą kwiatowe perfumy Barbary.

– Coś nie tak?

– Nie ma mojego zamówienia – odparła. – Są tylko produkty dla domu Harpów. Ktoś pewnie przez pomyłkę zabrał moją skrzynkę.

– Czy raczej dziewczyna w sklepie znowu coś poplątała – mruknęła Barbara. – W zeszłym miesiącu nie przysłała mi połowy rzeczy.

Po dobrym humorze Annie nie było już śladu. Najpierw włamanie do domku, a teraz to. Jest tu od dwóch tygodni. Nie miała już chleba, mleka, zostało jej kilka puszek i ryż. Jakim cudem ma doczekać do kolejnej dostawy, zakładając oczywiście, że kuter w ogóle dopłynie do Peregrine?

– Jest tak zimno, że to wszystko może spokojnie postać pół godzinki w samochodzie – zdecydowała Barbara. – Chodź do środka, zrobię ci kawy i zadzwonisz do sklepu.

– A czy dostanę jedno jabłko? – zapytała ponuro.

Barbara uśmiechnęła się.

– Oczywiście.

Kuchnia pachniała bekonem i perfumami Barbary. Podała Annie jabłko i zajęła się rozpakowywaniem swoich zakupów. Annie zadzwoniła do sklepu na stałym lądzie, ale sprzedawczyni, odpowiedzialna za zamówienia wyspiarzy, wcale nie poczuwała się do winy. Uparcie powtarzała, że ktoś anulował zamówienie Annie.

– Nie ja.

– Może ktoś, kto pani nie lubi.

Barbara postawiła na stole dwa kubki w kwiaty. Annie rozłączyła się.

– Ktoś anulował moje zamówienie.

– Czy aby na pewno? Oni tam ciągle coś chrzanią. – Barbara wyjęła z kredensu puszkę z ciastkami. – Z drugiej strony... to typowe dla tej wyspy. Jeśli ktoś ma do kogoś żal, robi mu taki numer. – Uniosła wieko i oczom Annie ukazały się smakowite ciasteczka, przekładane pergaminem.

Annie usiadła za stołem, ale nie wiadomo kiedy straciła apetyt, nie miała ochoty

nawet na jabłko. Barbara za to ochoczo sięgnęła po ciastko. Trochę krzywo narysowała sobie rano jedną brew, więc wyglądała dzięki temu dość zawadiacko, ale w jej spojrzeniu nie było ani odrobiny szaleństwa.

– Powinam teraz powiedzieć, że wszystko się ułoży, ale kto to może wiedzieć? Nie to Annie chciała usłyszeć.

– Nikt nie ma powodu, żeby żywić do mnie urazę. – Może poza Theo.

– I nikt do końca nie wie, skąd się biorą żale i pretensje – zauważyła Barbara. Podsunęła Annie puszkę z ciastkami, potrząsając nią zachęcająco, ale Annie podziękowała ruchem głowy. Barbara sięgnęła po przykrywkę.

– Pewnie wtykam nos w nie swoje sprawy, ale jesteś mniej więcej w wieku mojej Lisy i na pierwszy rzut oka widać, że nie jesteś tu szczęśliwa. Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, ale nie masz tu rodziny. Nie ma sensu, żebyś cierpiała.

Troska Barbary była dla niej jak balsam i Annie kusilo, by wyznać jej wszystko: opowiedzieć o czterdziestu sześciu dniach, jakie musi tu jeszcze spędzić, o długach, których nie może spłacić, o nieufności wobec Theo i strachu przed przyszłością, ale nie mogła tego zrobić.

– Dzięki, Barbaro. Poradzę sobie.

Wracając do domu Harpów, dumiała, jak bardzo wiek i długi uczą rozsądku. Nie będzie już zarabiała na życie dorywczymi pracami i pokazami kukielkowymi. Znajdzie sobie stałą posadę z regularną pensją.

Znienawidzisz ją – zauważyła Scamp.

– Nie tak bardzo jak ubóstwa – odparła Annie.

Nawet Scamp nie miała kontrargumentu.

Resztę dnia spędziła w domu Harpów. Kiedy wynosiła śmieci, dostrzegła coś dziwnego przy pieńku koło ulubionego drzewa Livii. Dwa rzędy patyków wbitych w ziemię, a na nich paski kory, jakby dach czy baldachim. Wczoraj tego nie było, a zatem Livia wymknęła się dzisiaj, by to zrobić. Szkoda, że Jaycie nie chce rozmawiać o problemie córki. Mała stanowiła nie lada zagadkę,

Późnym popołudniem range rover zniknął, więc Annie wyszła na tyle wcześnie, żeby dojść do domu na piechotę, zanim zrobi się ciemno. Ponieważ jednak i w plecaku, i w reklamówce niosła produkty spożywcze, pożyczone z domu Harpów, co jakiś czas musiała stawać, żeby odpocząć. Nawet z tej odległości widziała range rovera przed domkiem. To nie w porządku. Kiedy wracała do domu, miało go już nie być. Ostatnie, na co miała ochotę, to awantura z Theo, ale jeśli nie stawi mu czoła, zmiażdży ją.

Weszła do domku frontowymi drzwiami i zastała Theo z nogami na różowej kanapie i Leo na ręku. Na jej widok opuścił stopy na podłogę.

– Lubię tego gościa.

– No jasne – mruknęła. Ciągnie swój do swego.

Theo spojrział na kukielkę.

– Jak się nazywasz, bracie?

– Nazywa się Bob – odparła. – A skoro zjawił się twój zmiennik, czyli ja, możesz iść do domu.

Wskazał torbę z zakupami ręką z kukielką.

– Coś dobrego?

– Owszem. – Zdjęła kurtkę i weszła do kuchni. Pamiętając, że przyniosła z domu Harpów jego zapasy, postawiła plecak na podłodze, a torbę na blacie kuchennym. Theo wszedł za nią, cały czas z Leo na ręku, co bardzo działało jej na nerwy. – Odłóż Boba. I od tej pory bardzo proszę, nie dotykaj moich kukielek. Są cenne, nikomu nie wolno ich ruszać, poza mną. Dzisiaj miałeś pracować, a nie myszkować w moich rzeczach.

– I pracowałem. – Zajrzał do torby z zakupami. – Zabiłem nastoletnią uciekinierkę i bezdomnego. Wataha wilków rozerwała ich na strzępy. A ponieważ działo się to w bardzo cywilizowanym Hyde Parku, muszę przyznać, że jestem z siebie całkiem zadowolony.

– Oddawaj! – Odebrała mu Leo. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby podsunął jej wizję wilczego ataku.

– Najpierw wyrwałem jej gardło...

Zaniosła Leo do saloniku i wróciła do kuchni. Wspomnienie Leo i Theo nie dawało jej spokoju. Musiała się zemścić.

– Dzisiaj w twoim domu wydarzyło się coś dziwnego. Słyszałam.. Chociaż właściwie może nie powinnam tego mówić. Nie chcę cię denerwować, ale... Więc byłam na końcu korytarza, koło drzwi na wieżę, gdy nagle poczułam lodowaty powiew. – Zawsze mówiła prawdę i nie mogła się nadziwić, że kłamstwo przychodzi jej z taką łatwością. – Jakby ktoś zostawił otwarte okno, tylko sto razy zimniejszy. – Wzdrygnęła się bez najmniejszego wysiłku. – Nie pojmuję, jak możesz tam wytrzymać.

Wyjął karton z jajkami.

– Najwyraźniej niektórym duchy nie przeszkadzają.

Spojrzała na niego ostro, jego jednak bardziej interesowała zawartość torby z zakupami niż goście z zaświatów.

– Zdziwiający, że kupujemy te same marki – zauważył.

I tak dowie się, gdy tylko porozmawia z Jaycie, równie dobrze więc mogła powiedzieć mu teraz.

– Ktoś anulował moje zamówienie. Oddam ci wszystko w przyszłym tygodniu, po nowej dostawie.

– Więc to moje jedzenie?

– Tylko kilka drobiazgów. Taka pożyczka. – Wyjmowała to, co przyniosła w plecaku.

Sięgnął po pierwszą z brzegu paczuszkę.

– Zabrałaś mój bekon?

– Masz dwa, nawet nie zauważysz.

– Nie mieści mi się w głowie, że zabrałaś mój bekon.

– No cóż, wolałabym podwędzić ci pączki albo mrożoną pizzę, ale nie mogłam, a wiesz dlaczego? Bo wcale ich nie zamówiłeś. Co z ciebie za facet?

– Taki, który lubi prawdziwe jedzenie. – Odepchnął ją, żeby dokładnie przejrzeć zawartość jej plecaka i wziął w palce kawałek parmezanu, który odkroiła od o wiele większego w jego kuchni. – Idealnie. – Przerzucił go z ręki do ręki, położył na blacie i otworzył kredens.

– Co ty wyprawiasz?

Wyjął rondel.

– Szykuje sobie kolację. Z moich produktów. Być może podzielę się z tobą, jeśli mnie nie wkurzysz do tego czasu. Albo i nie.

– Nie! Wracaj do siebie! Domek teraz jest już mój, pamiętasz?

– Fakt. – Pakował produkty z powrotem do torby. – Wychodzę i zabieram zakupy.

O cholera. W miarę jak ustępował kaszel, powracał apetyt, a dzisiaj przez cały dzień prawie nic nie jadła.

– No dobrze – burknęła w końcu. – Ty gotujesz, ja jem, a potem stąd znikasz.

Theo już buszował w kredensie w poszukiwaniu drugiego garnka.

Zaniosła Leo do atelier i poszła do sypialni. Nie lubił jej, nie chciał, by tu została, więc dlaczego właściwie to robi? Ściągnęła buty, założyła miękkie kapcie i sprzątnęła ciuchy z posłania. Nie życzyła sobie towarzystwa człowieka, którego naprawdę się bała. Co gorsza, jakaś jej częśćka nadal chciała mu zaufać, mimo niezliczonych dowodów na jego niekorzyść. To wszystko aż za bardzo przypominało jej tamtą piętnastoletnią Annie.

Powietrze wypełnił zapach smażonego bekonu, z lekką nutą czosnku. Zaburczało jej w brzuchu.

– Niech to szlag. – Wróciła do kuchni.

Z żeliwnej patelni docierały smakowite zapachy. W rondlu gotowało się spaghetti, a Theo ubijał jej cenne jajka w żółtej misce. Na blacie stały dwa kieliszki do wina i zakurzona butelka z szafki nad zlewem.

– Gdzie korkociąg? – zapytał.

Tak rzadko pijała dobre wino, że nawet nie przyszło jej do głowy, by otworzyć jedną z butelek, które zgromadziła Mariah. Teraz pokusa była nie do odparcia.

Poszukała w szufladzie i podała mu korkociąg.

– Co to będzie?

– Moja specjalność.

– Ludzka wątróbka z bobem i lampka chianti?

Znacząco uniósł brew.

– Doprawdy urocza.

O nie, nie spławi jej tak łatwo.

– Pamiętasz chyba, że mam sporo powodów, żeby spodziewać się po tobie wszystkiego najgorszego.

Jednym sprawnym ruchem wyciągnął korek.

– To było dawno temu, Annie, mówiłem już. Byłem popieprzonym dzieciakiem.

– Powiem ci szczerze... nadal jesteś popieprzony.

– Nie masz zielonego pojęcia, jaki jestem teraz. – Nalał jej do kieliszka krwiście czerwonego wina.

– Mieszkasz w nawiedzonym domu. Przerażasz małe dzieci. Jeździsz konno w czasie śnieżycy. I do tego....

Nieco zbyt energicznie odstawił butelkę.

– W tym miesiącu przypada pierwsza rocznica śmierci mojej żony. Czego się spodziewałaś, do cholery? Konfetti i serpentyn?

Nagle zrobiło jej się głupio.

– Przykro mi.

Zbył jej współczucie wzruszeniem ramion.

– A Tancerz wcale nie cierpi. Im gorsza pogoda, tym bardziej chce być na zewnątrz.

Przypomnił jej się półnagi Theo wśród śniegu.

– Jak ty?

– Tak – odparł sucho. – Zupełnie jak ja. – Sięgnął po tarkę, którą znalazł w jednej z szuflad, i kawałek parmezanu. Wyraźnie nie chciał więcej rozmawiać.

Annie upiła łyk wina. Pyszny cabernet, owocowy i dojrzały. Jego niechęć sprawiała, że uparcie nie dawała mu spokoju.

– Opowiedz o nowej książce.

Mijały sekundy.

– Nie lubię rozmawiać o czymś, nad czym aktualnie pracuję. Nie chcę tracić energii, która powinna spłynąć na papier.

Tak samo aktorzy podchodzą do roli, odgrywanej dzień w dzień. Patrzyła, jak trze ser do podłużnej szklanej miseczki.

– Sanatorium nie podobało się wielu ludziom. – Była to tak niegrzeczna uwaga, że na chwilę sama się zawstydzila.

Theo zdjął garnek z makaronem z kuchenki i wylał jego zawartość na durszlak

w zlewie.

– Czytałaś?

– Nie wpadło mi w ręce. – Postępowała wbrew sobie, zachowując się tak obcesowo, ale zależało jej, by wiedział, że nie jest już tą zahukaną myszką, jaką była, mając piętnaście lat. – W jaki sposób umarła twoja żona?

Przełożył makaron do miski z jajkami bez mrugnięcia okiem.

– Z rozpaczy. Popęłniła samobójstwo.

Poczuła się nieswojo, słysząc te słowa. O tyle jeszcze chciała zapytać. Jak to zrobiła? Wiedziałaś, że się na to zanosi? Czy zrobiła to przez ciebie? Zwłaszcza to ostatnie pytanie... Ale zabrakło jej odwagi, by zadać którekolwiek z nich.

Wrzucił bekon i czosnek do makaronu i wymieszał to wszystko dwoma widelcami. Wzięła sztućce i serwetki i zaniósła na stół przy oknie w saloniku. Wróciła jeszcze po kieliszki do wina i usiadła. Theo wyszedł z kuchni, niosąc talerze, i skrzywił się na widok fotela w kształcie syreny.

– Trudno uwierzyć, że twoja matka naprawdę знаła się na sztuce.

– Syrena nie jest gorsza niż wiele innych rzeczy w tym domu. – Z lubością wdychała zapach czosnku, bekonu i parmezanu, którym posypał gotowe danie. – Pachnie cudownie.

Postawił przed nią talerz i usiadł naprzeciwko.

– Spaghetti carbonara.

Głód chyba rzucił jej się na umysł, bo zrobiła coś strasznie głupiego. Wzniosła toast.

– Za szefa kuchni.

Popatrzył jej w oczy, ale nie upił ani kropli. Annie szybko odstawiła swój kieliszek, ale odwzajemniła jego spojrzenie. Czuła dziwny dreszcz, jakby od wysokich okien docierało do środka coś jeszcze, nie tylko zimny powiew. Chwilę trwało, zanim zrozumiała w pełni, co się dzieje.

Pewne kobiety mają słabość do gwałtownych mężczyzn, czasami wynikającą z ich neurozy, czasami z romantycznego, naiwnego przekonania, że ich kobiecie czar wystarczy, by okiełznać jednego z tych dzikich mężczyzn. W romansach to działało, w życiu – nie bardzo. To oczywiste, że podnieca ją jego niebezpieczna męskość. Ostatnio sporo przeszła, także fizycznie, i przyływ pożądania oznaczał, że wraca do siebie. Z drugiej strony, oznacza to także, że Theo nadal budzi w niej niezdrówą fascynację.

Skoncentrowała się na jedzeniu, nabrała na widelec sporą porcję i wpakowała sobie do ust. W życiu nie jadła nic równie dobrego. Głęboki smak, kremowy sos z ostrą nutą czosnku i dymną bekonu. Rewelacja.

– Kiedy nauczyłeś się gotować?

– Kiedy zacząłem pisać. Okazało się, że podczas gotowania fantastycznie udaje

mi się rozwiązać wszelkie problemy z fabułą...

– Nic tak nie inspiruje jak rzeźnicki nóż, co?

Lekko uniósł brew, tę bez blizny.

Czuła, że posuwa się za daleko, więc ustąpiła odrobinę.

– To chyba najlepsze spaghetti, jakie w życiu jadłam.

– Chyba tylko w porównaniu z tym, co pichcicie mi z Jaycie.

– Nie rozumiem, co ci nie odpowiada w naszych posiłkach. – Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

– Nie ma też nic, co by mi w nich odpowiadało. W najlepszym wypadku są znośne.

– Znośne znaczy: nie są złe. Czyli dobre. – Nabiła kawałek bekonu na widelec. – Dlaczego sam sobie nie gotujesz?

– Za dużo zachodu.

Niezbyt satysfakcjonująca odpowiedź, zważywszy że gotowanie najwyraźniej sprawiało mu przyjemność, ale nie chciała okazać mu tyle zainteresowania i drażnić dalej.

Rozsiadł się wygodnie. W przeciwieństwie do niej nie zmiatał wszystkiego z talerza, tylko rozkoszował się każdym kęsem.

– Dlaczego nie złożyłaś swojego zamówienia?

– Złożyłam – odparła z pełnymi ustami. – Ale ktoś je anulował.

Bawił się swoim kieliszkiem.

– Wiesz, czego nie pojmuję? Jesteś tu od niecałych dwóch tygodni. Jakim cudem udało ci się tak szybko kogoś wkurzyć?

Oddałaby wszystko, żeby wiedzieć, czy Theo domyśla się, że być może w domku znajduje się coś bardzo cennego.

– Nie mam pojęcia – odparła, nawijając makaron na widelec.

– Jest coś, czego mi nie mówisz.

Wytarła usta serwetką.

Jest wiele rzeczy, których ci nie mówię.

– Masz jakąś teorię na ten temat, prawda?

– Tak, ale niestety nie mam jak udowodnić, że to ty stoisz za tym wszystkim.

– Daruj sobie te bzdury – rzucił ostro. – Wiesz, że nie ja zdemolowałem ci dom, ale zaczynam podejrzewać, że domyślasz się, kto mógł to zrobić.

– Nie, przysięgam. – Przynajmniej teraz mówiła prawdę.

– Więc dlaczego to zrobił. Nie jesteś głupią lalą, mimo tego, kim się otaczasz. Myślę, że masz pewne podejrzenia.

– Mam. I nie, nie podzielę się nimi z tobą.

Przyglądał się jej z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Ty mi naprawdę nie ufasz, prawda?

Było to tak idiotyczne pytanie, że nawet nie zwracała sobie głowy odpowiedzią, nie oparła się jednak i tylko przewróciła oczami. Theo wcale nie uznał tego za zabawne.

– Nie pomogę ci, jeśli nie zagrasz ze mną w otwarte karty – powiedział głosem człowieka przyzwyczajonego do natychmiastowego posłuszeństwa.

Nie z nią. Potrzeba czegoś więcej niż pyszne jedzenie i dobre wino, by wymazać jej wspomnienia.

– Powiedz mi, co się dzieje – poprosił. – Dlaczego ktoś cię prześladowuje? Czego od ciebie chce?

Położyła sobie rękę na sercu i mruknęła przeciągle:

– Klucza do mego serca.

Na jego policzku drgnął mięsień.

– Proszę bardzo, zachowaj swoje sekrety dla siebie. Nic mnie to nie obchodzi.

– Bo nie powinno.

W milczeniu skończyli kolację. Zaniósła talerz i kieliszek do kuchni. Drzwi do szafki nad zlewem były uchylone, widziała więc szereg butelek w środku. Matka zawsze miała w domu dobre wino, a to dzięki prezentom, które przywozili goście. Dobre, drogie roczniki, często okazy kolekcjonerskie. Ciekawe, co z tego zostało? Może...

Wino! Annie zacisnęła dłonie na zlewie. A jeśli właśnie wino jest tym skarbem? Jej dziedzictwem? Do tego stopnia skoncentrowała się na dziełach sztuki, że o tym w ogóle nie pomyślała, a przecież na aukcjach można zarobić majątek. Słyszała kiedyś o butelce sprzedanej za dwadzieścia czy trzydzieści tysięcy dolarów. A co, jeśli przed chwilą osuszyli z Theo taki skarb?

Wino podeszło jej do gardła. Słyszała, jak wszedł za nią do kuchni.

– Musisz już iść – wykrztusiła. – Jedzenie było pyszne, ale naprawdę musisz już iść. I to zaraz.

– Nie ma sprawy. – Odstawił talerz, najwyraźniej równie mało poruszony tym, że go wyrzuca, jak wszystkim innym.

Ledwie wyszedł, wyjęła notes, spisała informacje z etykiety z każdej butelki i spakowała je starannie. Znalazła flamaster, napisała na pudle UBRANIA DO ODDANIA i ukryła całe pudełko w szafie w swoim pokoju. Gdyby doszło do kolejnego włamania, nie chciała ułatwiać sprawcy poszukiwań.

– Nie mogę opędzić się od myśli, że gdyby ten pokój nie był taki straszny, Theo spędzałby tu więcej czasu – stwierdziła Jaycie wsparta na kulach.

Co oznaczało po prostu, że miałyby więcej okazji, by przebywać z nim w jednym pomieszczeniu. Annie układała poduszki na kanapie w pokoju słonecznym.

Jaycie nie jest przecież zauroczoną nastolatką. Nie nauczyła się niczego o niewłaściwym wyborze partnerów?

– Theo nie wrócił wczoraj na kolację...

Annie słyszała pytającą nutę w jej głosie, uznała jednak, że lepiej zachować informację o wczorajszym wieczorze dla siebie.

– Został trochę dłużej, żeby się nade mną poznęcać. W końcu kazałam mu wyjść.

Jaycie odkurzała półki z książkami.

– Och. To chyba dobrze.

Wino okazało się kolejnym rozczarowaniem. Annie sprawdziła w Internecie wartość każdej butelki; najdroższa była warta około stu dolarów, sporo, ale z całą pewnością nie to miało być skarbem, który czekał na nią na Peregrine. Wyłączając komputer, usłyszała krzyk Jaycie przy drzwiach kuchennych:

– Livia! Nie wolno ci wychodzić na dwór! Wracaj natychmiast!

Annie westchnęła.

– Ja po nią pójdę.

Jaycie pokuśtykała na korytarz.

– Chyba zacznę ją karać.

Jaycie była za miękka, ale też obie wiedziały, że zdrowego, aktywnego dziecka nie powinno się całymi dniami trzymać w domu. Annie założyła kurtkę, zgarnęła Scamp i doszła do wniosku, że bycie dobrym człowiekiem jest strasznie niewygodne.

Livia kuciała przy uschłym pniu drzewa. Układała coś między patyczkami wbitymi w ziemię dokoła. Miniaturowy chodnik z kamyków, prowadzący do wydrążonego pnia.

Annie w końcu zrozumiała, na co patrzy. Livia budowała domek dla elfów. W Maine to popularna zabawa – dzieci budują domki dla baśniowych istotek zamieszkujących lasy. Domki dla elfów powstają z patyków, mchu, kamieni, szyszek – wszystkiego, co małym budowniczym wpadnie w ręce.

Usiadła po turecku na zimnym progu i oparła sobie Scamp na kolanie.

To ja – odezwała się Scamp. – Budujesz domek dla elfów, tak? Ja też lubię budować. Kiedyś ułożyłam cały alfabet z patyczków do lizaków, robiłam też kwiatki z bibułki i indyka z papieru, na Święto Dziękczynienia. Jestem bardzo zdolna. Ale jeszcze nigdy nie zbudowałam domku dla elfów.

Livia wpatrywała się w Scamp, jakby Annie wcale przy niej nie było.

Elfy już przyszły? – zainteresowała się Scamp.

Livia otwierała usta, jakby chciała coś powiedzieć. Annie wstrzymała oddech. Mała zmarszczyła brwi. Zamknęła buzię, znowu otworzyła i nagle jakby cała

związła. Zwiesiła smętnie ramionka, opuściła główkę. Wyglądała tak nieszczęśliwie, aż Annie pożałowała, że ją naciskała.

Supersekret! – wrzasnęła Scamp.

Livia podniosła głowę. W jej szarych oczach znowu rozbłysły iskierki.

Scamp przycisnęła szmacianą łapę do ust.

Ale będzie strasznie. Pamiętaj, nie wolno ci się na mnie gniewać.

Livia energicznie skinęła główką.

Mój supersekret to... – Scamp zniżyła głos do dramatycznego szeptu. – Kiedyś miałam pozbierać moje zabawki, ale wcale mi się nie chciało, więc zamiast tego poszłam sobie na wycieczkę, chociaż Annie prosiła, żebym nie wychodziła na dwór. Ale i tak poszłam. Annie nie wiedziała, gdzie jestem i strasznie się martwiła. – Scamp nabrała tchu. – Mówiłam, że to okropne. Nadal mnie lubisz?

Livia energicznie skinęła główką.

Scamp odchyliła się z namysłem.

Właściwie to nie fair. Ja już ci zdradziłam dwa supersekrety, a ty mi jeszcze żadnego.

Annie wyczuwała, że mała coraz bardziej chce się poddać, widziała napięcie w małym ciałku, rozpacz w delikatnych rysach.

Nic nie szkodzi! – zawołała Scamp. – Mam nową piosenkę. Mówiłam ci już, że jestem wybitną piosenkarką? Zaśpiewam dla ciebie. Nie możesz ze mną śpiewać, bo występuję zawsze sama, ale jeśli chcesz, możesz zatańczyć.

Scamp zaintonowała pogodną piosenkę. Podczas refrenu Annie wstała i zaczęła tańczyć, cały czas mając Scamp na ręku. Livia zaraz do niej dołączyła. Kiedy skończyła, Livia i Annie tańczyły razem, przy czym Annie ani razu nie zaniósła się kaszlem.

Tego dnia Annie ani razu nie widziała Theo, za to następnego popołudnia, gdy wraz z Jaycie nadal walczyły z pokojem słonecznym, dał o sobie znać.

– Wiadomość od Theo. – Jaycie zerknęła na wyświetlacz telefonu. – Życzy sobie, bym sprzątnęła we wszystkich kominkach. Pewnie zapomniał, że nie jestem w stanie tego zrobić.

– O niczym nie zapomniał – burknęła Annie. Po prostu znalazł nowy sposób, by ją dręczyć.

Jaycie spojrzała na nią znad fioletowego hipopotama pod pachą.

– To moja praca. Nie musisz tego za mnie robić.

– Jeśli tego nie zrobię, król Theo będzie pozbawiony rozrywki.

Jaycie oparła się o biblioteczkę, zrzucając przy tym oprawiony w skórę tom.

– Nie pojmuję, czemu nie potraficie się dogadać. To znaczy... Owszem, pamiętam, co się wtedy stało, ale to było dawno temu i Theo był wtedy tylko

dzieckiem. Nie słyszałam, by kiedykolwiek później coś takiego się powtórzyło.

Bo Elliott zawsze trzymał rękę na pulsie, pomyślała Annie.

– Charakter człowieka nie zmienia się z upływem czasu, nie aż tak bardzo.

Jaycie patrzyła na nią ufnie; najbardziej naiwna kobieta pod słońcem.

– Z jego charakterem jest wszystko w porządku. Gdyby było inaczej, wylałby mnie już dawno.

Annie ugryzła się w język. Nie chciała zrazić swoim cynizmem jedynej prawdziwej przyjaciółki na wyspie. Zresztą, może to z jej charakterem jest coś nie tak. Po tym wszystkim, co Jaycie przeszła w małżeństwie, trudno nie podziwiać jej optymizmu wobec mężczyzn.

Kiedy tego wieczora weszła do domku, upaprana sadzą od stóp do głów, powitał ją widok Leo, siedzącego okrakiem na oparciu kanapy. Dilly rozwalala się na krześle z pustą butelką po winie na kolanach. Crumpet leżała na podłodze nad otwartą książką z pornograficzną fotografią artystyczną, Peter od tyłu zaglądał jej pod sukienkę.

Theo wyszedł z kuchni ze ścierką w ręku. Wodziła wzrokiem od niego do kukielek. Wzruszył ramionami.

– Nudziło im się.

– Nie, to tobie się nudziło. Nie chciało ci się pisać i zabawiać się w ten sposób. Mówiłam przecież, że nie wolno ci ich ruszać!

– Tak? Nie przypominam sobie.

– Mogłabym wytknąć ci błędy w tym rozumowaniu, ale najpierw muszę się wykapać. Nie wiadomo dlaczego, cała jestem w popiele.

Uśmiechał się, tak naprawdę się uśmiechnął, co wcale nie pasowało do jego ponurej twarzy. Szła do sypialni.

– Kiedy wyjdę, ma cię tu już nie być.

– Na pewno? – zapytał. – Byłem dzisiaj w miasteczku i tak się składa, że kupiłem świeże homary.

O cholera. Umierała z głodu, ale przecież nie sprzeda się tak łatwo... za jedzenie... no, nie za zwykłe. Ale za homara? Trzasnęła drzwiami, przez co poczuła się jak rozkapryszona nastolatka.

Nie pojmuję dlaczego – rzuciła Crumpet wyniośle. – Ja przecież ciągle trzaskam drzwiami.

Annie ściągnęła brudne dżinsy.

– No właśnie.

Wykąpała się, zmyła sadzę z włosów, założyła czyste dżinsy i jeden z czarnych golfów Mariah. Usiłowała okiełznać mokre włosy, spinając je gumką, choć wiedziała, że i tak zaraz wysuną się z kucyka jak szalone sprężynki. Zerknęła na

skromniutki zapas kosmetyków do makijażu, ale nie sięgnęła nawet po błyszczak.

Kuchnia pachniała jak najlepsza restauracja. Theo szukał czegoś w szafce nad zlewem.

– Gdzie się podziało wino, które tu było?

Zakasała rękawy swetra.

– Jest spakowane i czeka, aż zawiozę je na pocztę. – Wszystkie butelki były w sumie warte jakieś czterysta dolarów, nie majątek, ale zawsze coś. – Sprzedaję je. Wychodzi na to, że jestem za biedna, żeby osobiście wypijać wino warte setki dolarów. Ani tym bardziej w towarzystwie niechcianego gościa.

– Odkupię od ciebie jedną butelkę. Albo jeszcze lepiej, zamienię za jedzenie, które mi ukradłaś.

– Niczego nie ukradłam, sama się przyznałam. Oddam ci wszystko, kiedy dostarczą moje zamówienie. Oczywiście poza tym, co sam zjadłeś – dodała pośpiesznie.

– Nie chcę, żebyś mi oddawała. Chcę napić się wina.

Nie wiadomo skąd odezwała się Scamp.

Zamiast wina zaproponuj mi swoje ciało.

– Do cholery, Scamp, zamknij się. – Annie spojrzała na garnki na kuchence. – Nawet najtańsza butelka jest warta więcej niż to, co do tej pory zjadłam.

– Zapominasz o dzisiejszym homarze.

– Na Peregrine homar jest jak hamburger, ale punkt dla ciebie.

– Dobra. Kupię od ciebie butelkę.

– Super, już lecę po cennik.

Mruknął coś pod nosem, gdy szła do sypialni.

– Ile jesteś gotów zapłacić? – zawołała.

– Przekonaj się – mruknął. – Ale uprzedzam, nie dostaniesz ani kropelki. Sam wszystko wypiję.

Wyjęła skrzynkę z szafy.

– W takim razie muszę doliczyć opłatę manipulacyjną. Bardziej ci się opłaci ze mną podzielić.

To, co usłyszała, było albo kaszlnięciem, albo suchym śmiechem.

Do homara podał ziemniaczane puree – pyszne, gładkie, aksamitne puree – najlepszy dowód na to, że propozycja kolacji nie była spontaniczna, bo tego ranka w domu nie było nawet pół ziemniaka. Czym się kierował, spędzając tu tyle czasu? Na pewno nie altruizmem.

Nakryła do stołu, narzuciła sweter na ramiona, bo od okna ciągnął chłód, i pomogła mu wnieść naczynia z kuchni.

– Naprawdę wysprzątałaś wszystkie kominki? – zapytał, zanim zaczęli jeść.

– Tak.

Coś drgnęło w kąciku jego ust, gdy nalewał jej wina i wznosił toast.

– Za dobre kobiety na całym świecie.

Nie zamierzała się z nim kłócić – nie teraz, gdy na talerzu czekał na nią różowutki homar i ciepłe masło, więc wyobraziła sobie, że jest tu sama.

Jedli w milczeniu. Dopiero kiedy zjadła ostatni kawałek – wyjątkowo smakowity kąsek z ogona – i starła z policzka smugę masła, zabrała głos.

– Zawarłeś pakt z diabłem, prawda? Sprzedałeś mu duszę w zamian za dar gotowania.

Cisnął skorupę homara na talerz.

– I umiejętność przenikania wzrokiem kobiecych ubrań.

Jego władcze niebieskie oczy były stworzone dla cynizmu i zaskoczyły ją iskierki rozbawienia w ich głębi. Zmiała serwetkę.

– A to pech. Akurat tutaj niewiele jest do oglądania.

Nie odwracając od niej spojrzenia, przesunął kciukiem po krawędzi kieliszka.

– Nie powiedziałbym tego.

Przeszyło ją napięcie. Skóra jej płonęła i przez chwilę czuła się zupełnie jak wtedy, gdy miała piętnaście lat. To wszystko przez wino. Odepchnęła od siebie talerz.

– To fakt, przecież masz pod nosem najpiękniejszą kobietę na wyspie. Jak mogłam zapomnieć o Jaycie?

Przez chwilę wydawał się zbity z tropu – ależ z niego oszust. Poprawiła kucyk na czubku głowy.

– Nie staraj się jej uwieść, Theo. Straciła męża, ma nieme dziecko i, dzięki tobie, nie ma pewności, czy następnego dnia będzie jeszcze miała pracę.

– Ani przez chwilę nie chciałem jej zwolnić, chyba to wiesz.

Nie, nie wiedziała, i nadal mu nie ufała. Coś jednak przyszło jej do głowy.

– Nie zwolnisz jej, póki będę robiła, co mi każesz, tak?

– Nie mieści mi się w głowie, że naprawdę wysprzątałaś kominki. – Lekkie uniesienie brwi zdradzało, że dała się wkręcić. – Gdyby zamiast u mnie mieszkała w miasteczku, mogłaby przyjeżdżać kilka razy w tygodniu – rzucił. – To nadal mogę zrobić, rozumiesz.

– Gdzie w miasteczku? W wynajętym pokoju, kątem u kogoś? To jeszcze gorsze niż jej obecna sytuacja.

– Póki mogę tu pracować, nie ma problemu. – Dopił wino do końca. – A małą się nie martw, zacznij mówić, kiedy będzie gotowa.

– Odezwał się wielki znawca dziecięcej psychiki.

– Kto lepiej ode mnie zna się na popapranym dzieciństwie?

Otworzyła szeroko oczy w udawanym zdumieniu.

– Ale przecież Livia nie jest psychopatką.

– Myślisz, że tylko dlatego, że jestem czarnym charakterem, nie mam żadnych uczuć?

Zdecydowanie przesadziła z winem, bo ten głos należał do Leo.

– Tamtego lata przechodziłem ciężki okres. Musiałem się wyładować.

Brak emocji w jego głosie doprowadzał ją do szału. Zerwała się zza stołu.

– Usiłowałeś mnie zabić. Gdyby tamtej nocy Jaycie nie było na plaży, utonąłabym.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – rzucił z niespotykaną u niego emocją w głosie.

Wkurzało ją, jak bardzo niepewnie się przy nim czuła. Z jednej strony powinna się bardziej bać, ale niepokoiło ją tylko zamieszanie. Z drugiej strony, czym niby dzisiejsza Annie różni się od tamtej, piętnastoletniej? Wtedy też nie sądziła, że coś jej grozi. Aż do końca, do tamtej chwili, gdy prawie utonęła.

– Opowiedz mi o Regan – poprosiła.

Zmiał serwetkę i wstał.

– Nie ma sensu.

Gdyby chodziło o kogoś innego, współczucie kazałoby jej przestać, ale teraz naprawdę chciała zrozumieć.

– Regan była dobrą żeglarką – rzuciła. – Dlaczego wypłynęła w morze, wiedząc, że nadciąga sztorm? Dlaczego?

Pokonał pokój kilkoma długimi krokami. Idąc złapał swoją kartkę.

– Nigdy nie rozmawiam o Regan. Nigdy.

Po chwili już go nie było.

Zanim poszła spać, osuszyła butelkę do dna, a rano obudziła się z wielkim bólem głowy i jeszcze większym kacem. Nie miała dzisiaj ochoty iść do domu Harpów. Przecież Theo powiedział, że i tak nie zwolni Jaycie. Nie ufała mu jednak. Zresztą nawet jeśli, nadal musiała pomagać Jaycie. Nie mogła zostawić jej na pastwę losu.

Wychodząc, obiecała sobie, że już nie pozwoli, by Theo nią kierował, wymyślając durne zadania, jak sprzątanie kominków. Na Peregrine tylko jedna osoba może pociągać za sznurki kukielek – właśnie ona.

Coś świsnęło jej koło ucha. Przerażona, rzuciła się na ziemię.

Leżała dysząc ciężko, z twarzą wtuloną w zimną, zmarzniętą ziemię, z chaosem w głowie. Zacisnęła powieki, wsłuchana w rozszalałe bicie swego serca.

Ktoś do niej strzelał. Ktoś, kto pewnie nadal poluje na nią z broni palnej.

Rozdział 10

Annie delikatnie poruszyła rękami i nogami, żeby przekonać się, że nic się jej nie stało. Nasłuchiwała czujnie, ale nie słyszała nic, poza własnym chrapliwym oddechem i monotonnym łoskotem fal rozbijających się o brzeg. Gdzieś daleko krzyknęła mewa. Powoli, ostrożnie uniosła głowę.

Strzał padł od zachodu. W kępie świerków i sosen, oddzielających ją od drogi, nie widziała niczego podejrzanego. Uniosła się odrobinę wyżej, przesunęła plecak i spojrzała w stronę domku, na ocean, na dom Harpów, jak zawsze górujący nad okolicą z wysokiego urwiska. Wszystko było zimne i obce, jak zawsze.

Powoli dźwignęła się na kolana. Czowała się bardzo obnażona, mając jedynie plecak do osłony. Nie miała doświadczenia z bronią palną. Skąd właściwie wiedziała, że to naprawdę była kula?

Wiedziała i już.

Czy była to zabłąkana kula myśliwego? Na Peregrine nie ma co prawda dzikich zwierząt, za to w każdym domu jest broń palna. Jeśli wierzyć Barbarze, niejeden wyspiarz postrzelił albo siebie, albo osobę trzecią. Wypadki się zdarzają, powiedziała, choć nie zawsze są to naprawdę wypadki.

Nagle usłyszała coś za plecami, dźwięk, który nie pasował do otoczenia. Tętent kopyt. Przyływ adrenaliny kazał jej wcisnąć się w ziemię.

Theo wraca, żeby dokończyć robotę.

Ledwie ta myśl pojawiła się w jej głowie, zerwała się na równe nogi. Prędeej ją szlag trafi, niż da się zastrzelić na ziemi, skulona jak tchórz. Jeśli chce ją zabić, niech to zrobi, patrząc jej w oczy, zanim pociągnie za spust. Odwróciła się, zobaczyła wielkiego konia galopującego w jej kierunku od strony plaży, i nagle poczuła się boleśnie zdradzona i zarazem za wszelką cenę chciała uznać, że to wszystko nie dzieje się naprawdę.

Theo zahamował, zeskoczył z Tancerza. Nie miał broni, ani w ręku, ani przy siodle. Może ją wyrzucił. Albo...

Miał na policzkach rumieńce z zimna, ale rozpiętą kurtkę. Jej poły rozchyliły się, gdy do niej biegł.

– Co się stało? Widziałem, jak upadłaś. Wszystko w porządku?

Szczękała zębami. Dygotała na całym ciele.

– Strzelałeś do mnie?

– Nie! Co to ma być? Ktoś do ciebie strzelał?

– Tak!

– Jesteś pewna?

Zazgrzytała zębami.

– Co prawda do tej pory jeszcze nikt nigdy do mnie nie strzelał, ale tak, jestem pewna. Jak to możliwe, że tego nie słyszałeś?

– Byłem za blisko wody, żeby cokolwiek słyszeć. Powiedz dokładnie, co się stało.

Dłonie piekły boleśnie w rękawiczkach. Zacisnęła pięści.

– Szłam do domu i kula świsnęła mi koło ucha.

– Skąd strzelano?

Usiłowała sobie przypomnieć.

– Chyba stamtąd. – Drżącą ręką wskazała drogę, czyli kierunek przeciwny do tego, z którego nadjechał Theo.

Przyglądał się jej uważnie, jakby chciał oszacować, jak bardzo ucierpiała, a potem szybko rozejrzał się dokoła.

– Cały czas bądź w zasięgu mojego wzroku. Razem pójdziemy do domu. – Chwilę później odjechał, oddalił się w kierunku kępy drzew.

Bała się zostać tu, gdzie stała, ale gdyby wyszła na otwartą przestrzeń rozlewiska i wróciła do swego domku, byłaby jeszcze bardziej narażona na nowy atak. Czekala, aż nogi przestaną jej drżeć, i pobiegła do kępy drzew rosnących tam, gdzie zaczynał się podjazd do domu Harpów.

Theo dogonił ją szybko. Spodziewała się, że na nią nakrzyczy, że na niego nie poczekała, ale nie zrobił tego. Zsiadł z konia, złapał go za uzdę i siedł obok niej.

– Widziałeś coś? – zapytała.

– Nic. Ten, kto to zrobił, zmył się na długo przed tym, jak się tam zjawilem.

Doszli już prawie do domu Harpów. Theo oznajmił że musi odprowadzić Tancerza do stajni.

– Spotkamy się w domu – rzucił – i porozmawiamy.

Nie była jeszcze gotowa na to, żeby wejść do środka, gdzie będzie musiała rozmawiać z Jaycie, więc wślizgnęła się do stajni i czekała, podczas gdy Theo oprowadzał Tancerza po podwórzu. Stajnia nadal pachniała zwierzętami i kurzem, choć teraz, gdy mieszkał tu tylko jeden koń, zapach był o wiele słabszy niż dawniej. Przez małe okienko nad tą ławeczką, na której siedzieli z Theo kilka godzin przed tym, jak poszła na randkę do groty, sączyło się blade, zimowe światło.

Zdjęła plecak, wyjęła z niego komórkę i zadzwoniła na policję na stałym łądzie. Po włamaniu zapisała sobie numer w pamięci aparatu. Policjant grzecznie wysłuchał jej opowieści, ale nie wydawał się zbyt przejęty.

– To pewnie dzieciaki. Już się pani pewnie przekonała, że na Peregrine macie istny Dziki Zachód.

– Dzieciaki są w szkole – zauważyła. Starła się nie okazać ogarniającego ją zniecierpliwienia.

– Nie dzisiaj. Dzisiaj nauczyciele ze wszystkich wysp są na Monhegan, na zimowej konferencji. Dzieciaki mają wolne.

Myśl, że strzelał nieuważny dzieciak, a nie ktoś o bardziej mrocznych zamiarach, przynosiła pewną ulgę. Policjant obiecał, że zbada tę sprawę podczas następnej bytności na wyspie.

– Gdyby coś się wydarzyło, proszę nas informować – zakończył.

– Na przykład gdy oberwę kulka, tak?

Roześmiał się.

– Tego chyba nie musi się pani obawiać. Wyspiarze to twardziele, ale zazwyczaj się nie zabijają.

– Dupek – mruknęła i rozłączyła się, a Theo wprowadził Tancerza do stajni.

– Co znowu zrobiłem? – zawołał.

– Nie ty. Dzwoniłam na policję na stałym lądzie.

– Chyba się domyślam, jak przebiegła ta rozmowa. – Wprowadził Tancerza do jedyne go boks u z sianem. Choć pomieszczenie nie było ogrzewane, zdjął kurtkę, powiesił ją na haku na ścianie i dopiero wtedy ściągnął siodło z końskiego grzbietu.

– Jesteś pewna, że ktoś do ciebie strzelał?

Wstała z ławeczki.

– Nie wierzysz mi?

– Niby dlaczego miałbym ci nie wierzyć?

Choćby dlatego, że ja nigdy nie wierzę tobie. Podeszła bliżej.

– Pewnie nie znalazłeś śladów? Ani łusek po kulach?

Ściągnął kapę spod siodła.

– Och, jasne. W tym błocie na ziemi pierwsze, co dostrzegłem, to łuski z kuli, ma się rozumieć.

– Daruj sobie ten sarkazm. – Ponieważ sama nigdy nie darowała okazji do złośliwości, myślała, że odpowie jej ostro, on jednak tylko mruknął, że naogładała się za dużo seriali kryminalnych.

Theo zajmował się Tancerzem, a ona zajrzała do sąsiedniego boks u, tego samego, w którym przed laty znalazły z Regan szczenięta. Teraz była w nim jedynie stara miotła, kilka wiader i przykre wspomnienia. Odwróciła głowę.

W końcu przestała się wiercić i tylko obserwowała Theo przy pracy – długie, równe pociągnięcia zgrzeblem, delikatny dotyk, gdy upewniał się, że nie umknęły mu żadne zanieczyszczenia, chwile, gdy przerywał pracę, żeby podrapać Tancerza za uszami i szepnąć coś do niego czule. Ta troska sprawiła, że wymknęło jej się coś, czego tak naprawdę wcale nie chciała powiedzieć:

– Właściwie wcale nie myślałam, że to ty.

– Owszem, myślałaś. – Odłożył zgrzebło i uklęknął, żeby obejrzeć końskie kopyta. Kiedy upewnił się, że nie ma w nich kamyków, wyszedł z boksu i skierował na nią te błękitno-laserowe oczy.

– Dość tego – rzucił. – Powiedz mi w końcu, o co w tym wszystkim chodzi.

Ściągnęła czapkę, przeczesła włosy palcami.

– Skąd niby mam to wiedzieć?

– Wiesz więcej, niż chcesz przyznać. Nie ufasz mi? W porządku, ale w końcu musisz się z tym jakoś uporać, bo w tej chwili jestem jedyną osobą, której właśnie możesz zaufać.

– To bez sensu.

– Trudno.

Nie mogła mu tego nie wypomnieć:

– Tuż po tym, jak tu przyjechałam... Kiedy zobaczyłam cię po raz pierwszy, miałeś w ręku broń.

– Owszem, staroświecki pistolet do pojedynków.

– Z kolekcji broni twojego ojca.

– Tak jest. W tym domu jest cała szafa pełna broni. Dubeltówek, strzelb, pistoletów – urwał, zmrużył oczy. – I umiem się posługiwać każdym z nich.

Wcisnęła czapkę do kieszeni.

– No, to teraz już na pewno poczuje się lepiej.

A najdziwniejsze, że właśnie tak było. Gdyby naprawdę chciał ją zabić z jakiegoś dziwnego, sobie tylko znanego powodu, miałby już dość okazji, by to zrobić. A jeśli chodzi o jej spadek... Cóż, Theo to jeden z Harpów i nie widziała nic, co kazałoby jej podejrzewać, że brakuje mu pieniędzy.

W takim razie dlaczego mieszka na wyspie? – zapytała Dilly. – Może nie miał dokąd pójść?

Zupełnie jak ty – zauważyła Crumpet.

Annie stłumiła głosy kukiełek w swojej głowie. Choć nie bardzo jej to odpowiadało, w tej chwili tylko z nim mogła szczerze porozmawiać.

Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy miałaś piętnaście lat – mruknęła Dilly.

Theo zacisnął dłonie na framudze.

– Ta sprawa powoli wymyka się spod kontroli. Powiedz mi, co ukrywasz.

– Prawdopodobnie to tylko jakiś dzieciak. Nauczyciele są na konferencji, więc dzieci mają dzisiaj wolne.

– Dzieciak? I co, twój domek też zdemolował dzieciak?

– Może. – Nie, wcale tak nie uważała.

– Gdyby to naprawdę zrobił dzieciak, posunąłby się o wiele dalej.

– Tego nie wiemy. – Prześlizgnęła się obok niego. – Muszę lecieć. Jaycie oczekuje mnie już od godziny.

Zrobiła za ledwie krok, gdy zatarasował jej drogę; nagle wyrosła przed nią niewzruszona ściana twardych mięśni.

– Masz dwa wyjścia – rzucił. – Albo zabierasz się z wyspy...

Zostawić mu domek? O nie, nie ma mowy.

– ...albo mówisz mi wszystko i pozwalasz, żeby ci pomógł – dokończył.

Propozycja wydawała się taka szczerą, taką kuszącą. Zamiast jednak, choć tego chciała, wtulić twarz w jego sweter, przywołała w sobie najbardziej naburmuszoną Crumpet, na jaką było ją stać.

– A co cię to obchodzi? Nawet mnie nie lubisz.

– Bardzo cię lubię.

Powiedział to z poważną miną, ona jednak nie dała się nabrać.

– Bzdura.

Ciemna brew uniosła się pytająco.

– Nie wierzysz mi?

– Nie.

– No, dobrze. – Wbił ręce w kieszenie dżinsów. – Jesteś w rozsypce. Ale... – W jego głosie pojawiły się miękkie, ochryple nuty. – Jesteś kobietą i tego właśnie mi trzeba. Minęło już sporo czasu.

To gierka. Widziała to w jego oczach, co jednak nie zmieniło faktu, że nagle zrobiło jej się gorąco. Było to niepokojące, niepożądane, ale zrozumiałe uczucie. Miała przed sobą ciemnowłose, niebieskookie ucieleśnienie seksualnych fantazji z jej książek. A ona? Wysoka, chuda, trzydziestotrzyletnia kobieta o dziwnej twarzy, szalonych włosach i skłonności do mężczyzn, którzy okazują się mniej szlachetni, niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Broniąc się przeciwko jego magii, sięgnęła po krucyfiks sarkazmu.

– I czemu wcześniej nic nie powiedziałeś? Już się rozbieram!

Był ucieleśnieniem zmysłowości; mroczny jedwab, czarny aksamit.

– Za zimno tutaj. Przyda się nam ciepłe łóżko.

– Niekoniecznie. – Zamknij się! Zamknij się! Zamknij się, do cholery! – Ja cię rozpalę. Tak przynajmniej mi mówiono. – Odrzuciła włosy do tyłu, podniosła plecak i minęła go.

Tym razem jej nie zatrzymywał.

Theo odprowadzał ją wzrokiem, póki nie trzasnęła drzwiami do stajni, z ni to uśmiechem, ni to grymasem na twarzy. Niepotrzebnie ją prowokował, choć przecież połknęła przynętę. Ale te jej wielkie oczy wciągały go, kusily, żeby się zabawić. Podrażnić się z nią troszeczkę. A do tego jej zapach – nie nieprzyzwoicie drogie perfumy, do których przywykł, tylko najzwyklejsze mydło i

owocowy szampon z supermarketu.

Tancerz szturchnął go w ramię.

– Tak, wiem, bracie. Zalazła mi za skórę i to wszystko moja wina.

Koń dotknął jego podbródką, jakby się z nim zgadzał.

Theo odłożył szczotkę i nalał wody do poidła. Poprzedniej nocy usiłował włamać się do laptopa, bo Annie zostawiła go w domu Harpów, ale nie udało mu się odgadnąć hasła. Na razie, zachowywała dla siebie wszystkie swoje tajemnice, ale nie mógł dopuścić, by było tak dalej.

Musi przestać ją drażnić. Zwłaszcza że prowokowanie jej, jak przed chwilą, działa chyba bardziej na niego niż na nią. Ostatnie, co mu teraz w głowie, to naga kobieta, a co dopiero naga Annie Hewitt.

Jej powrót na Peregrine oznaczał powrót do starego koszmaru, więc dlaczego ciągle szukał jej bliskości? Być może w jej obecności ogarniało go dziwaczne poczucie bezpieczeństwa. Nie było w niej ani odrobiny wyrafinowanego, klasycznego piękna, które go zawsze pociągało. W przeciwieństwie do Kenley, twarz Annie była jak szalony park rozrywki. Annie była też cholernie inteligentna, i choć nie słaba, nie wydawała się też niezwykczona, dominująca.

To jej zalety. Jeśli chodzi o wady...

Postrzegala życie jak spektakl kukielkowy. Nie doświadczyła koszmarnych nocy, rozpaczy tak nieprzeniknionej, że oblepiała wszystko, czego się dotkniesz. Zapewne głośno temu zaprzecza, ale w głębi duszy nadal wierzy w szczęśliwe zakończenia. I właśnie ta iluzja sprawiała, że chciał z nią przebywać.

Zdjął kurtkę z wieszaka. Musi się skoncentrować na scenie, której nie wiadomo dlaczego nie mógł napisać, a nie na ciele Annie, kryjącym się w grubych swetrach i bezkształtnej kurtce. Nosi za dużo ciuchów, do cholery. Gdyby teraz było lato, widziałby ją w kostiumie kąpielowym i jego pisarska wyobraźnia miałaby dość strawy, by zająć się czymś innym, bardziej produktywnym. A teraz cały czas wyobrażał sobie chudą nastolatkę, której prawie nie pamiętał. Ciekawe, jak wyglądałaby teraz w kostiumie?

Napalony kretyn.

Po raz ostatni poklepał Tancerza.

– Wiesz, bracie, masz więcej szczęścia ode mnie. Życie bez jaj jest jednak o wiele łatwiejsze.

Annie przez kilka godzin szukała w Internecie informacji o albumach, które znalazła w domku, ale żaden z nich nie okazał się kolekcjonerskim rarytasem: ani David Hockney, ani Niven Garr, ani Julian Schnabel. Kiedy frustracja za bardzo dawała się jej we znaki, pomagała Jaycie sprzątać.

Jaycie od rana była bardziej milcząca niż zwykle. Wydawała się zmęczona. W gabinecie Elliotta Annie kazała jej usiąść. Jaycie odłożyła kule, oparła je o skórzaną kanapę i osunęła się na siedzenie.

– Theo napisał, że masz koniecznie wziąć range rovera, wracając do siebie.

Annie nie mówiła jej, że ktoś do niej strzelał i nie planowała tego robić. Miała przecież ułatwić Jaycie życie, a nie dodawać jej zmartwień.

Jaycie założyła jasny kosmyk za ucho.

– Powiedział, żebym mu dzisiaj nie szykowała kolacji. To już trzeci raz w tym tygodniu.

Anie przestawiła odkurzacz pod okno i odparła ostrożnie:

– Jaycie, ja go nie zapraszałam. Theo robi to, co chce.

– Lubi cię. Nie rozumiem tego. Mówisz o nim straszne rzeczy.

Anie spróbowała to wytłumaczyć.

– Nie lubi mnie, tylko lubi mi dokuczać. To co innego.

– Nie sądzę. – Jaycie wstała, sięgnęła po kule. – Zobaczę, co robi Livia.

Anie odprowadziła ją ponurym wzrokiem. Sprawiała przykrość ostatniej osobie, którą chciała urazić. Życie na niemal bezludnej wyspie z dnia na dzień komplikowało się coraz bardziej.

Tego wieczora Annie, która już zbierała się do wyjścia, zobaczyła, jak Livia przysuwa stółek przez całą kuchnię, wdrapuje się na niego i wsuwa zwinięty papierowy rulon do jej plecaka. Zaintrygowana, planowała obejrzeć to zaraz po przyjsciu do domu, jednak kiedy otworzyła drzwi, pierwsze, co zobaczyła, to Leo na kanapie, ze słomką zawiązaną na ramieniu jak narkoman przed zastrzykiem w żyłę. Obok niego siedziała Dilly; założyła nonszalancko nogę na nogę, z jej ust zwisał papierowy rulonik – namiastka papierosa.

Annie ściągnęła czapkę.

– Zostawisz moje kukielki w spokoju?

Theo wyszedł z kuchni. Zatknął lawendową ścierkę za pasek dżinsów.

– Do tej pory nie miałem pojęcia, że mam tak słabą wolę.

Annie była na siebie wściekła za radość, którą poczuła na jego widok. Z drugiej strony, jaka normalna kobieta nie ucieszyłaby się widok takiego faceta, na dodatek z lawendową ściereczką? Ukarala go za urodę, zadzierając nosa.

– Dilly za żadne skarby nie zapaliłaby papierosa. Specjalizuje się w tępieniu narkotyków.

– Godne podziwu.

– A ciebie nie powinno tu być, kiedy wracam.

– Tak? – Spojrzał tępo, jakby cierpiał na zaniki pamięci. Z kuchni wyszedł

Hannibal i otarł się o jego kostki.

Spojrzała na kota.

– Co tu robi twój zwierzak?

– Jest mi potrzebny w pracy.

– Co, pomaga ci rzucać zaklęcia?

– Pisarze mają słabość do kotów, ale ty tego oczywiście nie rozumiesz. –

Patrzył na nią z góry tymi niebieskimi oczami, z takim poczuciem wyższości, że widziała, że robi to specjalnie, żeby ją sprowokować. W odpowiedzi zabrała kukielki, uwolniła je od nowych nałogów i zaniósła do atelier.

Pudła leżały już nie na łóżku, tylko stały pod ścianą, pod freskiem z taksówką, który okazał się bezwartościowy, jak właściwie wszystko inne. Przeglądała zawartość pudeł, spisywała wszystko, ale jedyne w miarę interesujące przedmioty, które znalazła, to księga gości i jej Księga Marzeń – album, który założyła jako nastolatka. Wklejała do niego swoje szkice, programy ze spektakli teatralnych, na których była, zdjęcia ulubionych aktorek, recenzje, które pisała sama ze swoich wyimaginowanych tryumfów na Broadwayu. Różnica między tym, co przyniosła dorosłość, a wyobrażeniami małej dziewczynki była zbyt bolesna. Odłożyła album na bok.

Z kuchni docierał bardzo smakowity zapach. Annie przeczesła włosy grzebieniem i, ponieważ była naprawdę żalosna, musnęła usta błyszczkiem, zanim wróciła do saloniku. Theo siedział na kanapie w tej samej pozycji co przedtem Leo. Nawet z tej odległości widziała, że trzyma w dłoni jeden z jej rysunków.

– Zapomniałem już, że tak dobrze rysujesz – mruknął.

Poczula się nieswojo, widząc swoje dzieło w jego rękach.

– Wcale nie jestem dobra. To tylko tak, dla rozrywki.

– Nie doceniasz się. – Ponownie spojrzał na rysunek. – Podoba mi się ten dzieciak. Ma charakterek.

Naszkirowała skupionego chłopca o prostych, ciemnych włosach, z niesfornym wicherkiem na czubku głowy. Z nogawek dzinsów wystawały chude kostki, jakby niedawno gwałtownie urósł, jak to się zdarza małym chłopcom. Z piegowatego nosa zsuwały się okulary w prostokątnych oprawkach. Miał krzywo zapiętą koszulę i wielki męski zegarek, za duży jak na jego chudy nadgarstek. Żadna tam wielka sztuka, ale spory potencjał na nową kukielkę.

Theo przechylił kartkę, patrząc na rysunek pod innym kątem.

– Jak myślisz, ile on ma lat?

– Nie mam pojęcia.

– Jakieś dwanaście. Wchodzi w okres dojrzewania.

– Skoro tak mówisz.

Odłożył szkic i dopiero wtedy zobaczyła, że nalał sobie wina. Już chciała zaprotestować, ale wskazał otwartą butelkę na komódce w stylu Ludwika XVI.

– Przyniosłem ze sobą. A ty nie dostaniesz ani kropli, póki mi nie odpowiesz na kilka pytań.

Nie miała na to najmniejszej ochoty.

– Co zjemy na kolację?

– Ja zjem pieczeń. I to nie byle jaką pieczeń – zrobiłem ją z odrobiną włoskiego boczku w środku, z dwoma gatunkami sera i ze specjalną polewą, której tajemniczym składnikiem może okazać się guinness. Zainteresowana?

Na samą myśl ślinka napłynęła jej do ust.

– Może.

– Dobrze. Ale najpierw porozmawiamy. Czyli czas się skończył, a ty jesteś w ślepym zaułku. Musisz tu i teraz zdecydować, czy mi ufasz, czy nie.

Jak niby miała to zrobić? To nie on do niej strzelał, nie mógł tego zrobić z miejsca, w którym wtedy był. To jednak nie znaczy, że można mu zaufać, nie jemu, nie z jego przeszłością. Powoli usadowiła się w fotelu lotniczym i podkuiliła nogi.

– Szkoda, że krytykom nie spodobała się twoja książka. Wyobrażam sobie, jak ich sarkazm boleśnie zranił twoją dumę.

Upił łyk wina, rozluźniony i nonszalancki jak playboy na Costa del Sol.

– Rozerwali ją na strzępy. Jesteś pewna, że nie czytałaś mojej książki?

Nadeszła pora zemsty za to, jak przedtem potraktował ją z góry.

– Wolę ambitniejszą literaturę.

– Och, tak, widziałem tę ambitną literaturę w twojej sypialni. Spłonąłem rumieńcem, że taki ze mnie prostak.

Ściągnęła brwi.

– Co robiłeś w mojej sypialni?

– Myszkowałem. Bardziej skutecznie, niż kiedy chciałem włamać się do twojego komputera. Niedługo będziesz musiała podać mi hasło. Tak będzie sprawiedliwie.

– Nie ma mowy.

– No, to będę myszkował, póki mi nie zaufasz. – Uniósł kieliszek w jej stronę. – A przy okazji, powinnaś sobie kupić nowe majteczki.

Zważywszy, że sama myszkowała w jego wieży, niełatwo jej było wywołać w sobie święte oburzenie.

– Z moimi majteczkami wszystko jest w najlepszym porządku.

– Powiedziała kobieta, która od bardzo dawna nie uprawiała seksu.

– A właśnie że uprawiałam!

– Nie wierzę ci.

Walczyła ze sobą; z jednej strony chciała się z nim drażnić, z drugiej – być

uczciwa.

– Skoro już musisz koniecznie wiedzieć, wyprawiałam w łóżku najróżniejsze rzeczy z wieloma beznadziejnymi partnerami. – Nie tak znowu wieloma, ale nie zamierzała tego dopowiadać, gdy Theo zaniósł się głośnym śmiechem.

Uspokoił się w końcu i smutno pokręcił głową.

– Widzę, że nadal się nie doceniasz. Właściwie dlaczego? I kiedy w końcu z tego wyrośniesz?

Zaskoczyło ją, że jest o niej lepszego zdania niż ona sama.

Zaufaj mu – poradziła Scamp.

Nie bądź głupia – sapnęła Dilly.

Po co on! – krzyknął Peter! – Ja cię uratuję!

Chłopie, nie rób z siebie durnia – wycedził Leo. – Sama się uratuje.

Być może wspomnienie mężczyzn, którzy nigdy nie służyli jej wsparciem, przechyliło szalę na korzyść Theo. Choć cichy głosik uparcie szeptał w głowie, że psychopaci po mistrzowsku zdobywają zaufanie ofiar, wyprostowała nogi i powiedziała mu prawdę.

– Tuż przed śmiercią Mariah powiedziała, że ukryła w domku coś wartościowego. Spadek. Dziedzictwo. A kiedy je znajdę, będę bogata.

Słuchał jej uważnie. Opuścił nogi na podłogę, wyprostował się.

– Jaki spadek?

– Nie mam pojęcia. Wtedy już ledwo mówiła, zaraz po tym zapadła w śpiączkę, a w nocy umarła.

– I nie dowiedziałas się, co to jest?

– Sprawdziłam wszystkie dzieła sztuki, ale od lat stopniowo wyprzedawała swoją kolekcję i to, co zostało, nie ma już właściwie żadnej wartości. Przez kilka cudownych godzin ludziłam się, że może chodziło o wino.

– Mieszkali tu pisarze. Muzycy.

Annie skinęła głową.

– Szkoda, że nie wyraziła się jaśniej.

– Mariah zawsze komplikowała ci życie. Nigdy nie potrafiłem tego zrozumieć.

– W ten sposób okazywała mi miłość – wyjaśniła bez cienia gorzkości. – Byłam dla niej zbyt przeciętna, zbyt cicha.

– Dobrze, stare czasy – rzucił sucho.

– Myślę, że martwiła się o mnie, bo byłam zupełnie inna niż ona. Nudnie beżowa, podczas gdy ona była intensywnie fioletowa. – Hannibal wskoczył jej na kolana. Pogłaskała go po łebku. – Bała się, że nie poradzę sobie w życiu. Myślała, że krytyka mnie zahartuje.

– Dziwaczna logika – mruknął. – Ale chyba podziałało.

Nie zdążyła zapytać, co chciał przez to powiedzieć, bo mówił dalej:

– Szukałaś na strychu?

– Gdzie?

– No, na stryszku? Poddaszu?

– Tu nie ma poddasza, tu... – Ależ oczywiście, że było. – Tam nie można wejść.

– Jasne, że można. W atelier jest kłapa w suficie.

Widziała ją tyle razy, a nigdy nie zastanowiło jej, dokąd prowadzi. Zerwała się z krzesła, zrzucając Hannibala.

– Poszukam tam.

– Spokojnie. Jeden fałszywy krok i podłoga zarwie ci się pod nogami. Jutro ja tam poszukam.

O nie, najpierw rozejrzy się sama. Usiadła ponownie.

– Czy teraz dostanę wina? I pieczeń?

Theo sięgnął po butelkę.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Ja nikomu nie powiedziałam. Aż do teraz. I mam nadzieję, że tego nie pożałuję.

Puścił złośliwość mimo uszu.

– Ktoś włamał się do domku, ktoś do ciebie strzelał. Załóżmy, że ten, kto to wszystko zrobił, szuka tego, co ukryła tu Mariah.

– Nikt cię nie oskarża.

– Będziesz się dalej bawić w złośliwości czy chcesz dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi?

Zamyśliła się.

– Bawić w złośliwości.

Stał i czekał cierpliwie. W końcu pojednawczo rozłożyła rękę.

– No dobra, dobra! Słucham.

– A, to coś nowego. – Nalał jej wina i podał kieliszek. – Zakładając, że nikomu o tym nie powiedziałaś...

– Nie powiedziałam.

– A Jaycie? Innej przyjaciółce?

– Albo beznadziejnemu facetowi? Nie, nikomu. – Upiła łyk wina. – Może Mariah komuś wspomniała. Albo... i to mi się podoba najbardziej... ktoś włamał się do mnie przypadkiem, bo po prostu szukał pieniędzy, a strzelał dzieciak – też niechcący.

– Liczysz na szczęśliwe zakończenie.

– Lepsze to niż wiecznie ponura mina.

– Masz na myśli realizm?

– Realizm czy cynizm? – Zmarszczyła czoło. – Wiesz, czego nie lubię w cynikach?

Najwyraźniej wcale go to nie interesowało, bo poszedł do kuchni. Ale cynizm to jeden z jej ulubionych tematów, więc poszła za nim.

– Cynicy to tchórze – oznajmiła. Miała na myśli swojego byłego chłopaka, który za maską wyższości skrywał aktorski brak pewności siebie. – Cynizm pozwala ci trzymać się od wszystkiego z daleka. Nie brudzisz sobie rąk, bo po co? O nie, ty całymi dniami wylegujesz się w łóżku i pogardzasz tymi idiotami, którzy starają się coś zmienić na tym świecie. To takie wyrachowane. Cynicy to największe lenie, jakich znam.

– Ej, popatrz na mnie. To ja, ten facet, który upiekł boską pieczeń. – Przerwała tyradę w pół słowa, widząc, jak pochyła się nad piekarnikiem. Szczupły, ale nie chudy, umięśniony, ale nie napompowany. Nagle domek wydał się za mały, za bardzo na odludziu.

Wyjęła sztucce z szuflady, zaniósła do saloniku, a rozsądna Dilly cały czas krzyczała w jej głowie:

Uwaga! Niebezpieczeństwo!

Rozdział 11

Pieczeń była jeszcze lepsza, niż wynikało z jego opisu, ziemniaczki idealnie przyprawione. Po trzecim kieliszku wina wydawało się, że w małym domku czas nie istnieje, że nie obowiązują ich zasady, że tutaj tajemnice są bezpieczne. Że kobieta może zapomnieć o wątpliwościach, pozwolić sobie na zmysłowy kaprys i nic złego z tego nie wyniknie. Usiłowała otrząsnąć się z tego rozmarzenia, ale wino nie ułatwiało sprawy.

Theo obracał w palcach kieliszek. Mówił niskim głosem, cichym jak noc na zewnątrz:

– Pamiętasz, co robiliśmy w jaskini?

Z teatralnym skupieniem kroїła ziemniaka.

– Ledwo. To było dawno temu.

– Ja pamiętam.

Rozkroїła ćwiartkę.

– Nie pojmuję dlaczego.

Patrzył na nią długo, przeciągle, jakby wiedział, że myślała o erotycznych gierkach.

– Każdy pamięta swój pierwszy raz.

– Pierwszego razu nie było – zauważyła. – Nie posunęliśmy się tak daleko.

– Ale prawie. Zdawało mi się, że nie pamiętasz.

– Tyle pamiętam.

Odsunął się z krzesłem.

– Dawniej pieściliśmy się godzinami, pamiętasz?

Jak mogłaby zapomnieć? Całowali się bez końca – policzki, szyja, usta, język. Sekundy... minuty... godziny. A potem zaczynali od początku. Dorosłym za bardzo spieszy się do ostatecznego celu, by poświęcić tyle czasu na pieszczoty. Tylko nastolatki, przerażone kolejnym krokiem, całują się bez końca.

Nie była pijana, tylko lekko wstawiona i wołała nie wspominać akurat tamtych wydarzeń.

– Pocałunki to zapomniana sztuka.

– Czyżby?

– Hm. – Upiła kolejny łyk pysznego wina.

– Pewnie masz rację – mruknął. – Ja jestem w tym beznadziejny.

Z trudem powstrzymała się, by go nie poprawić.

– Większość mężczyzn nie chce się do tego przyznać.

– Za bardzo mi spieszno do następnego etapu.

– Tobie i wszystkim innym.

Nad stołem pojawił się czarny ogon. Hannibal wskoczył na kolana Theo, który go pogłaskał i zestawił z powrotem na podłogę.

Annie od niechcienia grzebała widelcem w talerzu, już nie głodna, już nie czujna.

– Nie pojmuję tego. Przecież ty kochasz zwierzęta.

Nie zapytał, co miała na myśli. Wiedział, że nadal są w jaskini, ale teraz przyływ przybierał i robiło się niebezpiecznie. Wstał od stołu, podszedł do biblioteczki.

– Jak wytłumaczyć coś, czego nie rozumie się samemu?

Oparła łokcie na stole.

– Kogo chciałeś skrzywdzić? Mnie? Szczeniaki?

Nie spieszył się z odpowiedzią.

– Koniec końców chyba siebie.

Co oczywiście niczego nie tłumaczyło.

Zmienił temat.

– Powinnaś była powiedzieć mi o spadku zaraz po włamaniu.

Wstała, sięgnęła po kieliszek.

– Jasne, bo ty mi wszystko mówisz. Jak na spowiedzi.

– Do mnie przynajmniej nikt nie strzela.

– Nie ufam... nie ufałam ci.

Spojrzał na nią, uwodzicielsko, ale nie obleśnie.

– Gdybyś wiedziała, o czym teraz myślę, przestałabyś mi ufać, bo z tamtą jaskinią wiążą się jedne z moich najmiłszych wspomnień. Wiem, że z tobą jest inaczej.

Gdyby nie ta ostatnia noc, może byłoby podobnie. Wino szumiało jej w żyłach.

– Trudno rozmarzać się nostalgicznie na wspomnienie miejsca, w którym o mało się nie zginęło.

– Zrozumiałe.

Męczyło ją ciągle napięcie i z przyjemnością powitała odprężenie po winie. Chciała zostawić przeszłość za sobą, wymazać ją, jakby nigdy się nie wydarzyła. Udawać, że dopiero co się poznali. Chciała być jak znane jej kobiety, które poznają w barze przystojniaka, idą z nim do łóżka, a kilka godzin później wychodzą, bez poczucia winy i wyrzutów sumienia.

– Jestem jak facet – stwierdziła kiedyś jej przyjaciółka Rachel. – Nie interesuje mnie więź emocjonalna, ja chcę tylko sobie ulżyć.

Annie też chciała być jak facet.

– Mam pomysł. – Theo opierał się o biblioteczkę. Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. – Pofiglujmy. W imię starych, dobrych czasów.

Ponieważ wypła trzy kieliszki wina, mówiła zdecydowanie za mało stanowczo.

– Nie sądzę.

– Na pewno? – Oderwał się od biblioteczki. – To przecież nie będzie dla nas nic nowego. A ponieważ nie możesz do końca uwierzyć, że nie chcę cię zabić, nie musisz udawać, że mnie jakoś specjalnie lubisz. Mały trening... dobrze mi zrobi, szczerze mówiąc.

Wino w jej żyłach kusiło, by przyjęła wyzwanie kryjące się w rozbawionych oczach. Ale choć była na tyle pijana, by to zrobić, zachowała dość trzeźwości umysłu, by postawić też swoje warunki.

Zbliżał się do niej powoli.

– No, nie wiem.

– Bez rąk – powtórzyła bardziej stanowczo.

– No dobrze, bez rąk. Poniżej pasa.

Przechyliła głowę.

– Poniżej szyi.

– Zdajesz sobie sprawę, że to niemożliwe. – Zatrzymał się przed nią, wyjął jej kieliszek z dłoni tak intymnym gestem, jakby rozpinał jej stanik.

Lubiła tę nową, prawie pijaną Annie.

– Albo albo, decyduj.

– Denerwuję się – stwierdził. – Nie jestem pewny tego, jak całuję. Inne sprawy, owszem, ale całowanie? Zero pewności siebie.

Jego oczy się śmiały. Ponury, mroczny Theo Harp wciągał ją w sieci erotycznych fantazji. Uniosła rękę, ściągnęła gumkę z włosów.

– Przypomnij sobie siebie jako szesnastolatka. Wtedy szło ci bardzo dobrze.

Popatrzył na jej włosy, dopił ostatnie krople z jej kieliszka i pokonał ostatnie dzielące ich centymetry.

– Postaram się.

Theo nigdy tego nadmiernie nie wykorzystywał, ale ilekroć pragnął jakiejś kobiety, potrafił ją zdobyć. W przypadku Annie jednak taka seksualna nonszalancja była niebezpieczna. Dlaczego nie zdemaskowała jego gierki? Powinna wiedzieć lepiej.

Nie pamiętał, kiedy on i Kenley całowali się po raz ostatni, choć pamiętał, kiedy się ostatnio pieprzyli. To było w środku nocy; nienawidziła go i zadbała, by doskonale o tym wiedział. Nienawidził jej i starał się tego nie okazywać.

Spojrzał na zamknięte powieki Annie. Przypominały blade muszelki wyrzucone na brzeg. Przez lata odrobinę stwardniała, ale nie potrafiłaby zachować się okrutnie, nawet gdyby wiedziała jak. Czepiała się kurczowo swoich kukielek i

wyimaginowanego świata dobrych intencji i happy endów. A teraz może ją pocałować. I zaraz to zrobi, choć powinien odwrócić się na pięcie i odejść.

Przesuwał kciukiem po jej kościach policzkowych. Lekko rozchyliła usta. Nie spodziewała się po nim niczego dobrego. Znała go od najgorszej strony, nie liczyła, że ją ocali, ochroni, że postąpi, jak trzeba. A co najważniejsze, nie oczekiwała, że będzie ją kochał. To podobało mu się najbardziej. To i jej całkowita niewiara w jego przyzwoitość. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni mógł być tym, kim chce.

Mężczyznę bez krzty przyzwoitości w sobie.

Odnalazł jej usta swoimi. Ich wargi ledwie się dotykały, przesycone winem oddechy zlewały w jeden. Przechyliła głowę, szukała jego dotyku. Zmusił się, by cofnąć się minimalnie, o milimetr. Ich usta dotykały się – i to wszystko.

Przejrzała go na wylot, też odsunęła się odrobinę, on jednak zaraz wypełnił pustkę między nimi – ledwie wyczuwalnym dotykiem. Miała solidne powody, by się go bać, popełniała błąd, dopuszczając go tak blisko, ale odchyliła głowę i muskała jego usta swoimi delikatnie, jak piórkiem. Minęło zaledwie kilkanaście sekund, a już nabrzmiał. Zamknął jej usta swoimi, wypełnił językiem, zaatakował.

Uderzyła go w klatkę piersiową, przeszła oburzonym spojrzeniem piwnych oczu.

– Masz rację. Beznadziejnie całujesz.

On? Beznadziejnie całuje? O nie, to jej nie ujdzie płazem. Musnął jej włosy wewnętrzną stroną ramienia, opierając rękę o ścianę za jej głową.

– Przepraszam, poczułem skurcz w nodze i straciłem równowagę.

– Straciłeś też okazję, ot co.

Śmiałe stwierdzenie z ust kogoś, kto nie odsunął się od niego ani na krok. Za żadne skarby świata nie podda się tak szybko, nie z nią, z wygadaną, słodką Annie Hewitt o miękkim sercu, której nie przyszłoby do głowy zażądać od faceta ostatniej kropli jego krwi.

– Przepraszam najmocniej. – Pochylił się i dmuchnął leciutko na wrażliwą skórę za jej uchem.

Jej włosy drgnęły.

– No, już lepiej.

Przysunął się bliżej, dotknął tego miejsca wargami. Bliskość oszalała, ale nie pozwoli, by erekcja wzięła nad nim górę.

Objęła go w tali, wsunęła dłonie pod jego sweter, łamiąc własną zasadę, ale nie zamierzał jej tego wypominać. Odwróciła głowę, przysunęła usta bliżej, ale zawsze lubił rywalizację, a gra trwała nadal, więc pocałował tylko zarys jej szczęki.

Wygięła szyję. Skorzystał z zaproszenia i zawędrował tam ustami. Jej dłonie

błądziły pod jego swetrem. Pieszczota porządnej kobiety była taka inna. Nowa. Dobra. Walczył ze sobą, by nie podbić stawki. W końcu to ona przywarła do niego, odnalazła jego usta swoimi.

Nie wiedział, jakim sposobem wylądowali na podłodze. Czy to on ją pociągnął, czy ona jego? Wiedział tylko, że Annie leżała na plecach, a on przykrywał ją sobą. Zupełnie jak w tamte cudowne, upalne dni w jaskini.

Chciał mieć ją pod sobą, nagą, gotową, otwartą. Jej szybki, płytki oddech, jej dłonie na jego plecach – to wszystko mówiło mu, że ona chce tego samego. Ostatkiem sił wrócił do pocałunków. Skronie, policzki, usta. Długie, powolne pieszczoty.

Jęczała głośno, błagalnie, oplatając go nogami. Wplątał dłoń w jej niesforne włosy. Wtulił się w nią. Czuł jej dzinsy na sobie, słyszał gardłowe jęki. Tracił panowanie nad sobą. Nie wytrzyma ani chwili dłużej.

Rozsunął rozporek, najpierw jej, potem swój. Wygięła się w łuk. Niezdarnie mocował się z jej dzinsami, zsuwał je z jej nóg. Zaciśnęła dłonie na jego swetrze. Ułożył się między jej nogami i wszedł w nią.

Krzyknęła, opadła na plecy z cichym, gardłowym jękiem. Wszedł głębiej. Cofnął się. Wszedł znowu. I koniec.

Świat rozpadł się na kawałki.

Kolejną rzeczą, jaką usłyszał, był stek przekleństw z jej ust.

– Ty draniu! Ty łotrze! – Zepchnęła go z siebie, podciągnęła dzinsy, zerwała się na równe nogi, wszystko jednocześnie. – Boże, jak ja siebie nienawidzę. I ciebie! – Zapinając rozporek, podskakiwała śmiesznie, machała łokciami, tupiała. Wstał, zapiął się i słuchał dalszej tyrady: – Jestem idiotką! Powinno się mnie uspić, na litość boską, jak głupie, chore zwierzę. Najgłupsza, najbardziej...

Zmusił się do milczenia.

Odwróciła się do niego – czerwona na twarzy i wściekła.

– Nie jestem łatwa! Nie jestem!

– No, nie wiem – odparł, zanim zdążył ugryźć się w język.

Złapała poduszkę z kanapy i zamachnęła się na niego. Przywykł do kobiecej furii, a to tutaj było tak niewinne, że nawet się nie uchylił.

Znowu tupnęła, rozjuszona do granic, wymachiwała rękami, miotała się, aż włosy podskakiwały niekontrolowanie.

– Wiem dobrze, co będzie dalej! Ani się obejrzę, a wyląduję w rozlewisku. Albo w windzie kelnerskiej. Albo znowu będę tonąć w tej cholernej jaskini! – Gwałtownie zaczerpnęła tchu. – Nie ufam ci! Nie lubię cię! A teraz ty... ty....

– Bawiłem się najlepiej, odkąd sięgam pamięcią. – Nigdy nie był przemądrzały,

ale w Annie było coś, co budziło w nim najgorsze instynkty. Albo najlepsze.

Łypnęła na niego groźnie.

– Skończyłeś we mnie!

Jego rozbawienie minęło jak ręką odjął. Nigdy nie był tak nierozsądny i teraz to jemu zrobiło się głupio. Zaczął się bronić:

– Przecież tego nie planowałem.

– A powinieneś! Przecież właśnie teraz, w tej chwili, jeden z twoich pływaków może zasuwać kraulem do mojego... jajeczka!

Powiedziała to w bardzo zabawny sposób, ale nie było mu do śmiechu. Potarł szczękę wierzchem dłoni.

– Bierzesz... pigułki, prawda?

– Trochę za późno na to pytanie, nie uważasz? – Odwróciła się na pięcie. – I nie, nie biorę!

Poczuł, jak na jego klatce piersiowej zaciska się lodowata obręcz. Słyszał ją w sypialni, później w łazience. Chciał się umyć, ale cały czas myślał tylko o tym, co zrobił, o tym, jak straszliwą cenę być może przyjdzie mu zapłacić za, musiał to przyznać, najmniej satysfakcjonujący seks w życiu.

Kiedy w końcu wyszła, nosiła granatowy szlafrok, piżamę w Mikołaje i grube skarpety. Miała twarz bez makijażu, a włosy zebrała w kucyk, choć niesforne kosmyki i tak wymykały się jak sprężynki. Na szczęście wydawała się spokojniejsza.

– Miałam zapalenie płuc – wyjaśniła. – I przestałam brać tabletki.

Poczuł na plecach strużkę lodowatego potu.

– Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

– A co, teraz się bawisz w mojego ginekologa? – wycedziła. – Idź do diabła.

– Annie...

Odwróciła się gwałtownie.

– Posłuchaj, wiem, że oboje jesteśmy temu winni, ale w tej chwili jestem zbyt wściekła, żeby myśleć o sobie w tych kategoriach i przyznać się do winy.

– No właśnie, ty też jesteś winna! Ty i twoja durna gra w całowanie!

– Którą przegrałeś.

– Oczywiście, że przegrałem. A co, myślisz, że jestem z kamienia?

– Ty? A co ze mną? I od kiedy uważasz, że seks bez zabezpieczenia to dobry pomysł?

– Nie uważam, do cholery. Ale nie noszę prezerwatyw w kieszeni.

– A powinieneś! Popatrz na siebie. Nie powinieneś wychodzić z domu bez tuzina gumek! – Pokręciła głową, zamknęła oczy, a gdy znowu je otworzyła, była na szczęście odrobinę spokojniejsza. – Idź już – poprosiła. – Nie mogę dłużej na ciebie patrzeć.

Te same słowa słyszał wielokrotnie z ust żony, ale o ile Kenley była wtedy wściekła, Annie wydawała się tylko zmęczona.

– Nie mogę, Annie – odparł. – Myślałem, że to rozumiesz.

– Oczywiście, że możesz i zaraz to zrobisz. Natychmiast.

– Naprawdę myślisz, że zostawię cię tu samą? Po tym, jak ktoś do ciebie strzelał?

Przyglądała mu się. Czekał, aż zacznie znowu tupać i ciskać poduszkami, ale nie zrobiła tego.

– Nie chcę cię tutaj.

– Wiem.

Skrzyżowała ręce na piersi, zacisnęła dłonie na łokciach.

– Rób co chcesz, jestem zbyt zdenerwowana, żeby się kłócić. Ale śpisz w atelier, nie koło mnie, jasne? – Z tymi słowami odeszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Poszedł do łazienki, a później zmierzył się z bałaganem po kolacji, Właściwie to ona powinna zmywać, w końcu on gotował, ale nie miał nic przeciwko temu. W przeciwieństwie do rzeczywistości, sprzątanie miało jasny początek, środek i zakończenie. Jak książka.

Mało brakowało, a Annie potknęłaby się o Hannibala, wstając następnego ranka. Poza wszystkim, wyglądało na to, że ma też kota na pół etatu. Poprzedniego wieczora zasnęła, licząc w kółko, ile dni minęło od jej ostatniej miesiączki. Powinna być bezpieczna, ale powinna to za mało, by poczuć się pewnie. Niewykluczone przecież, że zagnieździło się w niej szatańskie nasienie. A jeśli do tego doszło... Nie mogła nawet o tym myśleć.

Myślała już, że wyzwoliła się z czaru, jaki rzucali na nią tacy przystojni, posępni bohaterowie. Ale nie. Wystarczyło, by Theo okazał jej odrobinę zainteresowania, i proszę bardzo, już pod nim leżała, z zamkniętymi oczami i rozwartymi nogami, jak najgłupsza bohaterka pod słońcem. Co za idiotyzm. Choć to naiwne, marzyła o wielkiej miłości, takiej na zawsze. Chciała mieć dzieci i zwyczajną rodzinę, której sama nigdy nie miała, ale na coś takiego nie ma co liczyć, jeśli wybiera zimnych mężczyzn z bagażem. A tu proszę, ochoczo popełnia stare błędy, a co gorsza, wpada w sieć Theo Harpa nie dlatego, że omotał ją diabelskim sprytem, tylko dlatego, że sama ochoczo się w nią wpackowała.

Musi przed nim dotrzeć na strych. Kiedy usłyszała, że jest w łazience, wyjęła ze schowka drabinę i zataszczyła do atelier. Theo zdążył już pościelić łóżko. Kukielki nadal siedziały na półce pod oknem. Annie ustawiła drabinę, weszła, uniosła klapę i niespokojnie zajrzała na strych. Poświeciła sobie latarką, widziała jednak tylko

belki stropu i taśmę izolacyjną.

Kolejny ślepy zaułek.

Szum w łazience ucichł. Poszła do kuchni po płatki i szybko zanosła śniadanie do sypialni. Nie podobało jej się, że kryje się we własnym domu, ale nie zniosłaby teraz jego widoku.

Dopiero po jego wyjściu przypomniła sobie arkusik, który Livia wsunęła jej do plecaka. Wyjęła go, rozłożyła na stole, wygładziła. Livia narysowała czarnym flamastrem trzy postacie, dwie duże i jedną malutką. Najmniejsza, z boku kartki, miała proste ciemne włosy. Livia podpisała ją koślawo swoim imieniem. Dwie pozostałe postacie były anonimowe. Jedna leżała na ziemi. Na piersi miała czerwony kwiat. Druga stała z wyciągniętymi rękami. Livia podpisała cały rysunek starannie nakreślonymi literami:

SUPSEK

Annie uważnie przyglądała się rysunkowi. Zauważyła, że najmniejsza postać nie ma ust.

SUPSEK

W końcu zrozumiała. Nie wiedziała jeszcze, co widzi, wiedziała natomiast, co to jest. Supersekret Livii.

Rozdział 12

Annie zostawiła range rovera w garażu w domu Harpów. Myślała, że rysunek Livii będzie stanowił przyjemną odmianę, pozwoli jej oderwać myśli od obaw, czy jest w ciąży, ale w szkicu małej było coś niepokojącego. Chciała pokazać go Jaycie i poprosić o pomoc w odszyfrowaniu, ale zawarła układ i nie zamierzała go złamać, choć jej partnerką była tylko czterolatka.

Zamknęła drzwi do garażu i ruszyła w stronę podjazdu. Dotarła na miejsce przed Theo. Widziała go, jak idzie plażą, samotna postać na tle bezkresu oceanu. Jak zwykle szedł z gołą głową, przed lodowatym wiatrem broniła go tylko czarna zamszowa kurtka. Pochylił się nad czymś, wyprostował, wpatrzony w wodę. O czym myślał? O jakimś makabrycznym zwrocie akcji? O martwej żonie? A może kombinował, jak pozbyć się niechcianej sąsiadki, którą być może niechący zapłodnił?

Nie zabije jej, tego była pewna, ale mógł ją skrzywdzić na wiele innych sposobów. Zdawała sobie sprawę, że ma tendencję do ubierania mężczyzn jego pokroju w romantyczną zbroję, i wiedziała, że musi mieć się na baczności. Wczoraj kochała się z wytworem wyobraźni. Wyobraźni mola książkowego.

Annie pozmywała naczynia po śniadaniu Jaycie i Livii i posprzątała w kuchni. Jaycie cały czas nie było widać, poszła więc jej poszukać.

Jaycie i Livia zajmowały stary apartament gospodyni w przeciwnym krańcu domu, niż wznosiła się wieża. Annie wędrowała korytarzem, aż stanęła pod drzwiami na jego końcu. Były zamknięte. Zapukała.

– Jaycie?

Cisza. Zapukała ponownie. Już miała wejść, gdy drzwi otworzyła Livia. Wyglądała uroczo w papierowej koronie, tak głęboko nasuniętej na czoło, że zatrzymała się na uszach.

– Cześć, Liv. Superkorona.

Liv interesowało jedynie, czy Annie przyniosła Scamp i była jawnie rozczarowana, nie widząc kukielki na jej ręku.

– Scamp śpi – wyjaśniła Annie. – Ale później na pewno do ciebie zajrzy. Jest mamusia?

Liv otworzyła drzwi na całą szerokość i wpuściła Annie do środka.

Mieszkanie gospodyni miało kształt litery L, dało się więc wydzielić część dzienną i nocną. Zanim złamała nogę, Jaycie urządziła w saloniku pokój Livii. Jej

sypialnia była bardzo ascetyczna – łóżko, krzesło, toaletka, lampka – same stare meble z domu Harpów. Za to część Livii była o wiele pogodniejsza: różowy regalik, dziecięcy stolik i krzeselka, różowo-zielony chodniczek i łóżko z narzutą w ciastka truskawkowe.

Jaycie stała przy oknie, wpatrzona w dal. Hipopotam na kuli przesunął się i smętnie patrzył w ziemię. Jaycie odwróciła się powoli. Dżinsy i czerwona bluza opinały jej kształtną sylwetkę.

– Ja... Chciałam tu trochę posprzątać.

Annie jej nie uwierzyła, widząc wszędzie porozrzucane zabawki Livii i pluszowe maskotki na niepościelonym łóżku.

– Bałam się, że jesteś chora – powiedziała.

– Nie jestem.

Nagle Annie uświadomiła sobie, że właściwie wie o Jaycie tyle samo, ile tamtego pierwszego dnia przed trzema tygodniami, gdy przyjechała na wyspę. Miała wrażenie, że patrzy na lekko rozmazane zdjęcie. Jaycie przeniosła ciężar ciała na zdrową nogę.

– Theo wczoraj nie wrócił na noc do domu.

Annie poczuła, jak rumieni się ze wstydu. Więc to dlatego Jaycie się chowa. Choć nie wydawało jej się, by Theo był w jakikolwiek sposób zainteresowany Jaycie, miała wrażenie, że złamała zasady obowiązujące między przyjaciółkami. Musiała powiedzieć jej przynajmniej część prawdy, ale nie przy Livii, która chłonęła każde ich słowo.

– Liv, Scamp bardzo się podobają twoje rysunki. Może namalujesz nam coś do kuchni? A ja w tym czasie porozmawiam z mamą.

Mała nie protestowała, podeszła do stołu i otworzyła pudełko z kredkami. Annie wyszła na korytarz. Jaycie kuśtykała za nią. Annie nie chciała jej okłamywać, ale prawda byłaby zbyt okrutna.

– Dzieją się dziwne rzeczy – zaczęła, a poczucie winy dławilo ją jak lepki syrop.

– Nie chciałam zawracać ci głowy, ale chyba powinnaś o tym wiedzieć. Kiedy w sobotę wieczorem wróciłam do siebie, mój domek był zdemolowany.

– Jak to?

Annie opowiedziała, co zastała, i całą resztę.

– A wczoraj, kiedy tu szłam, ktoś do mnie strzelał.

– Strzelał?

– Kula świsnęła mi koło ucha. Theo znalazł mnie chwilę później. I dlatego wczoraj nie wrócił do domu. Nie chciał zostawić mnie samej, choć powtarzałam, że sobie poradzę.

Jaycie oparła się o ścianę.

– To na pewno nieszczęśliwy wypadek. Jakiś kretyn polował na ptaki.

– Byłam na otwartej przestrzeni. Nikt nie mógł pomylić mnie z mewą.

Jaycie nie słuchała.

– Idę o zakład, że to Danny Keen. Wiecznie robi takie rzeczy. Pewnie włamał się do domku z kumplami. Zadzwoń do jego matki.

Annie nie wierzyła w tak proste wyjaśnienie, ale Jaycie już oddalała się korytarzem. Poruszała się na kulach o wiele sprawniej niż na początku, zaraz po przyjeździe Annie. Annie powtarzała sobie, że Jaycie nie musi się dowiedzieć, co tak naprawdę wydarzyło się w małym domku. Nikt nie musi się dowiedzieć. Chyba że naprawdę była w ciąży...

Przestań! – poleciła Dilly. – Nie wolno ci tak myśleć.

Ożenię się z tobą – zaferował Peter. – Bohater zawsze postępuje jak należy.

Peter coraz bardziej działał jej na nerwy.

Livia weszła do biblioteki w różowej kurtce i przekrzywionej papierowej koronie na głowie. Ciągnęła za sobą plecak Annie. Nietrudno było domyślić się, o co jej chodzi. Annie wyłączyła komputer i poszła po kurtkę.

Na dworze ociepliło się wyraźnie, z rynien kapala woda, śnieg leżał już tylko w najbardziej zacienionych zakamarkach. Podeszły do domku dla elfów i Annie zobaczyła nowy element – owalny kamyk wielkości jajka, pokryty ciemnym, zielonym mchem. Wymarzone siedzisko dla leśnego duszka. Ciekawe, czy Jaycie wie, że Livia wcześniej wymknęła się z domu sama.

– Wygląda na to, że elfy mają nowy fotel.

Livia pochyliła się nad kamieniem.

Annie już miała skarcić ją za to, że sama wychodzi na dwór, jednak w ostatniej chwili zmieniła zdanie. O ile wiedziała, Livia nie zapuszczała się dalej niż do drzewa. Chyba nic jej nie grozi, oczywiście jeśli Theo porządnie zamknął stajnię.

Annie przysiadła na kamiennym progu i wyjęła Scamp.

Buon giorno, Livia. To ja, Scamperino. Ćwiczę mój Italiano. To znaczy włoski. A ty? Znasz jakieś języki?

Livia przecząco pokręciła głową.

Co za szkoda – westchnęła Scamp. – Włoski to język pizzy, którą uwielbiam. Gelato, to po włosku znaczy: lody. I krzywe wieże. Niestety... – Zwiesiła głowę. – Na Peregrine nie ma ani pizzy, ani gelato.

Livia wydawała się tym bardzo przejęta.

Mam pomysł! – zawołała Scamp. – Może dzisiaj po południu zrobicie z Annie minipizzę na bułeczkach?

Annie myślała, że Livia zaprotestuje, ale miała tylko skinęła głową. Scamp potrząsnęła pomarańczowymi lokami.

Ten rysunek, który mi wczoraj dałaś, jest naprawdę eccellente. To po włosku znaczy: super.

Livia zwiesiła główkę, wpatrzona w ziemię, ale Scamp nie dawała za wygraną.

Ponieważ jestem bardzo mądra, wydedukowałam – to znaczy wymyśliłam – no więc wydedukowałam... – zniżyła głos do szeptu. – Że ten rysunek to twój supersekret.

Malutka buzia Livii skrzywiła się w napięciu.

Scamp przechyliła główkę i zapewniła cicho:

Nie martw się, nie gniewam się na ciebie.

Livia w końcu na nią spojrzała.

Narysowałaś siebie, prawda? Ale nie jestem pewna, kim są pozostali... – zawahała się. – Jest tam twoja mamusia?

Livia niemal niezauważalnie skinęła głową.

Annie czuła się tak, jakby po omacku błędziła z wyciągniętymi ramionami po nieznanym pomieszczeniu i starała się na nic nie wpaść.

Chyba ma na sobie coś ładnego. Kwiatek? A może kartka walentynkowa? Od ciebie?

Livia energicznie zaprzeczyła ruchem głowy. Jej oczy zaszyły łzami, jakby kukielka ją bardzo zawiodła. Tłumiąc szloch, pobiegła do domu.

Annie skrzywiła się, słysząc trzaśnięcie drzwi kuchennych. Kilka zajęć z psychologii to za mało, by zmierzyć się z czymś takim. Nie jest psychologiem dziecięcym. Nie jest matką...

Ale może wkrótce będzie.

Coś bolało ją w piersi. Odłożyła Scamp i wróciła do kuchni, ale nie wyobrażała sobie kolejnej godziny w domu Harpów.

Ostre słońce kontrastowało z jej mrocznym nastrojem. Skulona, obeszła dom i stanęła nad urwiskiem. Za plecami miała werandę, przed sobą – schodki wykute w granicie, prowadzące na plażę. Zaczęła schodzić.

Były wąskie i śliskie, więc chwyciła się sznurowej poręczy. Jakim cudem w jej życiu zapanował taki bałagan? W tej chwili jej jedyny dom to malutka chatka na wyspie, ale kiedy w końcu stanie na nogi... Jeśli kiedykolwiek stanie na nogi... Kiedy znajdzie stałą pracę, nie będzie mogła przyjeżdżać tu na dwa miesiące każdego roku. Prędzej czy później domek wróci do Harpów.

Ale jeszcze nie teraz – zauważyła Dilly. – Teraz ty tu jesteś i masz zadanie do wykonania. Koniec tego jęczenia. Nos do góry i myśl pozytywnie.

Zamknij się, Dilly – wycedził Leo. – Taka niby jesteś rozsądna, a nie masz pojęcia, jak czasami życie się komplikuje.

Annie zamrugała. Czy to naprawdę Leo? Głosy mieszały jej się w głowie. Przecież to Peter zawsze jej bronił. Leo tylko atakował.

Wbiła ręce w kieszenie. Wiatr szarpał za kurtkę, wyciągał kosmyki spod włóczkowej czapeczki. Patrzyła na wodę i wyobrażała sobie, że panuje nad oceanem, nad falami, prądami, pływami. Wyobrażała sobie siłę, gdy czuła się bezsilna jak nigdy dotąd.

W końcu zmusiła się, by się odwrócić.

Głazy zasłaniały wejście, ale Annie i tak wiedziała dokładnie, gdzie się znajduje. W jej wyobraźni jaskinia na zawsze pozostanie kryjówką, której syreni śpiew usłyszy każdy, kto znajdzie się dość blisko. Wejdz, proszę. Wejdz, chodź tu z zabawkami, koszem piknikowym, z marzeniami i snami. Oglądaj... Badaj... Kochaj się... Umieraj....

Wiatr zerwał jej czapkę z głowy. Złapała ją, zanim wpadła do morza, i wsunęła do kieszeni. Nie wróci już do domu Harpów, nie w tym stanie, z emocjonalną burzą w duszy. Wspięła się na urwisko i ruszyła do domu.

W domku nie było ani Theo, ani range rovera na zewnątrz. Zaparzyła sobie herbaty, żeby się rozgrzać, i siedziała przy stole przy oknie, głaszcząc Hannibala i rozważając fakt, że może być w ciąży. W mieście pobiegłaby do drogerii po test ciążowy, tu musi go zamówić i czekać na statek.

Tylko że kiedy przypomniała sobie otwarte skrzynki z zamówieniami, podawane z rąk do rąk, wiedziała, że tego nie zrobi. Sama widziała w nich tampony, alkohol, pieluchy dla dorosłych. Naprawdę chciała, żeby całe Peregrine wiedziało, że zamówiła test ciążowy? Zatęskniła za anonimowością wielkiego miasta.

Dopiła herbatę, sięgnęła po notes, w którym inwentaryzowała zawartość domku, i poszła do atelier. Musi bardziej skrupulatnie przeglądać zawartość pudeł. Skręciła za róg i zamarła w progu atelier.

Crumpet wisiała pod sufitem.

Crumpet. Głupiutka, rozpuszczona kukielkowa księżniczka... jej głowa zwisała pod makabrycznym kątem, żółte włóczkowe loki opadły na jedną stronę. Małe szmaciane nóżki zwisały bezwładnie. Jeden malinowy, robiony na zamówienie bucik, zsunął się na podłogę.

Annie z płaczem porwała krzesło, żeby zdjąć kukielkę z liny umocowanej pod sufitem.

– Annie! – Ktoś gwałtownie otworzył drzwi wejściowe.

Odwróciła się gwałtownie, wybiegła z atelier.

– Ty draniu! Ty paskudny, wredny draniu bez serca!

Wpadł do saloniku jak lew za antylopą.

– Oszalałaś?

Nie wiadomo, kiedy jej oczy zaszyły łzami.

– Uważasz, że to zabawne? Tak? Wcale się nie zmieniłeś.

– Dlaczego nie czekałaś? Znowu ktoś do ciebie strzelał?

Zacisnęła zęby.

– To groźba?

– Groźba? Czy jesteś tak naiwna, że liczysz, że to się nie powtórzy?

– Jeśli się powtórzy, zabiję cię, Bóg mi świadkiem!

To otrzeźwiło oboje. Annie nigdy nie podejrzewała się o taką agresję, ale też nikt dotąd nie zaatakował jej tak boleśnie. Choć urodzona egoistka, Crumpet była jej częścią, jej skarbem, a Annie jej opiekunką.

– Jeśli co się powtórzy? – zapytał Theo spokojnie.

– Początkowo bawiły cię pozycje, w jakich sadzałeś kukielki. – Wskazała ręką atelier. – Ale to jest po prostu okrutne.

– Okrutne? – Poszedł za nią. Odwróciła się, zobaczyła, jak zajrzał do jej sypialni i poszedł dalej, do atelier.

– Sukinsyn – mruknęła.

Poszła za nim i zatrzymała się w progu patrząc, jak wspina się na palce i odwiązuje linę. Zdjął sznur z szyi Crumpet, wziął kukielkę, podał Annie.

– Zaraz ściągam tu ślusarza – stwierdził ponuro.

Odprawiała go wzrokiem, gdy szedł w kąt pokoju. Dopiero wtedy zobaczyła, co jeszcze jej umknęło. Odruchowo przycisnęła Crumpet do piersi. Pozostałe kukielki, zamiast siedzieć na półce pod oknem, leżały w koszu na śmieci, wciśnięte byle jak, aż głowy i członki wystawały wszystkie strony.

– Nie! – Podbiegła do nich, przysiadła na piętach, cały czas z Crumpet na kolanach, wyjmowała je po kolei, poprawiała im włosy i ubrania. Spojrzała na Theo; wpatrywała się w jego twarz, ale nie dostrzegała w niej niczego, czego nie widziałyby już przedtem.

Zacisnął usta.

– Miałś czekać w domu na samochód. Nie było mnie krótko. Nie przychodź tu więcej sama. – Wyszedł z atelier.

To dlatego był taki zły, kiedy wpadł do domku.

Usadziła Dilly, Leo i Petera na półce.

Dziękuję – szepnął Peter. – Jednak nie jestem taki dzielny, jak mi się zdawało.

Nie była jeszcze gotowa, by rozstać się z Crumpet, więc zaniósła ją do saloniku, gdzie Theo ściągał kurtkę.

– Nie mam pieniędzy na ślusarza – wyznała cicho.

– Ale ja mam – odparł. – I zaraz każę zmienić zamki. Nie życzę sobie, żeby ktoś szperał w moich rzeczach podczas mojej nieobecności.

Czy naprawdę jest aż takim egoistą, czy tylko pozwalał jej wyjść z tego z twarzą?

Wsunęła Crumpet na rękę i znajomy ciężar i dotyk koronkowej sukienki

pomogły jej się uspokoić.

Dziękuję, że mnie uratowałeś – powiedziała Crumpet swoim gardłowym, kokieterijnym głosikiem.

Theo przekrzywił głowę, ale zamiast do niego, Annie zwróciła się do kukielki.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia, Crumpet?

Crumpet zmierzyła Theo badawczym spojrzeniem.

Ale ciacho.

– Crumpet! – Annie oburzyła się. – Gdzie twoje maniery?

Crumpet zatrzepotała długimi rzęsami do Theo i zamruczała:

Ale ciacho... proszę pana.

– Tego już za wiele, Crumpet! – skarciła ją Annie.

Kukielka, wyraźnie oburzona, odrzuciła długie włosy do tyłu.

No to co mam powiedzieć?

Annie nie dawała za wygraną.

– Powinnaś przeprosić.

Crumpet naburmuszyła się.

Niby za co mam przeproszać?

– Sama dobrze wiesz.

Crumpet nachyliła się do ucha Annie i stwierdziła scenicznym szeptem:

Właściwie wolalabym go zapytać, gdzie chodzi do fryzjera. Pamiętasz chyba, jaką klęską skończyła się moja ostatnia wyprawa.

– Tylko dlatego, że obraziłaś fryzjerkę – zauważyła Annie.

Crumpet dumnie zadarła nosek.

Uważała się za ładniejszą niż mnie.

– Ładniejszą niż ja.

To akurat fakt, że była ładniejsza od ciebie – przyznała Crumpet tryumfalnie.

Annie westchnęła głośno.

– Przestań się wygłupiać i powiedz to w końcu.

No dobrze, już dobrze. – Crumpet prychnęła coś pod nosem i powoli, niechętnie, wykrztusiła: – Przepraszam, że myślałam, że to ty mnie powiesiłeś.

– Ja? – Theo naprawdę zwracał się do kukielki.

Na moją obronę... – Crumpet chlipała cicho. – Masz co nieco na sumieniu. Nadal nie otrząsnęłam się z tego, jak kazałeś Peterowi zaglądać mi pod spódnicę.

– Bardzo ci się to podobało i sama o tym wiesz – wtrąciła się Annie.

Theo pokręcił głową, jakby chciał oprzytomnieć.

– Skąd wiesz, że to nie ja cię powiesiłem?

Annie w końcu odezwała się bezpośrednio do niego:

– A zrobiłeś to?

Tym razem popatrzył na nią.

- Jak to powiedziała twoja mała przyjaciółka... mam co nieco na sumieniu.
- I nie zdziwiłabym się, gdybym po powrocie do domu zastała Crumpet i Dilly w jednoznacznej sytuacji w moim łóżku. – Zdjęła kukielkę z ręki. – Ale nie coś takiego.
- Nadal za bardzo wierzysz ludziom. – Jego usta wygięły się nieprzyjemnie. – Jesteś tu niecały miesiąc, a już zapomniałaś, kto jest czarnym charakterem w twojej bajce.
- Może tak, może nie – odparła.
- Przeglądał się jej przez dłuższą chwilę, a potem minął ją i wszedł do atelier.
- Mam dzisiaj dużo pracy.
- Zniknął bez słowa, nie broniąc się, nie zaprzeczając.

Tego wieczora nie było romantycznej kolacyjki we dwoje, więc Annie zjadła kanapkę i przeniosła kilka kartonów z atelier do saloniku. Usiadła na podłodze po turecku i otworzyła pierwsze pudło. Wypełniały je czasopisma – poczynając od drogich, drukowanych na błyszczącym papierze, po kserowane fanzyny. W niektórych były artykuły pióra Mariah albo jej poświęcone. Annie skrzętnie zapisywała tytuł i datę wydania każdego czasopisma. Mało prawdopodobne, by były wśród nich kolekcjonerskie skarby, ale lepiej będzie się upewnić.

W drugim kartonie były książki. Przeglądała je, szukała autografów, chciała mieć pewność, że między kartkami nie zostało coś cennego, a potem starannie spisywała każdy tytuł. Trwało to wszystko strasznie długo, a czekały na nią jeszcze dwa kartony.

Choć czuła się już o wiele lepiej niż na początku, nadal potrzebowała dużo snu. Założyła starą męską piżamę z kolekcji Mariah, wyjęła spod łóżka ciepłe skarpety i kapcie, ale kiedy je wkładała, namacała stopą coś...

Z krzykiem cofnęła nogę.

Drzwi do atelier otworzyły się gwałtownie. Zadrzała. Theo wpadł do pokoju.

– Co się stało?

– Wszystko! – Schyliła się i z obrzydzeniem podniosła kapeć dwoma palcami. – Popatrz na to! – Odwróciła go i ze środka wypadła martwa mysz. – Co za psychopata robi takie rzeczy? – Cisnęła kapeć na ziemię. – Nienawidzę tego domu! Tej wyspy! – Spojrzała na niego. – I nie myśl, że przerazi mnie mała myszka! Nie, nie ruszy mnie, zbyt często mieszkałam w zaszczurzonych norach. Ale nie spodziewałam się, że jakiś zboczeniec wsadzi mi ją do kapcia!

Theo wsunął dłoń do kieszeni dżinsów.

– To chyba... To chyba nie był zboczeniec.

– Myślisz, że ktoś normalny posunąłby się do czegoś takiego? – Znowu

wrzeszczała i miała to w nosie.

– Niewykluczone – Potarł podbródek. – Zwłaszcza, jeśli jest się... kotem.

– Chcesz powiedzieć... – Łypnęła gniewnie na Hannibala.

– Potraktuj to jako wyznanie miłosne – odparł Theo. – Tylko wybranym znosi takie prezenty.

Annie spojrzała na kota.

– Nigdy więcej nie rób czegoś takiego, rozumiesz? To obrzydliwe!

Hannibal przeciągnął się leniwie, podszedł do niej i trącił nosem jej bosą stopę.

Jęknęła głośno.

– Czy ten dzień się już nigdy nie skończy?

Theo uśmiechnął się pod nosem, wziął kota na rękę, wystawił na korytarz i zamknął drzwi, tak że zostali sami.

Zdjęła szlafrok z wieszaka na drzwiach szafy. Otuliła się nim i nagle przypomniała sobie incydent, o którym wolałaby zapomnieć:

– Podłożyłeś mi zdechłą rybę do łóżka.

– Tak. – Podszedł do łóżka i przyglądał się naturalnej wielkości fotografii; wezglowia, która zastępowała prawdziwy element.

– Dlaczego? – zapytała. Hannibal miauczał pod drzwiami.

– Bo wydawało mi się to zabawne. – Przesuwał kciukiem po fotografii, poświęcał jej więcej uwagi, niż na to zasługiwała.

Minęła mysie zwłoki.

– Kogo jeszcze dręczyłeś tak jak mnie?

– Nie uważasz, że jedna ofiara to i tak aż nadto?

Przykryła myszkę koszem na śmieci, podeszła do drzwi i wpuściła Hannibala, żeby już nie lamentował. Tego wieczora nie miała siły na intymne pogaduszki z Theo, a już na pewno nie w jej pokoju, ale z drugiej strony w jej głowie kłębiło się tyle pytań.

– Zaczynam wierzyć, że nie znosisz domu Harpów równie serdecznie jak ja, więc czemu tu przyjechałeś?

Podszedł do okna, wyjrzał na ponurą zimową łąkę.

– Muszę dokończyć książkę i chciałem pisać w miejscu, w którym nikt nie będzie mi przeszkadzał.

Nie uszła jej ironia sytuacji.

– I co, udało się?

Jego oddech kładł się mgiełką na szybie.

– Miewałem lepsze pomysły.

– Zostało ci jeszcze trochę zimy – zauważyła. – Mógłbyś wynająć willę na Karaibach.

– Dobrze mi tu, gdzie jestem.

Nieprawda. Miała już po dziurki w nosie otaczających go tajemnic i poczucia bezradności na myśl, że niczego o nim nie wie.

– Dlaczego przyjechałeś na Peregrine? Ale tak naprawdę. Chciałabym zrozumieć.

Odwrócił się do niej z twarzą równie zimną jak szron na szybie.

– Nie pojmuję dlaczego.

Jego wyniosły chłód i maniery pana na włościach nie robiły na niej wrażenia. Zdobyła się na, jak miała nadzieję, drwiącą uwagę, którą wycedziła przez zęby:

– Powiedzmy, że to moja niekończąca się fascynacja umysłem psychopaty.

Uniósł brew, ale chyba go specjalnie nie uraziła.

– Nie ma nic gorszego niż słuchać, jak ktoś z sowitym funduszem powierniczym i podpisaną umową na książkę narzeka na swój los.

– Fakt – mruknęła. – Ale faktem jest też to, że straciłeś żonę.

Wzruszył ramionami.

– Nie ja jeden.

Albo ukrywał się za zimną fasadą, albo naprawdę jest tak nieczuły, jak zawsze podejrzewała.

– I siostrę bliźniaczkę. I matkę.

– Zostawiła nas, gdy miałem pięć lat. Ledwie ją pamiętam.

– Opowiedz mi o żonie. Widziałam jej zdjęcie w Internecie. Była piękna.

– Piękna i niezależna. Takie kobiety mi się podobają.

Do jednego i drugiego było Annie bardzo daleko.

– Była też genialna – ciągnął. – Cholernie inteligentna. I ambitna. Przede wszystkim jednak pociągało mnie w niej to, że była do bólu niezależna.

W życiowej rozgrywce wszystko było jasne: Kenley Harp 4, Annie Hewitt 0. Nie żeby zazdrościła nieboszczce, ale też chciałaby być do bólu niezależna. A nieziemska uroda i inteligencja też byłyby niczego sobie.

Gdyby jej rozmówcą był kto inny, nie Theo, zmieniłaby temat, ale ich relacje do tego stopnia odbiegały od normy, że mogła mówić, co jej się żywnie podoba.

– Skoro miała tyle zalet, dlaczego się zabiła?

Nie spieszył się z odpowiedzią – odpędził Hannibala od kosza na śmieci, pod którym leżała martwa mysz, sprawdził, czy okno jest dobrze zamknięte, i w końcu stwierdził:

– Bo chciała mnie ukarać za to, że ją unieszczęśliwiam.

Jego obojętność pasowała doskonale do wszystkiego, co od dawna o nim sądziła, ale nagle nie była już do końca przekonana, że to prawda. Odezwała się spokojnie:

– Mnie też unieszczęśliwiasz, ale ja się nie zabiję.

– Miło mi to słyszeć. Ale w przeciwieństwie do Kenley, twoja niezależność nie

jest tylko fasadą.

Usiłowała zrozumieć, co miał na myśli, gdy przeszedł do ataku.

– Dość tego gadania. Rozbieraj się.

Rozdział 13

Mam się rozbierać? Już całkiem oszalałeś.

Theo ominął kota.

– Czyżby? Po ostatniej nocy nie mamy nic do stracenia. A zapewne ucieszy cię wiadomość, że w domku jest zapas prezerwatyw. W każdym pomieszczeniu.

To istny diabeł wcielony. Rozejrzała się dokoła.

– Tutaj też?

Przechylił głowę.

– Górna szuflada w nocnej szafce. Obok misia.

– Ten miś to obiekt kolekcjonerski.

– Och, bardzo przepraszam. – Był swobodny, rozluźniony, jakby miał na głowie tylko jedno: uwieść ją. – Są też w atelier, kuchni, łazience i moich kieszeniach. – Omiótł ją wzrokiem. – Chociaż nie do wszystkiego, co chcę z tobą zrobić, potrzebna jest prezerwatywa.

Przeszył ją dreszcz, a wyobraźnia podsuwała jej pornograficzne wizje, dokładnie tak, jak tego chciał. Wróciła na ziemię.

– Daleko posunięte wnioski.

– Jak sama powiedziałaś, zima potrwa jeszcze długo.

Kiepska próba; robił, co mógł, by przestała go wypytywać. A może wcale nie? Zacisnęła pasek szlafroka.

– Widzisz, rzecz w tym, że ja.... Nie interesuje mnie seks bez bliskości.

– Przypomnij mi proszę, co za bliskość połączyła nas wczoraj... bo wydawałaś się bardzo zainteresowana.

– To wszystko wina alkoholu. – Nie do końca prawda, i sądząc po jego minie, nie dał się nabrać, ale blisko. Hannibal majstrował przy koszu, chciał go przewrócić. Wzięła go na rękę. – Daruj sobie i powiedz mi, czemu przyjechałeś akurat na Peregrine, a nie w jakieś miłsze miejsce.

Jedwabisty uwodziciel zniknął.

– Przestań węszyć. To nie ma z tobą nic wspólnego.

– Ma, jeśli mam się rozebrać. – Czy to możliwe, że zamruczała zmysłowo? Czy naprawdę posługuje się seksem dla swoich celów? Powinna się wstydzić, ale ponieważ Theo nie zwijał się ze śmiechu, nawet się nie zarumieniła. – Seks za szczerłość. To moja propozycja.

– Chyba żartujesz.

Ani odrobinę. Poglaskała kota.

– Nie lubię tajemnic. Jeśli chcesz zobaczyć mnie nago, musisz dać mi coś w zamian.

Łypnął na nią groźnie.

– Aż tak bardzo mi na tym nie zależy.

– Twoja strata. – Skąd u niej taka pewność siebie? Ta bezczelność? Oto ona, w całej swojej chwale, z rozczochranymi włosami, w męskiej piżamie, starym szlafroku i, nie zapominajmy – być może w ciąży. A zachowuje się, jakby dopiero co zeszła z wybiegu Victoria's Scene. – Przytrzymaj swojego kota, kiedy zajmę się naszym martwym towarzyszem – rzuciła.

– Ja to zrobię.

– Proszę bardzo. – Wzięła Hannibala na ręce, podniosła na wysokość oczu. – Chodźmy, kocie. Twój pan musi zakopać kolejne zwłoki.

Wyszła z kotem w ramionach i satysfakcją w sercu. Niewiele się dowiedziała, ale dotrzymała mu kroku. Wypuściła kota, myśląc o tym, co powiedział – że jej niezależność to nie tylko fasada. Czyżby miał rację? Czyżby naprawdę nie była taką nieudacznicą, za jaką sama się uważała?

Była to nowa myśl, ale ostatnio tyle wycierpiała, że odrzuciła ją od razu. Chyba że... chyba że to prawda. I wtedy musi spojrzeć na siebie innymi oczami.

– Kręgosłup, Antoinette. Powinnaś mieć twarde kręgosłup.

Nie, mam, pomyślała. To, że nie jestem taka jak ty, nie znaczy, że go nie mam. Miałam go dość, by rzucić wszystko i spełniać wszystkie twoje życzenia, zanim umarłaś, prawda?

A teraz płaciła za to cenę.

Drzwi kuchenne otworzyły się i zamknęły. Po chwili Theo wszedł do saloniku i powiedział tak cicho, że z trudem go słyszała:

– Nie mogłem pisać. Musiałem uciec... od wszystkich.

Odwróciła się czujnie.

Stał przy biblioteczce, z włosami lekko zmierzwionymi po mysim pochówku.

– Dławiło mnie współczucie moich przyjaciół i nienawiść jej bliskich – roześmiał się gorzko. – Jej ojciec powiedział, że równie dobrze mogłem sam, własnoręcznie wepchnąć jej te tabletki do gardła. I może miał rację. Wystarczy ci?

Odwrócił się, poszedł do atelier. Ruszyła za nim.

– Skoro chciałeś uciec, czemu akurat tutaj? Czemu nie na francuską Riwierę? Na Karaiby? Wiadomo przecież, że cię na to stać. A ty przyjechałeś tutaj.

– Kocham Peregrine. Nie znoszę tylko domu Harpów. A to doskonałe połączenie, by znowu zacząć pisać. Żadnych pokus. Przynajmniej póki ty się nie zjawiłaś. – Zniknął w atelier.

To miało sens, a jednak czegoś brakowało. Poszła za nim.

– Kilka tygodni temu widziałam cię, jak wychodzisz ze stajni. Było bardzo

zimno, a ty i tak zdjęłeś sweter. Dlaczego?

Wbił wzrok w rysę na podłodze. Myślała, że jej nie odpowie, a jednak:

– Bo chciałem coś poczuć. Cokolwiek.

Klasyczny psychopata nie odczuwa normalnych emocji, ale rozpacz na jego twarzy zdradzała, że czuje wszystko. Ogarnął ją niepokój. Nie chciała tego słuchać. Odwróciła się.

– Zostawiam cię.

– Na początku byliśmy szczęśliwi – ciągnął. – Tak przynajmniej myślałem.

Wróciła do niego wzrokiem.

Wbił spojrzenie we fresk, ale domyślała się, że wcale nie widzi taksówki rozbijającej okno wystawowe.

– Po pewnym czasie coraz częściej dzwoniła z pracy. Początkowo nie widziałem w tym niczego złego, ale wkrótce to były dziesiątki telefonów i wiadomości każdego dnia. Co godzina. Pisała, dzwoniła, wysyłała maile. Musiała wiedzieć, gdzie jestem, co robię. Jeśli od razu nie odpowiedziałem, wpadała w szal i zarzucała mi, że ją zdradzam. Nigdy tego nie zrobiłem. Nigdy.

W końcu spojrzał na Annie.

– Rzuciła pracę. A może ją zwolniono, nigdy nie dowiedziałem się na pewno. Zachowywała się coraz dziwniej. Opowiadała bliskim i przyjaciółom, że jestem jej niewierny, że uganiam się za kobietami, że jej grożę. W końcu zaprowadziłem ją do psychiatry. Dostała leki i przez pewien czas było lepiej – póki nie przestała ich zażywać, twierdząc, że chce ją otruć. Usiłowałem przekonać jej rodzinę, żeby mi pomogła, ale nikt z nich nie widział jej w najgorszym stanie i nie chcieli uwierzyć, że naprawdę jest z nią źle. Potem zaczęły się ataki fizyczne – biła mnie i drapała. Bałem się, że coś jej zrobię, więc wyniosłem się z domu. – Zacisnął pięści. – Tydzień później popełniła samobójstwo. I jak ci się podoba taka bajeczka z życia wzięta?

Annie była głęboko poruszona, ale wyczuwała, że Theo nie chce współczucia, więc zachowała spokój:

– No jasne, to cały ty... ożenić się z wariatką.

Spojrzał na nią zaskoczony, i nagle rozluźnił się.

– Ciągnie swój do swego, co?

– Tak mówią. – Zerknęła na lalki na półce i wróciła wzrokiem do niego. – Przypomnij mi, co tu jest twoją winą? Oczywiście poza tym, że w ogóle się z nią ożeniłeś.

Wróciło jego napięcie – i gniew.

– Litości, Annie. Nie bądź naiwna. Wiedziałem doskonale, jak bardzo jest chora. Nie powinienem był jej zostawić. Gdybym postawił się jej rodzinie, gdybym dopilnował, żeby trafiła do szpitala, gdzie było jej miejsce, być może żyłaby nadal.

– W dzisiejszych czasach trudno zamknąć w psychiatryku kogoś wbrew jego woli.

– Mogłem coś wymyślić.

– Może tak, może nie. – Hannibal otarł się o jej nogi. – Nie wiedziałam, że z ciebie taki seksista.

Gwałtownie uniósł głowę.

– Słucham?

– Każda kobieta z odrobiną oleju w głowie uciekałaby gdzie pieprz rośnie przed takim mężem jak twoja żona... nie wiem, do schroniska dla ofiar przemocy, gdziekolwiek... ale ty, jak typowy samiec, musiałeś to znosić. Tak?

Zbiła go z tropu.

– Nie rozumiesz.

– Nie? Jeśli chcesz się zadręczać, biczuj się za prawdziwe grzechy – na przykład za to, że nie zrobiłeś mi dzisiaj kolacji.

Przez jego twarz przemknął cień uśmiechu.

– Co ty w sobie masz?

– Gust piżamowy? Nie wiem.

– A może przyzwoitość? – I już poważniej, surowiej: – I głupotę. Obiecuj mi, że koniec z wędrówkami na piechotę. I nawet za kółkiem będziesz miała oczy szeroko otwarte.

– Szeroko otwarte. – Teraz, gdy w końcu poznała prawdę o jego małżeństwie, wolałaby tego nie wiedzieć. Zaspokajając ciekawość, sprawiła, że w murze między nimi pojawiła się kolejna rysa. – Dobranoc – mruknęła. – Widzimy się rano.

– Ej, mieliśmy układ. Teraz twoja kolej. Rozbieraj się.

– Seks z litości? – skrzywiła się komicznie. – To byłoby dla ciebie uwłaczające.

– Proszę bardzo, uwłaczaj mi.

– Jesteś na to zbyt szlachetny. Jutro mi podziękujesz.

– Nie sądzę – mruknął, gdy wyszła.

W sobotę odbywała się comiesięczna wyspiarska impreza – Wieczór Homarów. Jaycie poprosiła Annie, żeby ją podwiozła.

– Chodzi nie tyle o mnie, co o Livię – tłumaczyła. – Ona tak rzadko ma kontakt z innymi dziećmi. A ja przedstawię cię wszystkim, kogo jeszcze nie poznałaś.

To był pierwszy wolny wieczór Jaycie, odkąd złamała nogę. Uśmiech, z jakim piekła ciasto orzechowe, zdradzał, jak bardzo cieszy się na tę imprezę, nie tylko ze względu na siebie, ale i na Livię.

Wiekowy chevrolet Jaycie stał w garażu. Jak większość samochodów na wyspie, pokrył się plamami rdzy, na kołach brakowało kołpaków, zniknęła tablica

rejestracyjna, ale z tyłu tkwił fotelik dla Livii, więc wpakowały się do środka.

Annie zapięła małej pas bezpieczeństwa, ułożyła ciasto na tylnym siedzeniu i pomogła Jaycie wsiąść. Był to wietrzny wieczór, ale ponieważ śnieg nie padał od kilku dni, droga nie była taka straszna. Chociaż Annie i tak cieszyła się, że jadą chevroletem Jaycie, a nie jej ką.

Wystroiła się z tej okazji w jedyną spódnicę, którą ze sobą zabrała – wąską, ciemnozieloną, o olówkowym kroju, z miękką wełnianą falbaną, opływającą kolana. Do tego włożyła prosty biały trykot z długim rękawem, z szafy Mariah, własne żurawinowe rajstopy i buty do kostek od znanego projektanta. Poprzedniej zimy wypatrzyła je na wyprzedaży i kupiła za grosze. Starannie wyczyszczone, wyglądały prawie jak nowe.

Skręciły w główną drogę. Annie zerknęła na Livię przez ramię.

– Scamp przeprasza, że z tobą nie jedzie. Ma chore gardło.

Livia łypnęła gniewnie i kopnęła w oparcie tak mocno, że welurowe kocie uszy na jej opasce podskoczyły energicznie. Nie potrzebowała słów, by wyrazić swoje uczucia.

– Może mogłabym kiedyś poznać Scamp – wtrąciła się Jaycie. Od niechcenia bawiła się suwakiem kurtki. – Jak Theo?

Nawet w mdłym świetle jej sztuczny uśmiech sprawiał ból. Annie nie mogła na to patrzeć. Jaycie, choć śliczna, nie miała u Theo szans. Pociągały go kobiety błyskotliwe, piękne i szalone, a ani Jaycie, ani Annie nie spełniały tych warunków. Annie była z tego zadowolona, jednak Jaycie pewnie postrzegala to inaczej.

Annie minęła się z prawdą.

– Wczoraj do późna pracował w atelier, dzisiaj prawie go nie widziałam.

Ale widziała dość. Zatrzymała się w pół kroku, gdy wyszedł z łazienki z ręcznikiem na biodrach, z kropelkami wody na barkach. Przez właśnie taką reakcję może się okazać, że jest w ciąży.

Przełknęła nerwowo.

– Wczoraj znowu ktoś włamał się do domku. – Pamiętając o Livii na tylnym siedzeniu, dodała tylko: – Później ci opowiem.

Jaycie załamała ręce.

– Nie udało mi się złapać Laury Keen, żeby pogadać o Danym. Może dzisiaj przyjdzie.

Zatrzymały się przed jasno oświetlonym ratuszem. Na maszcie trzepotała flaga, mieszkańcy wchodzili do środka, niosąc pojemniki z jedzeniem, sześciopaki piwa, butelki napojów gazowanych. Jaycie wydała się zdenerwowana i Annie podała jej kulę, którą upuściła, wysiadając z samochodu.

Skulone wpół, zmagaly się z wiatrem. Livia tuliła do piersi różowego pluszaka, wsunęła kciuk do ust. Być może to tylko wyobraźnia Annie, ale wydawało jej się,

że zebrani zamilkli, gdy we trzy weszły do środka. Po kilku sekundach podeszło do nich kilka starszych pań – Barbara Rose, Judy Kester i Naomi od kutra.

Barbara serdecznie uściskała Jaycie, otaczając ją obłokiem kwiatowych perfum.

– Baliśmy się, że dzisiaj nie dotrzecie.

– Dawno was tu nie było – dodała Naomi.

Judy kucnęła przy Livii.

– Aleś ty urosła! – pisnęła. Jej włosy były jeszcze bardziej jaskrawe niż ostatnio. – Obejmiesz mnie?

O nie. Livia schowała się za Annie, która z otuchą poklepała ją po plecach. Pochlebiali jej, że mała czuje się przy niej bezpieczna.

Judy cofnęła się ze śmiechem, wzięła od Jaycie ciasto i zaniósła na stół. One tymczasem zdejmowały kurtki. Jaycie miała na sobie czarne spodnie i niebieski sweter – stare, ale nadal ładne. Długie jasne włosy spływały na plecy. Umalowała się na ten wieczór – tusz do rzęs, cień do powiek i wiśniowa szminka.

Sala wratuszu była niewielka, niewiele większa od salonu w domu Harpów. Wypełniały ją długie stoły przykryte papierowymi obrusami. Na szarych ścianach wisiały pożółkłe stare fotografie, bieżące informacje, amatorski pejzaż portu, plakaty z instrukcjami udzielania pierwszej pomocy i gaśnica. Za jednymi drzwiami kryła się mikroskopijna biblioteka, za drugimi – gabinet burmistrza, poczta i – sądząc po smakowitych zapachach – kuchnia, wszystko w jednym.

Wieczór Homarów, jak tłumaczyła Jaycie, to nieodpowiednia nazwa, bo nikt tu homarów nie serwował.

– Jemy ich tyle, że jakieś dwadzieścia lat temu mieszkańcy uznali, że nie będzie ich w menu, a zamiast tego jemy tradycyjne dania z Nowej Anglii. W zimie – szynka albo pieczeń, w lecie – kukurydza i zupa rybna. Właściwie nie wiem, czemu nadal nazywa się to Wieczorem Homarów.

– Nikt nie może wam zarzucić, że nie przestrzegacie starych zwyczajów – mruknęła Annie.

Jaycie zagryzła usta.

– Czasami myślę, że oszaleję, zostając tu choćby jeden dzień dłużej.

Lisa McKinley wyszła z kuchni. Miała na sobie dżinsy i sweterek z dekoltem, który odsłaniał staroświecki naszyjnik, prezent, czym nie omieszkała się pochwalić, od Cynthii Harp. Annie odeszła, żeby mogły z Jaycie swobodnie pogadać. Ze wszystkich stron docierały do niej strzępy rozmów:

– O dwieście kilo mniej niż w zeszłym roku o tej porze....

– Nie zamówiłam vegety, więc...

– To więcej niż kosztuje nowa pompa!

Annie wpatrywała się w białą-czarną reprodukcję, wiszącą krzywo na ścianie.

Widniały na niej postacie w siedemnastowiecznych strojach na brzegu morza. Naomi stanęła za nią.

– W czasach kolonialnych morze wyrzucało homary na brzeg. Było ich tyle, że osadnicy karmili nimi więźniów i świnie.

– Dla mnie to nadal smakołyk – odparła Annie.

– Dla większości ludzi także, i dzięki temu nadal mamy pracę. Ale musimy dbać o nasze zasoby, bo inaczej będzie po nas.

– Czyli?

– Mam na myśli przepisy, kto i kiedy może łowić. To, że przestrzegamy okresów godowych. Jeśli wyciągniemy samicę z jajeczkami, oznaczamy ją literą V na ogonie i wyrzucamy z powrotem. Do wody trafia z powrotem osiemdziesiąt procent tego, co wyłowimy – okazy za małe, za duże, oznaczone V.

– Ciężkie życie.

– Trzeba to kochać, to fakt. – Dotknęła srebrnego kolczyka w uchu. – Jeśli chcesz, możesz kiedyś ze mną wypłynąć. Zapowiada się dobra pogoda na początku tygodnia. Mało kto może się pochwalić, że pływał na prawdziwym rybackim kutrze u wybrzeży Maine.

Zaproszenie bardzo Annie zaskoczyło.

– Bardzo chętnie.

Naomi wydawała się autentycznie zadowolona.

– Musisz wcześniej wstać. I załóż stare ciuchy.

Umówiły się na poniedziałek rano, gdy do środka wdarł się podmuch zimnego powietrza. Wszedł Theo.

Rozmowy cichły, w miarę jak zebrani zdawali sobie sprawę z jego obecności. Skinął głową na powitanie i gwar znowu przybrał na sile, ale większość zebranych i tak obserwowała go ukradkiem. Jaycie przerwała rozmowę z Lisą, żeby na niego popatrzeć. Mężczyźni o ogorzałych twarzach machali na niego, by do nich dołączył.

Annie poczuła szarpnięcie za spódnicę – Livia usiłowała zwrócić na siebie jej uwagę. Mała znudziła się towarzystwem dorosłych i cały czas zerknęła na grupkę dzieci w kącie, trzech chłopców i dwie dziewczynki. W najmłodszej Annie rozpoznała córeczkę Lisy, którą poznała podczas wizyty w bibliotece. Było jasne, czego chce Livia – chciała pobawić się z dziećmi, ale brakowało jej śmiałości, by podejść do nich samej.

Annie wzięła ją za rękę i razem podeszły do małej grupki. Dziewczynki wklejały naklejki do zeszytu, chłopcy kłócili się o grę wideo. Uśmiechnęła się do dziewczynek. Okrągłe policzki i rude włosy zdradzały, że to siostry.

– Cześć, jestem Annie. A Livię znacie.

Starsza podniosła głowę.

– Dawno cię tu nie było. Ja jestem Kaitlin, a to moja siostra, Alyssa.

Alyssa zerknęła na Livię.

– Ile masz lat?

Livia podniosła cztery paluszki.

– A ja pięć. Jak masz na drugie imię? Ja Rosalind.

Livia schyliła głowę.

Kiedy nie odpowiedziała, Alyssa spojrzała na Annie.

– Co z nią? Dlaczego nic nie mówi?

– Zamknij się, Alyssa – skarciła ją siostra. – Wiesz, że o tym nie wolno rozmawiać.

Annie cały czas myślała o Jaycie i Livii w oderwaniu od lokalnej społeczności, ale to nieprawda. Stanowiły jej nieodłączną część.

Chłopcy coraz głośniejsze kłócili się o grę.

– Moja kolej! – krzyknął jeden z nich.

– Moja! To moja gra! – Najwyższy uderzył marudę i nagle wszyscy trzej byli gotowi do bójki.

– Stójcie, wy tam, pacholki!

Chłopcy znieruchomieli w pierwszej chwili, a potem rozglądali się ciekawie, skąd dociera głos Jacka Sparrowa. Livia знаła już tę sztuczkę. Uśmiechnęła się.

– Ejże, dość tego marudzenia, bo was wszystkich cisnę pod pokład!

Chłopcy skierowali wzrok na Annie, której prawa dłoń zastępowała kukielkę. Kucnęła i poruszała kciukiem, jakby Jack Sparrow mówił:

– Dobrze, że zostawiłem sztylet w wychodku pod pokładem, wy marne szczury lądowe!

Mali chłopcy są zawsze tacy sami. Wystarczyła wzmianka o wychodku i miała ich w garści.

Skupiła się na najmniejszym chłopcu, blond cherubinku z podbitym okiem.

– Co tam, brachu? Wyglądasz mi na dość silnego, by zaciągnąć się na moją piracką łajbę. Wyruszam na wyprawę po zaginione skarby Atlantyd. Wchodzisz w to? Ktoś jeszcze?

Livia pierwsza podniosła rączkę i Annie z trudem opanowała się, by jej nie uściskać, ale wtedy musiałyby zepsuć Kapitana Jacka.

– Na pewno, ślicznotko? Czekają nas srogie węże morskie. Chyba dzielna z ciebie dziewczka, co?

Livia entuzjastycznie kiwała głową.

– Ja też – zawołała Kaitlin. – Ja też jestem dzielną dziewczką!

– Nie tak dzielną jak ja, głupia! – syknął cherubinek.

Kapitan Jack najeżył się.

– Ejże, brachu, a cóż to za język? Uważaj, co mówisz, bo cię wychłostam! – I z

rozpędu: – Na mojej łajbie nie ma takich numerów, jasne? Kiedy się walczy z morskim potworem, wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, rozumiemy się? A jak ktoś komuś dokucza, kończy jako strawa dla rekinów.

Wszyscy byli pod wrażeniem.

Miała do dyspozycji tylko własną dłoń, bez choćby kredki, żeby namalować oczy – a i tak zaczarowała dzieciaki. Tylko najstarszy chłopiec nie dał się nabrać.

– Nie wyglądasz jak pirat, tylko jak ręka.

– Ano. Bystrzak z ciebie, że to widzisz. Wróg rzucił na mnie klątwę i właśnie żeby odzyskać ludzką postać, muszę odnaleźć skarb. No to jak, majtki? Wyruszać ze mną?

– Ja bardzo chętnie, kapitanie.

Głos bynajmniej nie dziecięcy, za to znajomy.

Odwróciła się. Za jej plecami zebrali się dorośli, a wśród nich – Theo, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i iskierkami rozbawienia w oczach.

Kapitan Jack zmierzył go wzrokiem.

– Biorę tylko młodych, za długiś mi nieco.

– Szkoda – wycedził Theo, ucieleśnienie księcia z okresu regencji. – A tak bardzo liczyłem na starcie z węzami morskimi.

Rozległ się gong i ktoś zawołał:

– Jedzenie gotowe! Zapraszamy!

– Czas na mnie, przyjaciele. Wy ruszajcie po strawę, a ja wracam na pokład! – Gwałtownie rozłożyła rękę i Kapitan Jack zniknął.

Brawo bili i dzieci, i dorośli. Livia przywarła do niej. Starsze dzieci zasypywały ją pytaniami.

– Jakim cudem mówisz, nie otwierając ust?

– Jeszcze raz!

– A ja wypływam z tatą na homary.

– Ja też tak chcę.

– Na Halloween przebrałem się za pirata.

Dorośli powoli zabierali swoje pociechy i prowadzili do kolejki po jedzenie w sąsiednim pomieszczeniu.

Theo podszedł do niej.

– Pomyśleć, ile się człowiek dowiaduje i to, co było niejasne, nagle objawia się w pełnej krasie.

– W pełnej krasie?

– Przepraszam, wymknęło mi się. Jednego tylko nie rozumiem. Jak ci się udało ten numer z zegarem?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Jego wzrok sugerował, że upokarza się, zaprzeczając, i że jeśli ma choć trochę

odwagi cywilnej, przyzna się do wszystkiego.

A więc koniec. Uśmiechnęła się, przysunęła bliżej i jęknęła mistrzowsko przeraźliwie, ale tak cicho, że tylko on ją słyszał.

– Słodkie – mruknął.

– Powiedzmy, że to Zemsta Windy Kuchennej.

Myślała, że puści to mimo uszu, on jednak naprawdę się speszył.

– Bardzo cię za to przepraszam.

Przemknęło jej przez myśl, że żaden z dwóch jej chłopaków nigdy jej za nic nie przeproszał.

Livia odbiegła do matki. Jaycie nadal rozmawiała z Lisą, jednak nie odrywała oczu od Theo. Annie podeszła do nich. Usłyszała słowa Lisy:

– Musisz zabrać ją do lekarza. Powinna już mówić.

Nie dosłyszała odpowiedzi Jaycie.

Ustawiła się kolejka. Marie i Tildy wzięły Theo między siebie i zasypywały go pytaniami o książkę, ale kiedy nałożył sobie jedzenie, pozwoliły mu podejść do Annie, Jaycie i Livii. Usiadł koło Annie, naprzeciwko Lisy i jej męża, Darrena, miejscowego elektryka i zarazem rybaka. Livia przyglądała mu się czujnie. Jaycie zapomniała, o czym jeszcze przed chwilą rozmawiała z Lisą.

Theo i Darren znali się sprzed lat. Rozmawiali o połowach. Annie zauważyła, z jaką łatwością Theo z każdym nawiązywał rozmowę, co nieco ją zdziwiło, zważywszy, jak bardzo był skryty.

Miała już dość dumania o sprzecznościach, które w nim widziała, i skoncentrowała się na jedzeniu. Prócz pysznej pieczeni, na jej talerzu były ziemniaki, kapusta, cebulki i różne inne warzywa. Poza brukselką, którą obie z Livią omijały szerokim łukiem, wszystko inne było pyszne.

Jaycie, choć taka zauroczona Theo, nie robiła nic, by go sobą zainteresować, ograniczała się do tęsknych spojrzeń. W końcu Theo spojrzął na Annie.

– Zakradłaś się w nocy do wieży i zmieniłaś baterie. Już dawno powinienem na to wpaść.

– Nie twoja wina, że trochę wolno kojarzysz. Pewnie niełatwo dojść do siebie tym wszystkim w czepku urodzonym.

Pytając uniósł brew.

Livia szturchnęła Annie, uniosła rękę i na migi pokazała, że chciałaby zobaczyć kolejny pokaz.

– Później, skarbie. – Annie cmoknęła ją w głowę, między kocie uszka.

– Chyba masz tu przyjaciółkę – zauważył Theo.

– Nie ja, Scamp. Bardzo się z Livią lubią, prawda, mała?

Livia skinęła głową i upiła łyk mleka.

Mieszkańcy wyspy dotarli do stołu z deserami. Jaycie wstała.

– Theo? Przyniosę ci moje ciasto z orzechami.

Theo zapewne wolałby odpocząć od jej smakołyków, ale tylko skinął głową.

– Zdziwiłam się, widząc cię tutaj – zaczęła Annie. – Nie wyglądasz na duszę towarzystwa.

– Ktoś musi mieć na ciebie oko.

– Przyjechałam tu z Jaycie, a w tłumie nic mi nie grozi.

– Mimo wszystko...

Gwar przeciął przeraźliwy gwizd i pośrodku pokoju stanął potężny mężczyzna w kurtce. Wyjął palce z ust.

– Słuchajcie! Straż Przybrzeżna odebrała sygnał SOS z kutra rybackiego, jakieś dwadzieścia mil od Jackspar Point. Wyruszają, ale my będziemy tam szybciej.

Skinął na krępego rybaka we flanelowej koszuli, który siedział przy sąsiednim stoliku z Darrenem, mężem Lisy. Obaj wstali. Ku zdumieniu Annie, podniósł się też Theo. Pochylił się nad nią.

– Nie wracaj dzisiaj do siebie – szepnął. – Przenocuj w domu Harpów, wróć z Jaycie. Obiecuj mi.

Nie czekając na jej odpowiedź, dołączył do mężczyzn przy drzwiach, powiedział coś do nich. Jeden z nich poklepał go po plecach i wyszli wszyscy razem.

Annie była zaskoczona, Jaycie zaczęła płakać.

– Nie rozumiem. Dlaczego Theo idzie z nimi?

Annie też tego nie rozumiała. Theo żeglował rekreacyjnie. Dlaczego wyrusza na akcję ratunkową?

Lisa zagryzła dolną wargę.

– Boję się – szepnęła. – Na morzu jest pewnie ze czterdzieści węzłów.

Naomi usłyszała ją. Dosiadła się.

– Lisa, Darren da sobie radę. Ed to jeden z najlepszych żeglarzy na wyspie, a jego kuter to istne cacko.

– A Theo? – wtrąciła się Jaycie. – Nie pływał w takich warunkach.

– Dowiem się. – Naomi wstała.

Barbara podeszła, żeby dodać córce otuchy. Lisa złapała ją za rękę.

– Darren miał gripę żołądkową. Są straszne warunki. Jeśli „Val Jane” zamarznie...

– To porządny kuter – zapewniła Barbara, choć była równie przejęta jak jej córka.

Naomi wróciła, spojrzała na Jaycie.

– Theo jest ratownikiem medycznym, dlatego z nimi płynie.

Ratownikiem medycznym? Annie nie mieściło się to w głowie. Theo ludzi

ćwiartował, nie latał.

– Wiedziałaś o tym? – zwróciła się do Jaycie, która przecząco pokręciła głową.

– Od prawie dwóch lat nie było tu nikogo z przeszkoleniem medycznym – ciągnęła Naomi. – Od wyjazdu Jenny Schaeffer. To najlepsza wiadomość tej zimy.

Jaycie denerwowała się coraz bardziej.

– Theo nie ma doświadczenia w taką pogodę. Powinien był tu zostać.

Annie zgadzała się z nią całkowicie.

Troska zebranych o ekipę ratowników zdławiła beztroski nastrój wieczoru; ludzie powoli zbierali się do wyjścia. Annie pomagała sprzątać, Jaycie zajmowała się dziećmi. Annie właśnie niosła do kuchni stertę brudnych naczyń, gdy podsłuchiwała fragment rozmowy, który kazał jej zatrzymać się w pół kroku.

– Nic dziwnego, że Livia nadal nie mówi – mówił kobiecy głos. – Nie po tym, co widziała.

– I może już nigdy się nie odezwie – dodała druga. – Biednej Jaycie pęknie serce.

I znowu pierwszy głos:

– Jaycie chyba się z tym liczy. Nie codziennie małe dziewczynki widzą, jak ich matka zabija ojca.

W zlewie zaszumiała woda i Annie nie słyszała nic więcej.

Rozdział 14

Theo wbił nogi w pokład, gdy kolejna gigantyczna fala zalała pokład „Val Jane”. Wychowywał się na morzu, nieraz wypływał na kutrach rybackich, przeżył niejednen letni szkwał, ale jeszcze nigdy nie doświadczył czegoś takiego. Potężny kadłub z włókna szklanego zapadł się w wodną rozpadlinę, a Theo doświadczył upojnego przyływu adrenaliny. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuł, że znowu żyje.

Kuter rybacki wspiął się na grzbiet fali, zastygł na nim na moment i znowu runął w przepaść. Theo przemarzył do szpiku kości, nawet mimo pomarańczowego ochronnego ubrania. Woda spływała mu po karku, każdy odsłonięty skrawek skóry stracił czucie, był lodowato zimny, a jednak wcale go nie kusiła ochrona nadbudówki. Chciał tego doświadczać. Chłonać. Brać. Chciał się tym upajać, poczuć ten sztorm wszystkimi zmysłami.

Wyrosła przed nimi kolejna ściana wody. Straż Przybrzeżna poinformowała, że zaginiony kuter, „Koniczyna”, stracił silnik, który zalała woda, i że na pokładzie są dwie osoby. Nie przeżyją w wodzie, nie przy tak niskich temperaturach. Nie uratują ich nawet specjalne ochronne kombinezony. Theo usiłował przypomnieć sobie wszystko, co wiedział o hipotermii.

Zainteresował się ratownictwem medycznym, gdy pracował nad Sanatorium. Świadomość, że jest w stanie działać w sytuacji kryzysowej, pobudzała jego wyobraźnię i łagodziła coraz silniejsze poczucie osaczenia. Zaczął szkolenie mimo sprzeciwów Kenley:

– Powinieneś spędzać ten czas ze mną!

Kiedy skończył kurs, pracował jako wolontariusz w szpitalu miejskim w Filadelfii, gdzie miał do czynienia ze wszystkim, poczynając od turystów ze złamaniami, poprzez biegaczy z atakiem serca, rannych z wypadków aż do pogryzień przez psy. Podczas huraganu pojechał do Nowego Jorku, żeby pomagać w ewakuacji szpitala na Manhattanie i domu opieki w Queens. Natomiast jeszcze nigdy nie ratował człowieka wyłowionego z Atlantyku w środku zimy. Oby nie było za późno.

„Val Jane” nagle uderzyła w „Koniczynę”. Kuter z trudem trzymał się na powierzchni, coraz bardziej przechylał na sterburkę, podskakiwał na falach jak pusta butelka. Jeden mężczyzna czepiał się relingu. Drugiego nigdzie nie było widać.

Słyszał zgrzyt dieslowego silnika, gdy Ed podpływał „Val Jane” coraz bliżej,

wbrew potężnym falom, które chciały odsunąć statki od siebie. Darren i Jim Garcia, drugi członek załogi, którego Ed zabrał na dzisiejszą wyprawę, usiłowali połączyć tonący kuter z „Val Jane”. Podobnie jak Theo, założyli kamizelki ratunkowe na specjalny strój ochronny.

Theo zobaczył mężczyznę, ostatkiem sił wczepionego w reling, i drugiego członka załogi, nieruchomego, wplątanego w liny. Darren sięgał właśnie po linę bezpieczeństwa; chciał obwiązać się nią w pasie i przejść na tonącą łódź. Theo podszedł do niego i wyrwał mu sznur z ręki.

– Co ty wyprawiasz? – Darren starał się przekrzyknąć huk silnika.

– Trochę wysiłku dobrze mi zrobi! – odkrzyknął Theo i obwiązał się liną w pasie.

– Czyś ty zupełnie oszalał?

Ale Theo był już gotów i Darren nie marnował czasu na dalsze kłótnie, tylko zaczął drugi koniec liny o knagę na pokładzie. Po chwili wahania wręczył Theo swój nóż.

– Tylko żebyśmy nie musieli ratować i ciebie – powiedział.

– Nigdy w życiu – odparł Theo z pewnością w głosie, której wcale nie czuł. Ale tak szczerze, kto będzie po nim płakał? Ojciec. Kilku przyjaciół. Jakoś się z tym pogodzą. A Annie?

Annie z radości otworzy butelkę szampana.

Nieprawda. I na tym właśnie polega jej problem. Nie zna się na ludziach. Miał szczerą nadzieję, że pojechała do domu Harpów, tak jak jej kazał. Jeśli spodziewa się jego dziecka...

Nie mógł sobie teraz pozwolić na takie rozważania. „Koniczyna” tonęła. Lada chwila będą musieli się odsunąć, żeby nie ryzykować „Val Jane”. Mierząc wzrokiem przestrzeń dzielącą oba statki, zaklinał los, by zdążył wrócić na pokład, zanim to nastąpi.

Wpatrzony w fale, poczekał na sposobną chwilę i skoczył. Jakimś cudem udało mu się pokonać dzielącą je przestrzeń i upaść na śliski, tonący pokład „Koniczyny”. Rybak wczepiony w reling miał jeszcze dość siły, by wyciągnąć jedną rękę i wychrypieć:

– Mój syn...

Theo wbił wzrok w kokpit. Dzieciak miał jakieś szesnaście lat. Był nieprzytomny. Theo zajął się najpierw starszym z mężczyzn. Dał znak Darrenowi i podniósł go na tyle, że Darren i Jim zdołali go przejąć i wciągnąć na pokład „Val Jane”. Rybak miał sine usta, potrzebował natychmiastowej pomocy, Theo musiał jednak najpierw uwolnić dzieciaka.

Wszedł do kokpitu, brodząc w wodzie. Chłopiec miał zamknięte oczy. Nie ruszał się. Theo nie marnował czasu na szukanie pulsu – kuter mógł w każdej chwili

zatonąć. W przypadku hipotermii obowiązuje jedna zasada – nikt nie jest martwy, póki nie jest zimny i martwy.

Zaparł się, przeciął splątane liny krępujące nogi chłopca, złapał go za kamizelkę. Nie mógł dopuścić, by akurat teraz zmyło go z pokładu.

Jim i Darren robili co w ich mocy, by utrzymać statki blisko siebie. Theo taszczył bezwładne ciało na rufę. Zalała go potężna fala. Nie puścił chłopca. Kolejna fala. W końcu Darren i Jim zdołali wciągnąć chłopaka na pokład „Val Jane”.

Zaraz potem także Theo ciężko osunął się na pokład „Val Jane”, ale dwaj mężczyźni byli z każdą chwilą bliżej śmierci, więc natychmiast zerwał się na równe nogi. Jim i Ed zajęli się tonącym kutrem, a Darren pomógł mu przenieść rozbitków do kajuty.

Młodszy z mężczyzn miał na twarzy zaledwie cień zarostu; jego ojciec za to bujną brodę i ogorzałą cerę człowieka, który spędzał na dworze większość życia. Zaczął dygotać na całym ciele. To był dobry znak.

– Mój syn...

– Zajmę się nim – zapewnił Theo. Miał nadzieję, że Straż Przybrzeżna zaraz do nich dotrze. Co prawda zawsze miał w samochodzie podręczny zestaw ratunkowy, ale nie było w nim tego, czego potrzebował, by uratować tych mężczyzn.

W innych okolicznościach zastosowałby sztuczne oddychanie w przypadku młodszego, ale przy hipotermii mogłoby to mieć opłakane skutki. Nie marnując czasu na to, żeby ich rozebrać, rozciął ubranie na mężczyznach i owinął obu suchymi kocami. Znalazł prowizoryczne ciepłe okłady i wsunął je pod pachy chłopaka. W końcu poczuł słaby puls.

Kiedy w końcu zjawiała się Straż Przybrzeżna, obaj byli ciepło opatuleni. Ku jego uldze, młodszy zaczął się poruszać, a ojciec komunikował się urywanymi zdaniami.

Ratowniczka Straży podała im kroplówki i ciepły płynny tlen, a Theo streszczał przebieg wydarzeń. Chłopiec otworzył oczy, ojciec usiłował usiąść.

– Uratował... pan uratował mu życie. Uratował pan życie mojego syna.

– Spokojnie. – Theo delikatnie pchnął go z powrotem na posłanie. – Zawsze do usług.

Dochodziła druga, gdy w końcu dotarł do domu Harpów. Szczekał zębami z zimna, choć rozkręcił ogrzewanie w range roverze na cały regulator. Zaledwie kilka tygodni temu szukał właśnie takich doznań, ale dzisiaj coś się z nim stało i teraz chciał tylko, by było mu ciepło i sucho. Mimo to zajrzał po drodze do Domku Żeglarza. Na szczęście był pusty. Aż trudno uwierzyć, że zrobiła coś, o co ją

prosił.

Jeszcze trudniej, w to, gdzie ją zastał.

Zamiast spać w jednym z licznych pokoi domu Harpów, leżała na kanapie w wieży, przy włączonym świetle. Historia wyspy Peregrine leżała otwarta na podłodze. Musiała jednak zajrzeć do domku, bo przebrała się w to, co nosiła na co dzień – dżinsy i bluzę. Choć był śmiertelnie zmęczony, na widok jej niesfornych loków rozsypanych na starej kanapie poczuł, że napięcie trochę ustępuje.

Annie przewróciła się na bok i zamrugła. Nie oparł się pokusie.

– Skarbie, wróciłem.

Drzemała pod jego szarą parką, która zsunęła się, gdy usiadła. Odgarnęła włosy z twarzy.

– Znaleźliście kuter? Co się stało?

Zdjął kurtkę.

– Uratowaliśmy załogę, kuter zatonął.

Wstała. Widziała jego zmierzwione włosy, mokre plamy na swetrze. Przemoczone dżinsy.

– Jesteś cały mokry.

– Żałuj, że mnie nie widziałś kilka godzin temu.

– Dygoczesz z zimna.

– Hipotermia, faza pierwsza. Najlepsza metoda to ciepło drugiego człowieka.

Zignorowała kiepski żart, widząc jego zmęczenie; patrzyła na niego z autentyczną troską.

– Może prysznic? Idź na górę.

Nie miał siły protestować.

Wyprzedziła go. Kiedy doszedł do szczytu schodów, już czekała z jego szlafrokiem. Wepchnęła go do łazienki, rozkręciła prysznic, jakby sam nie mógł tego zrobić. Chciał warknąć, żeby dała mu spokój, że nie potrzebuje troskliwej mamusi. Nie powinno jej tu być. Nie powinna na niego czekać. Ufać mu. Jej naiwność doprowadzała go do szału. A jednocześnie chciał jej podziękować. O ile pamiętał, ostatnią osobą, która w jakikolwiek sposób usiłowała się nim zająć, była Regan.

– Zrobię ci coś gorącego do picia – rzuciła, wychodząc.

– Whisky. – Najgorsze, co powinien wypić ktoś tak przemarznięty jak on, ale może Annie o tym nie wiedziała.

Wiedziała. Kiedy wyszedł z łazienki, wyprysznicowany i otulony szlafrokiem, czekała na niego z kubkiem gorącej czekolady. Spojrzał na niego z obrzydzeniem.

– Mam nadzieję, że czymś to podkręciłaś.

– Niestety, nie dodałam nawet pianki. Dlaczego nie powiedziałeś, że jesteś ratownikiem medycznym?

– Bałem się, że poprosisz o badanie ginekologiczne. Nie mogę się od tego opędzić.

– Jesteś zboczony.

– Dziękuję. – Poszedł do siebie, sącząc gorącą czekoladę. Była pyszna.

W progu zatrzymał się jak wryty. Annie poprawiła mu łóżko, ba, nawet ułożyła poduszki, do cholery. Upił kolejny łyk czekolady i spojrzał na nią, nadal stojącą w drzwiach. Miała na sobie pognieciony zielony sweter, nogawka dżinsów zaczepliła się o grubą skarpetę. Była niechlujna i zarumieniona, i cholernie seksowna.

– Cały czas jest mi zimno – powiedział, choć jednocześnie cichy głosik radził mu w głowie, żeby dał już spokój. – Bardzo zimno.

Przechyliła głowę.

– Niezła próba, ale nie pójdę z tobą do łóżka.

– Przecież tego chcesz, przyznaj się.

– Och, oczywiście, kto nie chciałby wpakować się do paszczy lwa? – W jej oczach pojawiły się złote iskierki. – Zobacz, co mi z tego przyszło. Być może jestem w ciąży. Może to ochłodzi twoje rozpalone ciało, panie Napalony?

To nie było zabawne, tylko przerażające, ale jak to powiedziała, to święte oburzenie... Miał ochotę zamknąć jej usta pocałunkiem. Zamiast tego stwierdził z pewnością, której wcale nie czuł:

– Nie jesteś w ciąży. – A potem, ponieważ za pierwszym razem mu nie odpowiedziała: – Kiedy masz dostać okres?

– To moja sprawa.

Twardzielka. Tym sposobem nie dopuszczała, by zrobili to, na co oboje mieli ochotę. A może tylko on?

Założyła kosmyk włosów za ucho.

– Wiedziałeś, że Jaycie zabiła męża?

Zaskoczyła go nagle zmiana tematu. Sięgnął po kubek. Nadal nie mieściło mu się w głowie, że zrobiła mu gorącą czekoladę.

– Jasne. To był kawał drania. I dlatego nigdy w życiu bym jej nie zwolnił.

– Nie nadymaj się – prychnęła. – Oboje wiemy, że mnie podpuszczasz. – Masowała ramiona przez sweter. – Dlaczego mi nie powiedziała?

– To chyba nie jest jej ulubiony temat.

– Mimo wszystko... od kilku tygodni pracujemy ramię w ramię. Nie uważasz, że powinna mi była coś powiedzieć?

– Najwyraźniej ona tak nie uważa. – Odstawił kubek z czekoladą. – Grayson był ode mnie trochę starszy. Ponury już jako dzieciak. Nawet wtedy nie miał zbyt wielu przyjaciół, a i teraz chyba nikt za nim specjalnie nie tęskni.

– Powinna była mi powiedzieć.

Nie podobało mu się, że jest taka wytrącona z równowagi. Annie, kobieta o

kręconych włosach, która rozmawia z kukiełkami i ufa nie tym, co trzeba. Miał ochotę zaciągnąć ją do łóżka. Był nawet gotów przysiąc, że jej nie dotknie, jeśli dzięki temu z jej twarzy znikną głębokie bruzdy zmartwienia. Nie dała mu jednak ku temu okazji, zgasła światło i ruszyła do schodów. Powinien jej podziękować za to, że się nim tak troskliwie zaopiekowała, ale nie tylko Annie była twardzielem.

Annie nie mogła zasnąć, więc sięgnęła po kurtkę i kluczyki do range rovera i wyszła na dwór. Wracając z Wieczoru Homarów, nie zdążyła porozmawiać z Jaycie o tym, czego się dowiedziała. A Jaycie nie wiedziała, że Annie w wieży czekała na powrót Theo.

Na nocnym niebie nie było chmur; nad jej głową wisiała rozgwieżdżona smuga Drogi Mlecznej. Nie miała ochoty na ranną rozmowę ani z Jaycie, ani z Theo, jednak nie wsiadła do samochodu, tylko podeszła do skraju podjazdu i spojrzała w dół. Było zbyt ciemno, by dostrzec jej mały domek, ale nawet jeśli ktoś włamał się tam w złych zamiarach, już na pewno sobie poszedł. Kilka tygodni temu umarłaby ze strachu na myśl, że jedzie do domku w środku nocy, ale wyspa zahartowała ją. Teraz niemal chciała, żeby ktoś tam był. Przynajmniej wiedziałyby, z kim ma do czynienia.

Wnętrze samochodu pachniało Theo: skórą i zimą. Nie miała siły się bronić, czuła, jak opuszcza gardę. A do tego Jaycie. Widzą się codziennie od prawie miesiąca, a jednak Jaycie ani razu nawet się nie zająknęła, że zabiła męża. Owszem, nie jest to temat, który można ot, tak poruszyć w rozmowie, ale powinna była jednak jakoś do tego nawiązać. Annie przywykła, że rozmawia z przyjaciółkami szczerze, a konwersacje z Jaycie nigdy nie wychodziły poza konwencjonalne pogaduszki. Jakby Jaycie wytatuowała sobie na czole: „Wstęp wzbroniony”.

Annie podjechała do ciemnego domku. Wsiadła z samochodu. Ślusarz, na którego nie było jej stać, zjawi się dopiero w przyszłym tygodniu. Bóg jeden wie, co zastanie w środku. Uchyliła drzwi, weszła do kuchni, zapaliła światło. Wszystko było tak jak przedtem. Obeszła cały domek, zajrzała do wszystkich szaf.

Tchórz – prychnął Peter.

– Zamknij się – szepnęła. – Jakkolwiek by było, jestem tutaj, prawda? – Leo ostatnio dał jej spokój, natomiast Peter, bohater, coraz bardziej jej dokuczał. Kolejna sprawa, która w jej życiu wymknęła się spod kontroli.

Następnego ranka bolała ją głowa. Chciała napić się kawy. Wzięła prysznic, owinęła się ręcznikiem i poszła do kuchni. Lodowato zimne, cytrynowe światło wpadało przez okno, mieniło się w łuskach syreny. Skąd Mariah wytrzasnęła to

paskudztwo? Syrena przypominała Annie kiczowate i nieprzyzwoicie drogie rzeźby Jeffa Koonsa. Różowa Pantera, Michael Jackson, aluminiowe zwierzaki, jakby żywcem zdjęte z balonów Mylar... dzięki nim zdobył sławę. Syrena mogłaby być jego dziełem, gdyby...

Głośno zaczerpnęła tchu i pobiegła do saloniku, do pudeł, które nadal tam stały. A jeśli syrena to naprawdę dzieło Koonsa? Osunęła się na kolana, upuściła ręcznik i gorączkowo buszowała w kartonach, szukając księgi gości. Mariah nigdy nie byłoby stać na oryginalnego Koonsa, więc to musiał być prezent. Przeglądała księgę gości, licząc, że zobaczy gdzieś jego nazwisko, a gdy go nie znalazła, nie dała za wygraną, tylko zaczęła kartkować księgę od początku.

I nic. Ale fakt, że nie było go na wyspie, wcale nie znaczył, że syrena nie była jego dziełem. Zdążyła już sprawdzić obrazy, co mniejsze rzeźby i większość książek i niczego nie znalazła. Może...

– Doprawdy, tutaj podoba mi się o wiele bardziej niż w domu Harpów – odezwał się jedwabisty głos za jej plecami.

Odwróciła się gwałtownie w stronę kuchni. Theo stał w progu, z dłońmi w kieszeniach tej samej szarej parki, pod którą wczoraj drzemała. Ręcznik, w którym wybiegła z łazienki, leżał zapomniany na podłodze.

Choć kochali się właśnie tutaj, w tym pokoju, jeszcze nigdy nie widział jej nago. Stłumiła odruch, by porwać ręcznik i zasłonić się nim jak wiktoriańska dziewczyna. Zamiast tego sięgnęła po niego powoli, jakby fakt, że jest naga, nie stanowił dla niej żadnego problemu.

– Jesteś wspaniała – stwierdził. – Mówili ci to twoi beznadziejni faceci?

Nie w tych słowach. Właściwie w ogóle. Miło coś takiego usłyszeć, nawet od Theo. Owinęła się ręcznikiem, ale, jak to ona, zamiast wstać z gracją i wdziękiem, potknęła się i runęła jak długa na plecy.

– Dobrze, że jestem prawie lekarzem – wycedził – i nic, co widzę, nie jest mi obce.

Udało jej się utrzymać w garści – i siebie, i ręcznik.

– Nie jesteś żadnym lekarzem. I mam nadzieję, że podobało ci się, co widziałeś, bo powtórki nie będzie.

– Nie byłbym taki pewien.

– Czyżby? Naprawdę chcesz się tam zapuszczać?

– Trudno uwierzyć, że zapomniałaś, czego dokonałem minionej nocy.

Przechyliła głowę.

Spojrzał na nią ze smutkiem.

– Z takim heroizmem mierzylem się z wygłodniałymi rekinami i gigantycznymi falami... z górami lodowymi. Och, zapomniałem o piratach. No, ale bohaterstwo samo w sobie jest nagrodą. Nie powinienem liczyć na nic więcej.

- Niezłe podejście. Idź, zaparz kawę.
- Zbliżał się do niej leniwie. Wyciągnął rękę.
- Pozwól, że najpierw pomogę ci wstać.
- Wara. – Wstała, już bez komplikacji. – Właściwie dlaczego tu jesteś tak wcześnie?
- Wcale nie jest wcześnie, zresztą nie powinnaś była przyjeżdżać tu sama.
- Przepraszam – mruknęła szczerze.
- Oderwał wzrok od jej nagich nóg i spojrzał na bałagan na podłodze.
- Kolejne włamanie?
- Już miała mu powiedzieć o syrenim fotelu, ale nie odrywał oczu od jej nóg i jako półnaga poczuła, że jest w niekomfortowej sytuacji.
- Poproszę gotowane jajka przepiórcze i sok z mango. Świeży, jeśli to nie za duży kłopot.
- Zostaw ten ręcznik, a dorzucę szampana.
- Kuszące. – Ruszyła do sypialni. – Ale ponieważ być może jestem w ciąży, nie powinienam pić.
- Westchnął przeciągle.
- Wystarczyły te lodowate słowa, by zgasić płomień jego pożądania.

Theo pracował w atelier, a Annie obfotografowywała syreni fotel ze wszystkich stron. Później, z domu Harpów, wysłał te zdjęcia marszandowi Koonsa w Nowym Jorku. Jeśli miała rację, ten jeden mebel spłaci wszystkie jej długi i jeszcze trochę zostanie na życie.

Kiedy zapięła plecak, przypomniały jej się słowa mężczyzny pracującego w atelier:

„Jesteś wspaniała”.

Choć to nieprawda, miło usłyszeć coś takiego.

Nabrała nowego zwyczaju – codziennie zaglądała do domku elfów. Dzisiaj dostrzegła nowy element – mewie pióro, rozpięte jak hamak między dwoma patykami. Wpatrzona w elfi domek, rozmyślała o supersekrete, który narysowała Lisa. Niekształna plama na końcu ręki stojącej postaci to nie był błąd artystyczny. To była broń. A ciało na ziemi? Czerwona plama na piersi to nie kwiat czy serce. To krew. Livia narysowała śmierć swego ojca.

Drzwi kuchenne otworzyły się i Livia wyszła na dwór. Zobaczyła Annie, pomachała jej i pobiegła do zabloconego samochodu przy garażu. Annie zebrała się w sobie i weszła do środka.

W kuchni pachniało grzankami. Jaycie jak zwykle była czymś przejęta.

– Proszę, nie mów Theo, że Lisa tu była. Wiesz, jaki on jest.

– Theo cię nie zwolni, Jaycie. Uwierz mi.

Jaycie odwróciła się do zlewu.

– Dzisiaj rano widziałam, jak jechał do domku – powiedziała cicho.

Annie nie chciała rozmawiać o Theo. Co niby mogłaby powiedzieć? Że niewykluczone, że spodziewa się jego dziecka? Po jednym nieprzewidywanym razie?

Naprawdę w to wierzysz? – prychnęła Dilly.

Z naszej Annie robi się mała puszczalska. – Peter, dawniej jej obrońca, teraz zwracał się przeciwko niej.

I kto tu komu dokucza? – włączył się Leo. – Uważaj z takimi epitetami, bracie. – Cedził jak zwykle, ale mimo wszystko...

Nie do końca miała pojęcie, co właściwie dzieje się w jej głowie, ale mając Jaycie u boku, nie miała czasu na zastanawianie się nad sobą.

– Słyszałam, jak zginął twój mąż – powiedziała.

Jaycie pokuśtykała do krzesła i usiadła, nie patrząc na nią.

– I teraz pewnie myślisz, że jestem okropna.

– Sama już nie wiem, co myśleć. Szkoda, że mi tego nie powiedziałaś.

– Nie lubię o tym rozmawiać.

– Rozumiem. Ale przyjaźnimy się. Gdybym wiedziała, od początku byłoby dla mnie jasne, czemu Livia nie mówi.

Jaycie skuliła się.

– Nie mam pewności, że to dlatego.

– Proszę cię. Czytałam co nieco o dziecięcej traumie.

Jaycie ukryła twarz w dłoniach.

– Nie masz pojęcia, jakie to strasznie, wiedzieć, jak bardzo skrzywdziło się dziecko, które kochasz najbardziej na świecie.

Annie nie mogła znieść jej rozpacz. Wycofała się.

– Nie musiałaś mi niczego mówić.

Jaycie podniosła na nią wzrok.

– Ja... nie umiem być dobrą przyjaciółką. Kiedy dorastałam, nie było tu zbyt wielu dziewcząt w moim wieku. Zresztą nie chciałam, by ktokolwiek wiedział, jak źle jest z moim tatą, więc odpychałam wszystkich, którzy chcieli się do mnie zbliżyć. Nawet Lisa... przyjaźnimy się od lat, ale rzadko kiedy rozmawiamy o sprawach osobistych. Czasami sobie myślę, że przychodzi tu tylko po to, żeby ze względu na Cynthię wybadać sytuację.

Wizja Lisy jako szpiega Cynthii nie przyszła Annie do głowy.

Jaycie w zadumie rozcierała nogę.

– Lubiałam Regan, bo nigdy o nic nie pytała. Ale była ode mnie dużo mądrzejsza i żyła we własnym świecie.

Anie przypomniała sobie Jaycie tamtego lata – trzymała się z boku; być może nie pamiętałaby o niej w ogóle, gdyby nie tamto zajście w jaskini.

– Mogłam skończyć za kratkami – ciągnęła Jaycie. – Dzień w dzień dziękuję Bogu, że Booker Rose usłyszał moje krzyki i przybiegł w odpowiednim momencie, by przez okno widzieć, co się stało. – Na chwilę zamknęła oczy, zaraz jednak znowu je otworzyła. – Ned był pijany. Podszedł do mnie z bronią, groził mi. Livia bawiła się na podłodze. Zaczęła płakać. Ned nie zwracał na nią uwagi. Przyłożył mi pistolet do głowy. Nie sądzę, żeby chciał mi coś zrobić, chciał tylko pokazać, kto tu rządzi. Ale ja już miałam dosyć, nie mogłam słuchać płaczu Livii.. Złapałam go za rękę, szarpnęłam i... To było straszne. Wydawał się taki zaskoczony, gdy pistolet wypalił, jakby nie mieściło mu się w głowie, że już nie panuje nad sytuacją.

– Och, Jaycie...

– Nigdy nie wiedziałam, jak rozmawiać o tym z Livią. Ilekroć próbowałam, wyrwała mi się, więc przestałam w nadziei, że zapomni.

– Powinna porozmawiać z terapeutą – zauważyła Annie delikatnie.

– Niby jak? Na wyspie nie ma nikogo takiego, a zresztą nawet gdybym mogła wozić ją na stały ląd, nie stać mnie na to. – Wyglądała na starszą, niż była. Zdawała się całkiem przegrana. – Jediną osobą, z którą nawiązała jakikolwiek kontakt po tej całej sprawie, jesteś ty.

Nie ja, pomyślała Annie. Scamp.

Oczy Jaycie zaszyły łzami.

– Słabo mi się robi na myśl, że ciebie też skrzywdziłam. Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś.

Do pokoju wbiegła Livia, tym samym kładąc kres ich rozmowie.

Kiedy Annie pojechała do domu Harpów, Theo przeniósł się do saloniku, ale zmiana scenerii nie pomogła. Pieprzony dzieciak nie chciał umrzeć.

Chłopiec patrzył na niego ze szkicu Annie. Theo był zachwycony jego za dużym, dorosłym zegarkiem, wicherkiem na głowie, zmarszczkami troski na czole. Annie lekceważyła swój talent i choć może nie była wielką malarką, nadawała się świetnie na ilustratorkę.

Dzieciak od razu ożył w jego wyobraźni, stał się równie rzeczywisty jak postaci, które sam tworzył. Choć tego nie planował, umieścił go w powieści jako postać drugoplanową. Dwunastoletni Diggity Swift trafił ze współczesnego Nowego Jorku do dziewiętnastowiecznego Londynu. Miał być kolejną ofiarą doktora Quentina Pierce'a, ale jak do tej pory dzieciakowi udawało się to, na

czym polegli dorośli – wymykał się sadystycznemu mordercy. Quentin wpadł w szał i planował koszmarnie bolesną śmierć dla małego zbiega.

Theo postanowił nie opisywać jej ze szczegółami; w poprzedniej książce zrobiłby to zapewne, teraz jednak nie miał na to sił. Wystarczy krótka wzmianka o zapachu dochodzącym z pieca w piekarni.

Tylko że dzieciak był sprytny. Choć znalazł się w świecie, którego nie mógł znać, w innym czasie i przestrzeni, udawało mu się przeżyć. I to bez pomocy pracowników socjalnych, bez stróżów praw dzieci, bez wsparcia choćby jednego dorosłego, o komórce i komputerze już nie wspominając.

Początkowo Theo nie pojmował, jakim cudem mu się to wszystko udaje, ale potem zrozumiał. Gry wideo. Diggity godzinami ślęczał nad konsolą, podczas gdy jego bogaci, zapracowani rodzice znikali na Wall Street, i tym samym wyrobił sobie szybki refleks, umiał myśleć logicznie i nie bał się nieznanego. Był przerażony, ale nie poddawał się.

Theo jeszcze nigdy nie pisał o dzieciach i prędzej go szlag trafi, niż zrobi to ponownie. Skasował wszystko, co w pocie czoła stworzył w ciągu minionych dwóch godzin. To nie jest opowieść o małym chłopcu. Theo musi odzyskać kontrolę nad książką, zanim gnojek zrobi to całkowicie.

Wyprostował długie nogi i podrapał się w podbródek. Annie rozpakowała pudła na podłodze i nie poskładała z powrotem ich zawartości. Wierzyła w bajki. Jego zdaniem Mariah niczego jej nie zostawiła.

Jeśli chodzi o niego, powinna zejść na ziemię i albo przestać go drażnić możliwością ciąży, albo powiedzieć otwarcie, kiedy będą pewni, na czym stoją. Kenley nigdy nie chciała dzieci i była to jedna z nielicznych rzeczy, które ich łączyły. Na samą myśl, że znowu miałby być za kogoś odpowiedzialny, oblewał go zimny pot. Równie dobrze mógłby sobie od razu palnąć w łeb.

Właściwie nie myślał o Kenley od tamtej nocy, gdy opowiedział o niej Annie, i to też mu się nie podobało. Annie chciała go rozgrzeszyć, uwolnić od odpowiedzialności za jej śmierć, ale to tylko świadczyło dobrze o niej, nie o nim. Potrzebował poczucia winy. Tylko dzięki niemu mógł żyć w swojej skórze.

Rozdział 15

W poniedziałkowy rano Annie zwlekła się z łóżka, gdy jeszcze było ciemno, chcąc przygotować się do wyprawy kutrem Naomi, ale wystarczyły trzy kroki, by oprzytomniała całkowicie. Wyprawa kutrem Naomi? Z jękiem ukryła twarz w dłoniach. Co ona sobie właściwie myślała? To jasne – w ogóle nie myślała! I na tym polegał problem. Nie mogła przecież wypłynąć z Naomi. Jakim cudem tego nie dostrzegła? Gdy kuter wyjdzie w morze, znajdzie się poza wyspą. Nie pomyślała o tym, bo kuter cumował w porcie, bo Naomi wypływała w morze codziennie, bo była niejako częścią wyspy. O rany, to na pewno przez ciężę. Jak inaczej wytłumaczyć taki błąd?

Gdybyś nie wypatrywała oczu za Theo Harpem, myślałabyś logicznie – prychnęła Crumpet.

Nawet Crumpet nie była taka głupia. Annie umówiła się z Naomi na nabrzeżu. Nie mogła tak po prostu nie przyjść. Ubrała się pospiesznie i pojechała do miasta samochodem, który pożyczyła jej Jaycie.

Po sobotniej śnieżycy szosę pokrywało zmarznięte lutowe błoto, więc jechała ostrożnie, cały czas nie mogąc uwierzyć we własną głupotę. Od dwudziestu dwóch dni była więźniem wyspy, która istniała tylko dzięki morzu, ale właśnie na morze nie mogła wypłynąć. Już nigdy więcej nie popełni tak oczywistego błędu.

Niebo zdążyło już pojaśnić, gdy zobaczyła Naomi przy hangarze, pakującą sprzęt do łódki, którą podpływie do swego kutra, cumującego dalej w porcie.

– Jesteś wreszcie! – zawołała Naomi, machając radośnie. – Już myślałam, że zmieniłaś zdanie.

Zanim Annie zdążyła cokolwiek powiedzieć, Naomi wdała się w długą opowieść o przewidywanej na ten dzień pogodzie. W końcu Annie udało się wpaść jej w słowo:

– Naomi, nie mogę z tobą wypłynąć.

Dokładnie w tej chwili tuż przy nich zahamował z piskiem opon samochód, aż garść żwiru wzbiła się w powietrze. Drzwi otworzyły się gwałtownie, Theo wyskoczył jak z procy.

– Annie! Ani kroku dalej!

Obie patrzyły, jak biegnie w ich stronę. Zmierzwione włosy sterczały na wszystkie strony, na policzku miał odgnieciony ślad poduszki.

– Przykro mi, Naomi – wysapał, zatrzymując się koło nich. – Annie nie może opuścić wyspy.

Kolejny błąd. Zapomniała podrzeć liścik, który wczoraj mu zostawiła, i teraz tu jest.

Naomi oparła rękę na szerokim biodrze, okazując zimną krew, dzięki której radziła sobie na morzu.

– A niby dlaczego nie?

Annie już miała skłamać coś o zatruciu pokarmowym, ale Theo złapał ją za ramię.

– Annie jest w areszcie domowym.

Naomi wzięła się pod drugie biodro.

– Co ty opowiadasz?

– Wpakowała się w tarapaty, zanim tu przyjechała – ciągnął. – To nic poważnego, robiła pokazy kukielkowe bez ważnej licencji. W Nowym Jorku mają bardzo surowe regulacje prawne w takich sprawach. Niestety, okazała się recydywistką.

Annie łypała na niego gniewnie, ale Theo był w swoim żywiole.

– Sędzia dał jej do wyboru: więzienie albo wyjazd z miasta. Zgodził się, by przyjechała tutaj, pod jednym warunkiem – nie wolno jej opuszczać wyspy. Taki jakby areszt domowy. Biedaczka najwyraźniej o tym zapomniała.

Jego tłumaczenie fascynowało ją i oburzało zarazem. Odsunęła się od niego.

– A co cię to obchodzi?

Ponownie położył jej rękę na ramieniu.

– Ależ, Annie, wiesz przecież, że sędzia wyznaczył mnie na twojego opiekuna. Przymknę na to oko pod warunkiem, że obiecasz, że to się nie powtórzy.

– Wyście już całkiem poszaleli w tych miastach – burknęła Naomi.

– A szczególnie nowojorczyki – przyznał Theo z poważną miną. – No, chodź, Annie. Niech cię to już nie kusi.

Naomi nie dawała za wygraną.

– Nie przesadzaj, Theo. To tylko dzień na moim kutrze. Nikt nie musi wiedzieć.

– Przykro mi, Naomi, ale bardzo poważnie podchodzę do mojej roli kuratora.

Annie nie wiedziała, na co miała większą ochotę – parsknąć śmiechem czy wepchnąć go do lodowatej wody.

– Tutaj nikt się tym nie przejmuje – zauważyła Naomi.

Była autentycznie zła, ale Theo nie dał się zastraszyć.

– Prawo to prawo i już. – Wbił palce w bark Annie. – Przymknę oko na ten wybryk, ale to nie może się powtórzyć. – Poprowadził ją z powrotem na wyspę.

Ledwie znaleźli się na tyle daleko, by Naomi nie mogła ich usłyszeć, Annie podniosła głowę.

– Daję pokazy kukielkowe bez licencji?

– Naprawdę chcesz, żeby wszyscy poznali prawdę?

– Nie. Podobnie jak ty nie chcesz, żeby myśleli, że trafię za kratki.

– Nie przesadzaj. Ta sprawa z kukielkami to tylko wykroczenie.

Rozłożyła ręce.

– Nie mogłeś wymyślić nic innego? Nie wiem, telefonu od agenta?

– A w ogóle masz agenta?

– Już nie. Ale Naomi o tym nie wie.

– Przepraszam bardzo – odparł przeciągle. – Dopiero co się obudziłem i działałem w wielkim stresie. – I zaraz przeszedł do ataku. – Naprawdę chciałeś wejść na pokład i popłynąć w siną dal? Na miłość boską, Annie, ktoś musi cię pilnować.

– Nie miałam zamiaru wejść na pokład. Własne miałam jej to powiedzieć, gdy nadciągnąłeś z odsieczą.

– A czemu w ogóle zgodziłaś się na tę wyprawę?

– Miałam dużo na głowie, jasne?

– Wiem coś o tym. – Prowadził ją przez parking w stronę ratusza. – Muszę napić się kawy.

Wewnątrz kilku rybaków siedziało koło ekspresu do kawy. Theo przywitał się z nimi, nalał do styropianowych kubków płynu, który przypominał olej silnikowy, i zamknął wieko.

Kiedy znowu znaleźli się na dworze, ruszyli do samochodów. Theo zaparkował kilka metrów od niej. Pił kawę i patrząc na dymiący kubek nie mogła nie dostrzec jego wyraźnie zarysowanych ust. Te usta, zmierzwione włosy, lekki zarost, nos zaczerwieniony z zimna... wyglądał jak model z reklamy Ralpa Laurena. Trochę nieociosany, bez Photoshopu.

– Spieszysz się do domu? – zapytał.

– Właściwie nie. – Nie, póki nie zrozumie, czemu własnoręcznie nie wpełznął jej na pokład i nie pomachał na drogę.

– To wskakuj. Chciałbym ci coś pokazać.

– Sałę tortur czy nieoznakowany grób?

Spojrzał na nią z niesmakiem.

Uśmiechnęła się swoim nowym, bezczelnym uśmiechem.

W odpowiedzi tylko przewrócił oczami i otworzył drzwiczki od strony pasażera.

Nie jechali jednak do domu, tylko w przeciwną stronę. Sfatygowana żółta przyczepa, która obecnie pełniła rolę szkoły, kurczowo czepiała się stromego zbocza obok ruin starej szkoły. Minęli zamkniętą o tej porze galerię i kilka sezonowych restauracji, w lecie oferujących bułki z homarem i gotowane małże. Nieco dalej, na skraju plaży stał hangar, w którym dokonywano przeglądów kutrów rybackich.

Na wyboistej drodze picie gorącego napoju, nawet z kubeczka z przykrywką,

było nie lada sztuką i Annie ostrożnie sączyła gorzką kawę.

– Na Peregrine przydałby się choćby mały Starbucks.

– I delikatesy. – Theo włożył okulary przeciwsłoneczne. – Oddałbym duszę za porządną kanapkę.

– Chcesz powiedzieć, że jeszcze ją masz?

– Skończyłaś już?

– Przepraszam, nie zawsze panuję nad językiem. – Wpatrywała się w ostre zimowe słońce. – Jeszcze jedno pytanie, Theo...

– Później. – Skręcił w zarośniętą polną dróżkę, która wkrótce okazała się nieprzejezdna. Zaparkował w cieniu kępy świerków. – Dalej musimy iść pieszo.

Zaledwie kilka tygodni temu nawet krótki spacer stanowiłby dla niej nie lada wysiłek, ale nie przypominała sobie nawet, kiedy ostatnio dopadł ją atak kaszlu. Wyspa oddała jej zdrowie. Przynajmniej dopóki ktoś znowu nie będzie do niej strzelał.

Theo zwolnił. Dostosował swoje długie kroki do jej tempa i trzymał ją pod łokieć, gdy szli po oblodzonym błocie. Nie potrzebowała jego wsparcia, ale podobała jej się prosta uprzejmość tych staroświeckich manier. Dwie koleiny znaczyły coś, co dawniej było drogą wijącą się przez sosnowy zagajnik. Potem opadała w dół zbocza, obok zwalonego drzewa, jeszcze łagodny zakręt i ich oczom ukazało się coś, co w lecie musiało stanowić widok zapierający dech w piersiach. Pośrodku rozległej łąki stał kamienny domek o spadzistym dachu, z którego sterczały dwa kominy. Przy starej szopie rosło coś, co wyglądało na zagony jagód. Ocean połyskiwał w oddali, – na tyle blisko, że stanowił fascynujący widok, na tyle daleko, że nie był zagrożeniem. Nawet w chłodny zimowy dzień ta ukryta łąka zdawała się zaczarowana.

Annie odetchnęła głośno.

– To scena jak z marzeń, z idealnej wizji wyspy u wybrzeży Maine.

– O wiele przyjemniejsza niż dom Harpów.

– Krypta grobowa też jest przyjemniejsza niż dom Harpów.

– Fakt. To najstarsza czynna farma na wyspie. Czy raczej tak było do lat osiemdziesiątych. Jeszcze wtedy były tu owce, właściciele uprawiali warzywa, siali trochę zbóż.

Patrzyła na solidny dach i całe szyby w oknach.

– Ktoś nadal dba o to miejsce.

Bez słowa upił łyk kawy.

Przechyliła głowę, patrząc na niego, ale nie widziała jego oczu za okularami słonecznymi.

– Ty – domyśliła się. – Ty dbasz o ten dom.

Wzruszył ramionami, jakby to nie było nic takiego.

– Kupiłem go za grosze.

Nie nabrała się na nonszalancki ton. Może i nienawidził domu Harpów, ale uwielbiał to miejsce.

Cały czas patrzył na łąkę i dalej, na ocean.

– Nie ma tu ogrzewania ani elektryczności. Jest studnia, ale nie ma kanalizacji. Nic wielkiego.

A jednak. Na cienistych zakątkach łąki nadal leżał śnieg. Spojrzała dalej, na ocean, którego białe grzbiety mieniły się srebrzyście w porannym słońcu.

– Dlaczego nie chciałeś, żebym wsiadła na łódź? Wystarczyłoby, żebym wypłynęła z portu i miałbyś mnie z głowy.

– Domek stałby się własnością mego ojca.

– I co z tego?

– Wyobrażasz sobie, co Cynthia tam urządzi? Zmieni go w chatkę angielskich wieśniaków albo zburzy, żeby wybudować całą wioskę. Kto może wiedzieć, co jej strzeli do głowy?

I znowu musiała zweryfikować to, co, jak się jej zdawało, o nim wiedziała. Chciał, żeby zachowała domek. Musiała zacząć myśleć logicznie.

– Zdajesz sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu, zanim i tak go stracę? Kiedy znajdę sobie stałą pracę, nie będę mogła co roku przyjeżdżać tu na dwa miesiące.

– Zastanowimy się nad tym, kiedy przyjdzie co do czego.

My. Nie: ty.

– No, chodź – rzucił. – Oprowadzę cię.

Szła za nim w stronę małego domku. Do tego stopnia przywykła do monotonnego szumu fal, że teraz krzyki ptaków i cisza zdawały się niesamowite, magiczne. Podeszli do drzwi. Annie nagle schyliła się, żeby obejrzeć kępę przebiśniegów. Zwieszały kształtne dzwoneczki kwiatów, jakby przepraszając, że pyszną się swoją urodą, podczas gdy wokół jeszcze króluje zima. Dotknęła białego kwiatka.

– Jeszcze jest nadzieja.

– Naprawdę?

– Musi być. W innym wypadku, po co żyć?

W jego szorstkim śmiechu nie było krzty rozbawienia.

– Przypominasz mi pewnego dzieciaka, którego znam. Wiadomo, że nie wygra, ale i tak walczy.

Zaintrygowana przechyliła lekko głowę.

– Mówisz o sobie?

Wydawał się zaskoczony.

– O sobie? Nie. Ten dzieciak... Zresztą nieważne. Pisarze czasami nie widzą granicy między rzeczywistością a fikcją.

Brzuchomówcy też, pomyślała.

Nie mam pojęcia, o co ci chodzi – prychnęła Scamp.

Theo znalazł odpowiedni klucz, wsunął go do zamka i otworzył drzwi.

– Zdawało mi się, że na wyspie nikt nie zamyka drzwi na klucz – zauważyła.

– Możesz zabrać chłopaka z miasta...

Weszła za nim do pustego pomieszczenia. Wiekowa, zniszczona podłoga z desek, wielki kamienny kominek. W plamie słońca przy oknie tańczyły kłęby kurzu, poruszone ich wejściem. W powietrzu unosił się zapach dymu drzewnego i starości, ale nie zaniedbania. W ścianach pokrytych staroświeckimi, miejscami odłazającymi tapetami w kwiaty nie było dziur, w kątach stert śmieci.

Rozpięła kurtkę. Theo stał pośrodku, z dłońmi w kieszeniach szarej parki, jakby nagle zawstydził się, że jej to pokazał. Minęła go i weszła do kuchni. Większość mebli zniknęła, został tylko staroświecki kamienny zlew i metalowe półki. Pod ścianą rozsiadł się wielki kominek. Pomieszczenie było pozamiatane, na palenisku leżało drewno. Uwielbiam to miejsce, pomyślała. Ten dom był częścią wyspy, ale zarazem nie dotyczyły go jej konflikty.

Zdjęła czapkę, wsunęła do kieszeni. Przez okno nad zlewem widziała zapewne dawny ogród. Wyobraziła go sobie w lecie – lwie paszcze i lewkonie, a tuż obok – groszek, kapusta i buraki.

Theo wszedł do kuchni i patrzył, jak Annie wygląda przez okno w rozpiętej kurtce zsuwającej się z ramion. Tego ranka nie nałożyła makijażu i kiedy tak stała w staroświeckiej kuchni, wyglądała jak kobieta z lat trzydziestych. Jej śmiałe spojrzenie, i niesforne włosy nie pasowały do dzisiejszych standardów plastikowej urody. Annie była wyjątkowa.

Wyobrażał sobie, co zrobiłyby z nią Kenley i jej przyjaciółki stylistki, gdyby tylko dorwały ją w swoje ręce. Po pierwsze – brutalne prostowanie włosów, silikon w ustach, żeby wyglądały jak wargi gwiazdy porno, powiększone piersi i liposukcja, choć nie bardzo wiedział gdzie. Jedyne, co jego zdaniem można by zmienić w wyglądzie Annie, to...

Nic. Absolutnie nic.

– Tu jest twoje miejsce. – Ledwie te słowa padły, zapragnął je cofnąć. – Gotowa orać, karmić świnię i malować wychodek – dodał przeciągle.

– O rany, wielkie dzięki. – Powinna poczuć się urażona, ale tylko rozejrzała się i uśmiechnęła. – Podoba mi się tutaj.

– Jest w porządku.

– W porządku to mało powiedziane. Wiesz doskonale, że to wyjątkowe miejsce. Dlaczego zawsze musisz grać takiego twardziela?

– Nie muszę grać.

Zamyśliła się.

– A ja myślę, że tak. I to wtedy, kiedy nie trzeba.

– Według ciebie. – Nie podobało mu się, że widzi jego słabe punkty, ani jej współczucie, ilekroć mówiła o jego związku z Kenley, i jej gotowość, by zapomnieć o wszystkim, co wydarzyło się tamtego lata. To wszystko sprawiało, że się o nią bał.

Promień słońca muskał jej rzęsy i nagle poczuł prymitywną ochotę, by ją zdominować. Udowodnić sobie, że to on nadal jest panem sytuacji. Podszedł do niej powoli, leniwie, cały czas patrząc jej w oczy.

– Przestań – mruknęła.

Uniósł kosmyk jej włosów, przeczesał palcami.

– Co mam przestać?

Odepchnęła jego dłoń.

– Odstawiać mi tutaj Heathcliffa.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Ten krok. To spojrzenie, ta cała aura arogancji...

– Jaka aura? – Mimo protestów nie ruszyła się, nie cofnęła ani o krok. Musnął jej policzek kciukiem...

Rzucił na nią diabelski urok. A może to nie on, tylko ten domek. W każdym razie nie mogła się od niego oderwać, choć w jego spojrzeniu było coś niepokojącego, coś, co nie do końca jej się podobało.

Wystarczyło się odwrócić. Ale nie zrobiła tego. Nie protestowała, gdy zsuwał jej kurtkę z ramion. Stali w plamie słonecznego światła przy oknie.

Kiedy tak stali, z rękami zwieszonymi wzdłuż boków, wpatrzeni w siebie, Annie poczuła każdy skrawek swojej skóry. Była do tego stopnia świadoma swego ciała, że zdawało jej się, że słyszy, jak krew huczy jej w żyłach. I w jego. Bezmyślny seks to nie dla niej. Nie potrafi brać tego, co mężczyzna ma do dania i później, po wszystkim, wyrzucać go z pamięci. W dzisiejszych czasach silnych kobiet ta nieumiejętność rozdzielenia emocji i fizyczności była słabością. Wadą. Kolejną rzeczą, która była w niej nie tak.

Dotknął jej policzka.

Nie dotykaj mnie tak. Nie dotykaj mnie w ogóle. Dotykaj mnie wszędzie.

I zrobił to. Pocałował ją niemal gniewnie. Dlaczego? Dlatego, że nie była równie piękna jak on? Równie uprzywilejowana? Równie spełniona zawodowo?

Zaatakował językiem. Złapała go za ramiona. Rozchyliła usta. Uległa sile jego pocałunku. Przywarł do niej. Był od niej wyższy, teoretycznie w ogóle do siebie nie pasowali, ale ich ciała idealnie wtapiały się w siebie.

Wsunął ręce pod jej sweter, dotknął pleców, wędrował kciukami wzdłuż

kręgosłupa. Przejął kontrolę i musiała to zmienić. Podnieść dumnie głowę, zaznaczyć swoją pozycję, jak każda współczesna kobieta. Wykorzystać jego, a nie tylko dać się wykorzystać. Ale to takie cudowne uczucie, gdy ktoś cię pożąda.

– Chcę cię zobaczyć – szepnął z ustami na jej wargach. – Całą. Złotą w świetle słońca.

Słowa pisarza opływały ją jak poezja i nie przychodziła jej do głowy żadna złośliwa riposta, którą mogłaby wbić klin między nich. Uniosła nawet rękę, gdy ściągał jej sweter przez głowę. Rozpiął jej stanik, który osunął się na podłogę. Theo zdjął sweter, cały czas wpatrzony w jej piersi. Słońce oświetlało ją i choć w starym domku było zimno, ona tego nie czuła. Płonęła.

Pragnęła więcej poezji, więcej jego. Schyliła się, ściągnęła buty. Gdy zdejmowała skarpetki, poczuła jego palce na wypustkach kręgosłupa.

– Jak sznur pereł – wyszeptał.

Okryła się gęsią skórką. Mężczyźni zazwyczaj nie rozmawiają podczas seksu, właściwie w ogóle nie rozmawiają, a jeśli już, to, co mówią, jest nudne, mało wyszukane i tylko psuje nastrój.

Cały czas patrzyła mu w oczy, gdy rozpinał rozporek jej dżinsów. Z cieniem uśmiechu na ustach osunął się na kolana. Całował jej brzuch tuż ponad linią majteczek. Wplotła mu palce we włosy, czuła jego skórę pod opuszkami palców. Zaciśnęła dłonie, uczyła się dotyku jego włosów.

Nie spieszył się; błędził po jej biodrach i pępku, delikatnie drażnił wrażliwą skórę swoim zarostem. Przez cienki materiał majteczek muskał jej pośladki. Położyła mu rękę na ramionach, gdy tracił cierpliwość, ściągając jej dżinsy i majteczki i rozkoszując się tym, co zobaczył.

Chciał więcej. Rozsunął jej kolana. Dżinsy krępowały jej ruchy, więc szybko ją z nich wyzwolił.

Wbiła palce w jego barki, gdy mocno trzymał jej uda, rozsuwał je tak, jak chciał, wnikał coraz głębiej.

Wygięła szyję, chciwie nabierając tchu. Bala się, że nogi nie wytrzymają jej ciężaru. I nie wytrzymały.

Osunęła się na ich płaszcz, niezdarnie rozsuwając uda. Stał między nimi, wpatrzony w to, co odsłoniła.

– Ogród różany. W rozkwicie.

Doprowadzał ją do szału tą sprośną poetyką. Chciała się zemścić. Zdobyć go. Ale to takie cudowne uczucie, tylko brać, nie dawać.

Górował nad nią. Rozebrał się, a potem stał między jej nogami, potężny, nagi. Rzucił jej wyzwanie?

Och, tak...

Osunął się na kolana. Położył sobie jej nogi na barkach. Rozchylił ją kciukami.

Pieścił ustami.

Zamknęła oczy. Wygięła szyję.

Był dokładny. Bardzo, bardzo dokładny. Przerywał i zaczynał od nowa. Dotykał jej palcami. Ustami. Językiem. Chłodził, a potem rozpalał oddechem. Wznosiła się coraz wyżej. Szybciej. I jeszcze wyżej. Już tak blisko... wysoko...

I długi, rozkoszny płomień.

Nie pozwolił jej zsunąć ud.

– Jeszcze nie koniec. Nie sprzeciwiaj się. Cicho...

Był panem jej ciała.

Ile razy? Wzlot, pulsowanie, płomień... Widział ją bezbronną, wrażliwą, podatną na ciosy. A ona na to pozwalała.

Zaprotestowała dopiero gdy nie mogła już dłużej. Ustąpił, a potem nakrył ją sobą, chcąc wziąć to, co i tak bezapelacyjnie do niego należało. On na górze. Zdobywca. Pan własnej satysfakcji.

Tak naprawdę wcale nie byli kochankami i nie mogła na to pozwolić. Wysunęła się spod niego, zanim przygwoździł ją sobą. Teraz to on leżał na kurtkach. Przewrócił się na bok, żeby przyciągnąć ją do siebie, ale rozkosz, którą jej sprawił, dodała jej energii, której on nie miał. Położyła mu ręce na piersi i pchnęła, mocno na plecy, tak, że teraz przyszła jej kolej oddać się magii.

Przyglądała się jego umięśnionej klatce piersiowej, gładkiej płaszczyźnie brzucha. I niżej. Pochyliła się. Musnęła włosami jego skórę. Uniósł ręce, wplótł w jej niesforne loki. Nie przyciągał jej... rozkoszował się.

Robiła mu to samo, co on jej. Drażniła. Przerywała. I znowu drażniła, blada na tle jego ciemnej karnacji. Kurz i słońce, zapach seksu, jej i jego. Złapał ją za głowę, ale oparła się, nie pozwoliła mu odlecieć. Była najwspanialszą kurtyzaną na świecie, tą, która może dać rozkosz – albo z nią zwlekać.

Już dawno zamknął oczy. Wygiął plecy w łuk. Wykrzywił się. Zdał na jej łaskę.

Aż w końcu dała mu rozkosz, której tak pragnął.

Na tym się nie skończyło. Zimny suwak wpijał jej się w plecy, gdy leżała pod nim. A potem na nim. I znowu pod nim. W pewnej chwili odszedł od niej i napalił w kominku. Nie żartował w kwestii prezerwatyw. Miał je ze sobą i chyba chciał zużyć wszystkie.

Stary dom trzeszczał wokół nich, gdy poznawali się wolniej, delikatniej. Theo chyba uwielbiał jej idiotyczne włosy, więc laskotała nimi całe jego ciało. Annie nie mogła się nacieszyć jego ustami. Znowu powiedział, że jest wspaniała i wtedy zachciało jej się płakać.

Słońce było już wysoko na niebie, gdy wreszcie się sobą nasycili.

– Potraktuj to jako seks koncyliacyjny – szepnął jej do ucha.

I tym samym przebił bańkę, w której przebywała. Podniosła głowę z jego ramienia.

– Dlaczego koncyliacyjny? Wyjątkowo wcale się nie kłócimy.

Przewrócił się na bok i wsunął palec w lok na jej policzku.

– Powiedzmy, że chcę ci wynagrodzić te wszystkie niezdarne pieszczoty sprzed lat. To cud, że nie obrzydziłem ci seksu na resztę życia.

– Najwyraźniej nie. – Promień słońca rozświetlił jego twarz, podkreślił bliznę nad łukiem brwiowym. Dotknęła jej i dodała głosem bardziej szorstkim, niż zamierzała: – Przepraszam za to.

– Nie musisz. – Zostawił jej włosy w spokoju i wstał. – Nie ty mi to zrobiłaś.

Wsparła się na łokciu. Jego plecy przecinała czerwona smuga – albo odcisnięty suwak kurtki, albo ślad jej paznokci.

– Owszem – zauważyła. – Uderzyłam cię batem.

Załóżyl dzinsy.

– Nie ty mi to zrobiłaś. To pamiątka po wypadku na desce surfingowej. Głupota z mojej strony.

Teraz i ona zerwała się na równe nogi.

– Nieprawda. To moja wina.

Podciągnął suwak.

– To moja twarz. Chyba wiem, kto mi to zrobił.

Kłamał. Pamiętała, jak chwyciła bat i smagnęła nim na oślepi, wściekła, chcąc go ukarać za szczeniaki, za to, co jej zrobił, za jaskinię, liścik i jej złamane serce.

– Dlaczego tak mówisz? – Podniosła kurtkę, otuliła nią swoją nagość. – Wiem przecież, co się wtedy wydarzyło.

– Uderzyłaś mnie, tak, ale trafiłaś, o, tutaj. – Pokazał małą białą plamkę pod większą blizną.

Dlaczego kłamał? Tutaj, w tym magicznym domku, straciła czujność. Poważny błąd i zarazem przypomnienie, że seks to nie to samo, co bliskość i zaufanie. Sięgnęła po ubranie.

– Chodźmy stąd.

Oboje milczeli w drodze powrotnej. Theo skręcił na parking przy porcie, żeby Annie mogła zabrać samochód. Zatrzymał się i w tej chwili jasnowłosa kobieta w średnim wieku, w czapeczce baseballowej na śmiesznych loczkach, podbiegła do jego samochodu i zaczęła mówić, zanim jeszcze otworzył okno:

– Właśnie wracam od ojca, Lesa Childersa. Pamiętasz go? Jest właścicielem kutra „Amulet”. Zranił się w rękę. Bardzo krwawi, rana jest głęboka. Trzeba ją

zszyć.

Theo oparł łokieć o szybę.

– Jessie, zajrzę do niego, ale ratownik medyczny nie ma takich uprawnień. Póki nie skończę szkolenia, mogę go tylko opatrzyć i odesłać na stały ląd.

Theo szkolił się dalej? Kolejna rzecz, której o nim nie wiedziała.

Jessie szykowała się do walki.

– Theo, jesteśmy na Peregrine. Myślisz, że kogoś obchodzi, jakie masz uprawnienia? Wiesz, jak jest.

Annie także. Wyspiarze pomagali sobie wzajemnie i według nich przeszkolenie medyczne Theo to coś, do czego mieli prawo.

Jessie jeszcze nie skończyła.

– Byłoby też fajnie, gdybyś zajrzał do mojej siostry. Ma robić psu zastrzyki na cukrzycę, ale boi się igieł i trzeba, żeby ktoś jej pokazał, jak się to robi. Szkoda, że nie wiedzieliśmy, co potrafisz, w zeszłym miesiącu, gdy Jack Brownie miał atak serca.

Czy tego chciał, czy nie, Theo dał się wciągnąć w życie wyspiarskiej społeczności.

– Zajrzę i tu, i tu – obiecał niechętnie.

– Jedź za mną. – Jessie szybko skinęła Annie i podeszła do przerdzewiałego wraka, który kiedyś był czerwonym pikapem.

Annie otworzyła drzwiczki range rovera.

– Gratulacje, Theo, wygląda na to, że zostałeś nowym miejscowym lekarzem. I weterynarzem.

Jedną ręką ściągnął okulary słoneczne, drugą potarł nasadę nosa.

– To mnie przerasta.

– No chyba – mruknęła. – Radzę przypomnieć sobie, co wiesz o odrobaczaniu psów. I przyjmowaniu cielaków.

– Na Peregrine nie ma krów.

– Na razie. – Wysiadła. – Ale poczekaj, aż rozejdzie się wieść o nowym weterynarzu.

Rozdział 16

Coś było bardzo, bardzo nie tak. Drzwi do domku stały otworem, Hannibal czaił się na progu, niedaleko starych pułapek na homary, widocznych pod topniejącym śniegiem. Annie wyskoczyła z samochodu, przebiegła przez podwórko, dopadła otwartych drzwi. Była zbyt wściekła, by pamiętać o środkach ostrożności. Miała nadzieję, że w domu ktoś będzie – chciała rozerwać go gołymi rękami.

Obrazy na ścianach były poprzekrzywiane, książki z biblioteczki poniewierały się po podłodze. Najbardziej przerażający był jednak czerwony napis na ścianie: „Idę po ciebie”.

– Akurat! – Annie obeszła cały domek. W kuchni i atelier nic się nie zmieniło. Kukiełki były bezpieczne, rzeczy Theo nikt nie ruszał, natomiast w jej sypialni wyrzucono na podłogę zawartość szuflad.

Myśl o pogwałceniu jej prywatności doprowadzała ją do szału, podobnie jak świadomość, że ktoś może ot, tak, wejść do jej domu, buszować w jej rzeczach, napisać idiotyczną wiadomość na ścianie. Tego już za wiele. Albo ktoś z Harpów chciał się jej pozbyć, albo ktoś na wyspie wiedział o spadku po Mariah i liczył, że Annia ucieknie, a on będzie mógł buszować w chatce, póki tego nie znajdzie.

Elliott miał co prawda fatalny gust, jeśli chodzi o żony, ale nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógłby postąpić nieetycznie. Cynthia Harp to co innego. Miała pieniądze, motyw i powiązania. Co z tego, że mieszka na południu Francji? Niewykluczone przecież, że stoi za tym wszystkim. Ale czy naprawdę posuwałyby się aż tak daleko, mając do dyspozycji cały dom Harpów? A jeśli chodzi o spadek po Mariah... bez Annie w domku intruz mógłby bez przeszkód szukać tajemniczego skarbu, nie obawiając się, że zdybie go – lub ją – na gorącym uczynku.

Ale przecież Annie też miała dość czasu, a i tak nie znalazła tego, czego szukała. Oczywiście jeszcze nie podważała desek podłogi ani nie wierciła dziur w ścianach, a może to właśnie chodziło intruzowi po głowie. Włamywacz nie mógł wiedzieć o spadku, póki się tu nie zjawiał; w innym wypadku przeszukałby domek już wcześniej. Hannibal ukrył się pod łóżkiem, a Annie zgarnęła pościel ściągniętą z posłania i wróciła do saloniku.

„Przyjdę po ciebie”.

Czerwona farba lepiała się jeszcze. Ktoś chciał ją przestraszyć i gdyby nie była tak bardzo wściekła, może nawet intruz osiągnąłby zamierzony cel.

Była jeszcze jedna możliwość, coś, czego do tej pory nie chciała brać pod

uwagę, ale nie mogła dłużej z tym zwlekać, zwłaszcza że cały czas miała w uszach świst kuli przelatującej jej koło ucha. A jeśli wcale nie chodzi o spadek? Jeśli ktoś jej po prostu nienawidzi?

Znalazła w schowku puszkę farby i zamalowała napis, a potem pojechała do domu Harpów. Nagle zatęskniła za pieszymi wędrówkami. Trzy tygodnie wcześniej wspinaczka do domu była jak wyprawa na Mount Everest, ale kaszel w końcu ustąpił i wysiłek fizyczny dobrze jej robił.

Ledwie wysiadła, Livia wybiegła jej na spotkanie, z szerokim uśmiechem i w samych skarpetkach.

– Livia! Załóż buciki! – zawołała za nią Jaycie. – Wracaj, łobuziaku!

Annie dotknęła policzka Livii opuszkami palców i w ślad za nią weszła do środka. Jaycie pokuśtykała do zlewu.

– Dzwoniła Lisa. Widziała rano, jak jechaliście z Theo przez miasteczko.

Annie odpowiedziała na niezadane pytanie.

– Zatrzymała go jakaś kobieta i poprosiła, żeby zajrzał do jej ojca. Jakaś Jessie. Najwyraźniej już się rozeszło, że Theo jest ratownikiem medycznym.

Jaycie nabrała wody do szklanki i podała córeczce.

– Jessie Childers. Na wyspie nie było nikogo z przeszkoleniem medycznym, odkąd wyprowadziła się Jenny Schaeffer.

– Tak słyszałam.

Annie poszła do gabinetu Elliotta, żeby sprawdzić pocztę elektroniczną. Dostała zaproszenie na chrzciny dziecka starej przyjaciółki, kilka słów od innej znajomej i lakoniczną odpowiedź od marszanda Jeffa Koonsa:

„To nie jego”.

Chciało jej się płakać. Powtarzała sobie, że nie ma na co liczyć, a jednak naprawdę uwierzyła, że syrena to rzeźba Koonsa. A tymczasem to kolejny ślepy zaulek.

Z kuchni dobiegł głuchy odgłos. Poszła zobaczyć, co się stało. Jaycie ustawiała wysokie, niewygodne krzesło.

– Liv, koniec biegania. Możesz coś zepsuć.

Livia gniewnie kopnęła krzesło. Jaycie ze znużeniem oparła się o stół.

– To nie jej wina. Nie ma gdzie się wybiegać.

– Wyjdę z nią na dwór – zaproponowała Annie. – Co ty na to, Liv? Pójdziemy na spacer?

Mała tak ochoczo pokiwała główką, aż lawendowa opaska spadła jej na oczy.

Annie postanowiła zabrać ją na plażę. Wyszło słońce, był odpływ. Livia jest miejscowym dzieckiem. Pewnie lubi przebywać nad wodą.

Annie mocno trzymała ją za rączkę, gdy schodziły po śliskich stopniach. Livia usiłowała się wyrwać, chcąc jak najszybciej znaleźć się na dole, ale Annie nie

dawała za wygraną. Kiedy jednak w końcu stanęły na piasku, Livia zawahała się. Napawała się widokiem, jakby nie do końca wierzyła, że ma do dyspozycji aż tyle przestrzeni.

Annie wskazała plażę.

– Ciekawe, czy uda ci się przegonić mewy.

Livia nie czekała na dalsze zachęty. Puściła się biegiem, przebierając krótkimi nóżkami, biegła tak szybko, aż spod czapki z pomponem wysunęły się proste kosmyki. Gnała wśród skał, do linii piasku, ale trzymała się z daleka od wody.

Annie znalazła płaski głaz z dala od wejścia do jaskini. Odłożyła plecak i patrzyła, jak Livia wspina się na skały, ugania za ptakami, grzebie w piasku. Kiedy miała się w końcu zmęczyć, podeszła do Annie i jej plecaka. Annie uśmiechnęła się, wyjęła Scamp, założyła ją na rękę.

Scamp nie marnowała czasu.

Supersekret?

Livia skinęła głową.

Boję się – wyznała Scamp. I po chwili, bardziej dramatycznym głosem: – I to bardzo.

Livia zmarszczyła czoło.

Ocean jest strasznie wielki – szepnęła Scamp. – A ja nie umiem pływać. To straszne.

Livia pokręciła główką.

Nie boisz się wody? – zdziwiła się Scamp.

Nie, Livia nie bała się wody.

Pewnie różni ludzie boją się różnych rzeczy – Scamp podrapała się w policzek. – A niektórych rzeczy dobrze jest się bać – na przykład oceanu, kiedy w pobliżu nie ma dorosłych. A niektórych wcale nie trzeba się bać, bo nie są prawdziwe, tylko wymyślone, jak potwory.

Livia była chyba tego samego zdania.

Annie obserwowała rozbawioną Livię i myślała o tym, co przeżyła. Wpadła na pewien pomysł. Chciała go wypróbować, choć nie była pewna, czy to najlepsze wyjście.

Jak na przykład to, że widziałaś, jak tatuś chce zrobić mamusi krzywdę – ciągnęła Scamp. – To musiało być straszne.

Livia wsunęła paluszek w dziurę w dżinsach.

Annie nie była psychologiem dziecięcym, jej wiedza ograniczała się do tego, co wyczytała w Internecie. Sytuacja była zbyt złożona, powinna dać sobie spokój. Ale...

Jaycie nie potrafiła porozmawiać z córką o tym, co się stało. Może dzięki Scamp temat będzie mniej przerażający.

– Straszniejsze niż ocean – orzekła kukielka. – Gdybym to ja widziała, jak moja mamusia musi zastrzelić tatusia, też by mi się pewnie nie chciało gadać.

Livia zostawiła w spokoju dziurę w spodniach i skierowała na kukielkę szeroko otwarte oczy.

Annie wycofała się; pozwoliła, by Scamp mówiła swoim najbardziej radosnym głosem:

Ale po jakimś czasie pewnie znudziłoby mi się to niemówienie. Zwłaszcza gdybym miała coś ważnego do powiedzenia. Albo gdybym chciała zaśpiewać. Mówiłam ci, że pięknie śpiewam?

Livia energicznie skinęła główką.

Annie przyszedł do głowy szalony pomysł. Pomysł, którego nie powinna wcielać w życie. A gdyby jednak...

Scamp zaczęła śpiewać, kiwając głową w takt melodii, którą Annie wymyślała naprędce:

Straszna mnie rzecz spotkała,
Pamiętać nie chcę jej,
Chwile bywają różne,
A ta była zła, że hej...
Ta była zła, że hej!

Livia słuchała uważnie, niezbyt przejęta, więc Annie brnęła dalej, układając idiotyczną balladę:

Są różni tatusiowie, są dobrzy i są źli,
I nie poradzisz nic, na złe czy dobre dni.
Lecz tatuś Livii, o rany,
Najgorszy z wszystkich postrach,
A wszak i tak nie chciała
By umarł na jej oczach!

O Boże! Nagle w pełni do niej dotarło, co zrobiła. To jak kiepski numer z talent show. Pogodna melodyjka, upiorny tekst... Zrobiła z traumy Livii materiał na skecz.

Livia chyba czekała na dalszy ciąg, ale Annie nagle straciła odwagę. Mimo najlepszych intencji mogła wyrządzić malej więcej szkody niż pożytku. Scamp zwiesiła głowę.

Chyba nie powinnam śpiewać o takich strasznych sprawach.

Livia przyglądała się jej przez chwilę, a potem rzuciła się w pogoń za mewą.

Theo zastał ją w domku, gdy karmiła Hannibala.

– Nie powinnaś przebywać tu sama. – Wydawał się bardziej rozdrażniony niż zwykle. – I co to za zapach? Świeżej farby?

– Mały remont. – Mówiła spokojnie, chcąc za wszelką cenę przywrócić dawny dystans między nimi. – Jak tam łatanie rany?

– Nie najlepiej. Zszywanie rany bez środków znieczulających to nie jest moja wiza dobrej zabawy.

– Tylko nie mów o tym czytelnikom, sprawisz im zawód.

Zmarszczył brwi.

– Kiedy mnie tu nie ma, powinnaś siedzieć w domu Harpów.

Świetna rada, tylko że odczuwała przemożne pragnienie, by być właśnie tutaj, gdy intruz zjawi się następnym razem. Miała już dosyć zabawy w kotka i myszkę. Chciała konfrontacji.

„Antoinette, nie przyjmuję do wiadomości, że moja córka jest nieśmiała”.

Właściwie dlaczego bez protestu przyjęła to wszystko, co Mariah o niej mówiła?

„Jesteś z natury nieśmiała... niezdarna... chodzisz wiecznie z głową w chmurach”...

„Oczywiście, że cię kocham, Antoinette. Przecież nie przejmowałabym się tak bardzo, gdyby było inaczej”.

Życie na tej ponurej, smaganej wiatrami wyspie było do tego stopnia inne od życia w mieście, że Annie zaczynała postrzegać się w innym świetle. Jako osobę bardziej...

– Co to jest, do cholery?

Odwróciła się i zobaczyła, że Theo przygląda się ścianie, którą dopiero co pomalowała. Skrzywiła się.

– Muszę pociągnąć jeszcze raz.

Wskazał palcem czerwone litery, przebijające przez białą farbę.

– Silisz się na żarty? To wcale nie jest zabawne!

– Zdecyduj się, albo mogę być zabawna, albo wrzeszczeć. Wybieraj. – Nie chciała się kłócić, wolałaby kogoś walnąć.

Zaklął pod nosem, a potem zapytał, co zastała w domku. Opowiedziała mu.

– Dość tego – stwierdził. – Przenosisz się do domu Harpów. A ja popłynę na stały ląd i porozmawiam z policją.

– Strata czasu. Nie przejęli się, nawet kiedy do mnie strzelano. To zrobi na nich jeszcze mniejsze wrażenie.

Wyjął komórkę, ale zaraz przypomniał sobie, że nie ma tu zasięgu.

– Pakuj się. Zabieram cię stąd.

– Doceniam twoją troskę, ale nigdzie się nie wybieram. I chcę dostać broń.

- Broń?
- Możesz mi pożyczyć.
- Mam ci pożyczyć broń?
- I nauczyć się nią posługiwać.
- To nie jest dobry pomysł.
- Wolisz, żebym zmierzyła się z tym, kto to zrobił, całkiem bezbronna?
- Wolę, żebyś się z nikim nie mierzyła.
- Nie mam zamiaru uciekać.
- Do cholery, Annie, jesteś równie nierozważna jak wtedy, gdy miałaś piętnaście lat.

Przyglądała mu się uważnie. Nigdy nie uważała się za nierozważną i teraz bardzo jej spodobała ta wizja. Zwłaszcza wobec jej tendencji do zakochiwania się w niewłaściwych facetach, naiwnej wiary, że zostanie wielką aktorką, determinacji, by zabrać Mariah w tę ostatnią podróż do Londynu. I, jakże mogłaby o tym zapomnieć – być może wobec faktu, że nosi dziecko Theo Harpa.

Mariah, wcale mnie nie znałaś.

Był wyraźnie zmieszany i ten fakt dodał jej odwagi.

- Theo, chcę mieć broń. I chcę się nauczyć z niej strzelać.
- To zbyt niebezpieczne. W domu Harpów będziesz bezpieczniejsza.
- Nie chcę siedzieć w tej krypcie. Zostanę tutaj.

Przyglądał się jej długo i badawczo, a potem pogroził jej palcem.

– No, dobrze. Ćwiczymy jutro po południu. Masz mnie uważnie słuchać, jasne? – Zniknął w atelier.

Annie zrobiła sobie kanapkę na kolację i ponownie zajęła się przeglądaniem zawartości pudeł, ale miała za sobą ciężki dzień i była zmęczona. Myjąc zęby, zerknęła na zamknięte drzwi do atelier. Wbrew temu, co w kółko powtarzała o konieczności zachowania dystansu, chciała, żeby leżał koło niej. Pragnęła go tak bardzo, że poszła do kuchni, sięgnęła po bloczek karteczek samoprzylepnych, napisała coś na jednej, przykleiła ją do swoich drzwi i poszła spać.

Diggity Swift nie żył. Theo w końcu postawił na swoim. Dzieciak popełnił błąd, doktor Quentin Pierce go dopadł, a Theo od tego czasu nie napisał ani słowa.

Wyłączył komputer i potarł zmęczone oczy. To tylko wyczerpanie, nic innego. Jutro zacznie od nowa. Do tego czasu ustąpi ucisk w klatce piersiowej i na pewno uda mu się pójść dalej. Zawsze najtrudniej pisze się środek książki, a po śmierci małego Diggity’ego na nowo dostrzeże wyraźnie całą akcję i będzie wiedział, jak skonstruować dalsze rozdziały. Wszystko będzie dobrze, póki nie będzie myślał o Annie i o tym, co się dzisiaj wydarzyło w wiejskim domku...

Dzisiaj wieczorem nie będzie jej budził, kiedy położy się koło niej. Przecież nie jest zwierzęciem, które nad sobą nie panuje, choć tak właśnie się czuł. Fascynowało go, jak to jest, kochać się z kobietą, której nie darzył nienawiścią. Kobieta, która po wszystkim nie wpadała w histerię. Ani nie rzucała się na niego z pretensjami za wyimaginowaną przykrość, którą jej wyrządził.

Ponieważ Annie tak bardzo różniła się od innych kobiet w jego życiu, zastanawiał się, czy w ogóle zwróciłby na nią uwagę, mijając ją na ulicy? O tak, na pewno. Jej nietypowa twarz zaintrygowałaby go, a także to, jak chodziła, jakby chciała pokonać ziemię pod stopami. Podobało mu się, że jest taka wysoka, i to, jak patrzy na ludzi, jakby widziała ich takimi, jacy są naprawdę. Podobały mu się jej nogi... o tak, zdecydowanie podobały mu się jej nogi. Annie jest wyjątkowa. A on musi się bardziej postarać, żeby ją chronić.

Rozmawiał dzisiaj z Jessie i jej ojcem, starając się wybadać, jak miejscowi postrzegają Annie, ale nie usłyszał niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Ciekawiło ich, czemu przyjechała na wyspę, ale bardziej interesowały ich wspomnienia Mariah. Postanowił, że jutro pokręci się koło rybaków, gdy wrócą z morza. Postawi im kilka piw, zobaczy, co ciekawego usłyszy. Ale najpierw dopilnuje, żeby Annie była uzbrojona. Była to perspektywa niepokojąca, ale konieczna.

Przypłynął na wyspę, bo nie znosił ludzi, a tu proszę, zaangażował się w życie lokalnej społeczności. Annie poszła spać już godzinę temu. Pewnie ma na sobie tę straszną pizamę. A może nie.

Szlag trafił jego szlachetne intencje. Odstawił laptop i wyszedł z atelier, ale stanął jak wryty, widząc karteczkę na jej drzwiach, a na niej jedno słowo:

„Nie”.

Następnego ranka ani słowem nie wspomniał o karteczce. Właściwie w ogóle niewiele mówił, poza uwagą, że będzie mu potrzebny samochód. Dopiero później okazało się, że pojechał do portu po ślusarza. Było jej wstyd, bo nie miała na to pieniędzy.

Był w atelier, kiedy wróciła. Wyjęła karton z winem z szafy i zaniósła do jego samochodu. Przytrzymał jej drzwi, gdy wracała do domu.

– Co mi wstawiłaś do samochodu?

– Bardzo dobre wina. Proszę bardzo. I dzięki za zamki.

Przejrzał ją na wylot.

– Zmieniłem zamki ze względu na siebie. Nie mogę ryzykować, że podczas mojej nieobecności ktoś ukradnie mój komputer.

Pozwalał jej zachować twarz, przez co poczuła się jeszcze gorzej.

– Mm.

– Annie, nie chcę twojego wina. To dla mnie żaden problem.

– Ale dla mnie owszem.

– W porządku. Co powiesz na to? Koniec z karteczkami na twoich drzwiach i jesteśmy kwita.

– Mam nadzieję, że wino będzie ci smakowało. – Nie mogła myśleć, gdy tak przed nią stał, emanując te wszystkie męskie feromony, nie po tym, co się wydarzyło na farmie. – Masz broń?

Nie naciskał.

– Mam. Weź kurtkę.

Poszli na rozlewisko. Theo najpierw wytłumaczył jej teoretycznie, jak bezpiecznie obchodzić się z bronią, pokazał, jak ładować i zmieniać magazynek w pistolecie, który dla niej wybrał. Annie myślała, że broń będzie budzić w niej obrzydzenie, zdziwiła się więc, że spodobało jej się strzelanie. Nie spodobało jej się natomiast erotyczne napięcie wynikające z bliskości Theo. Ledwie wpadli do domu, zdzierali z siebie ubrania.

– Nie chcę o tym rozmawiać – warknęła tego wieczora, gdy leżeli w jej łóżku.

Ziewnął.

– Dobrze. Nawet bardzo dobrze, jeśli o mnie chodzi.

– Nie możesz tu spać, musisz iść do siebie.

Usiłował przyciągać ją bliżej.

– Nie chcę spać u siebie.

Ona tak naprawdę też tego nie chciała, ale choć pewne rzeczy mogą pozostać mętne, to jedno musiało być jasne.

– Chcę seksu, nie bliskości.

Zacisnął rękę na jej pośladku.

– Więc dostaniesz seks.

Odsunęła się.

– Masz do wyboru: albo idziesz spać do siebie, albo zostaniesz tutaj i przez najbliższe trzy godziny będziesz wysłuchiwał z najmniejszymi szczegółami opowieści o wszystkich moich nieudanych związkach, dlaczego nam nie wyszło i dlaczego faceci są do bani. Ostrzegam, strasznie głośno płacę.

Odrzucił koldrę.

– Widzimy się rano.

– Tak myślałam.

Annie dostała od niego to, czego chciała – najlepszy seks w życiu – ale zarazem wyznaczyła granice.

Bardzo sprytnie – pochwaliła Dilly. – Uczysz się na błędach.

Następnego dnia Annie znowu wyszła z Livią na dwór. Było zbyt wietrznie, by iść na plażę, bawiły się więc na werandzie. Annie musiała się przekonać, czy wczoraj nie wyrządziła więcej szkód. Posadziła sobie Scamp na kolanie. Kukielka od razu przeszła do rzeczy.

Jesteś na mnie zła, że wczoraj mówiłam o twoim tatusiu?

Livia wydeła usta, przemyślała to i powoli pokręciła przecząco głową.

To dobrze – odparła Scamp. – Bo bałam się, że jesteś na mnie zła.

Livia znowu zaprzeczyła i wspięła się na kamienną balustradę, która zastąpiła dawną drewnianą poręcz. Usiadła na niej okrakiem, tyłem do Annie.

Zmienić temat czy brnąć dalej? Musi poczytać więcej o traumie i niemówieniu, a na razie – zdać się na instynkt.

Czułabym się okropnie, gdybym miała tatusia, który robi mamusi złe rzeczy – oznajmiła Scamp. – Zwłaszcza gdybym nie mogła o tym pogadać.

Livia ujeżdżała balustradowego rumaka.

Albo chociaż śpiewać. O ile sobie przypominam, wspomniałam już, że jestem utalentowaną wokalistką. – Scamp zaczęła ćwiczyć gamę. Annie latami uczyła się śpiewać w tonacji innej dla każdej kukielki i właśnie to wyróżniało ją spośród innych brzuchomówców. W końcu Scamp przestała.

Jakbyś jeszcze kiedyś chciała, żebym zaśpiewała piosenkę o tym, co się stało, daj znać.

Livia przestała ujeżdżać wyimaginowanego konia. Odwróciła się, popatrzyła najpierw na Annie, potem na Scamp.

To jak? – zaszcebiotała Scamp. – Zdam się na twoją decyzję.

Livia schyliła główkę i zdrapywała z paznokcia resztki różowego lakieru. A więc zdecydowane nie. Czego właściwie Annie oczekiwała? Naprawdę liczyła, że jej niezdarna wzmianka odblokuje tak poważny uraz?

Livia przesunęła się tak, że patrzyła prosto na Annie. Powoli, z wahaniem, skinęła głową.

Annie poczuła, jak serce staje jej w piersi.

No dobrze – prychnęła Scamp. – Zatytułuję moją piosenkę Ballada o strasznych chwilach Livii. – Annie grała na zwłokę. Odchrząknęła teatralnie. Miała nadzieję, że jeśli wyciągnie temat na światło dzienne, przestanie być takim tabu. Musi też powiedzieć o tym Jaycie. Zaczęła cicho nucić:

Małe dziewczynki wiedzieć nie powinny,
Ale czasami tak jest...

Śpiewała jak wczoraj, wymyślając naprędce słowa, dzisiaj jednak darowała sobie radosną melodię. Livia słuchała uważnie, a potem skinęła główką i ponownie zajęła się jazdą na balustradowym koniu.

Annie usłyszała coś za sobą. Odwróciła się.

Theo opierał się o ścianę na drugim krańcu werandy. Nawet z tej odległości widziała mars na jego czole. Wszystko słyszał i pewnie uznał, że postąpiła niesłusznie.

Livia także go zobaczyła i przestała podskakiwać na balustradzie. Szedł w ich stronę. Postawił kołnierz kurtki. Jego kroki niesły się echem po werandzie.

Chrzanić jego opinię, pomyślała Annie. Ona przynajmniej starała się pomóc Livii. A on co takiego zrobił? Poza tym, że ją przeraził?

Ponieważ cały czas miała Scamp na ręku, wysunęła ją do przodu.

Stój! Kto idzie?

Zatrzymał się.

– Theo Harp. Mieszkam tutaj.

Tak twierdzisz. Udowodnij to.

– No cóż... na podłodze w altanie są moje inicjały.

Jego i jego siostry bliźniaczki.

Scamp wysunęła podbródek.

Jest pan dobry czy zły, panie Theo Harp?

Ciemna brew niemal dotknęła linii włosów, ale nie odrywał wzroku od kukielki.

– Staram się być dobry, choć to nie zawsze takie łatwe.

Je pan warzywa?

– Wszystkie poza brukselką.

Scamp odwróciła się od Livii i poinformowała scenicznym szeptem:

On też nie lubi brukselki. – Ponownie skoncentrowała się na Theo. – A kąpie się pan bez protestów?

– Zdecydowanie.

Wybiega pan na dwór w samych skarpetkach?

– Nie.

Podkrada pan cukierki, kiedy nikt nie widzi?

– Tylko ciasteczka z masłem orzechowym.

Pana koń jest straszny.

Zerknął na Livię.

– I dlatego dzieci powinny trzymać się z daleka od stajni, jeśli nie ma mnie w pobliżu.

Krzyczy pan czasami?

Ponownie skoncentrował się na Scamp.

– Staram się nie krzyczeć. Chyba że przegrywa moja drużyna.

Umie pan sam się uczesać?

– Tak.

Obgryza pan paznokcie?

– Zdecydowanie nie.

Scamp głęboko zaczerpnęła tchu, opuściła głowę, zniżyła głos.

A czy kiedykolwiek bije pan mamusię?

Theo nawet nie mrugnął.

– Nigdy. Przenigdy. Nikomu nie wolno bić żadnej mamusi.

Scamp spojrzała na Livię i przechyliła głowę.

Jak myślisz, może zostać?

Livia skinęła głową – zdecydowanie, bez wahania – i zsunęła się z balustrady.

– Mogę porozmawiać z Annie? – Theo zwrócił się do kukielki.

Chyba tak – odparła Scamp. – Pójdę wymyślać nowe piosenki.

– Dobry pomysł.

Annie schowała Scamp do plecaka. Myślała, że Livia wróci do domu, skoro kukielka zniknęła, ona jednak podeszła do skraju werandy i pokonała trzy niskie stopnie. Annie już chciała ją zawołać, ale Livia nie odeszła daleko, rysowała coś na ziemi przy werandzie.

Theo wskazał głową dalszy kraniec – najwyraźniej chciał porozmawiać z nią na osobności. Annie podeszła do niego, cały czas obserwując Livię. Odezwał się cicho, żeby mała go nie słyszała:

– Długo to trwa?

– Już od jakiegoś czasu przyjaźnię się ze Scamp, ale dopiero niedawno pojawił się temat jej ojca. I nie, nie wiem, co wyprawiam. I tak, wiem, że poruszam się po omacku w sprawie zbyt poważnej dla kogoś, kto się na tym nie zna. Uważasz, że oszalałam?

Zamyślił się.

– Na pewno nie jest już tak płochliwa jak dawniej. I chyba lubi twoje towarzystwo.

– Nie moje, tylko Scamp.

– To Scamp zaczęła z nią rozmawiać o tym, co widziała, tak? Scamp, nie ty?

Annie skinęła głową.

– I chce nadal się z nią spotykać?

– Na to wygląda.

Zmarszczył brwi.

– Jak ty to robisz? Jestem dorosły i wiem doskonale, że to nie lalka przemawia, tylko ty, a i tak patrzę na kukielkę.

– Jestem dobra w tym, co robię. – Miało zabrzmieć sarkastycznie, ale wcale tak nie wyszło.

– Święte słowa. – Przechylił głowę i spojrział na małą. – Moim zdaniem rób tak dalej. Sama da ci znać, gdy posuniesz się za daleko.

Jego wiara dodawała jej sił.

Już miał odejść, gdy Livia pobiegła za nim po schodach. Dogniła go, popatrzyła mu w oczy i rozchyliła ręczki. Tuliła w garści drobne kamyki i muszelki. Popatrzył na nią. Odwzajemniła spojrzenie, zaciskając usta w znajomą wąską linię. Wyciągnęła ręce. Theo z uśmiechem wziął to, co mu dawała, a potem pogłaskał ją po głowie.

– Do zobaczenia, mała. – Zniknął na stopniach prowadzących na plażę.

Dziwne. Livia przecież boi się Theo, dlaczego więc dała mu to, co znalazła?

Kamyki, muszelki...

Anie zrozumiała. Livia dała mu to wszystko, bo to on budował domek elfów.

Annie z coraz większym trudem przychodziło dostrzeżenie w dzisiejszym Theo tego z przeszłości. Wiedziała, że ludzie zmieniają się z wiekiem, ale jako nastolatek zachowywał się tak dziwnie, że nie sądziła, iż tak poważna psychoza może ustąpić. Mówił, że chodził na terapię. Najwyraźniej pomogła, choć nadal nie chciał rozmawiać o Regan i zamykał się w sobie, ilekroć rozmowa schodziła na tematy osobiste. Nie mogła zapomnieć, że nadal nie był do końca zdrowy.

Później, gdy wynosiła śmieci, spojrzała na domek i zobaczyła coś, co zmroziło jej krew w żyłach. W stronę domku jechał powoli, jakby ukradkiem, nieznajomy samochód.

W atelier pisał Theo. Czasami włączał muzykę na cały regulator. Nawet się nie zorientuje, że ktoś tam jest.

Wbiegła do domu, porwała kluczyki i wskoczyła do samochodu.

Rozdział 17

Chciałaś mnie bronić uzbrojona w skrobaczkę do lodu? – Theo cisnął kurtkę na oparcie różowej welurowej kanapy. Minęły już dwie godziny od niefortunnego zajścia i właśnie wracał z drugiej wyprawy do miasteczka.

– W twoim samochodzie nie było niczego innego – odparła. – Ale prawdziwy ninja radzi sobie z tym, co ma pod ręką.

– Biedny Wade Carter omal nie dostał zawału.

– Czaił się za domkiem – odparła. – Co niby miałam zrobić?

– Nie sądzisz, że atak to jednak pewna przesada?

– Nie, gdyby naprawdę chciał się włamać. A tak poważnie, Theo, jak dobrze go znasz?

– Na tyle, żeby stwierdzić, że jego żona nie złamała sobie ręki specjalnie, żeby Wade miał pretekst, by włamać się do domku. – Rzucił kluczyki na stół i ruszył do kuchni. – Jego szczęście, że nie zafundowałaś mu wstrząsu mózgu.

Annie była z siebie bardzo dumna. Oczywiście, była też zadowolona, że nie zrobiła nikomu krzywdy, ale po długim okresie bezradności świadomość, że jest zdolna do działania, sprawiała cuda.

– Następnym razem zapuka do drzwi – mruknęła, idąc za nim.

Otworzył karton z winem, który wniósł do środka.

– Mamy nowe zamki. A zresztą pukał, nie zapominaj o tym.

Ale Theo nie otworzył, więc Carter obszedł domek dookoła, chcąc przekonać się, czy w ogóle ktoś jest w środku, o czym Annie nie miała pojęcia.

– Od tej pory koniec z głośną muzyką, kiedy pracujesz – zdecydowała. – Ktoś mógłby się do ciebie podkraść, a ty niczego nie zauważysz, aż już będzie za późno.

– Chyba nie muszę się martwić, skoro supergirl nade mną czuwa.

Uśmiechnęła się.

– Byłam boska.

W jego śmiechu były też poważne nuty.

– Przynajmniej jest jasne, że nie jesteś łatwym celem.

Zastanawiała się, czy zapytać go o domek elfów, ale uznała, że to zniszczyłoby całą magię. A zresztą to sprawa między nim a Livią.

– Jak tam nastawianie kości?

– Usztywniłem jej rękę, a Wade obiecał, że jutro zabierze ją na stały ład. – Uważnie czytał etykietkę na butelce wina. – A potem Lisa McKinley zobaczyła

mój samochód i poprosiła, żebym zerknął na jej młodszą córeczkę.

– Alysę.

– No więc, Alyssa wsadziła sobie coś do nosa i nie sposób tego wyciągnąć. Zapytaj, co wiem o wyciąganiu czegoś z dziecięcego nosa. – Znalazł korkociąg. – Wszystkim powiem to samo: jestem ratownikiem medycznym, nie lekarzem, a oni traktują mnie, jakbym zrobił z medycyny doktorat na Harvardzie.

– Wyciągnąłeś to?

– Nie i Lisa jest na mnie wściekła. – W przeciwieństwie do żelka z nosa Alyssy, korek wyszedł z butelki bez trudu, z cichym odgłosem. – Nie noszę ze sobą wziernika laryngologicznego, a gdybym zaczął szperać w jej nosie byle czym, zrobiłbym więcej szkody niż pożytku. Juro popłynie na stały ląd z Carterami. – Wyjął dwa kieliszki do wina.

– Ja dziękuję – rzuciła szybko. – Dla mnie herbatka rumiankowa.

W kącikach jego ust pojawiły się znajome bruzdy.

– Nadal nie dostałaś miesiączki.

– No, nie. – Nie tylko dlatego nie chciała pić wina. Chodziło jej też o to, że ponownie przyniósł je do domku. Gdyby się z nim napiła, to już nie będzie prezent.

Gwałtownie postawił oba kieliszki na blacie.

– Przestań bawić się ze mną w kotka i myszkę i powiedz, kiedy powinnaś dostać okres.

Nie mogła dłużej bawić się w gierki.

– W przyszłym tygodniu, ale czuję się dobrze. Na pewno nie jestem... no wiesz.

– Niczego nie wiesz na pewno. – Odwrócił się, nalał sobie wina, nie patrząc na nią. – Jeśli jesteś w ciąży, skontaktuję się z prawnikiem, założę fundusz. Zadbam, żebyś miała wszystko, co tobie... tobie i dziecku będzie potrzebne.

Ani słowa o pozbyciu się problemu.

– Nie chcę o tym rozmawiać – ucięła.

Stał do niej plecami, z kieliszkiem w ręku.

– Wiesz, to też nie jest mój ulubiony temat, ale powinnaś wiedzieć...

– Nie mów już o tym! – Wskazała kuchenkę. – Przygotowałam kolację. Nie tak pyszną jak twoje smakołyki, ale dobrą.

– Najpierw ćwiczymy strzelanie.

Tym razem był bardzo rzeczowy.

Aż do kolacji byli w ponurych nastrojach. W tym tygodniu zapasy do Domku Żeglarza dotarły bez przeszkód – były to głównie rzeczy, które zamówił Theo, Annie ograniczyła się do tego, co umiała gotować – spaghetti z klopsikami i domowym sosem. Nie była to kuchnia wyszukana, ale Theo zjadał z apetytem.

– Dlaczego nie szykowałeś mi czegoś takiego, gdy pomagałaś Jaycie?
– Chciałam, żebyś cierpiał.
– No, to ci się udało. – Odłożył widelec. – I co teraz? Dalsze karteczki na drzwiach czy zachowamy się jak ludzie dorośli i zrobimy to, na co oboje mamy ochotę?

Cały Theo, od razu przechodzi do sedna sprawy.

– Już ci mówiłam, nie potrafię zdystansować się emocjonalnie do seksu – wyznała. – Może i jestem staroświecka, ale tak już mam i tyle.

– Muszę ci coś powiedzieć, Annie. Nie potrafisz zdystansować się emocjonalnie do niczego.

– No właśnie.

Uniósł kieliszek w toaście.

– Czy już ci dziękowałem?

– Za to, że jestem boginią seksu?

– Za to też. Ale... – Odstawił kieliszek i wstał gwałtownie. – Jezu, sam nie wiem. Od dawna nie piszę, utknąłem w martwym punkcie, nie mam pojęcia, jak cię ochronić przed tym, co się tu dzieje i lada dzień ktoś zażąda, żebym przeprowadził pieprzony przeszczep serca, a mimo to nie... widzisz, nie jestem z tym wszystkim nieszczęśliwy.

– O rany. W takim tempie lada chwila dostaniesz własny program komediowy.

– Delikatnie mówiąc. – Mało brakowało, a uśmiechnęłyby się. – I jak? Koniec z karteczkami na drzwiach?

Koniec czy nie? Zniosła talerz do kuchni i zastanawiała się, co będzie dla niej najlepsze. Nie dla niego; dla niej. Stała w progu.

– No dobra, chcę seksu, i to dużo.

– Mój świat odrobinę wyjaśniał.

– Ale seksu bezosobowego. Żadnego przytulania po wszystkim. I broń Boże spania w tym samym łóżku. – Wróciła do stołu. – Kiedy mnie zaspokoisz, jest po wszystkim. Żadnych pogaduszek w pościeli. Śpisz u siebie.

Odchylił się z krzesłem.

– Ostro, ale dam radę.

– Całkowicie bezosobowo – podkreśliła. – Jakbyś był męską prostytutką.

Uniósł jedną z tych wspaniałych brwi.

– Nie sądzisz, że to trochę... poniżające?

– To nie moja sprawa. – Fantazja była cudowna. Idealnie przekazywała to, co chciała mu powiedzieć. – Jesteś męską prostytutką w burdelu dla kobiet. – Podeszła do biblioteczki, zatopiona w fantazji. Nie obchodziło jej, co o niej sądzi, czy ją ocenia. – To salonik, skromny, ale luksusowo urządzone. Białe ściany i czarne skórzane fotele. Nie takie wypchane – dodała pośpiesznie. – Smukłe,

wąskie, z chromowanymi nogami.

– Coś mi mówi, że nieraz o tym myślałaś – stwierdził sucho.

– Wy, panowie, siedzicie w dezabilu. Nikt się nie odzywa.

– W dezabilu?

– Sprawdź w słowniku.

– Wiem, co to znaczy, tylko że...

– Jeden przystojniejszy od drugiego – ciągnęła. – Obchodzę pokój. – Obeszła pokój. – Dokoła panuje absolutna cisza. Nie spieszę się. – Zatrzymała się. – Pośrodku pokoju jest okrągły podest, wznosi się jakieś piętnaście centymetrów nad podłogą...

Jego brew znowu powędrowała w górę.

– Dokładnie to sobie wymyślałaś.

Puściła te słowa mimo uszu.

– Mężczyźni wchodzą na niego, żeby móc ich obejrzeć.

Nogi krzesła uderzyły o podłogę.

– Dobra, coraz bardziej mnie to podnieca.

– Wybieram trzech, którzy najbardziej na mnie działają. Każdemu po kolei wskażę podniesienie.

– Okrągły podest wznoszący się piętnaście centymetrów nad podłogę?

– Przyglądam się im uważnie. Obmacuję ich ciała, szukam niedoskonałości...

– Zaglądasz im w zęby?

– Szacuję ich siłę i, przede wszystkim, wytrzymałość. Ale i tak już wiem, którego chcę. Do niego podchodzę na samym końcu.

– Jeszcze nigdy nie byłem zarazem tak podniecony i przerażony.

– Jest wspaniały. Dokładnie taki, jakiego pragnę. Gęste, ciemne włosy, profil jak rzeźbiony, twarde mięśnie. A najlepsze, że w jego oczach widzę też inteligencję, więc to nie tylko ogier. Wybieram go.

Wstał z krzesła i skłonił się drwiąco.

– Wielkie dzięki.

– Nie, nie ciebie! – Zbyła go machnięciem ręki. – Niestety ten, którego wybrałam, jest już zarezerwowany. Dopiero wtedy wybieram ciebie. – Uśmiechnęła się do niego tryumfalnie. – Jesteś od niego tańszy, a kto się oprze promocji?

– Najwyraźniej nie ty. – Chrypa w głosie pokrzyżowała mu szyki, by zabrzmiało to szyderczo.

Czuła się jak Szeherezada. Zniżyła głos, aż pojawiła się w nim zapowiedź zmysłowych nut, choć jeszcze nie posunęła się tak daleko.

– Mam na sobie negliz z czarnej koronki. A pod nim szkarłatne majteczki.

– Do sypialni, i to już! – polecił. Udawała, że się zastanawia, przez mniej więcej

trzy sekundy, póki nie złapał jej za rękę i nie zaciągnął tam siłą.

W progu zaparła się; nie chciała jeszcze oddać mu kontroli.

– W pokoju znajduje się wielkie łóż z wezgłowiem, z którego zwisają wyściełane futerkiem kajdanki...

– Kiedy ci się wydaje, że kogoś dobrze znasz....

– I ogromna gablota, w której znajduje się kolekcja wszelkich możliwych zabawek erotycznych.

– To nie moja liga. – Ale podniecenie i rozbawienie w jego oczach zadawały kłam słowom.

– Oprócz tych strasznych kulek do kneblowania – zastrzegła szybko. – Wiesz, co mam na myśli.

– Chyba nie.

– Uważam, że są okropne.

– Wierzę ci na słowo.

Wskazała wyimaginowaną gablotę.

– Wszystko jest pięknie wyeksponowane.

– Oczywiście, czemu nie? To ekskluzywny lokal.

Odsunęła się o kilka kroków.

– Otwieramy przeszklone drzwiczki i razem oglądamy poszczególne przedmioty.

– Nie spieszymy się...

– Wyjmujesz kilka z nich – ciągnęła.

– Które?

– Te, którym przyglądałam się najdłużej. Zauważyłeś to.

– A są to...

Zmrużyła oczy.

– Wskazuję kolekcję pejczy.

– Nie uderzę cię!

Zignorowała jego wybuch, nie wiadomo, udawany czy nie.

– Bierzesz pejcz, przynosisz do mnie. – Przygryzła dolną wargę. – Wyjmuję go z twoich rąk.

– O, nie! – Wrodzona przekora wzięła górę. – Nie masz o tym zielonego pojęcia – zaczął, pokonując dzielącą ich przestrzeń. – Bo ja nie jestem zwykłą męską dziwką. Jestem królem męskich prostytutek. I teraz to ja przejmuję kontrolę.

Nie wiedziała, co właściwie o tym myśleć.

Bawił się kosmykiem jej włosów.

– Wyrywam z bata jeden rzemień.

Wstrzymała oddech.

– Związuję nim twoje włosy...

Poczuła dreszcz na plecach.

– Nie wiem, czy podoba mi się kierunek, w którym zmierzamy. – Bardzo, bardzo jej się podobał.

Theo musnął wargami jej kark, dotknął go zębami.

– Och, bardzo ci się podoba. Zwłaszcza kiedy rękojeścią bata rozsuwam ci uda.

Ubrania parzyły ją. Musiała się ich pozbyć, i to natychmiast.

– Przesuwam nim po twojej łydce... – Jego palce wędrowały po nogawce jej dżinsów. – Po twoim udzie...

– Rozbieraj się! – Ściągnęła sweter przez głowę.

Skrzyżował ręce na piersi. Annie zrobiła to samo. Patrzyli sobie w oczy.

– Rozkazuję ci zdjąć ubranie.

– Drań.

Pierwsza była naga, więc miała dość czasu, by napawać się widokiem jego ciała. Mięśnie i żyły, zgrubienia i rozpadliny. Był doskonały; co z tego, że ona nie? Najwyraźniej mu to nie przeszkadzało.

– Co z batem? – zapytała, tak na wszelki wypadek, gdyby zapomniał.

– Dobrze, że pytasz. – Lekko przechylił głowę. – Na łóżko. I to już.

To tylko zabawa, ale nigdy nie czuła się bardziej pożądana. Podeszła powoli, sekskrólowa tego świata, uklękła na materacu i patrzyła, jak do niej podchodzi.

W całej swojej męskiej chwale...

Przysiadła na piętach. Błysk w jego oczach zdradzał, że bawi się równie dobrze jak ona. Może nawet za dobrze. Jakkolwiek by było, to facet, którego kariera opiera się na sadyzmie.

Pchnął ją na plecy. Uczył się jej ciała i szeptał jej do ucha te wszystkie sprośne, prostackie... i cudowne rzeczy, które chciał z nią zrobić.

Nabrała powietrza w płuca i szepnęła:

– A ja nic nie mówię, pozwalam ci robić wszystko, czego tylko zapragniesz, dotykać każdego zakamarka mego ciała. Poddaję się całkowicie. – Wbiła paznokcie w jego pośladki. – Do czasu.

I wtedy górę wzięła sekskrólowa tego świata.

Było cudownie.

Odgrywanie ról wyzwoliło ich. Dało wolność. Mogli się bawić, igrać, szamotać, przekomarzać. Nie mieli żadnych oporów i wszystkie opory tego świata. Leżeli w splecionej pościeli, coraz bardziej spragnieni, coraz bardziej rozpaleni.

Na zewnątrz zaczął padać śnieg. W środku zatracili się w dzikości, którą sami uwolnili.

Theo nigdy dotąd nie pozwolił sobie na taką bez troskę z kobietą. Leżał w

skłębionej pościeli i oswajał się z myślą, że seks może być zabawny. Annie szturchnęła go pod żebro.

– Mam cię dosyć – oznajmiła. – Wylaż.

Kenley nigdy nie miała go dosyć. Chciała go mieć przy sobie zawsze i wszędzie, a on chciał jednego – uciec.

– Nie mam siły się ruszyć – wysapał.

– W porządku. – Zerwała się z posłania i wyszła z pokoju. Nie żartowała, kiedy upierała się, że nie będą razem spać. Jako dżentelmen powinien zrobić to, o co prosiła, ale czuł się wykorzystany i został tam, gdzie był.

O wiele później, gdy nadal nie mógł zasnąć, poszedł do atelier i zobaczył ją zwiniętą w kłębek na jego posłaniu. Oparł się pokusie, by położyć się obok niej; zamiast tego sięgnął po komputer. Zaniósł go do saloniku, chcąc zabrać się do pisania. Cały czas jednak myślał o Diggitym Swifcie. Zabił go w książce, ale nie w swojej głowie, i bardzo mu się to nie podobało. Wściekły na siebie, odłożył laptop, podszedł do okna i gapił się na padający śnieg.

Annie wzięła prysznic, założyła dżinsy i zielony sweter i zastała Theo w kuchni.

– Kawy? – zapytał.

– Nie, ale dzięki za propozycję.

– Nie ma sprawy.

Wziął prysznic przed nią; on także był już w pełni ubrany. Odnosili się do siebie ze staroświecką kurtuazją, jakby w ten sposób chcieli nadrobić wczorajsze wybryki, jakby chcieli sobie wzajemnie udowodnić, że tak naprawdę są cywilizowani.

Theo wrócił do stołu z kubkiem kawy, a Annie znalazła czystą kartkę i puszkę czarnej farby w schowku. Zaniósła to do atelier, w którym podłoga była tak pochłapana, że kilka smug nie robi różnicy. Pół godziny później Theo brodził w świeżym śniegu i podziwiał napis, który zawiesiła nad drzwiami:

„Nieupoważnionym wstęp wzbroniony
Mieszkańcy strzelają bez uprzedzenia”.

Zeszła z drabiny i łypnęła na niego gniewnie, czekając, aż zacznie z niej kpić, ale on tylko wzruszył ramionami.

– Dla mnie w porządku.

W ciągu najbliższych dni Annie podjęła decyzję. Nie w związku z Theo. Ich związek był bardzo jasny. Uwielbiała wcielać się w królową seksu, a dzięki temu, że sypiali osobno, nie miękla. Nie, jej decyzja dotyczyła spadku po Mariah. Nie znalazła w domku niczego i najwyższy czas spojrzeć prawdzie w oczy. Mariah

była tak nafaszerowana prochami, że prawdopodobnie sama nie wiedziała, co mówi. Nie ma żadnego spadku, żadnego dziedzictwa, a Annie miała do wyboru – albo załamać się z rozpacz, że jej kłopoty finansowe same się nie rozwiążą, albo mierzyć się z przeciwnościami losu dzień po dniu, krok po kroku.

Prom miał przyplłynąć pierwszego marca, za kilka dni, i zaczęła pakować wszystko w domku, co miało jakąkolwiek wartość, żeby wysłać to na stały ląd. Zamówiła furgonetkę, która zabierze paczki na Manhattan. Nazwisko jej matki nadal liczyło się w Nowym Jorku i rzeczy Mariah trafią do najlepszego komisju w mieście.

Annie wysłała właścicielowi fotografie dosłownie wszystkiego: obrazów, litografii, książek, komódki w stylu Ludwika XVI i miski z drutem kolczastym. Zgodził się wypłacić jej zaliczkę na konto przyszłych zysków.

Największym skarbem, który zdaniem antykwariusza przyniesie największy zysk, było coś, o czym właściwie nie myślała – księga gości. Były tam autografy znanych artystów, nieraz opatrzone zabawnym rysunkiem przy nazwisku. Antykwariusz szacował, że dostanie za to około 2000 dolarów, ale jego marża wynosiła czterdzieści procent. Nawet gdyby udało się wszystko sprzedać, Annie nie spłaci wszystkich długów, ale jednak zdoła je zmniejszyć. No i znowu jest zdrowa. Kiedy upłynie wyznaczone sześćdziesiąt dni, postara się odzyskać dawną pracę i zacznie od nowa. Przygnębiająca myśl.

A potem, ostatniego dnia lutego, wydarzyło się coś, co poprawiło jej humor.

Theo dłużej niż zwykle jeździł konno i łapała się na tym, że co chwila podbiega do okna w domu Harpów, żeby go wypatrywać. Zmierchało już, kiedy zobaczyła go na podjeździe. Wybiegła z domu, po drodze łapiąc kurtkę, ale nie zwracała sobie głowy rękawiczkami czy czapką.

Ściągnął wodze na jej widok.

– Co jest?

– Nic a nic. Wyluzuj! Dostałam okres!

Skinął głową.

– Co za ulga.

Zero uśmiechu, zero radości czy ulgi. Przyglądała mu się uważnie.

– Wiesz, liczyłam na większy entuzjazm.

– Uwierz mi, nie posiadam się z radości.

– Jakoś tego nie widać.

– W przeciwieństwie do ciebie nie mam w zwyczaju skakać jak dziecko. –

Oddalił się w kierunku stajni.

– A może powinieneś! – zawołała za nim.

Zniknął. Annie z niesmakiem pokręciła głową. Kolejny dowód na to, że łączy ich tylko fizyczność. Czy Theo komukolwiek pozwala zajrzeć w głąb siebie?

Oczywiście, że mu ulżyło, Annie przesadzała, twierdząc, że jest inaczej. Annie w ciąży byłaby komplikacją, o której nawet bał się pomyśleć. Był rozdrażniony z powodu pracy. Zawsze tak reagował, gdy pisanie mu nie szło, a teraz zdecydowanie tak było. Tydzień temu zabił małego Diggity'ego i od tego czasu utkwiał w martwym punkcie.

Nie pojmował tego. Do tej pory nie miał problemów z zabijaniem bohaterów, teraz jednak nie mógł wykrzesać w sobie nawet cienia zainteresowania Quentinem Pierce i jego bandą. Dzisiaj naprawdę się ucieszył, gdy Booker Rose zadzwonił w sprawie hemoroidów; gorzej już być nie może.

Annie zatrzymała różową kanapę i fotele, natomiast reszta mebli, w tym fotel w kształcie syreny, pojechała do Nowego Jorku. Co większe obrazy owinęła starymi kocami, mniejsze przedmioty pakowała w pudła z domu Harpów. Kurt, syn Judy Kester, musiał obrócić dwukrotnie swoją furgonetkę, zanim wszystko trafiło do portu. Jako zapłatę wziął fioletowy fotel, który chciał podarować ciężarnej żonie na urodziny.

Odkąd nieco ponad tydzień temu zainstalowano nowe zamki, w domku nie dochodziło do żadnych incydentów, choć nie wiedziała, czy to zasługa tych zamków, czy napisu nad drzwiami. Kiedy Theo nabrał pewności, że już doskonale umie obchodzić się z bronią, zadbał, żeby wszyscy na Peregrine wiedzieli, że Annie ma pistolet, i z czasem znowu poczuła się bezpieczna.

Theo nie podobało się, że zniknęło tyle mebli.

– Muszę gdzieś pisać – stwierdził, rozglądając się po prawie pustym pokoju.

– Możesz wracać do wieży. Nic mi tu nie będzie.

– Nigdzie się stąd nie ruszę, póki nie dowiemy się, kto za tym wszystkim stoi. Zdziwiający, co ludzie mi mówią, gdy opatruję im rany. Cały czas mam nadzieję, że dowiem się czegoś, zadając odpowiednie pytania.

Wzruszała ją, że chce jej pomóc, a jednocześnie nie chciała, by pomyślał, że na nim polega, że oczekuje, iż będzie bohaterem wobec damy w opałach, czyli jej.

– Masz już dość kobiet w potrzebie – zauważyła. – Nie jesteś za mnie odpowiedzialny.

Zachowywał się, jakby w ogóle jej nie słyszał.

– Przywiozę trochę mebli z domu Harpów. Na strychu jest mnóstwo starych rzeczy, których nikt nie używa.

– Po co mi mumia?

– Będzie z niej doskonały stolik.

Dotrzymał słowa. Myślała, że przywiezie biurko, może mały stół, on jednak przytaszczył też okrągły stolik, który teraz stał pod oknem w saloniku, otoczony

czterema krzesłami na cienkich, pajęczych nóżkach. Malutka komódka z trzema szufladami stała między dwoma fotelami, które przykrywały sprane narzuty w biało-niebieską kratkę. Przywiózł nawet mosiężną lampę w kształcie rogu myśliwskiego.

Mariah byłaby oburzona, zwłaszcza lampą. Nic nowoczesnego, nic spójnego, a jednak domek wreszcie wyglądał na to, czym był – skromnym domkiem w Maine, a nie eleganckim salonikiem na Manhattanie.

– Jim Garcia pożyczył mi pikapa w zamian za wsparcie medyczne – wyjaśnił Theo. – Miał mały incydent z piłą łańcuchową. Rybacy są jednak cholernie uparci. Woli zaryzykować gangrenę niż popłynąć do lekarza na stały ład.

– Lisa wpadła do domu Harpów – poinformowała Annie. – Nadal jest na ciebie wściekła, że nie chciałeś wyjąć Alyssie tego cukierka z nosa. Pokazałam jej w Internecie, do czego mogło dojść, gdybyś niewłaściwie zabrał się do rzeczy.

– Co najmniej trzy osoby są na mnie wściekłe, ale i tak robię więcej, niż mi wolno, więc muszą się z tym pogodzić.

Czy tego chciał, czy nie, coraz bardziej pochłaniało go życie wyspy. I chyba dobrze mu to robiło, bo częściej się śmiał i nie był już taki spięty.

– Jeszcze nikogo nie zabiłeś – zauważyła. – A to już dobrze.

– Tylko dlatego, że kumple lekarze pomagają mi przez telefon.

Do tego stopnia przywykła do myśli, że Theo jest samotnikiem, że nie bardzo mogła sobie wyobrazić, że ma przyjaciół.

Po kolejnej cudownie nieprzyzwoitej erotycznej sesji zasnęli, każde w swoim łóżku. Akurat to z każdy dniem działało Theo bardziej na nerwy. Głośne walenie w drzwi sprawiło, że Annie poderwała się gwałtownie. Odgarnęła włosy z twarzy, odrzuciła kołdrę.

– Nie strzelać! – zawołał nieznajomy głos. Dobrze, że ktoś poważnie traktuje jej szyld, ale na wszelki wypadek i tak sięgnęła po pistolet do szuflady w stoliku przy łóżku.

Theo był już przy drzwiach, zanim wpadła do saloniku. Wczesnomarcowy wiatr przybrał na sile, zasypał okno świeżym śniegiem. Z pistoletem w dłoni czekała, aż Theo uchyli drzwi. Na progu stał Kurt, syn Judy Kester, ten sam, który pomagał jej przewozić paczki do portu.

– Chodzi o Kim – wysapał. – Już zaczęła rodzić, a helikopter nie przyleci. Musisz nam pomóc.

– Cholera. – Niezbyt profesjonalna reakcja, ale Annie nie miała o to pretensji. Theo skinął głową. – Poczekaj tutaj – rzucił do Kurta. Minął Annie, ubierał się w biegu. – Załóż coś na siebie. Jedziesz ze mną.

Rozdział 18

Theo jedną ręką przyciskał telefon do ucha, drugą trzymał kierownicę.

– Tak, wiem, że pogoda jest zła, myślisz, że tego nie widzę? Ale potrzebny nam helikopter, i to już!

Wiatr napierał na samochód, tylne światła ciężarówki Kurta migaly jak diabelskie ślepią, gdy w ślad za nim jechali do miasteczka. Kurt opowiadał, że termin porodu wyznaczono dopiero za dwa tygodnie i w najbliższy piątek wybierali się z żoną na stały ląd.

– Mieliśmy zostawić starsze dzieci z moją mamą i zatrzymać się u kuzynki Kim niedaleko szpitala – opowiadał. – Nie tak miało być.

Do Theo chyba dotarło, że niepotrzebnie wyladowuje się na rozmówcy, bo wziął się w garść.

– Tak, rozumiem... jasne... W porządku.

Odłożył komórkę na bok. Annie przyglądała mu się ze współczuciem.

– Zabrałeś mnie, bo nie chciałeś, żebym sama siedziała w domku czy dlatego, że potrzebujesz moralnego wsparcia?

– I jedno, i drugie – odparł, tak mocno zaciskając dłonie na kierownicy, aż pobielaly mu kłykcie.

– Wspaniale. Już się obawiałam, że skłoniły cię do tego moje umiejętności położnicze. Których nie posiadam za grosz.

Żachnął się.

– O porodach wiem tylko to, co widziałam w telewizji – dodała. – I że to chyba bardzo boli.

Theo milczał.

– A ty wiesz coś na ten temat? – zainteresowała się.

– A skądże.

– Ale...

– Ale miałem szkolenie, tak, jeśli o to pytasz. Można by jednak uznać, że brakuje mi doświadczenia.

– Świetnie sobie poradzisz.

– Tego nie wiemy. Zwłaszcza że dziecko rodzi się dwa tygodnie przed terminem.

Co nie uszło uwadze Annie, ale usiłowała dodać mu otuchy.

– To trzecie dziecko Kim. Sama będzie wiedziała, co robić. A matka Kurta jej pomoże. – Judy Kester, zawsze uśmiechnięta i pogodna, to idealna osoba w

sytuacji kryzysowej.

Tylko że Judy nie było w domu. Nie rozebrali się jeszcze, a Kurt powiedział, że jest u siostry na stałym lądzie.

– No jasne. Czego niby mogłem się spodziewać? – mruknął Theo.

W ślad za Kurtem szli przez przyjemnie zabałaganiony salonik, pełen śladów dziecięcej obecności.

– Odkąd spłonęła szkoła, Kim wierci mi dziurę w brzuchu, żeby przenieść się na stały ląd – mruknął, przesuwając nogą małe samochodziki. – To na pewno nie skłoni jej do zostania na wyspie.

Theo w kuchni szorował ręce. Kiedy kazał Annie zrobić to samo, spojrzała na niego jak na wariata, chcąc mu przypomnieć, że jest tu tylko jako wsparcie duchowe. Zmrużył znacząco oczy, tak znacząco, że zrobiła, co kazał, choć nie bez sprzeciwu.

– Może zostanę tutaj, żeby zagotować wodę?

– Po co?

– Nie mam pojęcia.

– Idziesz ze mną – zdecydował.

Kurt poszedł sprawdzić, jak się mają starsze dzieci. Wyglądało na to, że przespały cały dramat i Anie podejrzewała, że po prostu odwlekał chwilę, gdy będzie musiał spojrzeć żonie w oczy.

Anie weszła za Theo do sypialni. Kim leżała w splątanej żółto-pomarańczowej pościeli. Miała na sobie miejscami przetartą, cienką niebieską koszulę nocną. Na jej skórze widniały czerwone plamy, kręcone rude włosy w nieładzie rozsypały się na poduszce. Wszystko w Kim było okrągłe; twarz, oczy, piersi i przede wszystkim brzuch. Theo postawił na ziemi czerwoną torbę ze sprzętem ratowniczym.

– Kim, nazywam się Theo Harp, a to jest Annie Hewitt. Jak się czujesz?

– A jak myślicie? – Zacisnęła zęby podczas bolesnego skurczu.

– Wygląda na to, że całkiem nieźle – odparł, jakby był położnikiem z wieloletnim doświadczeniem. Powoli wyjmował sprzęt z torby. – Jak często masz skurcze?

Ból zelżał. Kim opadła na posłanie.

– Mniej więcej co cztery minuty.

Wyjął opakowanie lateksowych rękawiczek i niebieskie jednorazowe prześcieradło.

– Powiedz, kiedy się zacznie następny, zobaczymy, ile potrwa.

Jego spokój zdawał się udzielać Kim. Skinęła głową.

Na stoliku ze szklanym blatem, tuż przy łóżku, poniewierały się kolorowe czasopisma, książeczki dla dzieci i buteleczki kosmetyków. Na stoliku po drugiej

stronie leżały: zegarek, scyzoryk i plastikowe pudełko do połowy wypełnione drobnymi monetami. Theo rozwinął jednorazowe prześcieradło.

– Zaraz będzie ci wygodniej.

Mówił kojącym głosem, ale posłał Annie takie spojrzenie, że od razu wiedziała – gdyby choćby pomyślała o wyjściu z tego pokoju, czekał ją straszliwy los. Z wahaniem podeszła do wezglowia. Miała jeszcze mniejszą ochotę na oglądanie tego wszystkiego niż, jak się domyślała, Theo.

Kim nie w głowie była skromność i Annie podejrzewała, że nawet nie zauważyła, jak czule podłożył jej podkład i przykrył nogi prześcieradłem. Jęknęła, gdy dopadł ją wyjątkowo bolesny skurcz. Theo mierzył czas i zarazem udzielał Annie szeptanych instrukcji na temat tego, co wkrótce się wydarzy.

– Kał? – powtórzyła, gdy skończył.

– Zdarza się – odparł. – To normalne. Bądź gotowa z czystym podkładem.

– I torbą do rzygania – sapnęła. – Dla mnie.

Theo uśmiechnął się tylko i ponownie wbił wzrok w zegarek. Podczas porodu Annie trzymała się wezglowia, głaskała Kim po głowie i szeptała słowa wsparcia. W przerwach między skurczami Kim przepraszała, że ściągnęli tu Theo w środku nocy. Ani razu nie kwestionowała jego położniczych kompetencji.

Po mniej więcej godzinie sprawy się skomplikowały.

– Muszę przeć! – krzyknęła, zrzucając z nóg prześcieradło i odsłaniając więcej, niż Annie chciała widzieć.

Theo zdążył już założyć lateksowe rękawiczki.

– Zobaczmy.

Kim jęknęła, gdy ją badał.

– Nie przyj – poprosił. – Wytrzymaj.

– Pieprz się! – wrzasnęła Kim.

Annie poklepała ją po ramieniu.

– Dzielna dziewczyna. Super sobie radzisz – zapewniła. Miała nadzieję, że tak jest naprawdę.

Theo koncentrował się na tym, co robił. Przy kolejnym skurczu chciał, żeby parła.

– Widzę rozwarcie – powiedział spokojnie, jakby czytał prognozę pogody. W tej samej chwili Annie zobaczyła krople potu na jego skroniach. Nie sądziła, że cokolwiek może przyprawić Theo Harpa o pot na czole, a jednak.

Skurcze ustały, ale nie na długo. Kim dyszała ciężko.

– Widzę główkę – powiedział Theo.

Kim warknęła gardłowo. Z otuchą poklepał ją po ramieniu.

– Przyj... super. Świetnie ci idzie.

Po oporach Annie, która nie chciała oglądać porodu, nie było śladu. Jeszcze dwa

silne skurcze i po słowach otuchy z ust Theo zobaczyli główkę dziecka. Theo przytrzymał ją delikatnie.

– Usuńmy pępowinę, żeby nie było komplikacji – mruknął, wsuwając pod nią palec. – Annie, masz kocyk pod ręką? Dobrze, maleństwo... są barki... Obrót... Tak jest. No i proszę.

Dziecko wylądowało w jego silnych, kompetentnych dłoniach.

– Chłopczyk! – oznajmił. Przechylił maleństwo, żeby udrożnić mu drogi oddechowe. – Ósemka, bracie.

Chwilę trwało, zanim przypomniała sobie, co mówił o obliczaniu wyniku dziecka w skali Apgar, w pierwszej minucie po urodzeniu i pięć minut później, żeby zweryfikować pierwszą ocenę. Mały zaczął cichutko płakać. Theo położył go Kim na brzuchu, wziął od Annie ręcznik, masował delikatnie.

Do sypialni w końcu wszedł Kurt. Podeszedł do żony i oboje rozplakali się na widok najmłodszego synka,. Annie najchętniej zderzyłaby Kurta w głowę za to, że nie było go przy żonie przez cały ten czas, Kim jednak była bardziej wielkoduszna. Wzięła maleństwo na ręce, a Theo masował jej brzuch. Po chwili, po kolejnym skurczu, urodziła łożysko.

Annie usiłowała nie patrzeć, podając Theo czerwoną torbę na odpady medyczne. Zabezpieczył pępowinę, zmienił zużyty podkład na nowy. Jak na kogoś z funduszem powierniczym i kontraktem na książkę, nie miał nic przeciwko temu upaprananiu sobie rąk.

Dziecko było małe, ale Kim, która została matką po raz trzeci, obchodziła się z nim fachowo i wkrótce malec ssał jej pierś. Theo do rana siedział w fotelu, Annie drzemała na kanapie. Słyszała, jak wstawał. W pewnym momencie uniosła powieki i zobaczyła go z dzieckiem na ręku.

Miał zamknięte oczy. Noworodek ufnie tulił się do niego. Przypomniała sobie, jak troskliwie obchodził się z Kim, widziała, jak czule odnosi się do dziecka. W nowej, nieznaney sytuacji spisał się na medal. Na szczęście obyło się bez komplikacji, ale nawet gdyby do nich doszło, zachowałby zimną krew i poradził sobie. Był bohaterem, a ona miała do bohaterów słabość... Tylko że akurat ten omal jej nie zabił.

Rano Kim i Kurt serdecznie dziękowali Theo. Starsze dzieci – nakarmione przez Annie – wdrapały się na łóżko, żeby obejrzeć braciszka. Ponieważ poród przeszedł bez komplikacji, a matka i dziecko czuli się dobrze, nie było potrzeby ewakuacji helikopterem, jednak Theo nalegał, żeby następnego dnia Kurt zabrał żonę i małego na stały ląd, do lekarza. Kim odmówiła stanowczo.

– Spisałeś się równie dobrze jak lekarz. Nigdzie nie płyniemy.

Żadne argumenty Theo do niej nie trafiały.

– Znam swój organizm i wiem co nieco o dzieciach. Wszystko z nami w porządku. Zresztą Judy już wraca, żeby nam pomóc.

– Widzisz, z czym muszę się zmagać? – mruknął Theo, gdy wracali do domku. Jego twarz poszarzała ze zmęczenia. – Za bardzo we mnie wierzą.

– Działaj mniej fachowo – poradziła, zamiast go zapewnić, że prawdopodobnie jest najbardziej godnym zaufania człowiekiem, jakiego w życiu poznała. A może nie. Jeszcze nigdy nie miała aż takiego mętlika w głowie.

Myślała o nim także następnego dnia, gdy wdrapywała się na strych domu Harpów. Powiedział, że może zabrać do małego domku wszystko, co zechce, i zastanawiała się, czy na strychu ocalały może pejzaże marynistyczne, które pamiętała sprzed lat. Zawiasy zajęczały przeraźliwie, gdy pchnęła drzwi. Strych wyglądał jak scenografia do filmu grozy. Upiorny manekin czuwał nad stertami połamanych mebli, zakurzonych kartonów, nad uszkodzonym kołem ratunkowym. Jedyne źródło światła stanowiło brudne okienko, zasnuwane szarymi pajęczynami, i dwie gołe żarówki zwisające z sufitu.

Chyba nie myślisz, że tam wejść? – pisnęła Crumpet.

Przykro mi bardzo, mam wcześniejsze zobowiązania – sapnął Peter.

Nie ma to jak kręgosłup moralny – wycedził Leo.

– Przypominam, że twój kręgosłup to moja ręka – zauważyła Annie i uciekła wzrokiem od makabrycznej kolekcji lalek owiniętych plastikiem. Dawniej należały do Regan.

No właśnie – dodał Leo – i jesteś tutaj.

Na strychu były sterty starych gazet i czasopism, książek, których nikt już nigdy nie przeczyta. Przeskoczyła zapleśniałą torbę z płótna żeglarskiego, połamany parasol ogrodowy, zakurzony plecak, bo chciała dotrzeć do ściany, przy której stały obrazy w ramach. Dostęp do nich blokowały kartonowe pudła, upstrzone martwymi ciałami owadów. Przesunęła je i wtedy zobaczyła pudełko po butach podpisane: „Własność Regan Harp”. Zaintrygowana zajrzała do środka.

W pudełku były zdjęcia Theo i Regan z dzieciństwa. Annie rozłożyła na podłodze stary ręcznik plażowy, usiadła na nim i zaczęła je przeglądać. Sądząc po kacie ujęcia, wiele z nich robili sobie sami. Przebrani w stroje superbohaterów, rozbawieni w śniegu, robiący miny do aparatu. Cudowne zdjęcia, aż coś ścisnęło ją za gardło.

Otworzyła grubą kopertę. Kolejne fotki. Na pierwszej – Theo i Regan razem. Rozpoznała koszulkę Regan z napisem NO FEAR z tamtego jedyne, wspólnego lata i jak przez mgłę przypomniała sobie, że przecież to ona zrobiła to zdjęcie. Patrząc na słodki uśmiech Regan, na to, jak ufnie wtula się w brata, po raz kolejny poczuła żal związany z jej śmiercią. Z całym ogromem bólu, z jakim Theo musiał

się zmierzyć, poczynając od odejścia matki, po śmierć żony, którą przecież kiedyś kochał.

Widziała włosy niesfornie opadające mu na czoło, ramię nonszalancko obejmujące siostrę. Och, Regan, szkoda, że cię tu nie ma, że nie możesz opowiedzieć mi o bracie.

Chyba wszystkie fotografie w kopercie zrobiono tamtego lata. Theo i Regan w basenie, na werandzie, na pokładzie żaglówki – tej samej, którą Regan wypłynęła w morze tamtego dnia, gdy zginęła. Annie ogarnęła bolesna nostalgia.

A potem... zdumienie.

Coraz szybciej przeglądała zdjęcia. Serce waliło jej jak oszalałe. Fotografie wymykały się z jej rąk, opadały na ziemię jak uschłe liście. Ukryła twarz w dłoniach.

Przykro mi – szepnął Leo. – Nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć.

Godzinę później Annie stała na lodowatym wietrze koło pustego basenu. Na dnie zebrały się sterty śniegu i błota, betonowe ściany znaczyły długie rysy. Jeśli wierzyć Lisie, Cynthia chciała zasypać basen. Zapewne na jego miejscu wyobrażała sobie jakieś staroangielskie paskudztwo.

Theo jej nie widział, gdy wyszedł ze stajni, w której oporządzał Tancerza. Theo, jej kochanek, mroczny, uwodzicielski mężczyzna, którego znała tak dobrze i zarazem wcale. Szare płatki śniegu wirowały jak popiół w ponurym powietrzu. Rozsądna bohaterka powieści odczekałaby z konfrontacją, póki by nie pozbiierała myśli. Ona jednak nie była rozsądna. Była w rozsypce.

– Theo...

Zatrzymał się, odwrócił do niej.

– Co tu robisz? – Nie czekał na odpowiedź, podszedł do niej tym długim krokiem, do którego zdążyła już przywyknąć. – Dajmy sobie spokój na dzisiaj i jedźmy do domku. – Płomień w jego oczach zdradzał, jak sobie wyobrażał wspólne chwile w małym domku.

Skuliła się.

– Byłam na strychu.

– Znalazłaś to, czego szukałaś?

– Tak. – Sięgnęła do kieszeni i drżącą ręką wyjęła zdjęcia. Pięć, choć mogła przynieść o wiele więcej.

Wszedł na popękane kafelki przy basenie, żeby zobaczyć, co trzyma w ręku. A gdy zobaczył... jego twarz wykrzywił ból. Odwrócił się na pięcie. Zostawił ją.

– Nie waż się odejść! – krzyknęła, gdy szedł przez podwórze. – Nie waż się!

Zwolnił, ale nie zatrzymał się.

– Annie, daj spokój.

– Nie waż się odejść! – Cedziła każde słowo. Ani drgnęła. Nie ruszała się z miejsca.

W końcu spojrzał na nią. Kiedy się odezwał, jego lodowaty głos był całkowitym przeciwieństwem jej rozemocjonowanych słów.

– To było dawno temu. Proszę, daj temu spokój.

Miał groźną, mroczną minę, ale musiała znać prawdę.

– To nie ty. To nigdy nie byłeś ty.

Zacisnął pięści.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Kłamiesz – odparła bez gniewu. Po prostu stwierdzała fakt. – Tamtego lata... cały czas myślałam, że to ty. A to nieprawda.

Zbliżał się do niej, bronił się przez atak.

– Nie masz o niczym pojęcia. To ja wysłałem cię na plażę, gdzie zaatakowały cię mewy... – Stał nad basenem, górował nad nią. – To ja podłożyłem ci zdechłą rybę do łóżka. Obrażałem cię, dokuczałem ci, odpychałem. I to celowo.

Powoli skinęła głową.

– Zaczynam rozumieć dlaczego. Ale to nie ty wepchnąłeś mnie do windy kuchennej, nie ty zepchnąłeś mnie do rozlewiska. Nie ty zaniósłeś szczeniaki do jaskini, nie ty napisałeś liścik, który kazał mi tam iść. – Dotknęła kciukiem fotografii. – Nie ty chciałeś, żebym utonęła.

– Mylisz się. – Patrzył jej w oczy bez jednego mrugnięcia. – Mówiłem ci, nie miałem sumienia.

– Wręcz przeciwnie, miałeś go aż nadto. – Coś ścisnęło ją za gardło, utrudniało mówienie. – To była Regan, od samego początku. A ty nadal jej bronisz.

Dowód stanowiły fotografie. Annie starannie wycięto z każdego zdjęcia. Zniknęły jej ciało i twarz, a każde cięcie nożyczek było jak małe morderstwo.

Theo ani drgnął, stał wyprostowany jak zawsze, ale i tak widziała, jak zamyka się w sobie, ucieka do miejsca, w którym go nie dosięgnie. Spodziewała się, że odejdzie, zdziwiła się, gdy tego nie zrobił. Uczepiła się tego kurczowo.

– Jaycie jest na zdjęciach – zauważyła. – Cała.

Myślała, że będzie zwlekał, kluczył, a kiedy milczał, powiedziała na głos to, do czego doszła sama, a co jemu nie przechodziło przez gardło:

– Bo Jaycie nie stanowiła dla Regan zagrożenia. Jaycie nie zabiegała o twoją uwagę jak ja. Nigdy nie zwracałeś na nią uwagi.

Czuła, że toczy wewnętrzną walkę. Choć siostra zginęła ponad dziesięć lat temu, nadal chciał jej bronić, walczyć o dobre imię, wbrew dowodom na fotografiach. Annie nie zamierzała na to pozwolić.

– Powiedz mi.

– Nie chcesz tego słyszeć – mruknął.

Roześmiała się gorzko.

– Ależ owszem, chcę. Robiłeś to wszystko, żeby trzymać mnie z dala od niej.

– Byłaś niewinna.

Przypomniały mu się kary, które cierpiał za siostrę.

– Ty też.

– Idę do środka – rzucił cicho. Odpychał ją, jak zawsze zamykał się w sobie.

– Ani kroku. Jestem częścią tej historii i mam prawo znać całą prawdę.

– To nie jest przyjemna historia.

– Myślisz, że tego nie wiem?

Odsunął się od niej i podszedł do miejsca, gdzie dawniej widniała trampolina.

– Matka zostawiła nas, gdy mieliśmy pięć lat... to wiesz. Ojciec uciekał w pracę, więc zostaliśmy we dwoje, Regan i ja przeciwko całemu światu. – Każde wypowiedane słowo sprawiało mu ból. – Mieliśmy tylko siebie. Kochałem ją, a ona zrobiłaby dla mnie wszystko.

Annie ani drgnęła. Theo trącił zardzewiały nit czubkiem buta. Myślała, że już nic nie powie, on jednak ciągnął ledwie słyszalnym głosem:

– Zawsze była zaborcza, ale ja też, i nie było problemu, aż kiedy mieliśmy mniej więcej czternaście lat i zacząłem zwracać uwagę na dziewczyny. Nie podobało jej się to. Podśluchiwała moje rozmowy telefoniczne, kłamała na temat każdej, która mi się spodobała. Myślałem, że to tylko złośliwości, a potem zaczęło być coraz gorzej. – Ukucnął, wpatrzony w dno basenu, ale Annie domyślała się, że tak naprawdę widzi jedynie przeszłość. Mówił dalej zinnym głosem, bez emocji: – Rozsiewała plotki. Zadzwoiła do rodziców jednej z dziewcząt i powiedziała, że ich córka bierze narkotyki. Inna złamała obojczyk, gdy Regan podcięła ją w szkole. Uznano to za nieszczęśliwy wypadek, bo wszyscy uwielbiali Regan.

– Nie wierzyłeś, że to wypadek.

– Chciałem tak uważać, ale na jednym razie się nie skończyło. Dziewczyna, z którą rozmawiałem tylko kilka razy, oberwała kamieniem, gdy jechała na rowerze, spadła, potrącił ją samochód. Na szczęście nie odniosła poważnych obrażeń, ale mogło skończyć się gorzej. Zarzuciłem to Regan. Przyznała się, płakała i obiecywała, że to się już nie powtórzy. Chciałem jej uwierzyć, ale ona nie panowała nad sobą. – Wstał. – Byłem jak w pułapce.

– Więc zrezygnowałeś z towarzystwa dziewcząt.

W końcu na nią spojrzął.

– Nie od razu. Usiłowałem ukrywać to przed Regan, ale zawsze się dowiadywała. Tuż po tym, jak zrobiła prawo jazdy, chciała przejechać najlepszą przyjaciółkę. Po tym nie mogłem ryzykować.

– Dlaczego nie powiedziałaś ojcu?

– Bałem się. Godzinami przesiadywałem w bibliotece, czytając o chorobach psychicznych i wiedziałem, że z Regan jest bardzo źle. Ba, nawet postawiłem diagnozę – silna psychoza. I chyba nie bardzo się myliłem. Ojciec zamknąłby ją w szpitalu psychiatrycznym.

– A do tego nie mogłeś dopuścić.

– To byłoby dla niej najlepsze, ale jako nastolatek postrzegałem to inaczej.

– Bo zawsze było was dwoje kontra cały świat.

Nie skomentował tego, ale wiedziała, że to prawda. Widziała bezradnego dzieciaka, którym kiedyś był.

– Myślałem, że jeśli zadbam o to, by nikt nigdy nie wszedł między nas, wszystko będzie dobrze – powiedział. – I do pewnego stopnia miałem rację. Póki nie czuła się zagrożona, wszystko było w porządku. Ale wystarczyła nawet niewinna uwaga, by ją sprowokować. Cały czas łudziłem się, że będzie lepiej, kiedy znajdzie sobie chłopaka. Wszyscy chcieli się z nią umówić, ale ją interesowałem tylko ja.

– Nie znienawidziłeś jej?

– Nie, nasza więź była zbyt silna. Zresztą spędziłaś z nią tamto lato. Wiesz, że potrafiła być słodka, i to było szczere. Póki mrok nie brał góry.

Annie wsunęła zdjęcia do kieszeni.

– Spaliłeś jej zeszyt z wierszami. Musiałeś jej nienawidzić, żeby zrobić coś takiego.

Wykrzywił usta.

– W tym zeszycie nie było żadnych wierszy. Spisywała najbardziej obsesyjne myśli i wrogie tyrady pod twoim adresem. Bałem się, że ktoś to znajdzie.

– A obój? Uwielbiała go, a ty go zniszczyłeś.

W jego oczach malował się smutek.

– Sama go spaliła, kiedy zagroziłem, że powiem ojcu, co ci robi. W jej oczach była to ofiara, którą miała mnie przekonać.

W tym wszystkim, co od niego usłyszała, to było chyba najsmutniejsze: chora miłość kazała Regan zniszczyć coś, co sprawiło jej tak wielką przyjemność.

– Chciałeś ją chronić – szepnęła. – Ale zarazem powstrzymać, by mnie nie krzywdziła. Byleś w sytuacji bez wyjścia.

– Wydawało mi się, że nad wszystkim panuję. Byłem jak nastoletni mnich – nie rozmawiałem z dziewczynami, nawet na nie nie patrzyłem, ze strachu, co robi Regan. A potem zjawiałaś się ty. Mieszkałaś pod jednym dachem, ciągle cię widziałem w tych czerwonych szortach, słyszałem, jak śpiewasz, patrzyłem, jak bawisz się włosami, pogrążona w lekturze. Nie mogłem cię nie zauważyć.

– Jaycie była ode mnie ładniejsza. Czemu ja, nie ona?

– Nie czytała tych samych książek, nie słuchała tej muzyki co ja. Nie mogłem się przy niej rozluźnić. Choć i tak sobie na to nie pozwalałem. Obgadywałem ją

przed Regan. Ciebie też, ale Regan czytała w moich myślach.

– Po prostu byłam pod ręką, tak? Ironia losu. W mieście nie spojrzalbyś na mnie.

– Theo pasował do pięknych kobiet. Zostali kochankami tylko dlatego, że znaleźli się w tym samym czasie i miejscu. Wbiła zmarznięte ręce w kieszenie kurtki. – Po tym wszystkim, co przeszedłeś z siostrą, jak mogłeś zakochać się w Kenley?

– Biła od niej niezależność i pewność siebie. – Nabijał się ze swoich własnych słów. – Wszystko to, czego szukałem w kobiecie, wszystko to, czego nie miała Regan. Byliśmy razem od pół roku, gdy wymusiła na mnie małżeństwo. Szalałem za nią, więc uległem mimo pierwszych obaw.

– I w ten sposób znalazłeś się w takiej samej kropce jak z Regan.

– Tylko że Kenley nie usiłowała zabić nikogo oprócz samej siebie.

– Żeby cię ukarać.

Skulił się.

– Zimno mi. Idę do środka.

Facet, który ścigał sweter i stał półnagi w śnieżycy, skarży się na zimno?

– Jeszcze nie. Dokończ opowieść.

– Już skończyłem. – Odchodził od niej, szedł w kierunku wieży.

Wyjęła fotografie z kieszeni. Parzyły jej zgrabiałe palce. Spojrzała na nie przez zasłonę szarego śniegu i upuściła. Wiatr wyrwał je z dłoni, poniosł w dal. Powoli opadały na dno pustego basenu.

Ledwie Annie weszła do domu, Livia zaprzątnęła jej uwagę. Machinalnie rysowała z nią, cały czas analizując w myślach to, czego się dowiedziała, snując przypuszczenia na temat tego, czego jeszcze nie wiedziała. Oczywiście Theo opowiedział tylko część historii. Resztę będzie musiała z niego wydusić. Może kiedy to powie, zrobi wyłom w lodowatym murze, którym się otaczał.

Cmoknęła Livię w czubek głowy.

– Może zrobisz swoim pluszakom pokaz kukielkowy?

Udawała, że nie widzi pochmurnej miny małej, gdy Livia wstawiała od stołu.

Słyszała muzykę rockową, jeszcze zanim weszła do wieży. Zatrzymała się w saloniku. Muzyka docierała z gabinetu Theo. Weszła na najwyższe piętro i zapukała.

Muzyka była głośna, ale nie na tyle, by jej nie słyszał. Zapukała znowu i znowu zero reakcji. Nacisnęła klamkę. Zamknięte. Nie zdziwiła się. Przekaz był bardzo jasny. Theo miał na dzisiaj dość rozmowy.

Zamyśliła się. Arcade Fire umilkło, zaczęli grać The White Stripes. Nagle powietrze przeciął przeraźliwy wrzask przerażonego kota, a zaraz po nim – bolesne skomlenie, które wydaje zwierzę w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Drzwi stanęły otworem. Theo wybiegł na zewnątrz i gorączkowo rozglądał się za Hannibalem. Annie wślizgnęła się do środka i pobięła na górę.

Jego kurtka leżała niedbale rzucona na czarnej skórzanej kanapie przy fotelu biurowym. Na biurku panował większy porządek niż podczas jej ostatniej bytności w tym miejscu, ale też Theo pisał teraz w jej domku. Na podłodze przy fotelu poniewierały się opakowania od płyt CD. Teleskop stał przy oknie wychodzącym na jej domek, ale teraz ten widok dodawał jej otuchy, a nie przerażał. Theo obrońca. Czuwający nad chorą psychicznie siostrą, nad szaloną żoną, nad Annie.

Usłyszała jego kroki na schodach. Szedł wolniej, spokojniej. Zobaczyła go w progu. Zatrzymał się. Popatrzył na nią.

– Chyba nie chcesz powiedzieć...

Zmarszczyła nosek, licząc, że go rozbroi.

– Nic na to nie poradzę. Mam przeróżne zdolności.

Ściągnął brwi. Wszedł do pokoju.

– Przysięgam, jeśli jeszcze raz wykręcisz mi taki numer...

– Nie wykręcę. Chyba nie. Raczej nie. – Chyba że nie będzie innego wyjścia, dodała w myślach.

– Tak dla porządku, żeby mnie uspokoić – wycedził przez zęby. – Gdzie właściwie jest mój kot?

– Nie jestem pewna. Chyba śpi pod łóżkiem w atelier. Wiesz, że lubi tam przebywać.

Theo chyba zrozumiał, że, choć prawdopodobnie miał na to wielką ochotę, nie posunie się do rękoczynów.

– Co ja do cholery mam z tobą zrobić?

Annie przeszła do ataku.

– Cóż, powiem ci, czego masz nie robić. Nie musisz stawać na głowie, żeby mnie chronić. Doceniam to, ale jestem sprawna na ciele i, w miarę, na umyśle, przynajmniej w porównaniu do innych twoich podopiecznych – i sama dam sobie radę. Być może nie zawsze z klasą, ale sobie radzę i tak będzie dalej. Nie potrzebuję bohatera.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Może naprawdę nie miał. Postrzegał siebie jako czarny charakter, a nie bohatera, ale i tak jej nie uwierzy, gdy mu to powie.

Usiadła za jego biurkiem.

– Głodna jestem. Załatwmy to raz a dobrze.

Rozdział 19

Załatwmy to? – i znowu jego brwi poszybowały w górę. – Chcesz wiedzieć, czy zabiłem Regan.

Był tylko jeden sposób, by zmusić go do mówienia – sprowokować go.

– Daruj mi te gierki. Nie zabiłeś jej.

– A skąd wiesz?

– Bo cię znam, o wielki budowniczy elfich domostw. – Owszem, znała go, i to pod względami, z których do tej pory nie zdawała sobie sprawy.

Zamrugła. Nie dała mu dojść do słowa, zanim zaprzeczył, co robił dla Livii.

– Koszmar ograniczasz do fikcji. A teraz przestań mnie rozpraszać i powiedz w końcu, co się wydarzyło.

– Może powiedziałem ci już tyle, ile chciałem.

Cedził słowa jak Leo, ale nie dała się splawić.

– Oboje z Regan akurat skończyliście studia – podjęła. – Na różnych uniwersytetach. Jakim cudem udało ci się do tego doprowadzić?

– Zagroziłem, że w ogóle nie pójdę na studia, jeśli nie zgodzi się na różne uniwersytety. Powiedziałem, że wyruszę w podróż dokoła świata i nie będę z nikim utrzymywał kontaktu.

Podobało jej się, że do tego stopnia walczył o siebie.

– No więc poszliście na różne uniwersytety... – Nie trzeba szklanej kuli, by domyślić się, co było dalej. – Poznałeś dziewczynę.

– Niejedną. Nie masz nic lepszego do roboty?

– Nic a nic. Mów dalej.

Wziął kurtkę z kanapy, powiesił na haczyku przy drzwiach. Sprzątał, ale nie dlatego, że zależało mu na porządku, tylko dlatego, że nie chciał na nią patrzeć.

– Byłem jak wygłodniały człowiek w supermarkecie, ale choć nasze uniwersytety dzieliły setki kilometrów, i tak zachowywałem ostrożność. Aż do trzeciego roku, gdy zakochałem się po uszy w dziewczynie z mojego roku...

Annie rozparła się wygodnie w jego fotelu. Usiłowała sprawiać wrażenie rozluźnionej, żeby go nie spłoszyć.

– Jak się domyślam, była piękna, inteligentna i szalona.

Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

– Dwa na trzy trafienia. Teraz jest dyrektorem finansowym wielkiej firmy w Denver. Mężatka, ma troje dzieci. Nie, nie jest szalona.

– Ale miałaś spory problem...

Przesunął żółty notes kilka centymetrów w lewo.

– Kiedy tylko mogłem, odwiedzałem Regan na jej uczelni i wydawało się, że jest dobrze. Normalnie. A na trzecim roku zaczęła się nawet z kimś spotykać. Myślałem, że wyrosła z poprzednich zaburzeń. – Odsunął się od biurka. – Cała rodzina zbierała się na wyspie na Czwartego Lipca. Deborah miała już inne plany, ale bardzo chciała zobaczyć Peregrine, więc przywiozłem ją tutaj tydzień przed pozostałymi. – Podeszedł do okna, z którego rozciągał się widok na ocean. – Chciałem powiedzieć o niej Regan w następny weekend, ale Regan też przyjechała wcześniej.

Annie zacisnęła dłonie na oparciu fotela. Nie chciała słyszeć dalszej części tej historii, ale wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

– Byliśmy z Deborah na plaży. Regan zobaczyła nas z góry. Trzymaliśmy się za ręce, to wszystko. – Oparł dłonie na parapecie, wpatrzony w dal. – Padało wcześniej, stopnie były śliskie i do dzisiaj nie wiem, jakim cudem tak szybko zbiegła na plażę. Nie wiedziałem nawet, że się zbliża, póki nie rzuciła się na Deborah. Złapałem ją, odciągnąłem. Deborah uciekła do domu.

Odwrócił się od okna, ale nadal na nią nie patrzył.

– Byłem wściekły. Powiedziałem Regan, że chcę żyć własnym życiem, a ona powinna iść do psychiatry. Byłem okrutny. – Wskazał bliznę nad łukiem brwiowym. – To ślad po Regan, nie po tobie. – Wskazał o wiele mniejszą bliznę poniżej. Do tej pory jej nie widziała. – To twoja sprawa.

Widok tej blizny sprawiał jej nie lada satysfakcję. Teraz na samą myśl robiło jej się niedobrze.

– Regan oszalała – ciągnął. – Groziła mnie i Deborah. Miałem tego dosyć. Powiedziałem jej, że jej nienawidzę. Popatrzyła mi prosto w oczy i powiedziała, że się zabije. – W jego szczęce drgnął mięsień. – A ja byłem tak wściekły, że wykrzychałem, że nic mnie to nie obchodzi.

Ogarnęła ją fala współczucia.

Podeszedł do okna z teleskopem. Nie patrzył na nią, nie patrzył na nic.

– Nadciągał sztorm. Kiedy dotarłem do domu, ochłonąłem na tyle, że wiedziałem, że muszę wracać a plażę, na pomost i powiedzieć jej, że wcale nie mówiłem poważnie, choć cząstka mnie szeptala, że owszem, tak. Ale było za późno. Regan była już na pomoście, wsiadała na łódź. Krzychałem, żeby wracała. Nie wiem, czy mnie słyszała. Zanim do niej dobiegłem, postawiła żagiel.

Annie widziała to wszystko, choć najchętniej zatarłaby ten obraz.

– Motorówka była w hangarze na przegładzie – ciągnął. – Więc wskoczyłem do wody, łudząc się, że ją dogonię. Prąd był silny. Zobaczyła mnie i krzyknęła, żebym wracał. Płynąłem dalej. Fale mnie zalewały, ale cały czas widziałem jej twarz. Widziałem jej skrucę, jej cholerny żal. A potem postawiła żagle i wypłynęła w

burzę. – Rozluźnił pięści. – Wtedy po raz ostatni widziałem ją żywą.

Annie zacisnęła dłonie. Nie powinno się nienawidzić osób chorych psychicznie, ale Regan nie dość, że zabiła siebie i omal nie zamordowała Annie, to jeszcze na dodatek omal nie złamała Theo.

– Zalała ci za skórę, co? Zemsta doskonała.

– Nie rozumiesz – roześmiał się gorzko. – Regan nie zabiła się po to, żeby mnie ukarać, tylko żeby mnie uwolnić.

Annie zerwała się z krzesła.

– Nie wiesz tego na pewno!

– Owszem, wiem. – W końcu na nią spojrział. – Czasami czytaliśmy sobie w myślach. To była jedna z tych chwil.

Przypomniała sobie Regan zapłakaną nad mewą ze złamanym skrzydłem. W chwilach świadomości pewnie nienawidziła siebie za to wszystko.

Annie miała dość rozumu, by nie okazać współczucia, ale to, co Theo sobie robił, było zwyczajnie złe.

– Plan Regan nie wypalił. Nadal obwiniasz się za jej śmierć.

Zbył jej współczucie szorstkim machnięciem ręki.

– Regan. Kenley. Poszukaj wspólnego mianownika, a znajdziesz mnie.

– Znajdę dwie chore psychicznie kobiety i faceta, który niepotrzebnie obwinia się o wszystko. Nie mogłeś pomóc Regan. Prędzej czy później zniszczyłaby się sama. Kenley to inna sprawa. Mówiłeś, że pociągała cię, bo była przeciwieństwem Regan, ale czy naprawdę tak było?

– Nie rozumiesz. Była genialna. Wydawała się bardzo niezależna.

– Rozumiem, ale chyba wyczuwałeś, że pod tym wszystkim kryje się rozchwiana osobowość.

– Nie.

Był zły, ale Annie nie dawała za wygraną.

– To chyba prawdopodobne, że postrzegając wasz związek jako drugą szansę, jako okazję, by naprawić to, co nie udało się z Regan. Nie udało ci się uratować siostry, ale może mogłeś pomóc Kenley.

Wykrzywił usta.

– Nie ma to jak dyplom z psychologii w Internecie.

Wszystko, co wiedziała o psychologii, zawdzięczała warsztatom teatralnym na temat, jak zrozumieć motywację bohatera.

– Theo, jesteś urodzonym opiekunem. Nie przyszło ci nigdy do głowy, że pisanie to twój bunt wobec tego, co każe ci brać na siebie odpowiedzialność za innych?

– Posuwasz się za daleko – rzucił ochryple.

– Tylko o tym pomyśl, dobrze? Jeśli masz rację co do Regan, pomyśl, jak bardzo byłaby zła o to, że ciągle wymierzasz sobie karę.

Jego ledwie skrywana wrogość oznaczała, że nie powinna dalej naciskać. Musi jej wystarczyć, że zasiała pierwsze ziarna, teraz trzeba czekać, czy coś z nich wyrośnie. Podeszła do drzwi.

– A gdyby cię to interesowało... jesteś fantastycznym facetem i niezłym kochankiem, ale nie ma szans, żebym się przez ciebie zabiła.

– Pociuszające.

– Ani nawet zarwała noc.

– To już trochę obraźliwe, ale dzięki za szczerość.

– Tak postępują kobiety zdrowe psychicznie. Radzę zapamiętać na przyszłość.

– Tak też uczynię.

Nagły ucisk w sercu przeczył wymuszonej beztrוסce jej słów. Serce jej pękało na jego widok. Nie przyjechał tu pisać. Zamieszkał tu, żeby pokutować za dwie śmierci, które według niego były jego winą. Dom Harpów nie był jego schronieniem. Był karą.

Następnego ranka zerknęła na ścienny kalendarz, wyjmując z szafki pudełko z płatkami śniadaniowymi. Trzydzieści cztery dni już za nią, zostało jeszcze dwadzieścia sześć. Theo wszedł do kuchni i oznajmił, że wybiera się na stały ład.

– Wydawca przyjedzie z Portland. Spotkamy się w Camden i omówimy pewne sprawy. Wieczorem wrócę z Edem Comptonem.

Sięgnęła po miseczkę.

– Szczęściarż. Latarnie uliczne, chodniki, Starbucks... chociaż na to akurat mnie nie stać.

– Wejdę za ciebie. – Podniósł rękę, jakby chciał z góry uciąć jej sprzeciw. – Wiem, że jesteś uzbrojona i bardzo groźna, ale chciałbym, żebyś podczas mojej nieobecności została w domu Harpów. To prośba, nie rozkaz.

Dawniej czuwał nad Regan i Kenley, teraz chciał zaopiekować się nią.

– Ależ z ciebie baba – prychnęła.

W odpowiedzi odchylił się do tyłu i zmierzył ją lodowatym spojrzeniem. Wyglądał przy tym jak uosobienie wkurzonego samca.

– To był komplement – zapewniła. – Tak jakby. Ten twój instykt opiekuńczy.... Doceniam twój zapał, ale nie jestem jedną z kruchych damulek, nad którymi się pochylasz.

Uśmiechnął się bardzo, bardzo złośliwie.

– Ten pomysł z batem... coraz bardziej mi się podoba – wycedził przeciągle.

Najchętniej rzuciłaby się na niego tu i teraz, ale tylko pociągnęła nosem.

– Dobra, lalczko, zostanę w domu Harpów, żeby oszczędzić ci zmartwień.

Zadziałało. Wziął ją tam, w kuchni. I było wspaniale.

Nie podobała jej się myśl o nocy w domu Harpów, ale zgodziła się ze względu na niego. Idąc tam, zatrzymała się przy domku elfów. Theo zbudował balkon z patyków nad wejściem, a także porozrzucił muszelki i kamyki na ścieżce – dowód nocnych igraszek leśnych duszków. Popatrzyła w słońce. Na Peregrine było tyle ponurych dni, że od tej pory będzie się rozkoszowała każdym pogodnym zimowym dniem.

W kuchni już od progu powitał ją zapach świeżego chleba bananowego. Jaycie piekła lepiej niż gotowała i odkąd Annie zmusiła ją do rozmowy o śmierci męża, coraz częściej zadawała sobie trud, by coś upiec. Jakby w ten sposób chciała jej wynagrodzić to, że jej nie zaufała.

Na stole poniewierały się resztki kolorowego papieru, z którego Livia zapewne coś wycinała. Annie godzinami szukała w Internecie artykułów o dziecięcej traumie. Jej uwagę przykuła wzmianka o terapii kukielkowej. Była to jednak bardzo specjalistyczna dziedzina, którą zajmowali się doświadczeni terapeuci i każdy kolejny artykuł utwierdzał ją w przekonaniu, że cały czas wie za mało.

Jaycie weszła do kuchni. Już od wielu tygodni chodziła o kulach, a nadal poruszała się bardzo niezdarnie.

– Dostałam wiadomość od Theo – zaczęła. – Wybiera się na stały ląd. – W jej głosie pojawiły się nietypowe, ostre nuty. – Pewnie będzie ci go brakowało.

Annie miała Jaycie za złe, że nie powiedziała jej prawdy, a przecież sama też była bardzo skryta. Nie wyobrażała sobie jednak, jak oznajmić, że są z Theo kochankami. Pod pewnymi względami nic się nie zmieniło, nadal zawdzięczała Jaycie swoje życie. Myślała o tamtym dniu, gdy Regan wepchnęła ją do rozlewiska. Jaycie była z nimi, ale została z tyłu i pewnie nie widziała, kto to zrobił.

W miarę upływu czasu humor Annie się pogarszał. Przywykła do towarzystwa Theo o tej porze. Nie tylko ze względu na niezwykły seks. Po prostu lubiła z nim przebywać.

Zacznij się przyzwyczajać – odezwała się Dilly, rozsądna jak zawsze. – Twój niewydarzony romans wkrótce się skończy.

– To tylko seks – poprawiła Annie – i myślisz, że tego nie wiem?

Sama sobie odpowiedz na to pytanie – odparła Dilly.

Czy jej się to podobało, czy nie, tęsknota za nim była jak kubel zimnej wody. Z całej siły koncentrowała się na nadchodzącym wieczorze, planowała, jak go spędzi. Artykuły o terapii kukielkowej były fascynujące. Poczytała jeszcze trochę i usadowiła się w fotelu z kolejną gotycką powieścią. Czyż jest lepsze miejsce na taką lekturę niż dom Harpów?

O północy jednak musiała przyznać, że historia cynicznego hrabiego i jego dziewiczej towarzyszki nie zadziałała. Nie mogła zasnąć. Zjadła tylko skromną

kolację, a w kuchni nadal był chleb bananowy. Odrzuciła kołdrę i wsunęła stopy w adidas.

Światła na piętrze rzucały długi cień na ścianę. Schody trzeszczały, gdy szła do holu. Przez okno nad drzwiami do wnętrza sączył się księżyc w pełni; rzucał za mało światła, by cokolwiek rozjaśnić, podkreślał tylko ponurą atmosferę domu. Jeszcze nigdy nie wydawał się tak przerażający. Skręciła za róg, do tylnego korytarza... i zastygła w bezruchu.

Jaycie była o kilka kroków przed nią – i to bez kul.

Annie poczuła, jak ogarnia ją lodowata panika. Jaycie szła bez najmniejszego wysiłku. Nic jej nie dolegało. Nic a nic.

Nagle przypomniała sobie świst kuli przy głowie, Crumpet zwisającą spod sufitu, krwawy napis na ścianie. Jaycie miała motyw, by się jej pozbyć. Czyżby Annie nie dostrzegła oczywistości? Czy to Jaycie zdemolowała jej domek? Czy to ona strzelała?

Jaycie była już przy drzwiach do swego mieszkanka, ale nagle zatrzymała się w pół kroku. Podniosła głowę, spojrzała w górę, jakby nasłuchiwała kroków na piętrze. A ponieważ na górze była tylko Annie...

Jaycie ruszyła – nie do siebie, tylko w tym samym kierunku, z którego nadeszła. Annie wbiegła do ciemnej kuchni, przywarła plecami do ściany w korytarzu. Paraliż ustąpił. Najchętniej złapałaby Jaycie za ramiona i zmusiła, aby powiedziała całą prawdę.

Jaycie minęła kuchnię.

Annie ruszyła korytarzem i ujrzała, jak Jaycie skręca do głównego holu. Annie trzymała się z daleka, w ostatniej chwili omijając porozrzucane zabawki Livii na podłodze. Wyjrzała zza rogu. Jaycie zatrzymała się u stóp schodów. Annie patrzyła, jak powoli rusza na górę.

Annie czuła, jak dławią ją złość i poczucie zdrady. Przycisnęła głowę do ściany. Nie mogła w to uwierzyć. Nie chciała zmierzyć się z prawdą, którą przecież widziała na własne oczy. To była Jaycie, od samego początku. Gniew narastał. O nie, nie ujdzie jej to płazem.

Już odrywała się od ściany, gdy usłyszała pogardliwy głosik Scamp:

Teraz za nią pójdziesz? Oczywiście, jak wszystkie dumne bohaterki. Jest środek nocy. W tym domu jest pełno broni, nie wiesz, czy Jaycie nie jest uzbrojona. W końcu zastrzeliła męża. Czy te wszystkie powieści niczego cię nie nauczyły?

Annie zacisnęła zęby. Choć było jej to bardzo nie w smak, lepiej poczekać z konfrontacją do rana, gdy będzie myślała bardziej logicznie. I miała broń pod ręką. Zmusiła się, by wrócić do kuchni, zdjęła kurtkę z wieszaka i wymknęła się z domu.

Ze stajni dobiegło ciche rżenie. Świerki trzeszczały, nocny zwierzak zniknął wśród zarośli. Mimo jasnego światła księżyca droga nie była łatwa. Poślizgnęła się na kamieniu. Gdzieś w oddali ostrzegawczo zahuczała sowa. I pomyśleć, że cały czas podejrzewała, że ktoś czatuje na jej spadek, a tymczasem to była Jaycie. Jaycie chciała się jej pozbyć, żeby mieć Theo dla siebie. Jakby mrok Regan znalazł w Jaycie godną kontynuatorkę.

Zanim doszła do rozlewiska, szczękała zębami z zimna. Spojrzała na dom. W wieży paliło się światło. Zadrżała, wyobraziła sobie wpatrzoną w nią Jaycie – i nagle przypomniała sobie, że sama zapaliła tam światło, gdy kilka godzin wcześniej zajrzała do wieży.

Patrząc na mroczną bryłę domu Harpów i światełko w wieży, poczuła przypływ czarnego humoru. Zupełnie jak okładka gotyckiej powieści. Tylko że zamiast uciekać z nawiedzonego domu w zwiewnej koszuli nocnej, Annie zmykała w piżamie w Mikołaje.

Zbliżając się do ciemnego domku, czuła, jak pokrywa się gęsią skórą. Czy Jaycie już odkryła jej ucieczkę? Powrócił gniew. Jutro sobie z nią porozmawia, zanim wróci Theo i zacznie się wtrącać. To sprawa tylko między nimi.

Nieprawda. Pomyślała o Livii. A co będzie z nią?

Powróciły mdłości, które zwalczała, odkąd zobaczyła, jak Jaycie chodzi bez kul. Poszukała w kieszeni klucza, niezdarnie wsunęła go do zamka. Drzwi zapisały gniewnie. Wchodząc do środka, namacała kontakt.

I nic.

Booker pokazywał jej, jak włączyć generator, ale nie spodziewała się, że będzie to robiła w ciemności. Złapała latarkę, którą zawsze trzymała przy drzwiach, i już miała wyjść na dwór, gdy cichy, niemal niesłyszalny odgłos kazał jej się zatrzymać.

Coś się poruszyło w przeciwnym końcu pokoju.

Wstrzymała oddech, podkułiła palce u stóp. Pistolet jest w sypialni. Miała tylko latarkę. Podniosła rękę i poświeciła w tamtą stronę.

Napotkała złote ślepie Hannibala. W łapkach ścisnął pluszową mysz.

– Ty draniu! Śmiertelnie mnie wystraszyłeś!

Hannibal zadął nos i cisnął myszką przez całe pomieszczenie.

Łypnęła na niego groźnie i czekała, aż jej serce się uspokoi. Kiedy uznała, że może się bezpiecznie poruszać, wybiegła z powrotem na dwór. O nie, życie na wyspie to nie jej przeznaczenie.

Radzisz sobie całkiem nieźle – zauważył Leo.

– Przeraza mnie wsparcie z twojej strony – odparła.

Kłócisz się z kukielką – wtrąciła się Dilly.

Kukielką, która zachowuje się inaczej niż zwykle.

Dobiegła do generatora i usiłowała sobie przypomnieć, co mówił Booker. Nagle wydało jej się, że gdzieś w oddali słyszy warkot silnika. Kto tu jedzie o tej porze? Ktoś, kto szuka u Theo pomocy medycznej, ale wszyscy wiedzą, że jest na stałym łądzie. I że Annie jest tu sama...

Dała sobie spokój z generatorem, wpadła do domku po pistolet, który leżał w nocnej szafce. Nie była co prawda pewna, czy potrafiłaby do kogoś strzelić, ale nie była też pewna, czy nie.

Wróciła do ciemnego saloniku z pistoletem w dłoni. Stała przy oknie i nasłuchiwała trzasku żwiru pod kołami. Światła reflektorów na rozlewisku. Ten, kto tu jechał, najwyraźniej nie chciał się ukrywać. Może Theo jakimś cudem złapał w środku nocy podwózkę ze stałego ładu?

Z pistoletem w dłoni wyjrzała ostrożnie przez okno i zobaczyła półciężarówkę zatrzymującą się przed domkiem. Półciężarówkę, którą znała.

Otworzyła drzwi. Barbara Rose gramoliła się z szoferki, nie zgasiwszy silnika. W mdłym świetle z kabiny Annie dostrzegła skraj różowej koszuli nocnej wystający spod kurtki.

Barbara podbiegła do niej. Choć Annie nie widziała jej miny, czuła, że sprawa jest pilna.

– Co się stało?

– Och, Annie... – Barbara przycisnęła rękę do ust. – Theo...

Annie miała wrażenie, że cała krew odpłynęła jej z serca.

Barbara złapała ją za ramię.

– Miał wypadek.

Tylko dzięki jej chwytowi Annie utrzymała się na nogach.

– Jest operowany – ciągnęła Barbara.

Żyje. Jeszcze żyje.

– Skąd... skąd wiesz?

– Dzwonili ze szpitala. Połączenie było okropne, nie wiem, może najpierw usiłowali dodzwonić się do ciebie. Zrozumiałam tylko połowę. – Barbara dyszała ciężko, jakby biegła od dawna.

– Ale... żyje?

– Tak, tyle zrozumiałam. Ale sprawa jest poważna.

– O Boże... – Te słowa wyrwały się jej machinalnie. Modlitwa.

– Dzwoniłam do Naomi. – Barbara ocierała łzy. – Zabierze cię tam swoim kutrem.

Barbara nie pytała, czy Annie chce się do niego wybrać. Annie nie wahała się. Nie było nad czym się zastanawiać. Ubrała się pospiesznie i kilka minut później jechały do miasteczka. Annie da sobie radę bez domku, ale świat bez Theo byłby nie do zniesienia. Był wszystkim tym, czym powinien być mężczyzna. Bystry

umysł, szlachetny charakter. Mężczyzna o prawej duszy: godny zaufania, inteligentny, troskliwy. Tak troskliwy, że brał na swoje barki cudze demony.

I za to go kochała.

Kochała go. Właśnie tak. Choć przysięgała sobie, że nigdy do tego nie dojdzie. Kochała Theo Harpa. Nie tylko jego ciało i twarz. Nie tylko seks z nim, nie tylko jego towarzystwo. A już na pewno nie jego pieniądze. Kochała go takim, jaki był. Jego udęconą, piękną, dobrą duszę. Jeśli przeżyje, zostanie z nim. Nieważne, czy będzie sprawny, sparaliżowany, półżywy. Zostanie z nim.

Oby żył. Boże, spraw, żeby żył.

Na nabrzeżu paliły się latarnie. Annie biegła do Naomi, która już czekała w motorówce, która zabierze je na pokład jej kutra. Miała równie posępną minę jak Barbara. Annie nie mogła się opędzić od paskudnych, mrocznych myśli. Pewnie wiedzą, że Theo umiera, ale żadna z nich nie chce jej tego powiedzieć.

Wskoczyła do łodzi. Wkrótce przecinały fale portu. Annie odwróciła się plecami do oddalającego się brzegu.

Rozdział 20

Mój mąż miał wypadek. – Annie czuła się jak oszustka, ale gdyby nie podała się za członka rodziny, nie udzieliliby jej żadnych informacji. – Theo Harp.

Pielęgniarka w recepcji pochyliła się nad klawiaturą. Annie ścisnęła w garści kluczyki do hondy civic, którą Naomi miała na stałym lądzie. Był to o wiele lepszy samochód niż wrak, który trzymała na Peregrine. Kobieta oderwała wzrok od ekranu.

– Proszę przeliterować nazwisko.

– H-A-R-P, jak harpia.

– Nie mamy pacjenta o tym nazwisku.

– Macie! – Annie podniosła głos. – Miał wypadek. Dzwonili ze szpitala. Jest operowany.

– Sprawdzę jeszcze raz. – Pielęgniarka sięgnęła po słuchawkę i odwróciła się z krzesłem.

Annie czekała, z każdą chwilą zdenerwowana coraz bardziej. Może nie mają go w bazie danych, bo już nie...

Pielęgniarka odłożyła słuchawkę.

– Nie mamy go w żadnej bazie. Nie ma go w tym szpitalu.

Annie chciała na nią nakrzyczeć, kazać nauczyć się czytać, ale zamiast tego sięgnęła po komórkę.

– Dzwonię na policję.

– To chyba dobry pomysł – mruknęła spokojnie pielęgniarka.

Ale ani policja, ani straż przybrzeżna nie miała żadnych informacji o wypadku z udziałem Theo. Z ulgi chciało jej się płakać. Prawda docierała do niej powoli.

Nie było żadnego wypadku. Theo nie jest ranny. Nie umiera. Pewnie smacznie śpi w pokoju hotelowym.

Zadzwoiła na komórkę, ale trafiła od razu na pocztę głosową. Jasne, Theo zawsze wyłącza telefon na noc, nawet w jej małym domku, gdzie nie ma zasięgu. Ten, kto poinformował Barbarę, miał jasny cel – zwabić Annie na stały ląd.

Jaycie.

Barbara mówiła, że rozmówca mówił niewyraźnie. No jasne, ale nie z powodu złego połączenia. Jaycie po prostu nie chciała, by Barbara rozpoznała ją po głosie. Bo Jaycie chciała się jej pozbyć z wyspy, żeby Theo znowu był tylko jej.

Niebo jaśniało już, gdy Annie wracała na nabrzeże, gdzie czekała Naomi. Puste ulice, pozamykane sklepy, żółta fala na jezdni. Mogłaby walczyć, powołać się na

wyjatkowe okoliczności, ale Cynthia chciała odzyskać domek, Elliott był twardym biznesmenem, a umowa jasna jak słońce. Żadnych wyjątków. Domek wróci do rodziny Harpów i teraz to problem Theo, co jego macocha zechce z nim zrobić. Problem Annie to wrócić do Nowego Jorku i znaleźć dach nad głową. Theo, odwieczny opiekun dam w potrzasku, zapewne zaoferuje jej schronienie w domu Harpów, ale ona odmówi. Choćby nie wiadomo co, nie pozwoli, by widział w niej kolejną ofiarę, którą musi otoczyć opieką.

Szkoda, że sama nie zadzwoniła do szpitala, ale w panice nawet o tym nie pomyślała. A teraz chciała tylko ukarać Jaycie za to, co zrobiła.

Naomi czekała za sterami kutra, sączyła kawę. Miała rozczochrane włosy i wyglądała na równie zmęczoną jak Annie. Annie w skrócie opowiedziała, co się stało. Do tej pory nikomu, nawet Barbarze, nie wspominała, na jakich warunkach odziedziczyła domek, ale teraz i tak wszyscy się o tym dowiedzą i nie było sensu dłużej trzymać tego w tajemnicy. Nie powiedziała tylko jednego – że dzwoniła Jaycie. Zanim to zdradzi, chciała sama się z nią zmierzyć.

Kuter zawinął do portu o świcie, gdy inni rybacy wyruszali na morze. Barbara czekała na Annie w swojej półciężarówce, niedaleko range rovera Theo. Naomi dzwoniła do niej z kutra i kiedy starsza pani podchodziła do Annie, wyrzuty sumienia otaczały ją jak aura.

– Annie, tak mi przykro. Powinnam była dopytać o szczegóły.

– To nie twoja wina – odparła Annie cicho. – Sama powinnam mieć więcej oleju w głowie.

Barbara kajala się przez całą drogę do domku; przez Annie czuła się jeszcze gorzej i odetchnęła z ulgą, gdy została sama. Tej nocy Annie prawie nie spała, ale wiedziała, że nie spocznie, póki nie porozmawia szczerze z Jaycie. Wandalizm, próba zabójstwa, a teraz jeszcze i to. Jeśli Annie miała jeszcze jakieś opory przed zaangażowaniem w sprawę policji, nie został po nich ślad. Chciała popatrzeć Jaycie w oczy i powiedzieć, że wie, co zrobiła.

Zmusiła się, by wypić kawę i zjeść grzanekę. Broń była tam, gdzie ją wczoraj zostawiła. Nie wyobrażała sobie, że robi z niej użytek, ale nie będzie też naiwna, nie po tym, jak widziała Jaycie wędrującą po schodach do jej pokoju. Wsunęła pistolet do kieszeni kurtki i wyszła z domku.

W powietrzu nie było ani odrobiny wiosny, gdy szła przez rozlewisko. Oczyma wyobraźni widziała farmę Theo na drugim krańcu wyspy. Łąkę osłoniętą od wiatru. Ocean widoczny w oddali. Wszechogarniający spokój.

Kuchnia była pusta. Ciągle w kurtce, poszła do mieszkania gospodyni. Cały czas starała się spłacić dług wobec Jaycie, a nie miała pojęcia, że dług został

przekreślony tamtej nocy, gdy Jaycie włamała się do domku.

Drzwi były zamknięte. Annie pchnęła je bez pukania. Jaycie siedziała przy oknie w fotelu na biegunach, z Livią na kolanach. Jaycie tuliła ją do siebie. Nagle wejście Annie nie zrobiło na niej wrażenia.

– Livia uderzyła się w paluszek – powiedziała – i teraz się przytulamy. Już lepiej, skarbie?

Żołądek Annie fiknął salto. Bez względu na to, co zrobiła, Jaycie kocha córkę, a Livia matkę. Gdyby wydała Jaycie w ręce policji...

Livia zapomniała już o bolącym paluszku i uniosła główkę, ciekawa, czy za plecami Annie chowa się Scamp. Jaycie pogłaskała ją po włosach.

– Nie znoszę, kiedy cierpi.

Obecność Livii sprawiała, że ciężar pistoletu w kieszeni kurtki wydawał się nie tyle rozsądny, co obsceniczny.

– Posłuchaj, Liv, musimy porozmawiać z mamusią o sprawach dorosłych. Narzujesz coś dla mnie? Może plażę?

Livia skinęła głową, zsunęła się z kolan Jaycie i podeszła do stolika, na którym leżały jej kredki. Czoło Jaycie przecięły zmarszczki niepokoju.

– Stało się coś?

– Porozmawiamy w kuchni. – Annie nie mogła patrzeć, jak Jaycie sięga po kule.

Słyszała za sobą nieporadne kuśtykanie przyjaciółki. Pomyślała o mężczyznach, którzy zazwyczaj wyrównują rachunki publicznie – pojedynki, walki, bitwy. Kobiety załatwiają swoje sprawy w domowym zaciszu – na przykład właśnie w kuchni.

Odczekała, aż Jaycie weszła do środka, i odwróciła się, gotowa na starcie.

– Wezmę je – powiedziała i tak gwałtownie wyrwała jej kule, że Jaycie runęłyby jak długa, gdyby nie uttrzymała się na dwóch zdrowych nogach.

Jaycie syknęła gniewnie:

– Co ty wyprawiasz? – Ale upłynęło zbyt wiele czasu, zanim przypomniała sobie, że musi oprzeć się o ścianę. – Są mi niezbędne.

– Wczoraj wieczorem nie były – zauważyła Annie chłodno.

Jaycie była wyraźnie zaskoczona. I dobrze. Annie chciała wytrącić ją z równowagi. Cisnęła kule na ziemię, kopnęła w daleki kąt kuchni.

– Okłamałaś mnie.

Jaycie pobladła. Annie miała wrażenie, że wreszcie widzi ją taką, jaka naprawdę jest.

– Ja... Nie chciałam, żebyś wiedziała.

– Tego się domyśliłam.

Jaycie oderwała się od ściany. Utykała minimalnie i Annie zapewne nie zauważyłaby tego, gdyby nie była na to wyczulona. Jaycie zacisnęła dłonie na

oparcu krzesła, aż pobielały jej kłykcie.

– To dlatego wczoraj w nocy wymknęłaś się z domu.

– Widziałam, jak idziesz na górę. Co planowałaś?

Jaycie zacisnęła dłonie jeszcze bardziej, jakby potrzebowała wsparcia.

– Ja... wolałabym tego nie mówić.

Annie nie mogła dłużej ukrywać urazy.

– Oszukałaś mnie i to w najbardziej podstępny sposób.

Jaycie spochmurniała. Osunęła się na krzesło.

– Ja... byłam zrozpaczona. To żadna wymówka, wiem. I cały czas chciałam ci powiedzieć, że już ze mną lepiej. Ale... Postaraj się mnie zrozumieć. Byłam bardzo samotna.

Niedawny strach, że Theo nie żyje, zahartował Annie, dodał jej twardości.

– Co za szkoda, że Theo nie raczył dotrzymać ci towarzystwa.

Jaycie nie zareagowała wrogością, tylko rezygnacją.

– Na to i tak nigdy nie było szans. Jestem od ciebie ładniejsza i przez pewien czas łudziłam się, że to wystarczy. – Nie przechwalała się, stwierdzała fakty. – Ale nie jestem tak interesująca jak ty. Nie mam wykształcenia. Zawsze wiesz, co do niego powiedzieć, a ja nie. Ty się mu stawiasz, ja nie. I dobrze o tym wiem.

Annie nie oczekiwała takiej szczerości, co jednak nie zmieniło faktu, że nadal czuła się zdradzona.

– Dlaczego wczoraj w nocy szłaś do mojego pokoju?

Jaycie schyliła głowę.

– Nie chcę wyjść na jeszcze większego mięczaka, niż jestem.

– Ciekawy dobór słów.

Jaycie wpatrywała się w swoje dłonie.

– Nienawidzę być tu sama w nocy. Kiedy Theo był w wieży, było lepiej, ale teraz... nie zasnę, póki nie obejdę wszystkich pomieszczeń, a i wtedy zamykam się na klucz. Przepraszam, że cię okłamałam, ale gdybym powiedziała ci prawdę... gdybym przyznała, że z moją nogą jest coraz lepiej i że mogę chodzić bez kul, że nie potrzebuję twojej pomocy, przestałabyś przychodzić. Wolisz pewnie przyjaciółki z miasta, które znają się na teatrze i literaturze, a ja jestem tylko prostą dziewczyną z wyspy.

Teraz to Annie nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Ze słów Jaycie była prawda. Ale może czegoś jej nie mówiła? Annie skrzyżowała ręce na piersi.

– Wczoraj w nocy opuściłam wyspę, ale o tym pewnie wiesz.

– Opuściłaś wyspę? – Udawała, że ją to zaskoczyło, że nie ma o niczym pojęcia.

– Ale przecież nie wolno ci! Ktoś cię widział? I dlaczego w ogóle to zrobiłaś?

Gniew Anie ustępował fali wątpliwości. Ale z drugiej strony zawsze nabierała się na wymówki wytrawnych kłamców.

– Numer z telefonem zadziałał.

– Jaki numer? Annie, o czym ty mówisz?

Annie nie dawała za wygraną.

– Telefon do Barbary z informacją, że Theo jest w szpitalu. Ten numer.

Zerwała się z krzesła.

– W szpitalu? Nic mu nie jest? Co się stało?

Nie daj się nabrać – ostrzegła Dilly. – Nie bądź frajerką.

Ale... – wtrąciła się Scamp. – Wydaje mi się, że ona nie kłamie.

To Jaycie stała za wszystkim, co ją spotkało. Kłamała, miała motyw, wiedziała, kiedy Anie jest w domku.

– Annie? – ponagliła Jaycie.

Była tak uparta, tak nietypowo wymagająca, że Annie już w ogóle nie wiedziała, co o tym myśleć. Grała na zwłokę.

– Do Barbary Rose ktoś zadzwonił, jakoby ze szpitala... – Opowiedziała Jaycie o wyprawie na stały ląd, o tym, czego się dowiedziała... a czego nie. Mówiła to wszystkim zimnym głosem i bacznie obserwowała reakcje Jaycie.

Skończyła, a Jaycie miała łzy w oczach.

– I myślałaś, że to ja? Że po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś, byłabym zdolna do czegoś takiego?

Annie wyprostowała się.

– Kochasz Theo.

– Theo to tylko marzenie! Durząc się w nim, uciekałam od wspomnień o Nedzie, ale to nie jest realne! – Łzy spływały jej po policzkach. – Nie jestem ślepa. Myślisz, że nie wiem, że jesteście kochankami? Czy to boli? Tak. Czy czasami ci zazdroszczę? Aż za często. Jesteś świetna, we wszystkim. Taka kompetentna. Ale nie w tym. Nie znasz się na ludziach. – Jaycie odwróciła się na pięcie i wybiegła z kuchni.

Annie osunęła się na krzesło. Było jej niedobrze. Jakim cudem wszystko poszło nie tak? A może wcale nie? Może Jaycie kłamie nawet teraz?

Ale w głębi duszy wiedziała, że to nieprawda.

Annie nie mogła dłużej zostać w domu Harpów. Wróciła do domku. Hannibal powitał ją w progu i towarzyszył jej do sypialni, gdzie pozbyła się broni. Wzięła go na ręce i podeszła do kanapy.

– Będzie mi ciebie brakowało, kolego.

Oczy piekły ją z braku snu, w brzuchu burczało z głodu. Machinalnie głaszcząc kota, rozglądała się dokoła. Właściwie nie zostało nic, co mogłaby ze sobą zabrać. Meble należały do Theo, a ponieważ nie miała własnej kuchni, niepotrzebne jej

będą garnki i zastawa stołowa. Zabierze czerwoną pelerynę matki i kilka szali i chust, ale resztę rzeczy Mariah zostawi w domku. A wspomnienia Theo... musi je też tutaj zostawić.

Zamrugła, oślepiona bólem. Po raz ostatni podrapała Hannibala pod bródką, odstawiła go i podeszła do biblioteczki, pustej, jeśli nie liczyć kilku kieszonkowych powieści i jej starej Księgi Marzeń. Ogarnęło ją poczucie klęski. I pustki. Wzięła album do ręki, a ze środka wypadły stare programy teatralne i zdjęcia modelek o gładkich włosach. Jako nastolatka łudziła się, że kiedyś też będzie tak wyglądać.

Kot ocierał się o jej nogi. Przekładając strony albumu, trafiła na recenzję, którą napisała sama sobie po sztuce, w której nigdy nie wystąpiła. Szczęściwy optymizm.

Schyliła się po wszystko, co wypadło z albumu, w tym po dwie grube koperty, w których kryły się jej świadectwa i dyplomy. Zajrzała do jednej z nich i zobaczyła kartkę ze szkicownika. Wyjęła ją. Szkic, którego nigdy dotąd nie widziała. Zajrzała do drugiej koperty. Podobny rysunek. Podeszła z nimi do okna i spojrzała na podpis. Na obu ten sam. Zamrugła gwałtownie. N. Garr.

Serce stanęło jej w piersi. Uważnie przyjrzała się szkicom, wróciła wzrokiem do podpisów. Nie ma wątpliwości. Oba rysunki podpisał Niven Garr.

Gorączkowo szukała w pamięci wszystkiego na jego temat. Zasłynął jako malarz postmodernistyczny, na kilka lat przed śmiercią zafascynowało go malarstwo iluzjonistyczne. Mariah zawsze odnosiła się krytycznie do jego twórczości, co dziwne, zważywszy, że tu, w domku, Annie znalazła trzy albumy z jego pracami.

Położyła szkice na stoliku, tam, gdzie było najlepsze światło. Tak, to na pewno spadek, o którym mówiła Mariah. I to jaki spadek!

Przycupnęła na krześle. Jakim cudem trafiły w ręce Mariah? I po co te tajemnice? Nigdy nie wspominała, że go знаła. Na pewno nie należał do grona jej znajomych, gdy jeszcze ich miała. Annie przyglądała się uważnie obu szkicom. Powstały w odstępie dwóch dni. Oba przedstawiały kobiety akt. Mimo śmiałej kreski i precyzyjnej kompozycji, czułość w twarzy modelki sprawiała, że szkice przypominały romantyczne akwarelki. Modelka dawała malarzowi wszystko, całą siebie.

Annie doskonale wiedziała, co czuje kobieta na rysunkach. Znała te uczucia; to miłość. Modelka była długonoga, atrakcyjna, ale nie piękna, miała twarz o silnych, śmiałych rysach i długie proste włosy. Przypominała Annie stare fotografie Mariah. Ta sama...

Annie gwałtownie uniosła rękę do ust. To jest Mariah. Dlaczego nie poznała jej od razu?

Bo nigdy nie widziała matki tak łagodnej, delikatnej, wrażliwej, bez cienia goryczy.

Hannibal wskoczył jej na kolana. Annie siedziała nieruchomo, ze łzami w oczach. Dlaczego nigdy nie знаła matki takiej, jak na tych rysunkach? Dlaczego... Po raz kolejny spojrzała na datę na szkicach. Miesiąc, rok... Zaczęła liczyć.

Powstały siedem miesięcy przed jej narodzinami.

Twój ojciec był żonaty. To był przelotny romans, nic ważnego. Wcale mi na nim nie zależało.

Kłamstwo. Te rysunki to portret kobiety zakochanej, pozującej ukochanemu mężczyźnie. Mężczyźnie, który, sądząc po datach, jest ojcem Annie.

Niven Garr.

Annie wpiła palce w futerko Hannibala. Przypomniała sobie fotografie Garra. Znakiem charakterystycznym była niesforna czupryna – w niczym nieprzypominająca włosów Mariah, za to bardzo podobna do tego, co Annie miała na głowie. A zatem Annie nie jest owocem przelotnego związku, jak zawsze twierdziła jej matka, a Niven Garr wcale nie był wtedy żonaty. Dopiero wiele lat później poślubił swego wieloletniego partnera.

Nagle wszystko stało się jasne. Mariah kochała Nivena Garra, a sądząc po czułości, z jaką ją szkicował, artysta odwzajemniał to uczucie. Ale nie na tyle, by z nią zostać. Koniec końców wybrał inną drogę i zostawił Mariah.

Annie była ciekawa, czy wiedział, że ma córkę. A może duma – albo rozgoryczenie – każe Mariah zataić to przed nim? Mariah zawsze pogardliwie wyrażała się o jej szkicach, o jej niesfornych włosach i dziecięcej nieśmiałości. Dlatego, że stanowiły bolesne przypomnienie jego. Jej gorycz wobec prac Garra nie miała nic wspólnego z jego talentem, za to wszystko z tym, że ona kochała go bardziej niż on ją.

Hannibal wysunął się z jej objęć. Te cudowne szkice zakochanej kobiety rozwiązałyby jej wszystkie problemy finansowe. Błyskawicznie spłaciłaby wszystkie długi i miałyby dość pieniędzy na nowe życie. Załatwiłyby wszystkie problemy.

Tylko że nie sprzeda ich za żadne skarby.

Miłość bijąca z twarzy Mariah, jej dłoń, czułym gestem zasłaniająca brzuch... Te rysunki – to prawdziwe dziedzictwo Annie. Dowody na to, że poczęto ją z miłości. Może właśnie to matka chciała jej pokazać.

W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin Annie wiele straciła, ale też wiele zyskała. Domek już do niej nie należał, jej sytuacja finansowa była nadal oplakana, ale odkryła część siebie. I do tego zdradziła przyjaciółkę. Nie mogła zapomnieć urażonej twarzy Jaycie. Będzie musiała ją przeprosić.

Nie łam się – mruknął Peter. – Straszny z ciebie mazgaj.

Zagłuszyła go. Choć bardzo chciało jej się spać, po raz drugi tego dnia poszła na urwisko. Przez całą drogę myślała, jak to jest, być córką Mariah i Nivena Garra. Ale tak naprawdę miała być tylko sobą.

Jaycie siedziała przy oknie w swoim mieszkanku, wpatrzona w podwórze. Annie zapukała we framugę otwartych drzwi.

– Mogę wejść?

Jaycie wzruszyła ramionami. Anie uznała, że to przyzwolenie. Wbiła ręce w kieszenie kurtki.

– Jaycie, przykro mi. Naprawdę. Nie zdołam cofnąć tego wszystkiego, co powiedziałam, ale proszę, wybac mi. Nie wiem, kto stoi za tym, co mnie spotyka, ale...

– Myślałam, że jesteście przyjaciółkami! – rzuciła Jaycie z rozżaleniem.

Wstała, minęła Annie.

– Muszę poszukać Livii.

Annie nie usiłowała jej zatrzymać. Zraniła ją zbyt głęboko, by dało się to szybko naprawić. Wróciła do kuchni, żeby tam czekać, aż Jaycie będzie chciała znowu z nią porozmawiać. Jaycie weszła niemal natychmiast, ale minęła ją bez słowa. Podeszła do drzwi kuchennych.

– Livia? Gdzie jesteś?

Annie przywykła, że zawsze sama szuka Livii, i szła już do drzwi, ale Jaycie wybiegła na zewnątrz.

– Livia? Livia Christine, wracaj natychmiast!

Annie deptała jej po piętach.

– Sprawdzę od frontu.

– Nie zawracaj sobie głowy – syknęła Jaycie. – Sama to zrobię.

Annie puściła jej słowa mimo uszu. Wyjrzała na werandę. Livii tam nie było. Wróciła do Jaycie.

– Na pewno nie ma jej w domu? Może gdzieś się schowała?

Niepokój o córkę stłumił chwilowo gniew na Annie.

– Poszukam.

Drzwi do stajni były zamknięte. Małej nie było w zagajniku przy altanie. Annie wróciła przed dom. Weranda była nadal pusta, ale kiedy spojrzała w dół, na plażę, zobaczyła różową plamkę przy głazach. Zbiegła ze śliskich stopni. Livia co prawda stała daleko od linii brzegowej, ale jednak nie powinna sama chodzić na plażę.

– Livia!

Mała podniosła głowę. Miała rozpiętą kurtkę, włosy opadały jej na buzię.

– Nie ruszaj się! – zawołała Annie. – Znalazłam ją! – krzyknęła, choć nie miała pewności, czy Jaycie ją słyszała.

Livia uparcie zaciskała usta. W jednej dłoni ścisnęła coś, co wyglądało jak

kartka papieru, w drugiej – garść kredek. Nieco wcześniej Annie prosiła, żeby narysowała plażę. Najwyraźniej mała postanowiła malować z natury.

– Och, Liv... Nie wolno ci przychodzić tu samej! – Przypomniała sobie opowieści o niespodziewanych falach, które wciągały w morze dorosłych mężczyzn. – Chodźmy do mamusi. Nie będzie zadowolona.

Wyciągnęła do niej rękę i w tej chwili zobaczyła kogoś od strony domku. Wysoki, szczupły, o szerokich ramionach, z ciemnymi włosami rozwianymi na wietrze. Serce fiknęło jej salto w piersi z miłości do niego, zaraz jednak upomniała się, że nie może dać niczego po sobie poznać. Wiedziała, że mu na niej zależy, wiedziała jednak także, że jej nie kocha. A ona kochała go tak bardzo, że nie chciała, by jej uczucie stało się dla niego kolejnym obciążeniem. Po raz pierwszy w życiu Theo Harpa kobieta zatroszczy się o niego, a nie odwrotnie.

– Cześć, potworze – rzuciła, gdy stanął koło niej.

Zirytowany uniósł brwi.

– Nawet nie próbuj mnie rozbawić. Słyszałem, co się stało. Oszalałaś? Co cię ugryzło, żeby tak postąpić?

Miłość mnie ugryzła. Zmusiła się, by rozluźnić spięte mięśnie.

– Był środek nocy, byłam zaspana. Myślałam, że coś ci się stało. Przepraszam, że się martwiłam!

Puścił ironię mimo uszu.

– Choćbym umierał, nie powinnaś była opuszczać wyspy.

– Ty draniu, jesteś moim przyjacielem. Chcesz powiedzieć, że nie postąpiłbyś podobnie, gdybym miała wypadek?

– Nie, jeśli to oznaczałoby, że stracę dach nad głową!

Nieprawda. Zrobiłby to samo dla każdego z przyjaciół. Taki już był.

– Odejdź – powiedziała. – Nie chcę z tobą rozmawiać. – Chcę cię całować. Bić. Kochać się z tobą. Przede wszystkim jednak chciała uratować go przed nim samym.

Rozłożył ręce.

– Tej zimy miałaś zrobić tylko jedno. Siedzieć tu na tyłku. Ale czy to zrobiłaś? Nie.

– Nie krzycz na mnie.

Nie krzyczał, czego nie omieszkał jej wytknąć.

– Nie krzyczę.

Ale podniósł głos, więc zrobiła to samo.

– Nic mnie obchodzi domek – skłamała. – Będę najszczęśliwsza, kiedy się stąd wyrwę.

– A dokąd się wybierasz, jeśli można zapytać?

– Do Nowego Jorku, tam, gdzie moje miejsce!

– Po co?

– Po to.

I tak dalej, przez kilka minut, aż oboje poczuli, że tracą siły i energię.

– Do cholery, Annie, martwię się o ciebie.

Uspokoił się w końcu i nie mogła się oprzeć, musiała go dotknąć. Położyła mu rękę na piersi, by poczuć bicie jego serca.

– Masz to we krwi. Ale daj już spokój.

Objął ją ramieniem. Ruszyli w stronę schodów.

– Mam ci coś do...

Annie dostrzegła białą kartkę wśród skał. Livia zniknęła.

– Liv?

Cisza.

– Livia! – Odruchowo spojrziała na morze, ale stała pod takim kątem, że widziała by małą, gdyby podeszła do wody.

– Znalazłaś ją? – Jaycie stała na szczycie urwiska. Była bez kurtki, na granicy hysterii. – W domu jej nie ma. Wszędzie szukałam.

Theo szedł w stronę skalnego rumowiska, które blokowało wejście do jaskini, ale Annie dopiero po chwili zobaczyła to, co on – skrawek różowego materiału między głazami. Podbiegła do niego. Choć wejście do jaskini zniknęło przed wieloma laty, została wąska szpara, szczelina, przez którą zdołaloby się przecisnąć dziecko. Tuż obok leżały cztery kredki.

– Idź po latarkę! – zawołał Theo do Jaycie. – Mała chyba jest w jaskini.

Do przyływu zostało jeszcze parę godzin, ale nie wiadomo, jaki poziom osiągnęła woda w jaskini. Annie uklękła przed Theo i zajrzała do szczeliny.

– Livia, jesteś tam?

Odpowiedziało jej echo własnego głosu i odgłos fal uderzających o skały. Nic więcej.

– Livia! Skarbie, daj mi znać, że wszystko w porządku! – Czy ona naprawdę liczy, że nieme dziecko jej odpowie?

Theo odepchnął ją na bok.

– Liv, to ja, Theo. Znalazłem supermuszelki do domku elfów, ale musisz mi pomóc. Pomożesz?

Czekali, patrząc sobie w oczy. Nic.

Annie spróbowała znowu.

– Jeśli tam jesteś, zrób coś dla nas. Wydadz jakiś dźwięk. Albo rzuć kamykiem, żebyśmy wiedzieli, że tam jesteś.

Wyteżyli słuch. I po chwili usłyszeli. Cichy plusk kamyka wpadającego do wody.

Theo rozpaczliwie mocował się z kamieniami, nie zwracając uwagi na fakt, że nawet najmniejszy z głazów był zbyt wielki, by sam dał mu radę. Jaycie zbiegła z

kamiennych stopni, bez kurtki, z latarką w dłoni. Theo zastygł w bezruchu, widząc, jak bez kul zwinnie biegnie do nich wśród głazów. Annie uznała, że nie ona powinna mu to wyjaśniać i ponownie skupiła się na rumowisku.

– Jest tam. – Annie odsunęła się tak, żeby Jaycie mogła uklęknąć przy szczelinie.

– Livia? Tu mama! – Poświeciła do środka latarką. – Widzisz światełko?

Odpowiedział jedynie szum fal.

– Livia, musisz wyjść. I to już! Obiecuję, że nie będę się gniewać. – Spojrzała na Annie. – A jeśli tam utonie?

Theo znalazł gruby drąg, wyrzucony na brzeg przez fale, i wsunął go pod głaz, ale w ostatniej chwili zawahał się.

– Boję się. Nie wiadomo, czy kamienie nie obsuną się i jeszcze szczelniej nie zablokują wejścia.

Jaycie była szara na twarzy. Kurczowo zaciskała dłonie na skrawku różowej tkaniny z kurtki córeczki.

– Dlaczego tam weszła?

– Nie wiem – odparła Annie. – Lubi myszkować. Może...

– Boi się ciemności! Dlaczego to zrobiła?

Annie nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

– Livia! – zawołała Jaycie. – Wyjdź natychmiast!

Theo energicznie kopał w piasku poniżej szczeliny.

– Wejdę tam, ale muszę poszerzyć otwór.

– Jesteś za duży – rzuciła Jaycie. – Za długo to potrwa.

Fala rozbijała się o skały, zalała im stopy, przynosząc część piasku, który wykopał Theo. Jaycie usiłowała go odepchnąć.

– Wchodzę.

Theo zatrzymał ją.

– Nie zmieścisz się. Musimy usunąć więcej piasku.

Miał rację. Fale przynosiły to, co wykopał, a Jaycie była zbyt szeroka w biodrach.

– Muszę tam wejść! – Obstawała przy swoim. – A co, jeśli ona...

– Ja to zrobię. – Annie wpadła jej w słowo. – Z drogi.

Nie miała pewności, czy się zmieści, ale była z nich najszczuplejsza. Theo odnalazł jej wzrok.

– To zbyt niebezpieczne.

Nie dyskutowała z nim, tylko uśmiechnęła się bezczelnie.

– Z drogi, bracie. Nic mi nie będzie.

Równie dobrze jak ona wiedział, że z całej trójki tylko ona ma szansę wejść do środka, co jednak nie łagodziło rozterki w jego oczach.

– Uważaj na siebie, słyszysz? – rzucił gniewnie. – Nie rób żadnych głupstw!

– Nie mam takiego zamiaru. – Zdjęła kurtkę, podała Jaycie. – Załóż to.

Przyjrzała się wąskiej szczelnie, ściągnęła bluzę przez głowę i została tylko w dżinsach i pomarańczowej koszulce. Jej skóra zaraz pokryła się gęsią skórką.

Theo gorączkowo rył w piasku, chcąc poszerzyć szczelinę. Kucnęła, krzywiąc się, gdy opryskała ją lodowata woda.

– Liv, to ja, Annie. Idę do ciebie.

Syknęła, kładąc się na zimnym piasku. Wsuwając stopy w rozpadlinę, wyobraziła sobie, że utkwi w niej, jak Kubuś Puchatek w słoiku po miodku.

– Spokojnie. – Głos Theo był nienaturalnie spięty. – Spokojnie. – Starał się jej pomóc, ale jednocześnie wyczuwała ledwie zauważalny opór, jakby nie chciał, żeby tam wchodziła. – Ostrożnie. Tylko ostrożnie.

Powtarzał to w kółko, gdy wsuwała nogi w rozpadlinę; odwróciła się tak, że jej biodra były mniej więcej równoległe do szczeliny. Zalała ją kolejna fala. Theo przesunął się, by zasłaniać ją własnym ciałem.

Adidasy, już w jaskini, nasiąkły jak gąbka i powrócił lęk co do poziomu wody w środku. Jej biodra utknęły w szczelinie.

– Nie dasz rady – stwierdził. – Wychodź. Pogłębię dół.

Nie zwracała na niego uwagi. Wciągnęła brzuch. Zaparła się z całej siły.

– Annie, nie!

A właśnie, że tak. Zagryzła usta, czując ostre brzegi skał, wbiła stopy w piasek. Jeszcze jedno szarpnięcie i znalazła się w środku.

Gdy Annie zniknęła w jaskini, Theo miał wrażenie, że ocean pochłania i jego. Podał jej latarkę przez wąski otwór. To on powinien być w środku. Pływał lepiej od niej, choć przy odrobinie szczęścia te umiejętności nie będą jej potrzebne.

Jaycie stała za nim łkając bezradnie. Theo kopał nerwowo. To on powinien spieszyć z pomocą, nie Annie. Usiłował nie wyobrazić sobie, jak ta scena wyglądałaby na kartach jego powieści, ale koszmarny scenariusz był jak film. Gdyby to się działo w jego książce, w jaskini już czyhałby sadysta Quentin Pierce, a niczego niepodjęwająca Annie byłaby jego kolejną ofiarą. Nigdy nie opisywał ze szczegółami zabójstw kobiet, ale podrzucał dość szczegółów, by czytelnik mógł sobie wszystko wyobrazić. A teraz sam to robił z Annie.

Jakby los kpił sobie dokładnie z tego powodu, dla którego w ogóle zaczął pisać horrory. Tworząc upiorne scenariusze, sprawował nad nimi kontrolę. W książkach panował nad wykreowanym światem, mógł ukarać zło i dopilnować, by dobro zwyciężało. Na papierze sprawiał, że nad chaosem górował porządek.

W myślach wysłał Annie na pomoc małego Diggity Swifta. Diggity, który był na

tyle drobny, że bez trudu wślizgnąłby się do jaskini, i na tyle sprytny, że na pewno pomógłby Annie. Diggity, chłopiec, którego zabił dwa tygodnie temu.

Kopał coraz szybciej, nie zwracał uwagi na krwawiące dłonie i co chwila powtarzał:

– Na miłość boską, uważaj na siebie.

Annie słyszała jego słowa w jaskini, ale jednocześnie znalazła się nagle w starym koszmarze. Zapaliła latarkę. Lata erozji sprawiły, że woda sięgała wyżej niż dawniej, już przy wejściu dochodziła do połowy łydek. Strach ścisnął ją za gardło.

– Liv?

Omiotła latarką kamienne ściany i zmusiła się, by poświecić na wodę. Na szczęście na powierzchni nie pływała podarta różowa kurteczka, nigdzie też nie widziała małego ciała o długich, prostych włosach. Co jednak wcale nie znaczyło, że zaraz tego nie zobaczy...

– Liv, skarbie, daj znać, gdzie jesteś.

Odpowiedział jej jedynie plusk fal obmywających granitowe ściany. Weszła dalej. Wyobrażała sobie Livię skuloną pod jednym z głazów.

– Livia, skarbie... daj mi jakiś znak. Dowolny.

Cisza dudniła jej w uszach.

– Mama czeka na zewnątrz. – W świetle latarki zobaczyła skalny próg pod ścianą, który tak dobrze pamiętała. Niemal oczekiwała, że zaraz zobaczy też przemoczony karton ze szczeniakami. Woda sięgała jej kolan. Dlaczego Livia nie odpowiada? Chciało jej się krzyknąć z rozpacz.

I wtedy słyszała cichy głosik:

Może ja spróbuję?

Zgasła latarkę.

Zapał ją! – krzyknęła niespokojnie Scamp. – Słuchaj, jeśli natychmiast jej nie zapalisz, zacznę wrzeszczeć, a to będzie straszne dla wszystkich. Pozwolisz, że zaprezentuję...

– Nie, Scamp., Niczego nie prezentuj! – Annie starała się nie myśleć, że być może odgrywa kukielkowe przedstawienie dla martwego dziecka. – Wyłączyłam latarkę, żeby oszczędzać baterię.

Oszczędzać to sobie możesz co innego – burknęła Scamp. – Nie wiem, ciasteczka albo lizaki, albo czerwoną kredkę. Ale my z Liv chcemy mieć światło, prawda, Liv?

Nad wodą rozległ się cichutki, stłumiony szloch.

Annie odczuła tak wielką ulgę, że z trudem wykrzesła z siebie głos Scamp.

No widzisz! Livia się zgadza! Livia, nie słuchaj Annie. Ma dzisiaj zły humor. A teraz proszę, zapal światło.

Annie włączyła latarkę i weszła dalej w głąb jaskini. Rozpaczliwie rozglądała się dokoła, licząc, że dostrzeże jakikolwiek ruch.

– Wcale nie mam złego humoru, Scamp – odparła swoim własnym głosem. – A kiedy padnie bateria, nie miej do mnie pretensji.

My z Liv wyjdziemy stąd na długo przed tym, nim padnie twoja głupia bateria – oznajmiła Scamp.

– Nie wolno ci używać słowa: głupia – zauważyła Annie, ciągle roztrzęsionym głosem. – To niegrzeczne, prawda, Livio?

Cisza.

Przepraszam – mruknęła Scamp. – Jestem niegrzeczna, bo się boję. Rozumiesz mnie, prawda, Livio?

Kolejne stłumione westchnienie, gdzieś z głębi jaskini. Annie przesunęła latarkę w prawo i zobaczyła wąską półkę skalną, tuż nad powierzchnią wody. Znikała za wystającym głazem. Czyżby Livia doszła aż tam?

Strasznie tu ciemno – marudziła kukielka. – A to znaczy, że się boję, więc zaśpiewam piosenkę, żeby dodać sobie otuchy. Zatytułuję ją Siedząc w ciemnej jaskini. Autorką jestem ja, Scamp.

Annie weszła w wodę po uda, a Scamp śpiewała:

Siedziałam w jaskini pośród skał...

Łał...łał... łał...

Na skalnym progu pajak stał...

Łał... łał... łał...

Było jej tak zimno, że traciła czucie w nogach.

Ten pajak też się strasznie bał...

Łał... łał... łał...

Wyrzała zza wystającego głazu i na szczęście ujrzała drobną postać skuloną na skalnej półce. Miała ochotę podbiec do niej i porwać ją na ręce, zamiast tego jednak cofnęła się i skierowała światło latarki w ciemną wodę.

Annie – zaczęła Scamp. – Cały czas się boję. Chciałabym zobaczyć Livię. Przy Livii poczuję się lepiej.

– Rozumiem cię, Scamp – odparła. – Ale... nigdzie jej nie widzę.

To szukaj! Chciałabym pogadać z dzieckiem, nie z dorosłym! Livia! – Scamp denerwowała się coraz bardziej. – Livia to moja przyjaciółka, a przyjaciele pomagają sobie nawzajem, kiedy jedno z nich się boi. – Zaczęła płakać cichutko. – Dlaczego nie chce mi powiedzieć, gdzie jest?

Fala zalała nogi Annie, jaskinia musnęła ją lodowatymi palcami.

Scamp płakała coraz głośniej, szlochała histerycznie. Aż nad wodą rozległy się cichutkie słowa:

– Tu jestem...

Rozdział 21

Annie jeszcze nigdy nie słyszała równie cudownych słów. „Tutaj jestem”... Nie może tego zepsuć...

Livia – szepnęła Scamp. – To naprawdę ty?

– Mhm.

Myślałam, że jestem tu sama, tylko z Annie.

– Ja też tu jestem. – Nowo odzyskany głosik Livii był trochę zachrypnięty od długiego milczenia.

Od razu mi lepiej. – Scamp pociągnęła nosem. – Boisz się?

– Mhm.

Ja też. Dobrze, że nie jestem sama.

– Nie jesteś. – Mówiła niewyraźnie, aż Annie ścisnęło się serce.

Chcesz tu jeszcze posiedzieć czy już pójdziemy? – zapytała Scamp.

Długa cisza.

– Nie wiem.

Annie zdobyła się na cierpliwość i czekała. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność.

– Scamp? – odezwała się w końcu Livia. – Jesteś tu jeszcze?

Jestem i myślę – mruknęła Scamp. – I tak sobie myślę, że powinnaś pogadać o tym z kimś dorosłym. Może wyślę do ciebie Annie?

Annie czekała, pełna obaw, że posunęła się za daleko. Ale Livia odpowiedziała cichutko:

– Dobrze.

Annie! – zawołała Scamp. – Chodź tutaj, dobrze? Livia chce z tobą porozmawiać. Livia, jest mi bardzo zimno, uciekam na gorącą czekoladę. I ogóreczki kwaszone. Później pogadamy.

Annie obeszła skałę, przerażona, że na jej widok Livia znowu zaniemówi. Mała siedziała z podkulonymi nogami i zwieszoną główką. Włosy zasłaniały jej twarz.

Annie nie była pewna, czy Jaycie słyszała, że Livia jest bezpieczna, ale wolała nie krzyknąć, żeby nie spłoszyć małej.

– Cześć, młoda – zagadnęła.

Livia w końcu podniosła główkę.

Co skłoniło dziecko, które boi się w ciemności, by weszło tak daleko? Tylko coś, co przeraziło ją jeszcze bardziej. Ale kiedy Annie widziała ją na plaży, Livia nie była przerażona, tylko rozbrykana. A zatem coś wydarzyło się później, gdy zjawił

się Theo...

I wtedy zrozumiała.

Zęby jej szczękały, półka była zbyt wąska, by oprzeć się wygodnie, ale przysiadła na niej. Najdelikatniej jak umiała, otoczyła małą ramieniem. Livia pachniała oceanem, dziecięcym potem i szamponem.

– Wiesz, że Scamp jest na mnie wściekła? – spytała.

Livia pokręciła głową.

Annie czekała, nie zwracała uwagi na kamień, który boleśnie wpijał jej się w plecy. Tuliła Livię do siebie i niczego nie tłumaczyła.

W końcu poczuła, jak poruszają się usta Livii.

– Co zrobiłaś?

Ten głos! Ten cudowny, cichy głosik.

– Scamp powiedziała, że weszłaś tutaj, bo słyszałaś, jak kłócimy się z Theo. Dlatego jest na mnie taka zła. Bo kłóciliśmy się przy tobie, a ty się boisz, kiedy dorośli się kłócą.

Ledwie wyczuwalne skinienie główką.

– To przez to, jak twój tatuś krzywdził mamusię i to, jak umarł. – Annie wygłosiła fakt, starając się, by w jej głosie nie było wahania.

– Bałam się. – Ciche siąpięcie nosem.

– No jasne, że się bałaś. Ja też bym się bała. Scamp chciała, że bym ci wyjaśniła, że to, że dorośli się kłócą, wcale nie oznacza, że na pewno stanie się coś złego. Na przykład ja i Theo często się kłócimy. Lubimy się kłócić, ale nigdy w życiu nie zrobilibyśmy sobie krzywdy.

Livia przechyliła główkę. Słuchała uważnie.

Annie mogła wziąć ją na ręce i wynieść, ale wahała się. Co jeszcze może zrobić, żeby naprawić wyrządzone szkody? Dotknęła kciukiem jej policzka.

– Ludzie czasami się kłócą. I dzieci, i dorośli. Na przykład ja pokłóciłam się dzisiaj z twoją mamą. To była moja wina i zaraz ją przeproszę.

– Pokłóciłaś się z mamusią? – zapytała Livia.

– Tak, pomyliłam się. Ale wiesz co, Livio? Nie możesz się bać, ilekroć ktoś się kłóci, bo ludzie często to robią, a chyba nie chcesz ciągle się bać.

– Ale Theo mówił bardzo głośno.

– Ja też. Byłam na niego bardzo zła.

– Mogłaś do niego strzelić z pistoletu – zauważyła Livia, szukając rozwiązania zbyt dla niej skomplikowanej sytuacji.

– Och nie, nie mogłabym. – Annie szukała innego wyjścia. Zawahała się. – Mogę ci powiedzieć supersekret?

– Mhm.

Annie oparła podbródek o głowę dziewczynki.

– Kocham Theo – szepnęła. – A nie pokochałabym kogoś, kto chciałby mnie skrzywdzić. Co nie znaczy, że nie zdarza mi się na niego złościć.

– Kochasz Theo?

– To supersekret, pamiętasz?

– Pamiętam. – Cudowny odgłos jej oddechu huczał Annie w uszach. Mała poruszyła się. – Ja też mogę mieć supersekret?

– Jasne. – Annie bała się tego, co usłyszy.

Livia pochyliła głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Nie podobała mi się piosenka Scamp.

Annie roześmiała się i pocałowała ją w czoło.

– Nie powiemy jej tego.

Radość matki i córki doprowadziłaby Annie do łez wzruszenia, gdyby nie to, że trzęsła się z zimna. Theo postawił ją w plamie bladego zimowego słońca i oglądał jej rany. Stała przed nim w koszulce i majteczkach, w wełnianych skarpetkach, które smętnie układały się wokół kostek jak dziwaczne origami. Kiedy podawała mu Livię przez szczelinę, zorientowała się, że jej dżinsy nasiąkły wodą i utrudnią jej powrót na powierzchnię, więc musiała je ściągnąć.

Theo obejrzał długą krwawą pręgę na jej brzuchu, spojrział na inne zadrapania. Prawą ręką trzymał ją za pośladki, jakby się bał, że się odsunie, choć nie miała takiego zamiaru.

– Cała jesteś podrapana – stwierdził. – Zdjął kurtkę, narzucił jej na ramiona. – Przysięgam na Boga, że postarzałem się o dziesięć lat, odkąd tam weszłaś. – Przyciągnął ją do siebie, do swojej piersi. Nie miała nic przeciwko temu.

Jaycie z wdzięczności zapomniała, że jest zła na Annie. W końcu oderwała się od Livii na tyle, by wyszeptać:

– Nigdy ci się nie odwdzięczę.

Annie na darmo usiłowała zapanować nad szczękaniami zębów.

– Możesz nie mieć na to ochoty... kiedy się dowiesz, dlaczego Livia... weszła do jaskini. – Niechętnie wysunęła się z bezpiecznych objęć Theo, żeby podejść do Jaycie i Livii, ale zaraz ruszył za nią.

– Później porozmawiasz z Jaycie – zdecydował. – Teraz musisz się rozgrzać.

– Zaraz. – Jaycie siedziała w załomie skalnym, z córką na kolanach. Obie okrywała kurtka Annie. Annie spojrziała na Livię.

– Liv, boję się, że coś popłaczę, więc musisz sama powiedzieć to mamie.

Jaycie, która nie słyszała córki mówiącej w jaskini, była całkiem zbita z tropu. Livia wtuliła buzię w jej pierś.

– Już dobrze – zapewniła Annie. – Możesz jej powiedzieć. – Pytanie, czy to

zrobi. Teraz, poza jaskinią? Czy Livia nadal będzie chciała mówić? Annie ciaśniej otuliła się kurtką i czekała, liczyła, miała nadzieję...

I w końcu cichutkie, stłumione słowa z buzi wtulonej w matczyną pierś:

– Bałam się.

Jaycie głośno zaczerpnęła tchu. Dotknęła policzka córki, z niedowierzaniem spojrzała jej w oczy.

– Liv...

– Bo Annie i Theo się kłócili – odparła Livia. – Bałam się.

Theo zaklął, tyleż siarczyście, co cicho.

– O Boże... – Jaycie ponownie chwyciła córkę w objęcia.

Łzy radości w oczach Jaycie kazały Annie podejrzewać, że do przyjaciółki jeszcze nie w pełni dotarły słowa Livii, na razie oszałamiał ją sam fakt, że mała mówi. Teraz, na tej fali uczuć, warto zdrapać strup, który zasklepił ranę przeszłości i uporać się z dawną traumą.

Annie czerpała odwagę z bliskości Theo, który ogrzewał ją swoim ciałem.

– Jaycie, może tego nie wiesz, ale kiedy Livia słyszy, jak dorośli się kłócą, przypominają jej się kłótnie twoje i jej taty.

Radość Jaycie zniknęła. Boleśnie skrzywiła usta, ale Annie nie dawała za wygraną.

– Kiedy usłyszała, jak kłócę się z Theo, przeraziła się, że go zastrzele, więc ukryła się w jaskini.

– Liv, Annie nigdy by tego nie zrobiła – zapewnił Theo z przejęciem.

Jaycie odruchowo zasłoniła małe ucho, symbolicznie chroniąc ją przed tą rozmową. Grymas wokół ust zdradzał, że wdzięczność wobec Annie rozplywała się błyskawicznie.

– Nie ma potrzeby o tym rozmawiać.

– Livia ma taką potrzebę – zauważyła Annie.

– Posłuchaj Annie – dodał Theo z nietypową u niego wiarą. – Ona wszystko rozumie.

Livia odruchowo pokręciła głową. Theo ścisnął Annie za ramiona. Jego wsparcie tyle dla niej znaczyło.

– Rozmawialiśmy z Livią i Scamp o tym, jak bardzo się bała ojca – ciągnęła Annie. – I o tym, że go zastrzeliłaś, choć wcale nie miałaś tego zamiaru. – Chłód sprawił, że nie słuchała podszeptów rozsądku. – Niewykluczone nawet, że Livia cieszy się troszeczkę, że to zrobiłaś. Bo Scamp na pewno. I o tym też Livia musi z tobą pogadać.

– Scamp? – zdziwiła się Jaycie.

– Scamp też jest dzieckiem – wyjaśniła Annie – i wie o Livii rzeczy, których dorośli czasami nie zauważają.

Jaycie była nie tyle zła, co zagubiona. Daremnie wpatrywała się w buzię córki, starając się zrozumieć. Jej bezradność uświadamiała Annie, że Jaycie ucierpiała tak samo jak Livia.

Z braku psychoterapeuty musi im wystarczyć niewydarzona aktorka, której liczne szkolenia dały jakie takie zrozumienie motywów kierujących ludźmi. Annie lekko oparła się o Theo, nie dlatego, że nie mogła iść sama; po prostu czerpała z niego otuchę.

– Scamp też chciałaby co nieco zrozumieć – odparła. – Może jutro usiądziemy sobie wszystkie razem i pogadamy. – Annie nie zapominała, że jej dni na Peregrine są policzone.

– Tak, tak, chcę zobaczyć Scamp! – W głosie Livii był entuzjazm, którego zabrakło w słowach jej matki.

– Superpomysł – przyznał Theo. – Ale teraz chyba wszyscy muszą się ogrzać. Livia doszła do siebie najszybciej. Zsunęła się z kolan matki.

– Pokażesz mi te muszelki do mojego domku dla elfów? – zwróciła się do Theo.

– Jasne. Ale najpierw muszę zająć się Annie. – Przechylił głowę i spojrzął na urwisko. – Wziąć cię na barana?

Livia pokonała drogę na górę na jego plecach.

Kiedy w końcu wrócili z Theo do małego domku, napełnił wodą wannę, która już do niej nie należała, i zostawił ją samą. Na całym ciele miała obtarcia i zadrapania i skrzywiła się, wchodząc do gorącej wody, ale po długiej kąpieli w końcu było jej ciepło. Theo też założył suche ciuchy – dżinsy z dziurą na kolanie i bluzę, którą Jaycie wyprała w za ciepłej wodzie, przez co bluzka zrobiła się bardzo obcisła – on tego nie lubił, za to Annie owszem. Opatrzył jej rany, fachowo i bezosobowo. W ciągu zaledwie jednego dnia tak wiele się zmieniło. Straciła domek, oskarżyła Boga ducha winną kobietę, odkryła swoje korzenie i pomogła ocalić małą dziewczynkę. A do tego wszystkiego w pełni sobie uświadomiła, jak bardzo kocha mężczyznę, którego nie może mieć.

Zrobił im na kolację grzanki z serem. Kiedy krzątał się w kuchni, zegar w jej głowie odmierzał chwile, której jej jeszcze z nim zostały.

– Dzwoniłem do Elliotta – zaczął. – Kiedy tylko dowiedziałem się, że podstępem zwabiono cię na łąd.

Ciaśniej otuliła się szlafrokiem.

– Niech zgadnę. Cynthia już wiedziała, dzięki Lisie McKinley, i otwierała szampana.

– Prawie trafiłaś. Lisa owszem, dzwoniła, ale nie było powodów do świętowania.

– Czyżby? Nie wierzę, że Cynthia nie zaplanowała już, jak na miejscu mojego

domku zbuduje nowe Stonehenge.

– Chciałem go namówić do zmiany zdania. Zagrozić mu. Zrobić, co w mojej mocy, byś mogła tu zostać, jak długo zechcesz. Ale jak się okazało, Elliott dokonał pewnej modyfikacji, o której żadne z nas nie miało zielonego pojęcia.

– Jakiej modyfikacji?

– Domek nie wraca w ręce rodziny Harpów. – Zostawił grzanki i skoncentrował się na niej. – Nieruchomość przechodzi na własność Zarządu Wyspy Peregrine.

Przyglądała mu się pustym wzrokiem.

– Nie rozumiem.

Wrócił wzrokiem do patelni, z niepotrzebną energią odwrócił skwierczące grzanki.

– Rzecz w tym, że straciłaś domek. Nie masz pojęcia, jak bardzo mi przykro.

– Ale dlaczego zmienił ten punkt umowy?

– Nie wiem dokładnie, Cynthia była z nim w gabinecie, ale wydaje mi się, że nie był zachwycony tym, co tu nawyrabiała. Chciał, żeby domek został w takim stanie, jak jest, więc zamiast się z nią kłócić, poszedł do prawnika i zmienił warunki umowy.

Kręciło jej się w głowie.

– Mariah nigdy o tym nie wspominała.

– Nie wiedziała. Podobno nie wiedział nikt, poza zarządem.

W tej chwili usłyszeli warkot silnika. Podał jej łopatkę.

– Miej na nie oko.

Theo podszedł do drzwi, a ona usiłowała to wszystko zrozumieć, połapać się w plątaniu wątków, zanim jednak jej się to udało, usłyszała nieznajomy męski głos, a Theo zajrzał do kuchni.

– Muszę lecieć. Znowu ktoś zachorował. Chyba już nie musisz obawiać się intruzów, ale na wszelki wypadek zamknij drzwi na klucz.

Po jego wyjściu usiadła przy stole z serową grzanką. Była pyszna, z ostrym cheddarem i odrobiną jej ulubionej musztardy, ale czuła się zbyt zmęczona, by jeść albo myśleć. Musiała się przespać.

Następnego ranka w pełni odzyskała jasność myślenia. Miała do dyspozycji samochód Jaycie, więc pojechała do miasteczka. Brudne pikapy pod domem Barbary Rose oznaczały, że poniedziałkowe spotkanie szydełkowe trwa w najlepsze. Zanim Annie wczoraj zasnęła, miała mnóstwo czasu do namysłu. Weszła do środka bez pukania.

Salonik wypełniały tapicerskie meble i porcelanowe bibeloty. Na ścianach wisiały amatorskie pejzaże marynistyczne i oczywiście porcelanowe talerze. Na stołach, szafkach i stoliczkach aż roilo się od rodzinnych fotografii: Lisa nad tortem urodzinowym, Lisa i jej brat pod choinką. Niezliczone zdjęcia wnucząt.

Barbara zarządzała swoim królestwem ze złotobrazowego fotela na biegunach. Judy i Louise Nelson siedziały na kanapie. Naomi, która o tej porze powinna właściwie być na morzu, zajmowała całą sofkę przy oknie. Marie, skwaszona jak zawsze, siedziała w fotelu naprzeciwko Tildy, która zmieniła modne ciuchy na bezkształtny dres. Żadna nie szydełkowała.

Barbara tak energicznie poderwała się z miejsca, że fotel na biegunach uderzył o ścianę, aż zadrżał porcelanowy talerz z fotografią szczeniaka labradora.

– Annie! Co za niespodzianka! Pewnie słyszałaś o Phyllis Bakely.

– Ani słowa.

– Miała wczoraj wylew – poinformowała Tildy. – Ben, jej mąż, zabrał ją na stały ląd. Theo popłynął z nimi.

A więc dlatego nie wrócił do domku. Ale Annie nie przyjechała tu po niego. Po kolei przyglądała się wszystkim zgromadzonym, nie spiesząc się, aż w końcu zadała pytanie, z którym tu przyjechała:

– Która z was do mnie strzelała?

Rozdział 22

Z piersi zebranych wyrwało się zbiorowe westchnienie. Louise pochyliła się lekko do przodu, jakby obawiała się, że stare uszy czegoś nie dosłyszały. Judy jęknęła nerwowo, Barbara zeszytniała, Naomi zacisnęła usta, Tildy splotła dłonie na kolanach. Marie najszybciej doszła do siebie. Wydęła usta, zmrużyła małe oczka.

– Nie mamy pojęcia, o co ci chodzi.

– Czyżby? – Annie weszła do pokoju, nie przejmując się tym, że butami brudzi dywan. – Ciekawe, że jakoś w to nie wierzę.

Barbara sięgnęła po kłębek włóczki z torebki stojącej przy jej fotelu i ponownie usiadła.

– Annie, chyba lepiej, żebyś już poszła. To zrozumiałe, że ostatnie wydarzenia bardzo cię obeszły, ale nie ma powodu, żeby...

Annie nie dała jej dokończyć.

– Obeszły to mało powiedziane.

– No wiesz, Annie! – Tildy nadęła się oburzona.

Annie odwróciła się do Barbary, która z przejęciem szukała czegoś w torbie z włóczką.

– Jesteś członkiem zarządu wyspy, ale oprócz ciebie jest jeszcze sześciu innych. Wiedzą, co zrobiliście?

Maria wyjęła druty z torby.

– Nie masz prawa wpadać tu bez zaproszenia i zarzucać nam nie wiadomo co. Powinnaś już iść.

– Właśnie o to wam chodziło, od samego początku – dodała Annie. – Żebym poszła. Wyjechała. A ty, Barbaro... Udawałaś, że chcesz się ze mną zaprzyjaźnić, podczas gdy tak naprawdę chciałaś się mnie pozbyć.

Druty w rękach Barbary poruszały się coraz szybciej.

– Niczego nie udawałam. Bardzo cię lubię.

– No jasne. – Annie weszła dalej. Chciała im dać jasno do zrozumienia, że nie ma zamiaru wyjść. Rozglądała się dokoła, szukając najslabszego ogniwa i je znalazła. – A twoje wnuki, Judy? Jak będziesz w stanie spojrzeć w oczy tego maluszka, którego Theo przyjął na świat, wiedząc, co zrobiłaś?

– Nie słuchaj jej, Judy. – W głosie Tildy pojawiły się desperackie nuty.

Annie wpatrywała się w Judy Kester; wściekle rude włosy, pogodne usposobienie, wrodzona szczerłość.

– A wasze pozostałe wnuki? Naprawdę łudzicie się, że nigdy się o tym nie dowiedzą? Piękny dajecie przykład. Uczycie ich, że cel uświęca środki, że można krzywdzić ludzi na prawo i lewo, byle postawić na swoim.

Żywiołem Judy był śmiech, nie konfrontacja. Ukryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać, aż srebrne krzyżyki w jej uszach kołysały się lekko.

Annie jak przez mgłę słyszała zgrzyt otwieranych drzwi, ale nie przerywała.

– Judy, chodzisz do kościoła. Jak możesz uważać się za chrześcijankę po tym, co mi zrobiłaś? – Rozejrzała się po pozostałych. – Co wszystkie mi zrobiłyście.

Tildy nerwowo bawiła się obrączką.

– Nie wiem, co twoim zdaniem zrobiłyśmy... – Głos jej zadrżał. – Ale jesteś w błędzie.

– Nieprawda i wszystkie dobrze o tym wiemy. – Annie czuła za sobą Theo. Nie widziała go, ale wiedziała, że to on wszedł.

– Niczego nam nie udowodnisz. – Pewność siebie w głosie Marie brzmiała fałszywie.

– Daj już spokój, Marie – rzuciła Judy z nietypową u niej agresją. – To ciągnie się już za długo. Zdecydowanie za długo.

– Judy... – W głosie Naomi pojawiły się ostrzegawcze nuty. Jednocześnie ciasno skrzyżowała ręce na piersi, jakby chciała się przed czymś osłonić.

Louise po raz pierwszy zabrała głos. W wieku osiemdziesięciu trzech lat garbiła się nieco, ale głowę dumnie unosiła do góry.

– To był mój pomysł. Tylko mój. Ja to zrobiłam. One chcą mnie tylko chronić.

– Jakie to szlachetne – wycedziła Annie.

Theo stanął u jej boku. Choć nieogolony i niestarannie ubrany, emanował elegancją, która przykuwała uwagę wszystkich:

– Nie, Louise, sama nie zdemolowałaś domku – zauważył. – I wybac, że to powiem, ale nie trafiłabyś nawet w szopę.

– Niczego nie zepsułyśmy! – krzyknęła Judy. – Bardzo na to uważałyśmy!

– Judy!

– No, ale tak było! – rzuciła obronnym głosem.

Przegrały i dobrze o tym wiedziały. Annie widziała to w ich twarzach. Pokonało je sumienie Judy – i może także ich własne. Naomi zwiesiła głowę, Barbara odłożyła druty i włóczkę, Louise z powrotem opadła na kanapę. Tildy zasłoniła usta dłonią. Tylko Maria siedziała z groźną miną jakby to miało cokolwiek zmienić.

– Prawda wreszcie wychodzi na jaw – mruknęła Annie. – Która powiesiła kukielkę? – Wizja Crumpet pod sufitem ciągle nie dawała jej spokoju. Nieważne, lalka czy nie, Crumpet była jej częścią.

Judy spojrzała na Tildy, która nerwowo drapała się po policzku.

– Widziałam to na filmie – powiedziała cicho. – Przecież kukielce nic się nie stało.

Czuła za plecami silne ramię Theo.

– Teraz ważniejsze pytanie: która z was do niej strzelała?

Odpowiedziała mu cisza, więc Theo zmierzył zimnym wzrokiem kobietę na bujanym fotelu.

– Barbaro, może ty mi odpowiesz?

Barbara zacisnęła dłonie na oparciu.

– Oczywiście, że ja. Nie myślisz chyba, że pozwoliłabym, by kto inny ryzykował jej życiem? – Spojrzała błagalnie na Annie. – Ani przez chwilę nic ci nie groziło. Jestem jednym z najlepszych strzelców na całym północnym wschodzie. Zdobyłam wiele medali.

– Szkoda, że Annie wcześniej o tym nie wiedziała – syknął Theo lodowatym tonem.

Judy szukała chusteczki w torebce.

– Wiedzialiśmy, że to, co robimy, jest złe. Od samego początku.

Marie pociągnęła nosem, jakby jej zdaniem wcale nie robiły niczego złego, ale Tildy zsunęła się na skraj krzesła.

– Nie możemy stracić rodzin. Dzieci i wnuków.

– Nie mogę stracić syna. – Powykręcane dłonie Louise zacisnęły się na lasce. – Został mi już tylko on, a jeśli Galeann namówi go na wyjazd...

– Domyślam się, że tego nie rozumiesz – wtrąciła się Naomi. – Tu nie chodzi tylko o nasze rodziny, tu chodzi o przyszłość Peregrine, o to, czy uda nam się przetrwać.

Na Theo nie zrobiło to wrażenia.

– Powiedz nam w takim razie, dlaczego domek Annie był dla was tak ważny, że aby go zdobyć, osiem kobiet posunęło się do przestępstwa.

– Bo muszą mieć nową szkołę – odparła Annie.

Theo zaklął pod nosem.

Judy szlochała w pogniecioną chusteczkę, Barbara odwróciła wzrok. Pałeczkę przejęła kapitan Naomi.

– Nie mamy pieniędzy, by wybudować nową szkołę, a bez niej stracimy młodych. Nie możemy do tego dopuścić.

Barbara z trudem wzięła się w garść.

– Póki nie spłonęła szkoła, młodsze kobiety nie wspominały tak często o wyjeździe. Ale lekcje w przyczepie to koszmar. Lisa mówi już tylko o przeprowadzce.

– I zabranii stąd dzieci – dokończyła Annie.

Maria spokorniała.

– Kiedyś zrozumiesz, jakie to uczucie.

Barbara wzrokiem błagała o wybaczenie.

– Ten domek jest nam potrzebny. Nie ma drugiej takiej posiadłości na wyspie.

– Nie działaliśmy pod wpływem impulsu. – Tildy mówiła z rozpaczliwym entuzjazmem, jakby liczyła, że Annie przyzna jej rację. – Z tego domku rozciąga się fantastyczny widok. W lecie, w sezonie, możemy znowu urządzać tam letnisko i wynajmować go turystom.

– Na wyspie jest za mało przyzwoitych kwater – dodała Naomi. – A pieniądze z wynajmu pozwolą nam bez problemów utrzymać szkołę w ciągu roku, co do tej pory zawsze było bardzo trudne.

Louise skinęła głową.

– Dzięki nim naprawimy drogę, żeby dojazd był łatwiejszy.

Na dochód z wynajmu Annie nie mogła liczyć, bo w umowie Mariah z Elliottem było to zakazane. Zapewne wobec miejscowej społeczności był bardziej wielkoduszny.

Typowa dla Naomi władczość ustąpiła błagalnej nucie.

– Musiałyśmy to zrobić. Chodziło o wyższą sprawę.

– Na pewno nie o sprawę Annie – burknął Theo. Rozsunął poły kurtki i wziął się pod boki. – Wiecie chyba, że pójdzie z tym na policję.

Judy wytarła nos.

– Mówiłam, że tak będzie. Od samego początku mówiłam, że skończymy za kratkami.

– Wyprzemy się wszystkiego – orzekła Marie. – Nie ma żadnych dowodów.

– Nie donoś na nas, Annie – poprosiła Tildy. – To nas zniszczy. Stracę sklep.

– Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć – zauważył Theo.

– Jeśli to się wyda... – zaczęła Louise.

– Kiedy to się wyda – poprawił Theo. – Jesteście w sytuacji bez wyjścia, zdajecie sobie chyba z tego sprawę?

Marie siedziała sztywno wyprostowana, ale z jej oczu płynęły łzy. Pozostałe kobiety opadły na krzesła, brały się za ręce, ukrywały twarze w chusteczkach. Wiedziały, że poniosły klęskę.

Barbara nagle postarzała się o dziesięć lat.

– Naprawimy to, Annie. Błagam cię, nikomu nie mów. Naprawimy. Załatwimy wszystko tak, żebyś mogła zachować domek. Obiecay tylko, że nikomu nie powiesz.

– Annie nie może wam niczego obiecać – wycedził Theo.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do domu wpadły dwie rudowłose dziewczynki. Przebiegły przez pokój i rzuciły się babci na szyję.

– Babciu, babciu, pan Miller się rozchorował i zwymiotował! To było fuj!

– Nikt nie mógł go zastąpić! – dodała młodsza. – No i wszyscy poszli do domu, a mamusia pojechała do Jaycie, a my przyszliśmy do ciebie.

Barbara objęła wnuczki i Annie widziała łzy płynące po jej upudrowanych policzkach. Theo także. Spojrzał na Annie z ukosa i objął ją ramieniem.

– Chodźmy stąd.

Jego samochód blokował jej wyjazd.

– Jak się domyśliłaś? – zapytał, gdy schodzili z werandy.

– Kobiety punkt widzenia. Kiedy powiedziałeś o zmianie w zapisie, wiedziałam, że to one.

– Zdajesz sobie sprawę, że masz je w garści, prawda? Odzyskasz domek. Westchnęła.

– Na to wygląda.

Słyszał brak entuzjazmu w jej głosie.

– Annie, nie rób tego.

– Czego?

– Tego, o czym myślisz.

– Skąd wiesz, o czym myślę?

– Znam cię. Chcesz im odpuścić.

– Nie tyle odpuścić... – Zapięła kurtkę. – Tylko iść dalej. Wyspa... wyspa nie jest dla mnie dobra. – Ani ty. Bo chcę wszystkiego, a ty mi tego nie dasz.

– Wyspa robi ci doskonale – sprzeciwił się. – Nie tylko przeżyłaś tę zimę, ty tu rozkwitłaś.

W pewnym sensie miał rację. Pomyślała o Księdze Marzeń, o tym, że po przyjeździe wydawała się jej, chorej i załamanej, symbolem klęski – namacalnym dowodem wszystkiego, czego nie udało jej się osiągnąć. Ale jej podejście zmieniło się niepostrzeżenie. Fakt, kariera sceniczna, o której dawniej marzyła, nie była jej pisana, ale dzięki niej mała niema dziewczynka odzyskała głos, a to już coś.

– Pojedźmy na farmę – zaproponował. – Chcę obejrzeć nowy dach.

Pamiętała, co się wydarzyło, gdy byli tam ostatnio i nie kukielki słyszała w głowie, tylko instynkt samozachowawczy.

– Słońce już wstało – powiedziała. – Chodźmy na spacer.

Nie protestował. Szli razem zarośniętym podjazdem. Wszystkie kutry już o świcie wypłynęły w morze, więc w porcie kołysały się tylko boje. Annie grała na zwłokę.

– Jak twoja pacjentka?

– Zdążyliśmy. Czeka ją rehabilitacja, ale powinna wrócić do formy. – Żwir

chręścił im pod nogami, gdy złapał ją za łokieć i pociągnął na drugą stronę drogi.
– Zanim wyjadę, dopilnuję żeby kilka osób zaczęło szkolenie ratownika medycznego. Nie powinni zostać bez jakiegokolwiek wsparcia.

– Szkoda, że sami o tym wcześniej nie pomyśleli.

– Każde z osobna bało się odpowiedzialności, ale kiedy przeszkolą się razem, będą mogli sobie pomagać. – Złapał ją za rękę i przytrzymał, gdy wymijali wielką dziurę w drodze. Ledwie ją obeszli, cofnęła dłoń, udając, że naciąga rękawiczkę. Theo zatrzymał się i patrzył na nią z poważną miną. – Nie pojmuję tego. Nie mieści mi się w głowie, że chcesz zostawić domek i wyjechać.

Jakim cudem tak dobrze ją znał? Jak nikt. Znowu zacznie wyprowadzać psy na spacer, wróci do kawiarni, zacznie szukać zleceń na pokazy kukielkowe. Jednego tylko już nie zrobi – nie pójdzie na żaden casting. Livia natchnęła ją nowym pomysłem, planem, który rodził się tak powoli, że niemal tego nie zauważała.

– Nic mnie tu nie trzyma – odparła.

Minął ich samochód terenowy ze źle ustawionym tłumikiem i naderwanym zderzakiem.

– Jak to nie? – zdziwił się. – Domek jest twój. W tej chwili te kobiety łamią sobie głowy, kombinując, jak ci go oddać w zamian za twoje milczenie. Nic się nie zmieniło.

Nieprawda, wszystko się zmieniło. Zakochała się w tym mężczyźnie i nie wyobrażała sobie, że dalej mieszka w domku, widuje go codziennie, kocha się z nim co noc. Musiała zerwać opatrunek. I pójść. Dokąd? Nieważne, jest już zdrowa, coś wymyśli.

Szli w stronę nabrzeża. Widziała amerykańską flagę, trzepoczącą na maszcie w porcie. Minęła stertę pułapek na homary i weszła na nabrzeże.

– Nie mogę tego odwlekać w nieskończoność. Domek od początku był tylko przejściowym pomysłem. Czas, żebym wróciła do dawnego życia na Manhattanie.

– Nadal nie masz pieniędzy – zauważył. – Z czego będziesz żyła?

Najprościej byłoby sprzedać jeden ze szkiców Garra, ale tego nie robi. Nie, najpierw obdzwoni klientów, którym wyprowadzała psy. Zawsze gdzieś podróżują. Już nieraz pilnowała im domów. Przy odrobinie szczęścia ktoś będzie potrzebował opiekunki do zwierząt na czas wyjazdu. A jeśli to nie wypali, właściciel kafejki na pewno znowu pozwoli jej spać na materacu na zapleczu. Była fizycznie i psychicznie w lepszej formie niż pięć tygodni wcześniej. Coś wymyśli.

– Dostanę trochę gotówki z komisji – przypomniała. – Więc nie jestem tak całkiem bez grosza. A teraz, gdy już jestem zdrowa, mogę wracać do pracy.

Minęli łańcuch przykuty do granitowego głazu. Theo pochylił się, podniósł kamyczek.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała.

– Nie? – rzuciła lekko, jakby nie powiedział niczego ważnego, ale spięła się cała w oczekiwaniu na jego odpowiedź.

Cisnął kamień do wody.

– Jeśli nie chcesz mieszkać w domku, póki szanowne staruszki nie odplączą tego, co zmajstrowały, możesz zamieszkać w domu Harpów. Elliott i Cynthia zjawią się dopiero w sierpniu, a ty do tego czasu wrócisz tam, gdzie twoje miejsce.

Przemawiał przez niego Theo opiekun, i tyle, a jej miejsce jest w mieście, w jej dawnym życiu. Flaga trzepotała na wietrze. Zmrużyła oczy, wpatrzona w morze, w którym odbijało się słońce. Ta zima na wyspie pozwoliła jej odzyskać siły. Teraz widziała siebie w innym świetle, wiedziała, gdzie już była i dokąd chciała podążać.

– W mieście czekają cię same niewiadome – ciągnął Theo. – Powinnaś zostać tutaj.

– Żebyś mógł nade mną czuwać? O, nie.

Wbił ręce w kieszenie kurtki.

– W twoich ustach brzmi to jak obelga. Jesteśmy przyjaciółmi. Jesteś chyba najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałem.

Mało brakowało, a skrzywiłaby się, ale przecież nie mogła się na niego złościć o to, że jej nie kocha. Tego nie było w kartach. Jeśli Theo jeszcze się kiedyś zakocha, to nie w niej, nie w kobiecie tak mocno związanej z jego przeszłością.

Musiała położyć temu kres, tu i teraz. Powiedziała najspokojniejszym głosem, na jaki było ją stać:

– Jesteśmy kochankami – zauważyła. – A to o wiele bardziej skomplikowane niż przyjaźń.

Cisnął do wody kolejny kamień.

– Wcale nie musi tak być.

– Nasz związek od początku był krótkotrwały i chyba właśnie formuła się wyczerpała.

Wydawał się raczej zły niż załamany.

– Mówisz o tym jak o zabawie.

Musiała to dobrze rozegrać. Z jednej strony zależało jej, żeby się uwolnić, z drugiej – nie chciała budzić w nim wyrzutów sumienia i poczucia obowiązku, które w jego przypadku wiecznie czały się tuż pod powierzchnią.

– Bez przesady – mruknęła. – Jesteś boski. Bogaty i bystry. I seksowny. I bogaty, o ile jeszcze o tym nie mówiłam.

Nie uśmiechnął się nawet.

– Theo, znasz mnie. Wiesz, że jestem romantyczna. Jeszcze trochę, a się w tobie zakocham. – Wzdrygnęła się. – Pomyśl, jakie to byłoby straszne.

– Nie zakochasz się – powiedział z pełnym przekonaniem. – Za dobrze mnie

znasz.

Jakby to, co o nim wiedziała, sprawiało, że nie zasługiwał na miłość.

Zacisnęła pięści w kieszeniach kurtki. Kiedy będzie już po wszystkim, rozpadnie się na tysiąc kawałków, ale jeszcze nie teraz. Da radę. Musi.

– Powiedzmy sobie szczerze. Chcę mieć rodzinę, a to znaczy, że przedłużając niepotrzebnie pobyt na wyspie, odbieram sobie szansę. Marnuję czas. Muszę być bardziej zdyscyplinowana.

– Nic mi o tym nie mówiłaś. – Wydawał się zirytowany, może trochę urażony, ale nie niepokieszony.

Udawała zmieszanie.

– A po co?

– Bo mówimy sobie różne rzeczy.

– No, właśnie teraz ci mówię. I to wcale nie jest skomplikowane.

Wzruszył ramionami.

– Chyba nie.

Obręcz na jej sercu zaciskała się boleśnie. Theo skulił się na wietrze.

– Pewnie przemawia przeze mnie egoizm i dlatego chcę, żebyś została.

Miała już dość nieszczęść jak na jeden dzień.

– Zimno mi, a ty nie spałeś całą noc. Powinieneś się położyć.

Popatrzył najpierw na nabrzeże, potem na nią.

– Doceniam to, co dla mnie zrobiłaś tej zimy.

Jego wdzięczność była jak kolejny cios w serce. Odwróciła się pod wiatr, tak, żeby nie słyszał drżenia w jej głosie:

– Wzajemnie, bracie. – Wyprostowała się. – Muszę siku. Później się zobaczymy.

Zostawiła go na nabrzeżu i odeszła, przelękając lzy, na które jeszcze nie mogła sobie pozwolić. Tak łatwo z niej zrezygnował. Właściwie nic dziwnego. Nie był dwulicowy. Był bohaterem, a bohater nie udaje, że może dać ci coś, czego nie chce.

Przeszła przez drogę, idąc do samochodu. Musi stąd uciec. Teraz, dzisiaj, już. Nie mogła jednak. Musiała zabrać ze sobą samochód, a prom zjawi się dopiero za osiem dni. Osiem dni, podczas których Theo w każdej chwili może zjawić się w domku. Nie do wytrzymania. Musi coś z tym zrobić.

Jadąc do domu, powtarzała sobie, że złamane serce się zagoi, czy tego chce, czy nie. Czas leczy rany, wszyscy to wiedzą, i z czasem o nim zapomni. Skoncentruje się na przyszłości i będzie pocieszała się myślą, że postąpiła słusznie.

Na razie jednak nic z tego nie wychodziło.

Rozdział 23

Ku uldze Annie, Livia nie przestała mówić i entuzjastycznie pokazywała Annie żółwia, którego ulepiła z ciastoliny.

– Nie wiem, co jej powiedzieć – szepnęła Jaycie, gdy mała była zajęta. – Jestem jej matką, ale nie potrafię z nią rozmawiać.

– Pójdę po Scamp – zdecydowała Annie.

Przyniosła kukielkę, zadowolona, że może się czymś zająć i oderwać od ponurych myśli o swoich problemach. Liczyła, że Scamp uda się pokierować rozmową, której tak bardzo potrzebowała Jaycie. Oparła kukielkę o kuchenny stół i odwróciła ją w stronę Jaycie.

Zdaje się, że to piękna mama Livii. Nie znamy się jeszcze. Scamp, znana także jako Genevieve Adelaide Josephine Brown, do usług.

– Eee... Dzień dobry – zaczęła Jaycie z leciutkim skrępowaniem.

Opowiem ci o sobie. – Scamp zaczęła wyliczać swoje dokonania. Przedstawiała się jako znana piosenkarka, tancerka, aktorka, dekoratorka wnętrz i kierowca samochodów wyścigowych. – Umiem też łapać świetliki i bardzo szeroko otworzyć buzię.

Livia zachichotała, gdy Scamp zademonstrowała tę sztuczkę, a Jaycie rozluźniła się odrobinę. Scamp paplała i paplała, aż w końcu odrzuciła włóczkowe włosy do tyłu i stwierdziła:

Ja, Scamp, strasznie lubię supersekrety, bo dzięki nim można rozmawiać o złych rzeczach. Jak na przykład o tym, co spotkało ciebie, Livio, i twoją mamę. Ale... twoja mama chyba nie wie, co to supersekret.

Zgodnie z przewidywaniami Annie, mała zaraz włączyła się do rozmowy.

– Supersekret jest wtedy, kiedy komuś coś mówisz, a on nie może się na ciebie złościć.

Scamp nachyliła się do Jaycie i oznajmiła scenicznym szeptem:

Wiesz, bardzo byśmy z Livią chciały, żebyś nam powiedziała jakiś supersekret. Najlepiej taki o tej strasznej, strasznej nocy, kiedy strzeliłaś do tatusia Livii i zabiłaś go na śmierć. To będzie supersekret, więc nikt na nikogo nie będzie się złościł.

Jaycie odwróciła głowę.

– Będzie dobrze, mamusiu – Livia mówiła jak dorosła. – Supersekret to bezpieczna sprawa.

Oczy Jaycie zaszły łzami.

– Och, kochanie... – Wzięła się w garść. Początkowo powoli, z czasem coraz śmieiej, opowiadała o alkoholizmie Neda Graysona. Słowami zrozumiałymi dla czterolatki tłumaczyła, dlaczego tak często uciekał się do przemocy.

Livia słuchała uważnie. Jaycie, niepewna, jaki efekt wywołają jej słowa, co chwila pytała, czy wszystko rozumie, ale mała wydawała się nie tyle przerażona, co ciekawa. Kiedy skończyły, uściskała mamę i zapytała, kiedy będzie obiad.

Najpierw musicie mi obiecać, że kiedy tylko zajdzie taka potrzeba, będziecie ze sobą rozmawiać – wtrąciła się Scamp. – Obiecujecie?

– Obiecujemy – zapewniła Livia z powagą.

Scamp dramatycznie zajrzała Jaycie w oczy, aż ta parsknęła śmiechem.

– Obiecujemy – powtórzyła.

Cudownie – stwierdziła Scamp. – A zatem nie ma tu dla mnie nic do roboty.

Po obiedzie Livia jeździła na karuzeli na werandzie, a Annie i Jaycie przysiadły na najwyższym stopniu.

– Od samego początku powinnam była z nią rozmawiać – stwierdziła Jaycie, obserwując, jak córeczka usiłuje utrzymać równowagę. – Ale była taka malutka. Miałam nadzieję, że zapomni. Idiotka ze mnie. Ty od razu wiedziałas, czego jej potrzeba.

– Nie od razu. Sporo czytałam. Zresztą osobie z zewnątrz łatwiej zachować obiektywizm.

– To żadne usprawiedliwienie, ale dzięki.

– To ja powinnam być ci wdzięczna – odparła Annie. – Dzięki Livii zrozumiałam, co chcę robić w życiu. – Jaycie przechyliła głowę i Annie zdradziła jej coś, czego jeszcze nikomu nie powiedziała: – Chcę zostać terapeutką i pracować z dziećmi przy pomocy kukielek.

– Annie, cudownie! Idealne zajęcie dla ciebie.

– Tak myślisz? Rozmawiałam z takimi osobami przez telefon i wydaje mi się, że to dobre rozwiązanie. – O wiele lepsze niż aktorstwo. Na pewien czas będzie musiała wrócić na studia, na co na razie jej nie stać, ale zawsze miała dobre stopnie, a dzięki pracy z dziećmi w przeszłości, być może dostanie stypendium. A jeśli nie, weźmie pożyczkę. Tak czy inaczej, uda jej się.

– Tak bardzo cię podziwiam – szepnęła Jaycie, zapatrzona w dal. – Byłam jak Livia, zamknięta w sobie, użalałam się nad sobą, snułam marzenia o Theo, zamiast zmierzyć się z życiem.

Annie знаła to wszystko z autopsji.

– Gdyby nie ty... – Jaycie tylko pokręciła głową. – Nie chodzi mi tylko o Livię, myślę też o tym, jak wzięłaś swoje życie we własne ręce. Chcę zacząć od nowa i w końcu coś z tym zrobić.

Annie i o tym co nieco wiedziała.

– Co z domkiem? – zapytała Jaycie.

Annie nie chciała jej mówić ani o planie babć, ani o tym, że zakochała się w Theo.

– Wyprowadzam się, a w przyszłym tygodniu wyjeżdżam – zawahała się. – Ta sprawa z Theo za bardzo się... skomplikowała. Musiałam to skończyć.

– Och, Annie, tak mi przykro. – W jej głosie nie było cienia obłudy, tylko szczerą troskę. Nie kłamała, kiedy mówiła, że Theo był jej fantazją, marzeniem, nie rzeczywistością. – Liczyłam, że jeszcze trochę zostaniesz. Wiesz, że będzie mi cię brakowało.

Annie uściskała ją serdecznie.

– Mnie cię też.

Jaycie zrozumiała też, kiedy powiedziała, że chciałyby znaleźć jakieś lokum do wyjazdu.

– Nie chcę co chwila wpadać na Theo w domku. Potrzebuję... pobyć sama.

Chciała poprosić Barbarę o pomoc w wyszukaniu lokum. Annie mogłaby poprosić o złote runo, a babcie stanęłyby na głowie, żeby je dla niej zdobyć. Wszystko, byle tylko trzymała język za zębami.

Jak się jednak okazało, Annie nie musiała zwracać się do Barbary. Wystarczył jeden telefon i Jaycie załatwiła jej mieszkanie.

„Amulet”, kuter Lesa Childersa, cumował przy nabrzeżu rybackim, bo właściciel czekał na ważną część do silnika, która miała przypląć tym samym promem, na którym Annie planowała opuścić Peregrine. Les dbał o swój kuter, nadal jednak dominował na nim zapach przynęty, lin i paliwa. Annie to nie przeszkadzało. Na pokładzie był malutki kambuz z mikrofalówką i mikroskopijna kabina prysznicowa. W kajucie było sucho, dzięki piecykowi w miarę ciepło, a co najważniejsze, nie musiała oglądać Theo. Na wypadek, gdyby wczoraj wyraziła się niejasno, zostawiła mu liścik w domku:

Drogi Theo,

Wyprowadziłam się na kilka dni do miasteczka, między innymi po to, żeby przywyknąć do myśli, że kończy się (niestety) boski seks z tobą. Oczywiście wiem, że jeśli zechcesz, zdołasz mnie odnaleźć, ale mam pełne ręce roboty i proszę, żebyś z łaski swojej dał mi spokój. Bądź dobrym kumplem, co? Sama sobie poradzę z wiedźmami z Peregrine, więc w to się nie wtrącaj.

A.

Dokładnie tak, jak chciała, lekko, bez marudzenia. Nie było w tym liściku

niczego, co kazałoby mu podejrzewać, że się w nim zakochała. Po powrocie do miasta wysłała mu pożegnalnego maila. „Nie uwierzysz, ale poznałam fantastycznego faceta. Ple, ple, ple”. Kurtyna opada, bisów nie ma.

Nie mogła spać – nic dziwnego, zważywszy jej rozchwiane emocje, kołysanie łodzi i skrzypienie drewna. Żałowała, że nie zabrała ze sobą kukiełek, ale zostały z Jaycie w domu Harpów. Wolałaby jednak mieć je przy sobie.

W nocy zrzuciła koc i rano obudziła się zdrętwiała z zimna. Wstała z koi, założyła adidasy, otuliła się czerwoną peleryną Mariah i wyszła na pokład.

Nad perłowoszarzym oceanem zawisły brzoskwiniowo-lawendowe wstążki chmur. Fale kołysały coraz mocniej, wiatr wydymał jej pelerynę, zmieniał ją w skrzydła. Dostrzegła na rufie coś, czego tam wczoraj nie było. Żółty plastikowy kosz piknikowy. Odgarnęła włosy z twarzy i podeszła zaintrygowana.

W koszyku był dzbanek soku pomarańczowego, dwa jajka na twardo, jeszcze ciepłe ciasto czekoladowe z cynamonem i staroświecki czerwony termos. Annie od razu wiedziała, że ma do czynienia z łapówką. Babcie chciały jedzeniem kupić jej milczenie.

Otworzyła termos i w powietrze wzbijała się para. Mocna, świeżo parzona kawa. Pycha. Nagle zatęskniła za Hannibalem. Przywykła, że siadał jej na kolanach, gdy piła poranną kawę. A Theo...

Przestań!

Stała na rufie i obserwowała rybaków, wyruszających na połów w czerwono-pomarańczowych ubraniach ochronnych. Wodorosty falowały w wodzie jak syrenie włosy, w stronę nabrzeża płynęły dwie kaczki. Chmury zniknęły, niebo pojaśniało i wyspa, której tak bardzo nie znosiła, nagle stała się piękna.

„Amulet” cumował przy doku rybackim, ale Theo wypatrzył Annie na samym końcu nabrzeża, w czerwonej pelerynie, wpatrzoną w dal, jak wdowa po marynarzu daremnie wypatrująca powrotu męża. Wczoraj dał jej spokój, ale to już wystarczy.

Mogła zamieszkać w domu Harpów. Albo nawet w tym jej domku, do cholery – babcie omijały go szerokim łukiem. Ale nie. Bo mimo pozornej dobroci Annie miała w sobie iskrę zła. Mogła to ująć, jak tylko chciała, ale wyprowadziła się na łódź Lesa Childersa przez niego!

Ruszył w jej stronę; jakaś jego szalona cząstka rozkoszowała się gniewem, który poczuł. Po raz pierwszy w życiu mógł być wściekły na kobietę, bo wiedział, że nie rozsypie się przez to na kawałki. Jasne, ulżyło mu, że między nimi sprawy się nie skomplikują, ale to była reakcja instynktowna, nieprzemyślana. Bo ich związek wcale się, jak to ujęła, nie wyczerpał. Taka bliskość nie znika ot, tak.

Sama jasno powiedziała, że to żaden wielki romans, więc o co jej chodzi? Rozumiał, że chciała mieć rodzinę – i chwala jej za to – ale co to ma z nimi wspólnego? Prędzej czy później przestaną ze sobą sypiać, ale ponieważ przyszłego ojca jej dzieci nie znajdzie na tej wyspie, więc czemu zrywać teraz, kiedy to, co ich łączy, tak wiele dla nich znaczy?

A może tylko dla niego? Zawsze był bardzo skryty, ale z Annie to się zmieniło. Nigdy nie wiedział, co zrobi, co powie, wiedział jedynie, że jest twarda, nie miękka, że nie musiał uważać na każde słowo, udawać kogoś, kim nie był. Z nią czuł... czuł, że odnalazł siebie.

Była bez czapki i jej włosy, jak zwykle, żyły własnym życiem. Postawił na nonszalancję.

– Dobrze się mieszka w nowym domu?

Nie słyszała, kiedy podszedł. Drgnęła. A potem zmarszczyła brwi, jakby nie ucieszyła się na jego widok, i to zabolalo tak bardzo, że zapragnęła też sprawić jej ból.

– Pewnie przytulnie jak cholera.

– Piękny widok.

Nie pozwoli się tak spławić.

– Wszyscy wiedzą, że mieszkasz na kutrze starego Lesa. Równie dobrze mogłabyś od razu przekazać domek tym babom. Pewnie już je ręce bolą od przybijania piątek.

Dunnie uniosła głowę.

– Jeśli przyjechałeś tu po to, żeby na mnie wrzeszczeć, lepiej sobie idź. Właściwie i tak sobie idź, nawet jeśli nie chcesz na mnie krzyczeć. Mówiłam ci, że mam pełne ręce roboty i nie pozwolę, by twoja... – zmierzyła go pogardliwym wzrokiem – żaloszna uroda mnie rozpraszała. Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę, że wyglądasz, jakbyś zszedł z okładki romansu?

Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, wiedział tylko, że zabrzmiało to jak obelga. Z trudem powstrzymał się, by nie wpleść dłoni w jej włosy.

– Jak tam poszukiwanie miłości twojego życia? – Coraz lepiej mu szło to cedzenie.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

Najchętniej porwałby ją na ręce i zaniósł z powrotem do domku, tam, gdzie jej miejsce. Gdzie ich miejsce.

– Nie pamiętasz już, dlaczego mnie rzuciłaś? Żeby móc się z kimś związać. Les Childers jest singlem. Co z tego, że ma siedemdziesiątkę? Łódź jest spleciona. Umów się z nim.

Westchnęła, jakby tylko działał jej na nerwy.

– Och, Theo. Nie bądź takim dupkiem.

Był dupkiem i nie mógł się powstrzymać.

– Domyślałam się, że rozumiem przyjaźń inaczej niż ty. Według mnie przyjaciele nie zwijają się tak po prostu i nie mówią: pa.

Ukrywała dłonie pod peleryną.

– Owszem, ci, którzy popełnili błąd i wylądowali razem w łóżku.

To nie był błąd. W każdym razie nie według niego. Wsunął kciuk do kieszeni dżinsów.

– Bardzo to komplikujesz.

Zerknęła na morze i wróciła wzrokiem do niego.

– Posłuchaj, starałam się zrobić to jak najmniej boleśnie...

– Więc przestań! – krzyknął. – Chcę zrozumieć, dlaczego, bez słowa uprzedzenia, tak po prostu zniknęłaś. Chcę wiedzieć. Proszę bardzo, niech boli.

I zrobiła to, czego mógł się po niej spodziewać – powiedziała prawdę.

– Posłuchaj, Theo, życzę ci jak najlepiej, ale chciałabym się zakochać... A w tobie nie mogę.

Dlaczego nie, do cholery? Przez jedną przerażającą chwilę bał się, że powiedział to na głos.

Patrzyła śmiało, szczerze, twardo. Dotknęła jego ramienia i dodała z czułością, od której chciało mu się zgrzytać zębami:

– Masz za dużo blizn.

Niepotrzebnie to na niej wymusił. Powinien był to wiedzieć – i tak naprawdę wiedział. Szorstko skinął głową.

– Jasne.

Właśnie to musiał usłyszeć. Prawdę.

Zostawił ją na nabrzeżu. Wrócił do domu, osiodłał Tancerza i dał mu popalić, a po przejażdżce długo i starannie go szczotkował i sprawdzał kopyta. Bardzo długo miał wrażenie, że jego wnętrze skuwa lód, ale Annie to zmieniła. Była jego kochanką, fanką, terapeutką. Zmusiła go, by innymi oczami spojrzeć na nieudany związek z Kenley, na Regan, która zabiła się, żeby dać mu wolność. Jakimś cudem Annie uniosła rąbek jego mroku.

Zastygł z dłońmi na karku Tancerza. Stał zamyślony, analizując minione tygodnie. Z zadumy wyrwał go głos Livii:

– Theo!

Wyszedł ze stajni. Livia oderwała się od matki i podbiegła do niego, wpadła na jego nogi i nagle poczuł przemożną ochotę, by wziąć ją na ręce i uściskać. I to właśnie zrobił.

Wcale jej się to nie spodobało. Oparła mu ręce na piersi, odepchnęła się i gniewnie spojrzała w górę.

– Domek dla elfów wcale się nie zmienił.

W końcu pomyłka, którą mógł naprawić.

– Bo mam skarb, który najpierw muszę ci pokazać.

– Skarb?

Palnął to bez chwili zastanowienia, ale od razu wiedział, co to będzie.

– Tak. Płażowe skarby.

– Skarby? – Livia była pod wrażeniem.

– Poczekaj tutaj. – Pobiegnął na górę, do swojego dawnego pokoju.

Wielki słoik, w którym Regan trzymała swoją kolekcję plażowych skarbów – kamyków i przede wszystkim kawałków szkła, wygładzonych i wypolerowanych przez morze – stał w najciemniejszym kącie szafy, bo, jak wiele innych przedmiotów w domu, budził złe wspomnienia. Ale kiedy go wyjął i niósł na dół, po raz pierwszy tego dnia odrobinę poprawił mu się humor. Regan, jej dobra, jasna strona, byłaby zachwycona, przekazując Livii swoją kolekcję, od jednej małej dziewczynki dla drugiej.

Schodził po schodach, po których przed laty jego siostra biegała kilkanaście razy dziennie i nagle coś poczuł. Ciepłe, niewidzialne muśnięcie. Zatrzymał się w pół kroku, zacisnął powieki. W dłoniach czuł chłód słoika, przed oczami miał twarz siostry.

Uśmiechała się do niego. Jakby chciała powiedzieć: „Bądź szczęśliwy”.

Jaycie zostawiła Livię pod opieką Theo. Budowali domek dla elfów i rozmawiali, choć gadała przede wszystkim Livia. Jakby wszystkie słowa, które gromadziły się w jej głowce przez okres niemówienia, musiały z niej w końcu wyjść. Był zaskoczony jej spostrzegawczością i tym, jak wiele rozumiała.

– Powiedziałam ci superważny sekret – zauważyła, układając ostatni kawałek szkła na nowym dachu z mchu. – Teraz twoja kolej.

Po zmroku był z powrotem na swojej wieży, samotny książkę czekający na księżniczkę, która wejdzie na górę i go uwolni.

„Masz za dużo blizn”.

Usiłował pisać, ale łapał się na tym, że tępym wzrokiem gapi się w przestrzeń i myśli o Annie. Nie chciał zagłębiać się w chory umysł doktora Quentina Pierce’a i nie mógł już dłużej zaprzeczać faktom. Demony przeszłości odeszły, zabierając ze sobą jego karierę pisarską.

Wyłączył komputer, usiadł wygodnie. Przypadkiem spojrzął na rysunek, który podwędził Annie. Poważny dzieciak z niesforną czupryną i piegami na nosie.

Położył dłonie na klawiaturze. Otworzył nowy dokument. Przez chwilę siedział

nieruchomo, a potem zaczął pisać. Słowa płynęły strumieniem; słowa, które wzięił zbyt długo.

Diggity Swift mieszkał w wielkim apartamencie z oknami wychodzącymi na Central Park. Diggity był alergikiem, więc jeśli w powietrzu było za dużo pyłków albo zapomniał inhalatora, zaczynał rzezić, i wtedy Fran, która się nim zajmowała, gdy rodzice byli w pracy, zabierała go do domu. I bez tego czuł się jak dziwadło. Był najmniejszy w całej siódmej klasie. Dlaczego do tego jeszcze jest alergikiem?

Fran twierdziła, że lepiej być mądrym niż silnym, ale Diggity wcale tak nie uważał. Jego zdaniem zdecydowanie lepiej być silnym.

Pewnego dnia, gdy Fran kazała mu wracać z parku, wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Poszedł do siebie, żeby pograć w ulubioną grę wideo, ale kiedy dotknął konsoli, przeszył go dreszcz, od palców przez ramię aż do nóg, i nagle wszystko spowila ciemność...

Theo pisał do późna w noc.

Co rano, zaraz po przebudzeniu, na pokładzie „Amuletu” czekała na Annie kolejna ofiara całopalna. Nie, babeczki, zapiekanki i muesli domowej roboty nie były przypalone, a jednak skojarzenie z ofiarą całopalną nasuwało się samo – za każdym darem kryły się wyrzuty sumienia, próby kupienia jej milczenia, a w przypadku świeżo wyciskanego soku pomarańczowego także gotowość do poświęceń.

Nie wszystkie dary były jadalne. Na pokładzie czekał na nią krem do rąk i bluza z nazwą wyspy, z metką ze sklepu Tildy. Czasami udało jej się dostrzec ofiarodawczynię – Naomi z garnkiem zupy rybnej, Louise z balsamem do rąk. Nawet Marie przyniosła ciasto cytrynowe.

Na łodzi miała całkiem niezły zasięg w komórce, więc Annie zaczęła obdzwaniać dawnych klientów, którym wyprowadzała psy. Rozmawiała też z właścicielem kawiarni – czy znowu ją zatrudni i czy będzie mogła spać na materacu na zapleczu, póki nie znajdzie się mieszkanie, którym będzie mogła się opiekować. Nadal jednak miała za dużo wolnego czasu i bolesny smutek nie ustępował.

Theo był na nią wściekły. Nie przyszedł więcej. Ból związany z rozstaniem był jak sęp, nigdy się nie oddalał. Ból, upomniała się, który czuje tylko ona.

Sporo myślała o Nivenie Garrze, ale są granice odrzucenia. Chciała odnaleźć jego rodzinę, ale poczeka, aż wróci na stały ląd i mniej lub bardziej dojdzie do siebie po rozstaniu z Theo.

Kilka młodszych kobiet zajrzało do niej na kuter. Intrygowało je, dlaczego

wyprowadziła się z domku, a zatem informacja o zmianie właściciela jeszcze nie dotarła do publicznej wiadomości. Mruknęła coś o tym, że chciałaby być bliżej miasteczka, i przyjęły to ze zrozumieniem.

Jej czwartego ranka na kutrze na pokład weszła Lisa i uściskała ją serdecznie. Ponieważ zawsze zachowywała dystans, Annie nie miała pojęcia, czemu zawdzięczać tę wylewność, póki Lisa w końcu nie wypuściła jej z objęć.

– Nie do wiary, że dzięki tobie Livia zaczęła mówić. Widziałam ją dzisiaj. To istny cud.

– To nie tylko moja zasługa – odparła Annie, na co Lisa uściskała ją po raz drugi i stwierdziła, że odmieniła życie Jaycie.

Nie tylko Lisa złożyła jej wizytę. Annie prała bieliznę pod pokładem, gdy usłyszała kroki nad głową.

– Annie?

Barbara. Annie rozwiesiła stanik na gaśnicy, sięgnęła po kurtkę i wyszła na pokład.

Barbara stała przy nadbudówce z domowym plackiem w plastikowym opakowaniu. Blond fryzura oklapła smętnie, a z makijażu, którego zazwyczaj sobie nie żałowała, została tylko krwistoczerwona szminka, niknąca w głębokich bruzdach wokół ust. Położyła ciasto koło sonaru.

– Minęło już sześć dni. Ani ty, ani Theo nie dzwoniście na policję. Nikomu nie powiedziałaś.

– Jeszcze nie – poprawiła Annie.

– Staramy się naprawić to, co nabroiliśmy, chciałam tylko, żebyś o tym wiedziała. – Było to raczej błaganie niż stwierdzenie faktu.

– Brawo.

Barbara nerwowo bawiła się guzikiem.

– W czwartek poszliśmy z Naomi do prawnika na stałym lądzie. Spisuje taką umowę, żeby domek na zawsze był twój. – Nie patrzyła na Annie, niezdolna spojrzeć jej w oczy, tylko dalej, na hangar. – Prosimy tylko, żebyś nikomu o tym nie mówiła.

Annie ciągle nie miała dość.

– Nie macie prawa o nic prosić.

– Wiem, ale... – Miała czerwone oczy. – Większość z nas urodziła się tutaj, na Peregrine. Nie zawsze było między nami dobrze, nie wszyscy nas lubią, ale... ale nas szanują. A to bezcenne.

– Chyba nie na tyle, żeby nie zaryzykować utraty tego szacunku. A teraz chcesz, żebyśmy trzymali z Theo język za zębami – pod tym warunkiem odzyskam mój domek, tak?

Czerwona szminka sprawiała, że jej cera wydawała się szara.

– Nie. I tak odzyskasz domek, bez żadnych warunków. Prosimy tylko, żebyś...

– Postąpiła szlachetniej niż wy.

Barbara bezradnie zwiesiła ramiona.

– Tak. Szlachetniej niż my.

Annie nie była w stanie pastwić się nad nią dłużej, zwłaszcza że tak naprawdę decyzję podjęła już wtedy, gdy dwie małe córeczki Lisy wpadły do domu babci i rzuciły się jej na szyję.

– Zwolnicie prawnika – powiedziała. – Domek jest wasz.

Barbara szeroko otworzyła oczy.

– Nie mówisz tego poważnie.

– Owszem, mówię. – Nie mogłaby tam wrócić, a gdyby obstawała przy prawie własności, robiłaby to tylko z przekory. – Ten domek należy do wyspy. Róbcie z nim, co chcecie.

– Ale...

Annie nie czekała, co dalej. Ciaśniej otuliła się płaszczem i wyskoczyła na nabrzeże.

Ktoś obdrapywał starą farbę z burty. Był przyływ, rybacy wracali do portu, naprawiali usterki, a gdy woda opadała, znowu wyruszali na morze. To kwintesencja wyspiarskiego życia: zależność od pogody i pływów, od ryb i kaprysów przyrody. Włóczyła się po miasteczku, pusta i nieprzydatna jak stara pułapka na homary, którą Tildy ustawiła przed swoim zamkniętym sklepem z upominkami.

Telefon zadzwonił jej w kieszeni. Właściciel komis. Oparła się o wypłowiały szyld reklamujący zupę rybną i bułki z homarem i słuchała, ale mówił coś tak nieprawdopodobnego, że musiał powtarzać dwukrotnie, zanim to do niej dotarło.

– Tak – zapewnił. – To ogromna suma, ale kupiec to kolekcjoner, a ten fotel jest jedyny w swoim rodzaju.

– No pewnie! – krzyknęła. – Jest paskudny!

– Na szczęście o gustach się nie dyskutuje.

I tak po prostu miała pieniądze na spłatę większości długów. Wystarczył jeden telefon i mogła zacząć nowe życie.

Nazajutrz, w czterdziesty czwarty dzień pobytu Annie na wyspie, miał się zjawić prom. Rano będzie musiała pojechać do domu Harpów po swoje rzeczy, które zostawiła u Jaycie – kukielki, część ubrań, szale Mariah. Po siedmiu nocach na łodzi nie mogła się doczekać powrotu na suchy ląd, choć wolałaby, by suchy ląd nie oznaczał materaca na zapleczu kawiarni, ale to nie na długo. Jeden z właścicieli psów, które wyprowadzała, chciał, żeby zaopiekowała się jego

mieszkaniami, kiedy wyjedzie do Europy.

Na tablicy informacyjnej znalazła ogłoszenie o zebraniu mieszkańców tego wieczora. Domyślała się, że będzie mowa o jej domku, postanowiła więc wziąć w nim udział, jednak zwlekała z wejściem do ostatniej chwili z obawy, że Theo też przyjdzie.

Lisa zobaczyła ją i pomachała, wskazując wolne krzesło koło siebie. Zarząd wyspy siedział za długim składanym stołem u szczytu pokoju. Barbara wyglądała równie kiepsko jak podczas ich ostatniego spotkania: oklapnięte blond włosy, brak makijażu. Pozostałe babcie siedziały w różnych miejscach sali – niektóre z mężami, inne w małych grupkach. Żadna nie patrzyła na Annie.

Zaczął się zebranie: budżet, plany remontu nabrzeża, co zrobić z coraz liczniejszą flotą zepsutych samochodów. Mówiło się też o zaskakująco ciepłym dniu i sztormie, który prawdopodobnie nadciągał. Ani słowa o domku.

Zebranie dobiegało już końca, gdy Barbara wstała.

– Zanim się rozejdziemy, chciałam coś ogłosić.

Bez tuszu na rzęsach i uróżowanych policzków wyglądała drobniej. Oparła się o stół, jakby nie miała siły.

– Zapewne wszyscy bardzo się ucieszycie na wieść, że... – odchrząknęła – że Annie Hewitt przekazuje Domek Żeglarza wyspie Peregrine.

W pomieszczeniu zawrzało. Wszyscy odwracali się w jej stronę z piskiem krzesel.

– Naprawdę, Annie? – szepnęła Lisa.

– Nic mi o tym nie mówiłaś – zauważył mąż Barbary z pierwszego rzędu.

Inny członek zarządu odparł zza stołu prezydialnego:

– Booker, my też dowiadujemy się o tym w tej chwili.

Barbara odczekała, aż gwar umilkł, i mówiła dalej:

– Dzięki hojności Annie w tym domku powstanie nowa szkoła.

I znowu gwar, a także oklaski i krzyki uznania. Mężczyzna, którego Annie widziała po raz pierwszy w życiu, serdecznie poklepał ją po plecach.

– W sezonie możemy wynajmować go letnikom i mieć z tego dodatkowy dochód – dodała Barbara.

Lisa złapała Annie za rękę.

– Och, Annie... to odmieni życie naszych dzieci.

Zamiast nabierać sił, Barbara zdawała się nikać.

– Chcemy, żeby młodzi mieszkańcy wyspy wiedzieli, jak bardzo nam na nich zależy. – Zerknęła na Lisę. – Jak wiele jesteśmy w stanie zrobić, by zatrzymać ich na wyspie. – Wbiła wzrok w stół i Annie bała się już, że Barbara się rozpłaczę, ale kiedy znowu podniosła głowę, jej oczy były suche. Skinęła do kogoś na sali. I jeszcze raz. I jeszcze. I po kolei wszystkie babcie, które spiskowały przeciwko

Annie, wstały i podeszły do niej.

Annie poruszyła się niespokojnie. Barbarze drżały usta.

– Jest coś, co musimy wam powiedzieć.

Rozdział 24

Niepokój Annie wzrastał. Barbara bezradnie spojrzała na pozostałe. Naomi przeczesła włosy palcami, zostawiając w nich wyraźną smugę. Zrobiła krok do przodu.

– Annie nie przekazała nam domku z własnej woli – oznajmiła. – Zmusiliśmy ją do tego.

Wśród zebranych rozległ się pomruk. Annie zerwała się na równe nogi.

– Nikt mnie do niczego nie zmuszał. Sama chciałam podarować wam domek. A teraz, czy mi się zdaje, czy czuję zapach kawy? Wnoszę o zakończenie tego posiedzenia.

Nie miała na wyspie żadnej nieruchomości i nie miała prawa zabierać głosu na posiedzeniu, ale nagle nie pragnęła już zemsty. Babcie z Peregrine zrobiły coś złego i zapłaciły za to wysoką cenę, ale to przecież nie są złe kobiety. To matki i babki, które za wszelką cenę chciały utrzymać bliskich przy sobie i dlatego pobłądziły. Mimo ich wad, Annie szczerze je lubiła, a już ona najlepiej wiedziała, że miłość odbiera człowiekowi dystans i zdrowy rozsądek.

– Annie... – W głosie Barbary pojawiły się dawne władcze nuty. – Wszystkie stwierdziłyśmy, że musimy to zrobić.

– Nie musicie – odparła Annie. I z większym przekonaniem: – Naprawdę nie musicie.

– Annie, usiądź, bardzo cię proszę. – Barbara zdecydowanie wracała do formy.

Annie osunęła się na krzesło.

Barbara w kilku słowach opowiedziała o umowie Elliotta z Mariah. Tildy zacisnęła dłonie na skraju purpurowego żakietu i stwierdziła:

– Mam nadzieję, że wszyscy wiecie, że nie jesteśmy złymi osobami. Pomyślałyśmy sobie, że gdy będziemy mieć nową szkołę, nasze dzieci nie wyjadą.

– Fakt, że nasze dzieci uczą się w przyczepie, to skandal! – zawołał kobiecy głos z głębi sali.

– Wmówiłyśmy sobie, że cel uświęca środki – dodała Naomi.

– To był mój pomysł. – Louise Nelson ciężko opierała się na lasce. Spojrzała na synową w pierwszym rzędzie. – Galeann, póki szkoła nie spłonęła, nie narzekałaś tak bardzo na Peregrine. Nie mogłam znieść myśli, że wyjedziecie z Johnnym. Spędziłam tu całe życie, ale zostało mi dość rozumu w głowie, by wiedzieć, że sama nie dam sobie rady. – Mówiła coraz ciszej i sala w końcu umilkła. – Jeśli wyjedziecie, będę musiała przenieść się na stały ląd, a chciałam umrzeć tutaj. I

dlatego zaczęłam szukać rozwiązania.

Naomi przeczesła włosy po raz kolejny, zostawiając w nich drugą smugę.

– Po kolei. – Zaczęła tłumaczyć wszystko od początku. Nie ukrywała niczego. Opowiadała, jak odwołały zamówienie Annie, jak zdemolowały jej domek. Wszystko.

Annie osunęła się na krzesło. Robiły z niej zarazem ofiarę i bohaterkę, a nie chciała być ani jedną, ani drugą.

– Bardzo uważaliśmy, żeby niczego nie zniszczyć – wtrąciła Judy z chusteczką w garści, choć jeszcze miała suche oczy.

Naomi opowiadała, jak powiesiły kukielkę, nabazgrały napis na ścianie i w końcu – jak strzelały do Annie.

Barbara opuściła głowę.

– To byłam ja. To było najgorsze, i tylko ja ponoszę za to odpowiedzialność.

Lisa nie wytrzymała.

– Mamo!

Marie zasznurowała usta.

– To ja wymyśliłam, żeby powiedzieć Annie, że Theo Harp miał wypadek, żeby wyruszyła poza wyspę na kutrze Naomi. Jestem naprawdę dobrym człowiekiem i mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy, bo ja sobie nie.

Annie musiała jej przyznać jedno – może i Marie jest ponuraczką, ale ponuraczką z wyrzutami sumienia.

– Annie domyśliła się, co zrobiłyśmy, i rzuciła nam to w twarz – ciągnęła Barbara. – Prosiłyśmy ją, żeby zachowała to w tajemnicy, ale nie chciała nam niczego obiecać. – Barbara podniosła głowę. – W niedzielę poszłam do niej, żeby po raz kolejny błagać ją o dyskrecję. Mogła mnie wtedy wysłać do diabła, ale nie. Powiedziała, że domek jest nasz, tak po prostu. Że należy do wyspy, nie do niej.

Annie wierciła się niespokojnie, czując na sobie coraz więcej spojrzeń.

– W pierwszej chwili kamień spadł nam z serca – wyznała Tildy. – Ale im więcej o tym rozmawiałyśmy, tym trudniej było nam patrzeć sobie w oczy, tym większy ogarniał nas wstyd.

Judy głośno wytarła nos.

– Jak mogliśmy żyć obok was, dzień za dniem, wiedząc, co zrobiłyśmy?

Barbara wyprostowała się.

– Zdawałyśmy sobie sprawę, że wyrzuty sumienia nie dadzą nam spokoju do końca życia.

– Spowiedź to balsam dla duszy – zakończyła Marie teatralnie. – I dlatego postanowiłyśmy powiedzieć całą prawdę.

– Czasu już nie cofniemy – dodała Naomi. – Możemy tylko przyznać się do wszystkiego. Możecie nas osądzić. Znienawidzić, jeśli uważacie, że...

Annie nie mogła już tego słuchać. Zerwała się z miejsca.

– Jedyłą osobą, która mogłaby was znienawidzić, jestem ja, a tego nie robię, więc nikt inny też nie powinien. A teraz wnoszę o natychmiastowe zakończenie posiedzenia.

– Popieram! – krzyknął Booker Rose, przymykając oko na fakt, że Annie nie miała prawa głosu.

Posiedzenie dobiegło końca.

A potem Annie, która chciała już tylko uciec, znalazła się w środku tłumu osób, które chciały z nią porozmawiać, podziękować, przeprosić. Wyspiarze demonstracyjnie ignorowali babcię, ale Annie wierzyła, że najgorsze już przeszło. Trochę potrwa, zanim mieszkańcy Peregrine pogodzą się w myślach z tym, co zrobiły, ale to twarda społeczność, w której wysoce się ceni kreatywność, nawet w złej wierze. Ostracyzm wkrótce się skończy.

Wróciła na łódź. Morze było coraz bardziej niespokojne, ciemne niebo przecięła błyskawica. Zanosilo się na burzliwą noc – idealne uzupełnienie tamtej pierwszej, którą spędziła na Peregrine. Jutro o tej porze już jej tu nie będzie. Oby tylko Theo nie przyszedł się pożegnać, bo tego by już nie zniosła.

Pokładem zakolysała fala, ale nie chciała jeszcze schodzić do kajuty. Chciała obserwować sztorm, doświadczyć jego potęgi. Znalazła sztormiak na pokładzie. Śmierdział rybami, ale osłaniał ją do pół łydki. Stała na pokładzie, wpatrzona w błyskawice na niebie. Miasto izolowało ją od potęgi natury, ale wyspa nie. Zeszła pod pokład dopiero, gdy błyskawice były coraz bliżej.

Kajuta to jaśniała, to pogrążała się w ciemności, w miarę jak nad Peregrine nadciągał sztorm. Kiedy myła zęby, zbierało jej się na mdłości od kołysania łodzi. W ubraniu ułożyła się na koi, czując na udach wilgotne dżinsy. Póki się dało, znosiła kołysanie, w pewnej chwili stwierdziła jednak, że jeśli zostanie tu jeszcze chwilę, zwymiotuje.

Założyła wilgotny pomarańczowy kapok i z trudem wyszła na pokład. Strugi deszczu wdarły się do kajuty przez otwarte drzwi, ale była to cena, którą chętnie płaciła za świeże powietrze.

Choć kuter nadal podskakiwał na falach, jej żołądek uspokoił się. Z czasem sztorm zelżał, deszcz nie zacinał już tak gwałtownie. Na wyspie niedomknięte okiennice wściekle waliły o ściany domu. Annie i tak przemokła już do suchej nitki, więc zeszła na nabrzeże, chcąc się przekonać, czy sztorm zostawił za sobą duże zniszczenia. Widziała połamane gałęzie, w blasku odległej błyskawicy dostrzegła ciemne plamy na dachu ratusza – brakujące dachówki. Na Peregrine prąd jest drogi, nikt nie zapalał światła na werandzie, ale widziała jasne plamy

okien i wiedziała, że nie ona jedna nie śpi.

Rozglądając się dokoła, zobaczyła dziwną lunę na niebie. Zawisła na północnym wschodzie, tam, gdzie znajdował się jej domek. Migotała niespokojnie, jak ognisko. Tylko że to nie było ognisko, a prawdziwy ogień. Pożar.

Pierwsze, o czym pomyślała, to Domek Żeglarza. Po wszystkim, co się wokół niego działo, teraz płonął, trafiony piorunem. Nie będzie nowej szkoły ani czynszu od letników. Wszystko na darmo.

Wróciła na pokład po kluczyki i po chwili biegła nabrzeżem do hangaru, pod którym zostawiła samochód. Po deszczu droga zapewne zmieniła się w istne grzęzawisko, nie wiadomo, czy jej kia zdoła przejechać, ale wiedziała, że musi spróbować.

W coraz większej liczbie okien płonęły światła. Zobaczyła pikapa państwa Rose, właśnie ruszał z miejsca. Barbara siedziała na fotelu pasażera. Czyli to Booker prowadzi. Taki samochód bez trudu pokona największe błoto. Pobieгла w ich stronę.

Uderzyła w drzwiczki, zanim odjechali. Zatrzymali się. Barbara zobaczyła ją, otworzyła okno i przesunęła się, robiąc jej miejsce. O nic nie pytała, Annie domyśliła się więc, że oni także widzieli lunę. Z jej kurtki spływały krople deszczu.

– To domek – powiedziała. – Jestem tego pewna.

– Niemożliwe – mruknęła Barbara. – Nie po tym wszystkim. Nie.

– Uspokójcie się obie – burknął Booker zza kierownicy. – Tam jest sporo drzew, a domek jest położony nisko nad wodą. Prędzej oberwało jakieś drzewo.

Annie modliła się, by miał rację, ale w głębi serca w to nie wierzyła.

Pikap najlepsze lata dawno miał już za sobą, ale radził sobie z błotem o wiele lepiej niż wóz Annie. Im dalej byli od miasteczka, tym jaśniejsza stawała się pomarańczowa luna. Na wyspie był tylko jeden wóz strażacki, stary grat, który, jak wyznała Barbara, dawno się zepsuł. Booker skręcił w drogę do jej domku. I wtedy zobaczyli, że to nie on płonie, tylko dom Harpów.

W pierwszej chwili pomyślała o Theo, potem o Jaycie i Livii. Boże, oby nic im nie było.

Barbara zacisnęła dłonie na desce rozdzielczej. W niebo wystrzelił snop iskier. Rozjaśniły podjazd. Booker zaparkował daleko od ognia. Annie wysiadła i puściła się biegiem.

Płomienie szalały, pochłaniały drewniane dachówki z głośnym trzaskiem, chciwie zagarniały coraz więcej. Sterty gazet na strychu stanowiły doskonałą podpałkę, dachu już prawie nie było, w niebo sterczał tylko szkielet komina. Annie dostrzegła Jaycie i Livię skulone na podjeździe. Podbiegła do nich.

– Wszystko działo się błyskawicznie – powiedziała Jaycie. – To było jak wybuch. Nie mogłam otworzyć drzwi, coś je blokowało.

- Gdzie Theo? – krzyknęła Annie.
- Wybił okno, żeby nas stamtąd wyciągnąć.
- Gdzie jest teraz?
- On... wrócił tam. Wołałam, krzyczałam, żeby tam nie wchodził.

Żołądek Annie fiknął salto. W środku nie było nic, dla czego mógłby ryzykować życiem. Chyba że Hannibal. Theo nie zostawiłby na pastwę losu żadnej żywej istoty, nawet kota.

Annie rzuciła się w stronę domu, ale Jaycie złapała ją za kurtkę przeciwdeszczową i nie puszczała.

- Nie wejdiesz tam!

Jaycie miała rację. Dom jest duży, a nie miała pojęcia, dokąd poszedł Theo. Musiała czekać. Modlić się.

Jaycie wzięła Livię na ręce. Annie jak przez mgłę zarejestrowała oraz więcej wozów na podjeździe, słyszała, jak Booker mówi, że domu nie da się uratować.

- Ja chcę do Theo – wyła Livia.

Annie usłyszała rżenie przerażonego konia. Na śmierć zapomniała o Tancerzu, ale kiedy odwróciła się w stronę stajni, zobaczyła, że Booker i Darren McKinley już biegną w tamtą stronę.

- Wyprowadzą go. – Barbara podeszła do niej.
- Theo jest w domu – powiedziała Jaycie.

Barbara zakryła usta dłonią.

Powietrze było gorące, pełne dymu. Spadła kolejna belka, wznecając fontannę iskier. Annie jak odrętwiała patrzyła na to z podjazdu, z każdą chwilą coraz bardziej przerażona. Nie mogła opędzić się od myśli o pożarze Thornfield Hall. O Jane Eyre, która wraca po niewidomego pana Rochester.

Niewidomy? W porządku. Niech będzie. Byle żył. Byle tylko żył.

Coś otarło się o jej nogi. Opuściła głowę. Hannibal. Porwała go na ręce. Jej panika narastała. Być może właśnie w tej chwili Theo kuli się wśród płomieni, szukając go, nie wiedząc, że kot jest cały i zdrowy na zewnątrz.

Booker i Darren usiłowali wyprowadzić Tancerza ze stajni. Owinęli mu łeb derką, żeby nie widział płomieni, ale i tak czuł zapach dymu i panikował.

Kolejny fragment dachu runął. Lada chwila zawali się cały dom. Annie czekała. Modliła się. Tulila kota do siebie tak mocno, że miauczał gniewnie i wyrывał z jej objęć. Dlaczego nie powiedziała Theo, że go kocha? Trzeba było mu powiedzieć, pal sześć konsekwencje. Życie jest zbyt cenne. Miłość jest zbyt cenna. A teraz już nigdy się nie dowie, że ktoś go kochał, i to bez warunków, bez szalonych grózb, za to na tyle, żeby oddać mu wolność.

Z domu ktoś wyszedł. Skulona postać. Rzuciła się w tamtą stronę. Theo. Niósł coś w obu rękach i chciwie chwycił powietrze. Za jego plecami pękła szyba.

Dopadła go, chciała podtrzymać. Uderzył ją w nogę tym, co niósł. Chciała mu to odebrać, ale nie puszczał.

Mężczyźni podbiegli do niego, odepchnęli ją, prowadzili go na otwartą przestrzeń, gdzie miał świeże powietrze. Dopiero wtedy zobaczyła, co wyniósł z płonącego domu. Po co tam w ogóle wracał? Wcale nie po kota. Niósł dwie czerwone walizki. Theo wrócił po jej kukielki.

Nie mieściło jej się to w głowie. Theo wszedł w piekło, żeby ocalić jej głupie, ukochane lalki. Chciała na niego wrzeszczeć, całować do utraty tchu, wymusić obietnicę, że nigdy więcej nie robi takiego głupstwa. On jednak oddalił się – szedł do konia.

– Mój domek elfów! – wrzeszczała Livia. – Co z moim domkiem elfów?

Jaycie usiłowała ją uspokoić, ale dla małej tego wszystkiego było już za wiele. Nie słuchała. Annie nie mogła w tej chwili pomóc Theo, więc może przyda się tutaj.

– Zapomniałaś już? – Dotknęła rozpalonego policzka Livii, pochyliła się jej do ucha. – Jest noc i być może właśnie teraz są tam elfy. Wiesz, że nie chcą, żeby ludzie je widzieli.

Livia szlochała głośno.

– Ale ja chcę.

Jest tyle rzeczy, których chcemy, a których i tak nie możemy mieć. Co prawda ogień nie dotarł do miejsca, w którym znajdował się domek dla elfów, ale okolica była bardzo zdeptana.

– Wiem, skarbie, ale one nie chcą, żebyś je widziała.

– A możemy... – urwała, zaniosła się płaczem. – A możemy przyjść tu rano? – Annie wahała się odrobinę za długo i Livia zaczęła płakać. – Chcę zobaczyć domek dla elfów!

Annie zerknęła na Jaycie, równie wyczerpaną jak jej córka.

– Jeśli ogień wygaśnie, przyjdziemy rano – obiecała.

To Livii wystarczyło, póki matka nie wspomniała o noclegu w miasteczku. Szlochy zaczęły się od nowa.

– Annie obiecała, że rano zobaczymy domek elfów! Chcę tu zostać!

Za ich plecami rozległ się ochrypły męski głos:

– Więc przenocujcie w domku, we trzy.

Annie odwróciła się gwałtownie. Theo wyglądał, jakby cudem wyszedł z piekła, niebieskie oczy lśniły niesamowicie w twarzy pokrytej sadzą. Tulił kota w ramionach, ale teraz podał go Annie.

– I weźcie go ze sobą.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, już zniknął.

Barbara zawiozła Annie, Jaycie i Livię do domku. Annie wpuściła kota do środka i poszła po czerwone walizki, leżące na pace pikapa. Przepadło wszystko inne, co zostawiła w domu: ubrania, szale Mariah, jej Księga Marzeń. Ale miała swoje lalki. A w walizkach, po jednym w każdej, między grubym kartonem dna, leżały szkice Nivena Garra. Najważniejsze jednak, że Theo żył i był cały i zdrowy.

W niebo skoczyła kolumna iskier, rozświetlając je diabelskim blaskiem.
Dom Harpów przestał istnieć.

Annie oddała swoje łóżko Livii i Jaycie i spała na kanapie – posłanie w atelier czekało na Theo, ale o świcie jeszcze go nie było. Podeszła do okna przy drzwiach wejściowych. Tam, gdzie jeszcze niedawno pysznie wznosił się dom Harpów, dziś w niebo wzbijały się tylko smugi dymu.

Livia miała na sobie piżamę. Przecierała oczy.

– Chodźmy do domu elfów.

Annie miała nadzieję, że po takiej nocy mała będzie spała do późna, ale w łóżku była jedynie Jaycie. Liczyła też, że Livia zapomni o domku elfów. Mogła się domyślać, że będzie inaczej.

Starła się jak najdelikatniej wyjaśnić, że niewykluczone, że ktoś go niechcący rozdeptał, ale Livia nawet nie chciała o tym słyszeć.

– Elfy na pewno do tego nie dopuścili. Pojedziemy, Annie? Bardzo proszę!

– Livia, boję się, że czeka cię rozczarowanie.

Livia skrzywiła się.

– Chcę zobaczyć!

Wieczorem Annie już tu nie będzie i chciała zostawić Livii po sobie dobre wspomnienia, a nie myśl, że nie dotrzymała obietnicy.

– No, dobrze – stwierdziła po chwili wahania. – Idź po kurtkę.

Annie zdążyła się już ubrać – miała na sobie przykrótkie spodnie rurki Mariah i czarny sweter. Założyła na to sztormiak cuchnący dymem i napisała kilka słów do Jaycie. Kiedy wypuszczała na dwór Livię, w piżamie i kurtce, zorientowała się, że jej nie nakarmiła – choć w kuchni nie było zbyt dużo jedzenia. Kiedy jednak zaproponowała śniadanie, Livia zaprotestowała, a Annie nie miała siły się kłócić.

Ktoś podjechał chevroletem Jaycie pod domek, więc Annie zapięła Livii pas i wyruszyły. Range rover Theo stał na szczycie wzgórza, tam, gdzie wczoraj. Zaparkowała za nim, wysiadły i dalej ruszyły na piechotę, mocno trzymając się za ręce.

Przetrwały kamienne gargulce i wieżyczka, a także stajnie i garaż. Ale z samego domu nie zostało nic, nie licząc czterech kominów i szkieletu schodów. Zza

ruin wylał się ocean. Dom już nie zasłaniał widoku.

Zabawne, że to Livia pierwsza zobaczyła Theo, choć przecież Annie nie była w stanie myśleć o nikim innym. Livia puściła jej rękę i pobiegła do niego w za długich spodniach od piżamy.

– Theo!

Był brudny. Nieogolony. Miał na sobie za ciasną kurtkę, którą zapewne ktoś mu pożyczył, i dzinsy podarte na łydce. Annie ścisnęło się serce. Po tym wszystkim, przez co przeszedł – czego dokonał – kuczał w błocie i naprawiał domek elfów.

Uśmiechnął się do małej z takim znużeniem, że zaraz spoważniał z powrotem.

– Ogień chyba strasznie zdenerwował elfy. Zobacz, co narobiły.

– No nie! – Livia wzięła się pod boki jak stara malutka. – Były okropne!

Theo przeglądał się Annie. W zmarszczkach wokół jego oczu zostały smugi sadzy. Ryzykował życiem dla jej kukielek. Cały on.

– Byłeś tu całą noc – domyśliła się. – Chciałeś być świadkiem upadku domu Harpów?

– I dopilnować, żeby stajnia się nie zajęła.

Teraz, gdy był już bezpieczny, oprzytomniała na tyle, że wiedziała, że nic się nie zmieniło. Nie obarczy go tylko po to, żeby sobie ulżyć.

– Jak Tancerz? – zapytała.

Skinął głową.

– Już wrócił do stajni. Jak nasz kot?

Coś ścisnęło ją za gardło.

– Nasz kot ma się dobrze. Lepiej niż ty.

Livia przyglądała się temu, co robił.

– Układasz taras. Elfom się spodoba.

Nowy domek był niższy i szerszy. Zamiast kamiennej ścieżki, rozciągał się przed nim półokrągły dziedziniec, który Theo wykładał oszlifowanymi kawałkami szkła. Podał Livii garść plażowych klejnotów.

– Układaj dalej, a ja porozmawiam z Annie.

Livia kucnęła. Annie musiała z całej siły zacisnąć dłonie, żeby nie dotknąć twarzy Theo.

– Jesteś idiotą – stwierdziła z czułością, nad którą nie udało jej się zapanować.

– Lalki można zastąpić, ciebie nie.

– Wiem, ile dla ciebie znaczą – odparł.

– Mniej niż ty.

Przechylił głowę.

– Popilnuję Livii – dodała szybko. – Idź do domku, prześpij się.

– Później. – Zerknął na ruiny domu, zaraz jednak wrócił wzrokiem do niej. – Naprawdę dzisiaj wyjeżdżasz?

Skinęła głową.

– I kto tu jest idiotą?

– Jest różnica między pchaniem się do płonącego budynku a powrotem na stały ląd – zauważyła.

– Jedno i drugie ma pewne minusy.

– Nie wydaje mi się, żeby wyjazd miał dla mnie jakiegokolwiek minusy.

– Może nie dla ciebie, dla mnie ma na pewno.

Był ledwo żywy. Oczywiście, że mu przykro, że wyjeżdża, ale to nie znaczy, że ją kocha, a ona nie popełni tego błędu i nie weźmie jego zmęczenia za nagły przypływ uczuć.

– Nic ci nie będzie, pod warunkiem że nie będziesz się wiązał z wariatkami – odparła.

Zaskoczył ją jego uśmiech, znużony, ale szczery.

– Właściwie powinienem się przejąć, że tak o nich mówisz.

– A nie przejmujesz się?

– Taka jest prawda. Czas, żebym wydorósł.

– Nie tyle wydorósł, ile zrozumiał, że nie ocalisz każdego, na kim ci zależy.

– Na moje szczęście ciebie nie trzeba ratować.

– A żebyś wiedział.

Potał policzek dłonią.

– Mam dla ciebie pracę. Płatną.

Nie wiedziała, do czego zmierza, więc starała się zmienić temat.

– Wiem, że jestem dobra w łóżku, ale nie sądziłam, że aż tak dobra.

Westchnął.

– Trochę wyrozumiałości, Antoinette. Jestem zbyt zmęczony, by dzisiaj dotrzymać ci kroku.

Jakimś cudem udało jej się przewrócić oczami.

– Jakbyś kiedykolwiek mógł.

– To praca, którą możesz wykonywać w mieście.

Proponował jej pracę z litości. Nie mogła do tego dopuścić.

– Słyszałam o seksie przez Skype'a, ale jakoś to do mnie nie przemawia.

– Chciałbym, żebyś zilustrowała książkę, nad którą pracuję.

– Przykro mi. Nawet gdybym zajmowała się ilustrowaniem książek – a tego nie robię – nie mam wprawy w rysowaniu poćwiartowanych zwłok. – O tak, była na fali. Na fali rozpaczy.

Westchnął.

– Słuchaj, od tygodnia prawie nie spałem, nie pamiętam, kiedy ostatnio coś jadłem. Boli mnie w piersi. Mam piasek w oczach. I poparzoną rękę. A ty sobie żartujesz.

– Poparzoną? Pokaż. – Już wyciągała rękę, ale cofnął dłoń.

– Sam się tym zajmę, ale najpierw musisz mnie wysłuchać.

Nie odpuszczał.

– Nie ma potrzeby. I tak mam już więcej zleceń, niż jestem w stanie przyjąć.

– Annie, czy chociaż raz mogłabyś wszystkiego nie utrudniać?

– Może kiedyś, ale nie dziś.

– Annie, Theo jest przykro. – Żadne z nich nie zauważyło, że Livia ich słucha.

Wyrzwała zza nóg Theo. – Wiesz co? Chyba powinnaś powiedzieć mu twój supersekret.

– O, nie! – łypnęła groźnie na małą. – I ty też się nie waż.

Livia podniosła oczy na Theo.

– W takim razie ty powiedz jej swój.

Zesztywniał.

– Annie wcale nie chce go znać.

– Masz supersekret? – zapytała.

– Ma. – Livia nadęła się dumnie. – I ja go znam.

Teraz to Theo łypnął na nią groźnie.

– Idź, poszukaj szyszek. Całe mnóstwo szyszek. – Wskazał zagajnik za altaną.

– O, tam.

Annie miała już tego dosyć.

– Później – zdecydowała. – Musimy wracać do domu, może twoja mama już wstała.

Livia nachmurzyła się.

– Nie chcę.

– Nie denerwuj Annie – poradził Theo. – Ja dokończę domek, a ty go później obejrzysz.

Ogień postawił świat Livii na głowie. Mało spała i była tak marudna, jak tylko może być rozbudzona czterolatka.

– Nie idę! – krzyknęła. – A jeśli nie pozwolicie mi zostać, powiem wasze supersekrety!

Annie złapała ją za ramię.

– Nie wolno ci zdradzać supersekretu!

– Za żadne skarby świata! – dodał Theo.

– A właśnie że mogę! – odkrzyknęła Livia. – Jeśli oba są takie same!

Rozdział 25

Theo nie ogarniał tego, co się działo. Stał jak gargulec przed domem Harpów, jak wbity w ziemię, za to Annie jakimś cudem wpakowała marudną czterolatkę do samochodu. Tępy wzrokiem patrzył, jak odjeżdżają.

A właśnie że mogą! Jeśli oba są takie same!

Annie wyrażała się jasno, mówiąc, że przeszkadzają jej jego bliźny. Ale teraz już tego tak nie postrzegał. Zwęglone ruiny starego domu symbolizowały wszystko, co już minęło, wszystko, co nie pozwalało mu iść za głosem serca, być tym, kim chciał. Kochał Annie Hewitt całym sercem.

Annie powiedziała Livii, że go kocha? Co dokładnie powiedziała? Bo obawiał się, że nie chodziło jej o to samo co jemu.

Przejrzał na oczy tego samego dnia, gdy znalazł słój z kamykami Regan. Kiedy Livia zażądała, żeby zdradził jej swój, jak to nazwała, supersekret, te słowa wymknęły się same, łatwo i lekko jak oddech. Miał wrażenie, że kocha Annie, odkąd miał szesnaście lat – i może naprawdę tak było.

Masz za wiele bliźn.

Te słowa zrobiły z niego tchórza. Fakt, miał fatalną przeszłość z kobietami, a Annie, mimo żartów na temat jego pieniędzy, w ogóle nie była nimi zainteresowana. Gdyby wiedziała, że to on kupił ten cholerny syreni fotel, nie wybaczyłaby mu nigdy. Jedno, co mógł jej ofiarować, to serce, choć jasno dała mu do zrozumienia, że tego nie chce.

Miał jednak w sobie dość odwagi, by zawałczyć o nią. Po kłótni na nabrzeżu postanowił dać jej spokój aż do ostatniej chwili. Wymyślił sobie, że przygotuje jej pyszne śniadanie i zanieś na „Amulet”. Wmówił sobie, że zdoła ją przekonać, że jego bliźny to już zamknięta sprawa, a teraz może ją kochać, nieważne, czy ona odwzajemnia jego uczucie, czy nie. Ale pożar pokrzyżował mu szyki.

Musiał odzyskać jasność umysłu. Oddałby wszystko za kilka godzin snu. Za prysznic. Jednak nie miał na to wszystko czasu. Annie musiała poczuć, jak bardzo mu zależy. Tylko w ten sposób zdoła ją przekonać, by dała mu szansę.

No, to powodzenia. Już i tak wszystko schrzaniłeś.

Brak snu dawał mu się we znaki – teraz jeszcze słyszał Scamp, tę jej kukielkę. Odwrócił się plecami do ruin domu Harpów, pobiegł do samochodu i pognał do domku.

Już jej nie było. Szybko zostawiła Livię Jaycie i odjechała, jakby najbardziej na świecie zależało jej na tym, żeby przed nim uciec. Z boleśnie ściśniętym

żołądkiem jechał za nią.

Chevrolet nie miał szans z range roverem i szybko ją dogonił. Zatrąbił, ale nie zatrzymała się. Trąbił dalej. Nie mogła go nie słyszeć, ale nie dość, że się nie zatrzymała – nacisnęła pedał gazu.

A nie mówiłam? – odezwała się ta cholerna kukielka. – Spóźniłeś się.

– Wcale nie! – Są na wyspie; zaraz dojadą do miasteczka. Musi tylko cierpLivie jechać za nią. Ale nie, nie chciał być cierpliwy. Chciał rozmawiać z nią teraz, zaraz, a skoro ona nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji, on jej to pokaże.

Uderzył w zderzak chevroleta. Nie na tyle mocno, żeby zepchnąć ją z drogi, tylko tak, żeby wiedziała, że to dla niego nie żarty. Dla niej najwyraźniej też nie, bo jechała dalej. Chevrolet był wrakiem z niezliczoną liczbą zadrapań i wgnieceń, jednak jego range rover – nie. Nieważne. Uderzył ją znowu, i znowu. W końcu mrugnęła jedynym reflektorem.

Samochód zahamował gwałtownie, drzwi otworzyły się, wyskoczyła ze środka. On też – i zaraz usłyszał jej krzyk:

– Nie chcę o tym rozmawiać!

– Świetnie! – odkrzyknął. – Ja będę mówił. Kocham cię i, do cholery, wcale się tego nie wstydzę. Może i nie masz tylu blizn co ja, ale nie udawaj, że ci dranie, z którymi się wiązałaś, nie zostawili śladów na twojej psychice!

– Było ich tylko dwóch!

– U mnie też dwie, więc jesteśmy kwita!

– O nie! – Dzielilo ich zaledwie kilka metrów, ale Annie nadal krzyczała. – Moi to zwykle egoistyczne dupki! A twoje to wariatki o morderczych skłonnościach!

– Kenley nie!

– Ale prawie, a to też się liczy. Ja po zerwaniach tylko w kółko oglądałam kiepskie seriale i tyłam po pięć kilo! To nie to samo co pokutowanie przez całe życie!

– Już nie! – krzyczał tak samo głośno jak ona i też nie ruszał się z miejsca. Wszystko mu się poplątało. Bolało go gardło, całe ciało. A ona, z ogniem w oczach i szalonymi włosami, wyglądała jak bogini zemsty w szczytowej formie.

Szedł w jej stronę.

– Annie, chcę zacząć z tobą nowe życie. Chcę się z tobą kochać do utraty tchu. Chcę mieć z tobą dzieci. Przepraszam, że tak długo trwało, zanim to do mnie dotarło, ale widzisz, nie przywykłem do tego, że miłość jest dobra. – Pomachał palcem mniej więcej na wysokości jej twarzy. – Mówiłaś, że jesteś romantyczna. Romantyczność to nic, to tylko słowo w porównaniu z tym, co do ciebie czuję. Prędzej czy później i tak dowiesz się o tym cholernym fotelu, więc tak, ja tak załatwiam pewne sprawy! I od tej pory...

– Fotelu?

Cholera. A teraz jeszcze gniewnie rozděła nozdrza, a z orzechowych oczu ciskała pioruny.

– To ty kupiłeś ten fotel! – krzyknęła.

Nie mógł teraz okazać słabości.

– A kto jeszcze kocha cię na tyle, żeby kupić takie paskudztwo?

Znowu otworzyła usta. Theo był tak zmęczony, że bolały go nawet włosy, ale nie przerywał:

– Moja propozycja pracy też jest prawdziwa. Zaczęłam nową książkę, taką, która ci się chyba spodoba, ale nie chcę teraz o tym mówić. Teraz chcę rozmawiać o naszym wspólnym życiu, o tym, że chcę ci pokazać, że to, co do ciebie czuję, jest jasne i czyste, niepodszyte mrokiem.

Bardzo chciał opowiedzieć jej o Diggitym. I powtórzyć, że chce mieć z nią dzieci, na wypadek, gdyby za pierwszym razem nie usłyszała. Chciał ją całować, aż zakręci im się w głowie. Kochać się z nią, aż nie będzie mogła logicznie myśleć. I być może zrobiłby to wszystko, tylko że Annie usiadła. Tam, gdzie stała, pośrodku błotnistej drogi. Jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa. To zamknęło mu usta skuteczniej niż wszystko inne.

Podszedł blisko. Uklęknął przy niej. Błady promień słońca przedarł się przez gałęzie drzew, tańczył na jej policzku. Miodowe włosy, które tak bardzo kochał, rozsypały się i zasłoniły twarz – najpiękniejszą twarz, jaką kiedykolwiek widział, pełną tych wszystkich uczuć, które sprawiały, że była sobą.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Nie odpowiadała, a milcząca Annie przerażała go najbardziej na świecie, więc brnął dalej:

– Chcę zacząć z tobą nowe życie. Nie wyobrażam sobie przyszłości z kimkolwiek innym. Czy chociaż o tym pomyślisz?

Skinęła twierdząco, ale jakoś tak niepewnie. Jeśli się teraz wycofa, może stracić ją na zawsze, więc opowiadał o Diggitym, o tym, że chciał, żeby zilustrowała jego książkę, dla dzieci, nie dla dorosłych, o tym, jak jego czytelnicy pokochają jej rysunki. Siedział z nią w błocie i opowiadał, że do tej pory miłość oznaczała dla niego klęskę i dlatego tak długo trwało, zanim potrafił nazwać, co do niej czuje – tę łatwość, bliskość, czułość. To słowo niemal nie przeszło mu przez usta, nie dlatego, że nie mówił szczerze, ale każdy facet, nawet pisarz, czuje, że traci grunt pod nogami, wypowiadając na głos słowo czułość. Ale ona wpatrywała się w niego jak w obrazek, więc powtórzył to jeszcze raz, a potem zaczął opisywać, jaka jest piękna, gdy w nią wchodzi.

To zdecydowanie zwróciło jej uwagę, więc dodał trochę zmysłowości. Zniżył głos. Szeptał jej do ucha. Mówił, co chciałby jej zrobić. Co ona mogłaby zrobić jemu. Jej loki laskotały go w usta, widział jej rumieniec i nagle jego dzinsy zrobiły

się za ciasne, ale przynajmniej znowu poczuł się jak facet, facet zdany na łaskę kobiety, która rozmawia z kukielkami i pomaga małym niemym dziewczynkom odnaleźć własny głos, która wyzwoliła go z poczucia beznadziei. Tej seksownej, cudownej, całkowicie zdrowej psychicznie kobiety.

Dotknął jej twarzy.

– Wydaje mi się, że zakochałem się w tobie, mając szesnaście lat.

Przechyliła lekko głowę, jakby na coś czekała.

– Właściwie jestem tego pewny – stwierdził, choć wcale nie był. Kto może być czegokolwiek pewnym, wspominając tamten wiek? Ale chciała od niego czegoś więcej, musiał jej więc to dać, choć nie miał pojęcia, co to może być.

Nie wiadomo skąd dotarł do niego głos kukielki:

Pocałuj ją, idioto.

Pragnął tego najbardziej na świecie, ale cuchnął dymem, był umazany sadzą, miał brudne ręce.

Zrób to i już.

Więc zrobił. Wsunął brudne dłonie w jej włosy i całował ją do utraty tchu. Szyję, oczy, kąciki ust. Jakby od tego zależało jego życie. Jakby w ten sposób opisywał ich przyszłość. Wszystko, co mogli mieć, czym mogli dla siebie być. Ich oddechy brzmiały w jego uszach jak poezja.

Zacisnęła mu dłonie na ramionach; nie odpychała go, lecz przyciągała. Zatracił się w niej. I odnalazł.

Kiedy w końcu oderwali się od siebie, tulił w brudnych dłoniach jej teraz równie brudne policzki. Umazał jej nos sadzą. Jej usta były obrzmiałe po pocałunku. Jej oczy lśniły.

– Supersekret – szepnęła.

Żołądek fiknął mu salto. Powoli wypuścił powietrze z płuc.

– Oby to było coś dobrego.

Przywarła ustami do jego ucha i wyszeptała swój sekret.

Było dobrze. Naprawdę dobrze. Szczerze mówiąc, nie mogło być lepiej.

Epilog

Letnie słońce odbijało się w grzywach fal, tańczyło na żaglach jachtów. Jaskrawoniebieskie drewniane leżaki stały na patio, znajdującym się przed starym domkiem na farmie na łące, skąd rozciągał się cudowny widok na ocean. W pobliskim ogródku kwitły róże, szafirki, groszki i nasturcje. Łuk dróżki prowadził do starego domu, który w ostatnim czasie bardzo się powiększył. Po lewej stronie, w zagajniku, stał mały domek dla gości, a na mikroskopijnej werandzie królował fotel w kształcie syreny.

Na patio stał też długi stół, który aż się prosił o dużą rodzinę, ocieniony wielkim parasolem. Kamienny gargulec w zawiadacko założonej czapeczce z logo Knicksów dawniej strzegł domu na drugim krańcu wyspy; teraz troskliwie pochylał się nad donicą z geranium. Wszędzie wokół poniewierały się rekwizyty lata w Maine: piłka, plastikowy różowy rowerek, okulary do pływania, koło ratunkowe i przemoczona kreda.

Mały chłopiec z ciemnymi prostymi włosami i ponurą miną siedział po turecku między dwoma leżakami i rozmawiał ze Scamp, która spoglądała na niego z góry, z poręczy jednego z nich.

– No i... – ciągnął chłopiec – dlatego tupnąłem. Bo strasznie, ale to strasznie mnie wkurzył.

Kukielka potrząsnęła włóczkowymi włosami.

Koszmar! Powtórz jeszcze, dlaczego właściwie to zrobił?

Chłopiec, który nazywał się Charlie Harp, ze zniecierpliwieniem odgarnął włosy z oczu i gniewnie wydał policzki.

– Nie pozwala mi prowadzić pikapa!

Scamp przycisnęła małą rączkę do czoła.

Co za drań!

Z sąsiedniego leżaka dobiegło głośne westchnienie, ale ani Scamp, ani Charlie nie zwrócili na nie uwagi.

– A potem – ciągnął Charlie – wściekł się na mnie tylko dlatego, że odebrałem młodszą siostrze moją turbociężarówkę. A to mój samochód.

Sza-leń-stwo!- orzekła Scamp i pogardliwie machnęła ręką w stronę koca, na którym drzemała mała dziewczynka o kręconych włosach. – To, że nie bawiłeś się tą ciężarówką od lat, wcale nie znaczy, że ona może. Same kłopoty z tą twoją siostrą. I nawet cię nie lubi.

– Ej... – Charlie zmarszczył brwi. – Właśnie że mnie lubi.

Wcale nie.

– A właśnie że tak! Śmieje się, kiedy robię do niej miny, a kiedy się z nią bawię i wygłupiam, strasznie się cieszy.

Très intéressant – stwierdziła Scamp, która nadal miała talent do języków.

– Czasami rzuca jedzenie na podłogę i to jest strasznie śmieszne.

Hm... No, może... – Scamp dotknęła policzka. – Nie, nie, zapomnij, że cokolwiek mówiłam.

– Powiedz!

No... – Dotknęła drugiego policzka. – Bo widzisz, ja, Scamp, uważam, że taka turbociężarówka to w sumie zabawka dla maluchów i gdyby ktoś zobaczył, że się tym bawisz, to mógłby pomyśleć, że i ty...

– Nic takiego sobie nie pomyśli, bo oddam jej tę zabawkę!

Scamp z wrażenia szeroko otworzyła buzię.

Że też od razu o tym nie pomyślałam. No dobrze, w takim razie teraz ułożę o tym piosenkę...

– O nie!

No to nie. – Scamp wyraźnie poczuła się dotknięta. – Jeśli tak się masz zachowywać, zaraz ci powiem, co powiedziała Dilly. Uważa, że nikt nie będzie superbohaterem, póki nie zacznie być miły dla małych dzieci. Tak powiedziała, o!

Charlie nie miał na to żadnego sensownego kontrargumentu, więc przez chwilę majstrował przy plastrze na palcu u nogi, a potem wrócił do głównego problemu:

– Jestem dzieciakiem z wyspy.

Niestety, tylko latem – zauważyła Scamp. – Przez resztę roku jesteś dzieciakiem z Nowego Jorku.

– Ale lato też się liczy! Czyli jestem dzieciakiem z wyspy, a dzieciaki z wyspy mogą prowadzić.

Kiedy skończą dziesięć lat. – Ten niski, głęboki głos należał do Leo, drugiej ulubionej kukielki Charliego. Wolał go zdecydowanie od nudnego marudy Petera, głupiej Crumpet czy Dilly, która w kółko przypominała, że trzeba myć zęby i w ogóle.

Leo patrzył na Charliego z poręczy drugiego leżaka.

Dzieciaki z wyspy mają co najmniej dziesięć lat, kiedy siadają za kierownicą. A ty, compadre, masz dopiero sześć.

– Czyli prawie dziesięć.

Jeszcze nie prawie, na całe szczęście.

Charlie łypnął gniewnie na kukielkę.

– Jestem strasznie wściekły.

To zrozumiałe. – Leo pokręcił głową. – Mam pomysł.

– Jaki?

Powiedz mu, że jesteś strasznie wściekły, a potem zrób taką smutną minę i poproś, żeby cię zabrał na plażę, żebyście poskakali na falach. Jeśli zrobisz naprawdę smutną minę, na pewno się zgodzi.

Charlie nie był naiwny. Przesunął wzrok z Leo na mężczyznę, który go trzymał.

– Naprawdę? A możemy już teraz?

Jego ojciec odłożył Leo na bok i wzruszył ramionami.

– Fale są chyba niezłe. Czemu nie? Pakuj się.

Charlie zerwał się na równe nogi i pobiegł do domu co sił w nogach, ale zanim zniknął w środku, zatrzymał się na progu i zawołał:

– Ja prowadzę!

– O nie! – odkrzyknęła jego mama, zdejmując z ręki Scamp.

Charlie wbiegł do środka. Jego ojciec roześmiał się.

– Uwielbiam tego dzieciaka.

– Też mi niespodzianka. – Mama Charliego spojrzała na śpiącą dziewczynkę. Jej miodowe loki w niczym nie przypominały prostych, ciemnych włosów brata, za to oboje mieli niebieskie oczy ojca i niezależny charakter matki.

Annie opadła na leżak. Theo chyba nigdy nie znudzi się obserwowaniem twarzy żony. Pochylił się i wziął ją za rękę. Musnął palcem wysadzaną brylantami obrączkę ślubną, o której mówiła, że jest za bogata i ostentacyjna, ale i tak bardzo ją lubiła.

– Kiedy się ich pozbędziemy?

– O czwartej zawozimy ich do Barbary. Da im kolację.

– Czyli czeka nas cały wieczór pijaństwa i rozpusty.

– Co do pijaństwa nie wiem, ale rozpusty na pewno.

– Oby. Kocham te nasze potwory całym sercem, ale strasznie nam komplikują życie erotyczne.

Annie zacisnęła mu dłoń na udzie.

– Nie dzisiaj.

Theo jęknął.

– Dprowadzasz mnie do szału.

– Jeszcze nawet nie zaczęłam.

Pochylił się nad nią.

Annie poczuła jego dłoń we włosach i zastanawiała się, czy to źle, że uwielbia odgrywać femme fatale. Uwielbiała władzę, którą nad nim posiadała, a dzięki której rozpędzała mrok. Był zupełnie innym mężczyzną niż ten, który siedem lat temu powitał ją u szczytu schodów z pistoletem w dłoni. Oboje byli inni. Wyspa, której dawniej nie znosiła, była jej najukochańszym miejscem na ziemi, oazą, do której uciekała od burzliwej codzienności.

Oprócz pracy terapeutycznej z dziećmi z problemami, prowadziła seminaria dla

lekarzy, pielęgniarek, nauczycieli i pracowników socjalnych. Nie przypuszczała, że praca będzie jej sprawiała tyle radości. Największym wyzwaniem było, jak pogodzić życie zawodowe i rodzinne, bo rodzina i przyjaciele byli dla niej najważniejsi. Tu, na wyspie, miała dość czasu, by robić to wszystko, co niekiedy umykało jej w ciągu roku. Na przykład w zeszłym tygodniu urządziła Livii dziesiąte urodziny, gdy Jaycie przyjechała z wizytą z nową rodziną. Mieszkali teraz na stałym lądzie.

Uniosła twarz do słońca.

– Bardzo miło się tu siedzi.

– Za dużo pracujesz – stwierdził nie po raz pierwszy.

– Nie ja jedna. – Nie było wielkim zaskoczeniem, że książki o Diggity Swifcie sprzedawały się jak ciepłe bułeczki. Diggity zabierał swoich rówieśników w krainę mroku, ale nie przekraczał granicy horroru. A Annie bardzo cieszyło, że jej szkice zainspirowały jej męża i zdobyły uznanie czytelników.

Charlie wybiegł z domu. Theo wstał niechętnie, pocałował Annie, wziął żurawinowe ciasteczko z pojemnika, który tego ranka ktoś zostawił na progu, zerknął na śpiącą córeczkę, a potem wyruszył z synem na plażę. Annie podciągnęła kolana do piersi i objęła je ramionami.

W jej ukochanych powieściach gotyckich czytelnik nigdy nie wiedział, jak wygląda życie bohaterów po szczęśliwym zakończeniu, gdy dopada ich rzeczywistość: obowiązki domowe, dziecięce kłótnie, przeziębienia i wyzwania związane z rodziną – jego, nie jej. Elliott z wiekiem złagodniał, natomiast Cynthia była równie pretensjonalna jak zawsze i doprowadzała tym Theo do szału. Annie była wobec niej bardziej tolerancyjna – być może dlatego, że Cynthia okazała się cudowną babką. Z dziećmi radziła sobie o wiele lepiej niż z dorosłymi i maluchy za nią przepadały.

Co do rodziny Annie... Sylvia, owdowiała siostra Nivena Garra, i Benedict, jego wieloletni partner – znany obecnie jako dziadek Bendy – wkrótce przyjadą z coroczną wizytą. Początkowo Sylvia i Benedict odnosili się od niej z rezerwą, ale po testach DNA i pierwszych niezręcznych spotkaniach stali się sobie bardzo bliscy, jakby zawsze byli obecni w swoim życiu.

Dzisiaj jednak będą z Theo tylko we dwoje. Jutro zapakują dzieciaki w samochód i pojedą na drugi kraniec wyspy. Wyobrażała już sobie, jak machają rodzinie z Providence, która wynajmowała na lato szkolny domek, a potem zarośniętym podjazdem wjeżdżają na wzgórze, z którego rozciąga się najpiękniejszy widok na wyspie.

Ruiny domu Harpów zburzono dawno temu, basen zasypano ze względów bezpieczeństwa. Dawne czasy pamiętała jedynie wieżyczka oplątana dzikim winem. Annie i Theo ułożą się na kocu z butelką dobrego wina, a Charlie będzie

się uganiał wokół, wolny jak dzieciak z Peregrine. A potem Theo weźmie córkę na rękę, pocałuje w główkę i zanieśie pod stary świerk. Ukucnie, spojrzy na szklane klejnoty, ciągle kryjące się w piasku, i szepnie jej do ucha:

– Zbudujmy domek dla elfów.

Przypisy

^[1] Daphne du Maurier Rebecka, przeł. Eleonora Romanowicz-Podoska (przyp. tłum.).

^[2] Jako Jayne Eyre, bohaterkę powieści Charlotte Brontë (przyp. tłum.).